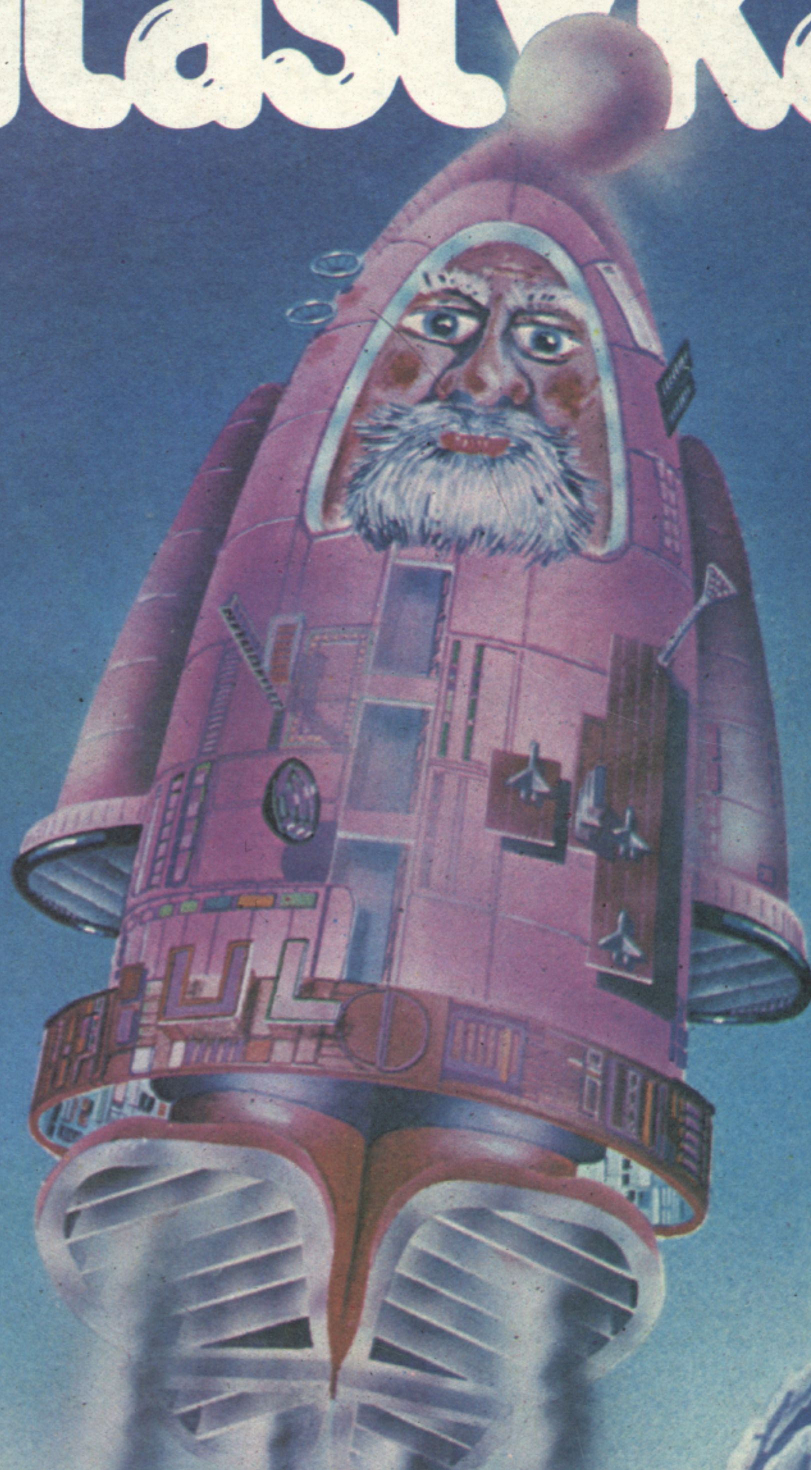
MIESIĘCZNIK

Fantastyka

12 (27) GRUDZIEŃ 1984 CENA 50 ZŁ

PL ISSN 0209–1631



Najlepsze życzenia
świąteczne i noworoczne
Przyjaciołom
i Sympatykom pisma
składa Redakcja

ZALEJSKI

LITERACKIE NAGRODY „FANTASTYKI" ZA ROK 1983

W dniu 24 września 1984 r. obradowało w Warszawie jury dorocznych nagród literackich „Fantastyki". W skład jury wchodzili: Adam Hollanek (red. nacz. „Fantastyki") – przewodniczący jury, Maciej Parowski (kier. dz. prozy polskiej „Fantastyki") – sekretarz jury, oraz Maciej Hoffman (dyrektor Krajowego Wydawnictwa Czasopism), Maciej Makowski (sekretarz generalny Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki), Wiktor Malski (sekr. redakcji „Fantastyki") i Andrzej Niewiadowski (kier. dz. krytyki „Fantastyki") – członkowie jury.

Po zapoznaniu się z dorobkiem wydawniczym w dziedzinie fantastyki w roku 1983 jury uznało, że rok ten w porównaniu z poprzednim nie obfitował w liczne wyróżniające się dokonania w dziedzinie beletrystyki i krytyki science fiction. W roku 1982 ukazało się bowiem kilkanaście znaczących książek SF złożonych w wydawnictwach jeszcze u schyłku lat siedemdziesiątych. Tak więc przyznając nagrody jury musiało z żalem pominąć w rozważaniach wydane rok wcześniej powieści: Stanisława Lema – „Wizja lokalna", Marka Oramusa – „Senni zwycięzcy", Macieja Parowskiego – „Twarzą ku ziemi", Jacka Sawaszkiewicza – „Kronika Akaszy", Marcina Wolskiego – „Numer", Janusza Zajdla – „Limes inferior", Wiktora Żwikiewicza – „Druga jesień", a także syntetyczną pracę krytyczną o historii polskiej science fiction Antoniego Smuszkiewicza – „Zaczarowana gra". Z pozycji, które ukazały się w roku 1983 jury wyłączyło z oceny powieść Adama Hollanka „Kochać bez skóry" (A. Hollanek był bowiem przewodniczącym jury).

Jury postanowiło:

● Nie przyznawać nagrody w kategorii Książki Roku 1983. Przyznać dwa wyróżnienia po 15 tys. złotych za powieści:
- **Bohdana Peteckiego „PIERWSZY ZIEMIANIN"** (Iskry).
- **Janusza A. Zajdla „WYJŚCIE Z CIENIA"** (Czytelnik).

● W kategorii debiutu książkowego przyznać wyróżnienie 10 tys. zł za zbiór opowiadań **Jerzego Grundkowskiego „ANNOPOLIS MIASTO MOICH SNÓW"** (Wydawnictwo Literackie)

● W kategorii najlepszej noweli przyznać nagrodę 15 tys. zł za utwór **Marka Baranieckiego „KARLGORO GODZ. 18.00"** („Fantastyka nr 1/83).

● W dziedzinie krytyki uhonorować zarówno pozycje o charakterze naukowym, eseistycznym, jak i systematyczną działalność recenzencką. I tak nagrody w tej kategorii otrzymali odpowiednio:
- **Andrzej Stoff** za książkę **„POWIEŚCI FANTASTYCZNO-NAUKOWE STANISŁAWA LEMA"** (Prace Wydziału Filozoficzno-Filologicznego w Toruniu. Tom XXIX, Zeszyt II, PWN, Warszawa – Poznań – Toruń 1983) – 15 tys. zł.
- **Leszek Bugajski** za tom szkiców **„SPOTKANIA DRUGIEGO STOPNIA"** (KAW) – 15 tys. zł
- **Marek Oramus** za systematyczną ocenę pozycji SF w tygodniku „Przegląd Techniczny" – 10 tys. zł.

★

Przypominamy jednocześnie (patrz „Fantastyka" nr 5/84), że za najbardziej godne uwagi działania klubowe ruchu miłośników SF nagrody „Fantastyki" za rok 1983 przyznano:

● **Polskiemu Stowarzyszeniu Miłośników Fantastyki** – 30 tys. zł.

● Redakcji czasopisma **„Kwazar"** wychodzącego w Poznaniu – 15 tys. zł.

★

Nagrody zostały wręczone laureatom 5 października 1984 r. podczas Dni Fantastyki w Staszowie.

■

ZŁOTA SEPULKA 1983 – 1984

W plebiscycie ogłoszonym przez Polskie Stowarzyszenie Miłośników Fantastyki wzięło udział 513 osób. Po obliczeniu wyników postanowiono przyznać „Złote Sepulki" zdobywcom pierwszego miejsca w każdej z kategorii.

● **Najlepsza książka autora polskiego**
1. Janusz A. Zajdel: *Wyjście z cienia.* (Czytelnik) – 312 pkt.
2. Marcin Wolski: *Numer.* (KAW) – 77 pkt.
3. Janusz A. Zajdel: *Cała prawda o planecie Ksi.* (KAW) – 39 pkt.

● **Najlepsza książka autora zagranicznego**
1. Ursula K. LeGuin: *Czarnoksiężnik z archipelagu.* (WL) – 179 pkt.
2. A. i B. Strugaccy: *Miliard lat przed końcem świata.* (Iskry) – 134 pkt.
3. K. Vonnegut, Jr.: *Syreny z Tytana.* (Czytelnik) – 101 pkt.

● **Najlepsze opowiadanie autora polskiego**
1. Marek Baraniecki: *Wynajęty człowiek.* („Fantastyka" 6/84) – 209 pkt.
2. Marek Oramus: *Kwadrofoniczne delirium tremens.* („Problemy" 2/84) – 111 pkt.
3. Andrzej Zimniak: *List z Dune.* („Fantastyka" 1/84) – 89 pkt.

● **Najlepsza seria wydawnicza**
1. Seria „Fantastyki i grozy" Wydawnictwa Literackiego w Krakowie – 233 pkt.
2. Seria „Fantastyka – Przygoda" Państwowego Wydawnictwa „Iskry" w Warszawie – 189 pkt.
3. Seria „Z kosmonautą" Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik" w Warszawie – 103 pkt.

● **Najlepszy debiut**
1. Marek Baraniecki za opowiadania opublikowane w „Fantastyce" – 201 pkt.
2. Jacek Piekara za opowiadania opublikowane w „Fantastyce" i w „Problemach" – 150 pkt.
3. Feliks W. Kres za opowiadanie „Mag" opublikowane w „Fantastyce" 11–12/83 – 98 pkt.

● **Najlepszy polski propagator literatury fantastycznej**
1. Redakcja miesięcznika literacko-krytycznego „Fantastyka" – 301 pkt.
2. Redaktor „żółtych kartek" miesięcznika popularno-naukowego „Problemy" – 95 pkt.
3. Redakcja SF Państwowego Wydawnictwa „Iskry" w Warszawie – 56 pkt.

■

PLEBISCYT PSMF

W odpowiedzi na ankietę PSMF dotyczącą wyboru najlepszej książki fantastyczno-naukowej w latach 1945 – 1984 nadeszły propozycje od 897 osób. Każda z osób wytypowała 3, jej zdaniem, najlepsze pozycje wydawnicze w tym okresie. Ogółem głosowano na 27 tytułów 12 autorów.

1. Stanisław Lem: *Solaris.* (1961) – 601 pkt.
2. Stanisław Lem: *Niezwyciężony.* (1964) – 487 pkt.
3. Adam Wiśniewski-Snerg: *Robot.* (1973) – 360 pkt.
4. Janusz A. Zajdel: *Limes inferier.* (1982) – 208 pkt.
5. Stanisław Lem: *Dzienniki gwiazdowe.* (1957) – 196 pkt.
6. Stanisław Lem: *Cyberiada.* (1965) – 185 pkt.
7. Krzysztof Boruń i Andrzej Trepka: *Zagubiona przyszłość (1954). Proxima (1956). Kosmiczni bracia (1959)* – 120 pkt.
8. Stanisław Lem: *Obłok Magellana.* (1955) – 84 pkt.
9. Czesław Chruszczewski: *Fenomen kosmosu* (1975) – 83 pkt.
10. Konrad Fiałkowski: *Wróble galaktyki.* (1963) – 53 pkt.

■

WYNIKI POZNAŃSKIEGO KONKURSU

Poznański Oddział PSMF „Orbita", Wydawnictwo Poznańskie i miesięcznik społeczno-kulturalny „Nurt" ogłosiły konkurs na utwór literacki o tematyce fantastycznej i fantastyczno-naukowej. Na konkurs wpłynęły 263 utwory. Jury pod przewodnictwem doktora Antoniego Smuszkiewicza postanowiło przyznać:

● I nagrodę w wysokości 12.000 zł **Zygfrydowi Cukiermanowi** z Lublina za utwór „Alfacos",

● II nagrodę w wysokości 7.000 zł **Maciejowi Guzdkowi** z Warszawy za utwór „Wierzyli w las",

● III nagrodę w wysokości 5.000 zł **Tomaszowi Bochińskiemu** z Warszawy za utwór „Ocaleni w niebie".

Przyznano również trzy równorzędne wyróżnienia po 2.000 zł. Otrzymali je: **Grzegorz Drukarczyk** z Koszalina za utwór „Reguła przetrwania", **Jerzy Grabowski** z Krakowa za utwór „Siedmiu" oraz **Marek Hemerling** z Koszalina za utwór „Tam gdzie kamienie nie płaczą".

Honorowe wyróżnienia za wartości literackie zaprezentowane w swoich utworach otrzymali: **Piotr Giziński** z Warszawy – utwór „Linia śmierci", **Mirosław Madejski** z Warszawy – utwór „Powrót", **Krzysztof Suchomski** z Poznania – utwór „Horyzont".

■

W następnym numerze
Relacja z Dni Fantastyki – Staszów 1984



16

Autor był chyba jednym z najczęściej nagradzanych amerykańskich pisarzy SF. W ciągu kilkunastu lat otrzymał za swoje utwory 7 razy Hugo Award i 2 razy nagrodę Nebula. Czytelnicy „Fantastyki" mieli już okazję zapoznać się z próbką jego pisarstwa: nowelę „Zabójca światów" drukowaliśmy w sierpniowym numerze z 1983 r. Opowiadanie, które teraz proponujemy różni się od niej znacznie atmosferą i nastrojem. Ale świetna konstrukcja i mistrzowskie prowadzenie narracji świadczą, że wyszło spod tego samego znakomitego pióra.
Harlan Ellison: „Na stoku"

Opowiadania i nowele

Robert F. Young
Kiedy czas był młody — **4**

Zadrżała ziemia. Odwróciwszy się, dojrzał imponujący, ciemny kształt na prawo od kępy trzech palm. Za chwilę rozpoznał ogromny łeb i masywny, wyprostowany korpus. Odruchowo cofnął się, gdy dwa rzędy szablistych zębów błysnęły w słońcu. Tyrannosaurus...

Harlan Ellison
Na stoku — **16**

Wokół nas kłębiły się opary i mój jednorożec wlókł się tuż przy mnie, jakiś mniejszy, niemal zalękniony. Wkraczaliśmy do królestwa, którego nie rozumiał, w którym jego magia była bezużyteczna. Było to królestwo leżące całkowicie poza zdolnością pojmowania nawet stworzeń otchłani.

Powieść

Arthur C. Clarke
Miasto i gwiazdy (1) — **21**

Trzeba mieć niezwykle bogatą wyobraźnię, a równocześnie solidne przygotowanie naukowe, żeby stworzyć taką książkę, jak „Miasto i gwiazdy". Autor wykazał, że dysponuje i jednym, i drugim. W rezultacie powstała niezwykle sugestywna wizja Ziemi oraz ludzkości – takich, jakimi mają się stać za... miliard lat.

Z polskiej fantastyki

Andrzej Boryczko
Trzecia brama
(wyróżnienie w konkursie „Fantastyki") — **45**

Idę wolnym krokiem. Napięty do granic możliwości. Nie ma we mnie lęku. W moim stadium wtajemniczenia już nie przerażają sprawy, które wielu zwykłym ludziom wydają się najważniejsze, najstraszliwsze czy wręcz niemożliwe. Ja wiem, że teraz możliwe jest wszystko.

Andrzej Kajman
I noc jest prawem — **50**

Wykrztusiłem ostrzeżenie z niemałym trudem: „Uważaj tam jest wąż". Ponownie zbagatelizował moje słowa. Gdy padał, zauważyłem na jego twarzy niebotyczne zdumienie. Podniosłem się i podszedłem do niego; już nie żył. Przestraszył się padalca, którego trzymam w kieszeni jako maskotkę.

Dział krytyki

Recenzje — **52**

Leszek Bugajski o „Cyklach nieba" G. L. Playfaira i S. Hilla. Andrzej Niewiadowski o francuskim romansie naukowym i Sławomir Kędzierski o „Dune" Franka Herberta.

Słownik polskich autorów fantastyki — **54**

Roman Hussarski i w „Pożółkłych kartkach" fragment „Jacht Paradise", sztuki napisanej wspólnie ze Stanisławem Lemem.

Nauka i SF

Kto wymyślił ten szyfr? — **56**

Mimo ciągłych postępów wiedzy, wciąż jeszcze daleko do pełnego wyjaśnienia tajemnic DNA.

SF gubiąca S — **58**

O niektórych grzechach pisarzy SF przeciw nauce.

Krytycy o fantastyce

Przepaść i puszcza — **60**

Jeden z najwybitniejszych angielskich pisarzy SF charakteryzuje brytyjską fantastykę, oraz jej podobieństwa i rozbieżności z literaturą amerykańską.

Parada wydawców

Dialog atakujący — **63**

Maciej Parowski rozmawia z twórcami i animatorami Agencji Autorskiej.



O tym, jak ogromny wpływ ma na polskich czytelników fantastyka lemowska, fantastyka racjonalistyczna, unikająca wszelkiej ucieczki od nauki, od odkrytych przez człowieka praw przyrody, niech świadczą listy nadchodzące do naszej redakcji. Dla mnie największym zaskoczeniem stał się fakt niezbyt gorącego przyjęcia literatury typu fantasy, zrywającej z science fiction, której próbki dość klasyczne zamieściliśmy w sierpniowym i wrześniowym numerze pisma. Bardzo mało osób zachwycił ten rodzaj, a niektóre wyrażały wręcz wstręt do baśniowości tekstów, do ich „beznadziejnego bajania", „nie wnoszącego żadnych nowych wartości do literatury". Być może fantasy, będąca swego rodzaju protestem przeciwko głębokim ingerencjom współczesnej nauki i techniki w codzienne życie ludzkie, łatwiej zdobywa sobie poklask w krajach, w których te ingerencje objawiają się jeszcze drastyczniej niż u nas, lub tam, gdzie nauka zdawała się obiecywać więcej niż mogła, niż była w stanie dać. Wydaje mi się, że u nas zarówno nauka jak i technika nie miały możności dać się tak we znaki, jak gdzie indziej i nie mówiło się nigdy o ich sukcesach zbyt natarczywie, zbyt optymistycznie.

U nas raczej zwykły zjadacz chleba oczekuje dopiero sukcesów nauki, oczekuje naukowych objawień, bez których życie jest po prostu utrudnione. Zbyt małe nasycenie komputerami naszej gospodarki niewątpliwie utrudnia postęp techniczny, za mało mamy elektroniki w fabrykach, wyręczającej człowieka w jego najbardziej uciążliwych działaniach fizycznych i nie tylko fizycznych, zbyt mało „cudownych urządzeń" w medycynie do diagnostyki, jak i do leczenia, brakuje dobrze rozwiniętej telefonii. I te niedostatki właśnie, ta potrzeba zapełniania konkretnych luk w naszej nauce i technice na pewno w jakiś większy lub mniejszy sposób każe polskim miłośnikom SF preferować jej raczej tradycyjne kierunki niż nowoczesne czy pseudonowoczesne zdobycze fantasy. Jakże bowiem inaczej wytłumaczyć fakt przyjęcia na naszych łamach tego gatunku przez czytelników z pewną rezerwą, rezerwą, jakiej się nie spodziewaliśmy. Nie twierdzę jednakże, że fantasy nie przyjmie się na naszym rynku. Przeciwnie, jestem pewny, iż wielu krajowych twórców pójdzie za trendem światowym i rozpocznie tworzenie polskiej baśni fantastycznej. Wydaje mi się, że to będzie działanie bardzo na czasie, niezwykle potrzebne. Dostrzegam potrzebę właśnie takiego, a nie innego rozwoju nowych trendów w fantastyce. Poprzez rodzimych twórców, poprzez pryzmat narodowych tradycji. Nawet w SF, która jest bardzo „umiędzynarodowionym" rodzajem literatury, nie da się zrezygnować z dróg własnych tworzenia, z inspiracji tych szczególnych cech i warunków, jakie składają się na różnice między poszczególnymi nacjami. Na prawdziwe wartości poszczególnych jednostek, a także i całych narodów, wpływają zasadniczo właśnie różnice między nimi, mniej zaś podobieństwa. A ukazywanie tych odrębności jednostkowych czy narodowych w sztuce czyni tę sztukę interesującą, atrakcyjną dla innych, dla wszystkich. Dlatego też z wielką ostrożnością należy podchodzić do zjawisk odbioru literatury i nie za szybko szukać definitywnych ocen tego odbioru.

Będziemy na naszych łamach próbowali jeszcze nie raz drukować fantasy i zobaczymy, jak dalej będzie z jej odbiorem. Tak samo uważam za zbyt pochopne i pośpieszne twierdzenia o kryzysie nauki. Oczywiście, że nie spełnienie wielu obietnic czy marzeń może tkwić u podstaw pewnej niechęci do naukowego patrzenia na świat i jego zjawiska. Wielu spodziewało się, że nauka przyczyni się walnie do zbudowania ogólnoświatowego dobrobytu, że stworzy ogromne możliwości pozyskiwania nowych źródeł energii, produkowania nowych materiałów i towarów. Byli i tacy, co marzyli o nauce jako matce ludzkiej nieśmiertelności. Tych wszystkich spotkał zawód. Ale czy w tych niespełnieniach mieści się w ogóle pojęcie kryzysu samej nauki? Czy w tym tkwi kryzys, że ludzie dostrzegają granice swoich działań w czasie i przestrzeni, w operowaniu materią, że nareszcie je widzą i że to dociera do tak szerokich kręgów ludzkości, o jakich się filozofom nigdy nie śniło, gdy pragnęli upowszechniać swe poglądy?

Myślę, iż imputowanie nauce kryzysu to bezsens, to próbka dziewiętnastowiecznej mentalności przymierzającej się do rozumienia współczesnego świata. Nigdy nauce na świecie nie powodziło się lepiej niż obecnie, nigdy nie pochłaniała ona takich funduszy jakich potrzebuje, jakich żąda dla urzeczywistnienia wielu marzeń (a czasem i horrorów) ludzkich. Nigdy nie skupiała tak potężnej kadry twórczej na najwyższym poziomie, jak to się dzieje w naszych czasach. I sukcesy idą za sukcesami. Choroby zakaźne, także i wirusowe, eliminuje się stopniowo za pomocą szczepionek i lekarstw. Rozpoczyna się wielka era przeszczepiania organów i wkrótce do bajek trzeba będzie zaliczyć twierdzenie o naszym ludzkim upośledzeniu polegającym na tym, iż „narodziliśmy się bez części zamiennych". Identyfikacja czynników dziedzicznych na poziomie molekularnym, fotografowanie genów, tworzenie ich coraz dokładniejszych map w organizmach zwierzęcych, a także ludzkich, doprowadzić musi niebawem do stworzenia skutecznych metod zwalczania raka. Już obecnie całe populacje mniej drżą z powodu choroby numer jeden – zaburzeń w działaniu serca i naczyć krwionośnych.

Odpowiednie zestawy leków, technika stosowania ich (np. tzw. betablokerów) przedłuża dziś istnienie tysiącom, milionom jednostek, skazanych w niedawnych jeszcze latach na zupełne kalectwo, a nawet na śmierć. Oczywiście sukcesy naukowe wymagają wielkich zespołów i wspaniałych urządzeń, a więc ludzi i środków materialnych. Jest to zamknięty krąg wzajemnych zależności. Można by dziś raczej mówić o tyranii nauki, niż o jej kryzysie. Tyrania ta przejawia się zarówno w narzucaniu koncepcji stylu życia całym populacjom, jak również i w negatywnych skutkach niektórych badań. Pośpieszny rozwój nauki i techniki doprowadził w wielu regionach świata do potężnych zaburzeń procesów naturalnych, do wyniszczenia wód, lasów i powietrza. A nade wszystko do zagrożeń atomowych.

I to zrodziło procesy kontestacyjne, antyracjonalistyczne również, wyzwolony został gwałtowny odruch obronny. On to przyniósł ze sobą falę naiwnej i okrutnej baśni fantastycznej. Jednocześnie jednak szerokim masom ludzkim, czego poprzednio nigdy nie było, nauka współczesna, załatwiająca wszelkie swe problemy w sposób probabilistyczny, wpoiła poczucie dystansu do swoich własnych działań, uczyniła szeroką publiczność swoim sędzią, szybko orientującym się, powiedziałbym coraz to szybciej orientowanym w zagrożeniach, jakie niesie. A więc całe społeczności biorą dzisiaj udział w osądzaniu działań nauki i coraz energiczniej próbują się przeciwstawiać jej negatywnym oddziaływaniom. Czy to jest kryzys, czy też sukces? Z wiedzy niemal tajemnej, z potęgi, o jakiej nikt dobrze nie wiedział, nauka stała się przedmiotem powszechnej dyskusji, powszechnego niejako nadzoru.

I na koniec jeszcze jedno a propos oddziaływań nauki na literaturę, szczególnie na literaturę SF, będącą przecież odbiciem tego, co dzieje się między człowiekiem a tym co proponuje rozwój wiedzy ludzkiej. Myślę, że w naszych polskich warunkach, w warunkach jednocześnie naszej specyficznej skłonności do romantyzmu, powstanie w niedługim czasie inna niż dotychczas fantastyka. Te nowe przejawy rysują się coraz wyraźniej chociażby w plonie konkursu naszego na nowelę, z którego powstaje już książka w Wydawnictwie Literackim. Są wobec tego podstawy do optymistycznego rokowania dla naszej SF, w przyszłości najbliższej i dalszej.

10 – 9 – 8 – 7 – 6 – 5 – 4 – 3 – 2 – 1 – 0

Adam Hollanek

MIESIĘCZNIK Literacki **Fantastyka**

02-784 Warszawa-Ursynów, ul. Służby Polsce 2
tel. 43-88-91 (łączy wszystkie działy)

Redakcja: Adam Hollanek (red. nacz.), Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Sławomir Kędzierski, Andrzej Krzepkowski (kier. działu publicystyki kulturalnej), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Wiktor Malski (sekr. red.), Andrzej Niewiadowski (kier. działu krytyki), Maciej Parowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (kier. działu zagr.), Krzysztof Szolginia (z-ca sekr. red.), Anna Szubka, Darosław J. Toruń.
Opracowanie graficzne: Andrzej Brzezicki i Marek Zalejski.

Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93.
Terminy przyjmowania prenumeraty: do dnia 10 listopada na I kwartał, I półrocze roku następnego oraz cały rok następny; do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.
Skład: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Druk i oprawa: P. Z. Graf. RSW Łódź.
Zam. 3389/84 r. T-70. Nakład 200.000 egz. NR INDEKSU 35839. PL ISSN 0209-1631

LĄDOWANIE XXII

Szanowny Panie Redaktorze Hollanek! Pozwoliłem sobie wykonać Panu ekslibris fantastyczny, którego kilkadziesiąt odbitek przesyłam... Łączę serdeczne pozdrowienia

Leszek Frey-Witkowski
66-200 ŚWIEBODZIN, ul. Zaków 2b m1.

Dziękuję, panie Leszku! Pana niespodziewana, z serca darowana przesyłka, sprawiła mi dużą przyjemność.
Życzę Wesołych Świąt Bożego Narodzenia i szczęśliwego Nowego Roku Panu, Pańskim wychowankom z prowadzonej przez Pana sekcji plastycznej w Klubie „Modrzew" Lubuskich Fabryk Mebli, a także i tym wszystkim, którzy „Fantastykę", jej autorów, uważają za członków rodziny, bliskich, przyjaciół.

Adam Hollanek

Naczelny podziękował za upominek i złożył wszystkim życzenia. A ja pragnąłbym napisać, że coraz częściej dowiadujemy się z Państwa listów, iż od „Lądowania" wielu z Was rozpoczyna lekturę naszego i Waszego czasopisma. A ponieważ Grudniowe Święta to czas spełniania życzeń i upominków, kończę tegoroczny cykl „Lądowań" pożądaną przez przytłaczającą większość miłośników fantastyki rubryką „Komu, komu..." Będą jej od czasu do czasu towarzyszyć ciekawsze sentencje z Państwa korespondencji. Zaczynamy.

Komu, komu...

Jestem Waszym stałym czytelnikiem i zbieram numery „Fantastyki". Brakuje mi trzech i byłbym bardzo wdzięczny, gdybyście mi mogli przysłać numer 5 z 1983 z powieścią „Zapomnij o Ziemi". A także numery z powieścią „Świat czarownic"... ***Dariusz Brzostek,*** *ul. Łazienna 19, 87-300 BRODNICA.*

Może ktoś z Czytelników pomógłby młodemu zbieraczowi? U nas tych numerów już, niestety, nie ma.

Poszukuję 1–7 numerów „Fantastyki" z 1984. ***Krzysztof Janczewski,*** *ul. Skalska 11/30, 32-300 OLKUSZ.*

Oferuję „Fantastyki" 4 (7), 5 (8), 6 (9), 7 (10), 9 (12), 10 (13), 11–12 (14–15), 1 (16), i 3 (18). Chętnie wymieniłbym je na książki fantastyczne: Wnuka-Lipińskiego – „Wir pamięci", pierwszą część antologii „Rakietowe szlaki", Parowskiego – „Twarzą ku ziemi", Ballarda – „Wyspa", książki Vonneguta oraz te z nowej edycji dzieł Lema: „Szpital Przemienienia", „Śledztwo. Katar", „Dzienniki gwiazdowe", „Pamiętnik znaleziony w wannie". ***Wiesław Semeniuk,*** *ul. Sienkiewicza 3/23, 08-110 SIEDLCE.*

Gratulacje

Gratulacje dla Redakcji z okazji drugiej rocznicy istnienia pisma. „Lądowanie" powinno być na przedostatniej stronie. Tak się do tego od początku przyzwyczailiśmy. Mam poważne zastrzeżenia do komiksu. Nie można mu odmówić humoru, ale jest mało zrozumiały, zagmatwany. Sprawą kontrowersyjną jest poezja, uważam jednak, że być powinna, bo pismo dociera do szerokiej publiczności. Ciekaw jestem zdania innych czy „Fantastyka" powinna być pismem dla wszystkich, czy jedynie dla dorosłych? Ja sam jestem uczniem VIII klasy.

Jacek Kuplicki *z Bydgoszczy*



Poszukuję „Fantastyk" nr 1, 6 (9), 9 (12), 4 (19). Odstąpię – nr 10 (13), 11–12 (14–15). Mój adres: ***Mariusz Mischke,*** *Jutrzenka, 77-141 BORZYTUCHAN.*

Poszukuję Dicka „Słonecznej loterii" i „Ubika", Wyndhama „Dzień Tryfidów", Asimova „Pozytronowy detektyw", Boule'a „Planeta małp", Bradbury'ego „Kroniki marsjańskie", Tolkiena „Władca pierścieni", „Hobbit", Vonneguta „Rzeźnia". Oferuję w zamian: Abramowa „Wszystko dozwolone", Bułyczowa „Miasto na górze", „Retrogenetyka", Colette „Na drugą planetę", Fiałkowskiego „Kosmodrom I i II", Jabłońskiego „Kryptonim Psima", Peteckiego „Sto lat świetlnych", „Strefy zerowe", „Tylko cisza", Pelota „Tranzyt", Prostaka „Planeta zielonych widm", Vane'a „Łowcy meteorów", „Wąż morski". ***Krzysztof Kielichowski*** *ul. Skiby 5B/13, GDAŃSK-STOGI ul. Skiby 5B/13.*

Proponowałbym ogłoszenie listy 20 najlepszych książek fantastycznych, wydanych w ciągu 40-lecia Polski Ludowej, bez podziału na krajowe i zagraniczne. Pozwoliłoby to poznać lepiej gusty czytelników i ocenić pracę wydawców w stosunku do zapotrzebowania. Moja propozycja wyglądałaby następująco: 1. Aldiss – Cieplarnia (Iskry), 2. Strugaccy – Piknik na skraju drogi, Las (Wyd. Literackie), 3. Tolkien – Władca pierścieni (Czytelnik), 4. LeGuin – Czarnoksiężnik z Archipelagu (Wyd. Literackie), 5. Dick – Ubik (Wyd. Literackie), 6. Wyndham – Dzień Tryfidów (Iskry), 7. Silverberg – Człowiek w labiryncie (Iskry), 8. Antologia amerykańska – Kryształowy sześcian Wenus (Iskry), 9. Asimov – Koniec wieczności (Iskry), 10. Dick – Słoneczna loteria (Czytelnik), 11. Zajdel – Limes inferior (Iskry), 12. Van Vogt – Misja międzyplanetarna (Iskry), 13. Harrison – Planeta śmierci (Czytelnik), 14. Aldiss – Non stop (Iskry), 15. Antologia ameryk. – Rakietowe Szlaki (Czytelnik), 16. Bułyczow – Miasto na górze (Iskry), 17. Boulle – Planeta małp (Iskry), 18. Śniegow – Dalekie szlaki (Iskry), 19. Clarke – Spotkanie z Ramą (Pax), 20. Lem – Dzienniki gwiazdowe (Wyd. Literackie).

I jeszcze jedno, „Fantastyka" powinna pełnić rolę informatora, dlatego apeluję o nowe zapowiedzi wydawnicze. Prośba. Może ktoś wymieniłby numery „Kwazara" lub inne, wydawane przez fankluby rzeczy, za interesujące książki np. Rosnego „Lot w nieskończoność", Leroux „Upiór opery" itd. Najbardziej chodzi mi o powieści. ***J. Gadomski,*** *ul. Gwiaździsta 3, PRUSZKÓW.*

W najbliższych miesiącach pragniemy ogłosić niestający konkurs na opowiadania i nowele dla zawodowców i amatorów, a także poprosić Czytelników o ocenę utworów zamieszczonych w „Fantastyce". Nie sądzę jednak, aby listy książek fantastycznych, wydanych po wojnie, krajowych i zagranicznych miały jakieś większe reprezentatywne znaczenie, by były sprawdzianem gustów i opinii czytelniczych. Ruch edytorski miał i ciągle jeszcze ma u nas charakter raczej przypadkowy. Zależy od tego, co się wydawcom podoba i co potrafią uzyskać oni lub tłumaczyć, co jest do osiągnięcia od rodzimych autorów i od wielu innych względów, pośród których wymagania czytelników i opinie krytyki zawodowej odgrywają raczej podrzędną rolę. Także i sama zawodowa krytyka ma liczne grzechy wobec literatury fantastycznej, którą albo w ogóle pomija, albo wymienia półgębkiem. Początki kariery Lema krytyka przyjmowała z ironią lub niedowierzaniem. A przecież należy on dzisiaj do najbardziej poczytnych na świecie pisarzy polskich.

Poszukuję „Fantastyki": 1, 2, 6 (9), 9 (10) oraz Lema „Śledztwo. Katar". Odpowiem na każdą ofertę. ***Marek Matysik*** *ul. ZMS 1/21, 41-103 SIEMIANOWICE ŚLĄSKIE 3.*

Wspaniałe i piękne

Wspaniałym pomysłem było wydanie numeru monotematycznego, ze smokami, proponowałbym rozszerzenie i kontynuację tej działalności. Wydawanie monotematycznych numerów przynajmniej raz lub dwa razy do roku. Za mało w numerach krótkich opowiadań (shortstories), a przecież ten typ literatury niesie właśnie perełki z warsztatów najlepszych autorów. Brakuje mi do kompletu kilku numerów. Ostatnio nie otrzymałem 7 (22) z lipca br., a poprzednio zdarzyło się to z numerem 3 (6) z 1983. Jeżeli moglibyście mi dopomóc w uzyskaniu brakujących zeszytów, proszę o ich przesłanie, oczywiście odpłatne, lub zamieszczenie ogłoszenia, że wymienię nr 3 (18) z 1984 lub odstąpię liczne pozycje książkowe na brakujące mi „Fantastyki" 1 (82, 2) 82, 3 (6) 83, 7 (22) 84. ***Ryszard Jankowski,*** *KATOWICE, ul. Radockiego 134/6.*

...Jakież piękne jest teraz
Twe wędrowanie.
Wszystkie gwiazdy poznajesz
Galaktyki przemierzasz,
Okręt który prowadzisz
Ubarwiony świątecznym
Światłem Bożego Narodzenia
Twoją codziennością.
Wszechświaty pełne marzeń
Otwierają wszystkie drzwi...

Tak napisał o fantastyce p. **Wiesław Ratajczak** z Chełma. Do widzenia w następnym „Lądowaniu", już w Nowym Roku 1985.

Redaktor

Kiedy czas był młody

Robert Young

(When Time Was New)

I

Widok stegozaura, stojącego pod wysokim miłorzębem nie zaskoczył Carpentera, jednak nie mógł uwierzyć własnym oczom, gdy ujrzał siedzących na gałęzi dwoje dzieci. Spodziewał się, że wcześniej czy później natknie się na stegozaura, ale nigdy nie przypuszczał, że spotka chłopca i dziewczynkę. Bo też skąd, u licha, mogli się oni wziąć w górnej kredzie?

A może, pomyślał, pochylając się do przodu na fotelu swego zasilanego z akumulatorów triceraczołgu, są oni w jakiś sposób związani ze sprawą tego zagadkowego znaleziska archeologicznego, dla wyjaśnienia którego został wysłany w erę dinozaurów? W końcu przecież fakt, że panna Sand – jego główna asystentka, która ustawiła temposkop, nie wspomniała ani słowem o dwójce dzieci, niczego nie dowodził. Temoskopy pokazują jedynie ogólny zarys terenu i rzadko rejestrują przedmioty o rozmiarach mniejszych od średniej wielkości góry.

Stegozaur trącił pień drzewa podobną do wzgórza zadnią częścią swego cielska. Drzewo zatrzęsło się konwulsyjnie i niewiele brakowało, a siedzące na gałęzi dzieci spadłyby na zębaty grzebień, zdobiący grzbiet potwora. Ich twarze były tak blade, jak bielejący w oddali łańcuch urwistych skał, częściowo skryty za nierównomiernie rozrzuconymi po prehistrycznej równinie kępami dębów, magnolii, zagajnikami wierzb, wawrzynów i palm.

Carpenter, naprężywszy mięśnie, wcisnął się głębiej w fotel kierowcy.

– Naprzód, Sam – powiedział do triceraczołgu. – Pokażemy mu, co potrafimy.

Przez te kilka godzin, które minęły od chwili, w której opuścił rejon wejścia, Carpenter jechał powoli, na niskim biegu, albowiem nie chciał przeoczyć żadnej z potencjalnych wskazówek, które mogły wskazać mu drogę do miejsca owego zagadkowego znaleziska. Zawsze tak było z nie poddającymi się wyjaśnieniu anachronizmami – instytut paleontologiczny, dla którego Carpenter pracował, zwykle znacznie dokładniej określał ich położenie w czasie, niż w przestrzeni. Teraz jednak włączył drugi bieg i wycelował trzy haubice, do złudzenia przypominające rogi na łbie jaszczuropodobnego pojazdu, prosto w ośrodek nerowy w okolicy kręgosłupa natrętnego stegozaura. „Bach! Bach! Bach!" – odezwały się trzy pociski paraliżujące, sięgnąwszy celu, a tylna część cielska opadła na ziemię. Tymczasem przednia część, dostawszy z miniaturowego, nie większego od ziarenka grochu mózgu sygnał, że stało się coś niedobrego, wygięła się do tyłu i osadzone w głowie o rozmiarach kufla od piwa maleńkie oczko dostrzegło zbliżający się traceraczołg. Krótkie, pulchne przednie łapy poczęły drapać ziemię, próbując usunąć garbate, dziesięciotonowe cielsko z teatru działań wojennych.

Carpenter uśmiechnął się.

– Spokojnie, grubasie – powiedział. – Nie zdążę nawet powiedzieć „Tyrannosaurus Rex", gdy ponownie będziesz kuśtykać na wszystkich czterech łapach.

Zatrzymawszy Sama w odległości dziesięciu jardów od podstawy miłorzębu, spojrzał przez półprzezroczystą ścianę kabiny, stanowiącej czaszkę jego jaszczuropodobnego pojazdu, na dwójkę przerażonych dzieci. Ich twarze były teraz, bez wątpienia, jeszcze bledsze niż przed chwilą. Nic dziwnego – Sam bardziej przypominał triceratopsa niż niejeden prawdziwy triceratops. Otworzył kabinę i odruchowo cofnął się, uderzony w twarz wilgotnym, gorącym powietrzem letniego dnia, tak różnym od przyjemnego chłodu w klimatyzowanej kabinie. Po chwili jednak wstał i wychylił się na zewnątrz pojazdu.

– Hej, wy tam, złazcie! – krzyknął. – Nikt was już nie zje!

Wlepiły się w niego dwie pary najszerzej otwartych, najbłękitniejszych oczu, jakie zdarzyło mu się kiedykolwiek widzieć. Nie odbijał się w nich jednak nawet najmniejszy błysk zrozumienia.

– Powiedziałem: złaźcie! – powtórzył. – Nie ma się czego bać!

Chłopiec odwrócił się do dziewczynki i oboje zaczęli szybko rozmawiać ze sobą w jakimś śpiewnym języku, który przypominał nieco chiński – nie bardziej jednak niż mgła przypomina deszcz. Ze współczesnym amerykańskim, natomiast, miał on tyle wspólnego, ile same dzieci z otaczającym je mezozoicznym krajobrazem.

Było oczywiste, że nie zrozumieli ani jednego słowa z tego, co Carpenter do nich powiedział. Jednocześnie było równie oczywiste, że uspokoił ich widok jego uczciwej, szczerej twarzy i być może spokojny ton jego głosu. Omówiwszy coś między sobą, opuścili swe napowietrzne schronienie, zsuwając się po pniu na ziemię. Chłopiec schodził przodem, pomagając dziewczynce pokonać trudniejsze odcinki. Wyglądał na dziewięć lat; dziewczynka na jedenaście. Carpenter wyszedł z kabiny, zeskoczył ze stalowego pyska Sama i podszedł do dzieci. W tym czasie stegozaur odzyskał już władzę w kończynach i teraz co sił umykał w głąb równiny. Chłopiec ubrany był w luźną, morelowego koloru bluzę, poplamioną i pogniecioną przy wspinaczce na drzewo i w równie pogniecione i pobrudzone spodnie tego samego koloru, sięgające do połowy łydek. Obuty był w odkryte sandałki. Ubiór dziewczynki różnił się jedynie kolorem – był błękitny i może troche mniej pobrudzony i wymięty. Była o około cal wyższa od chłopca, ale równie chuda. Oboje byli delikatnej budowy, a ich włosy miały kolor polnych jaskrów. Na ich twarzach malowała się w tej chwili tak niedorzeczna powaga, że Carpenter miał ochotę się roześmiać. Był gotów pójść o zakład, że są rodzeństwem.

Spoglądając poważnie w szare oczy Carpentera, dziewczynka wypowiedziała kilka krótkich, śpiewnych zdań, a każde z nich, sądząc po drobnych różnicach w wymowie, musiało być w innym języku.

Kiedy umilkła, Carpenter pokręcił głową.

– Nic nie kapuję, kruszyno – powiedział.

Na wszelki wypadek powtórzył swą odpowiedź po celtycku, starogrecku, dolnokromaniońsku, górnoacheuliańsku, staroangielsku, irokuańsku – nauczył się trochę tych języków i dialektów podczas swych licznych wypadów w przeszłość. Nic z tego! Wszystko, co powiedział okazało się dla nich zupełną chińszczyzną. Wtem oczy dziewczynki błysnęły w podnieceniu. Zanurzyła rękę w plastikową torebkę, zawieszoną u paska podtrzymującego spodnie i dobyła z nich trzy pary czegoś, co przypominało kolczyki. Jedną parę podała Carpenterowi, drugą chłopcu, a trzecią zatrzymała dla siebie. Chłopiec i dziewczynka przymocowali kolczyki do płatków swych uszu, jednocześnie pokazując gestami, by Carpenter uczynił podobnie. Podporządkował się, zauważył przy tym, że maleńkie dyski, które początkowo wziął za wisiorki, w rzeczywistości byłego pewnego rodzaju membranami. Wystarczyło zatrzasnąć miniaturowe zapinki i membrany przylegały ściśle do otworów uszu. Dziewczynka przez chwilę przyglądała się krytycznie jego wysiłkom, po czym uniósłszy się na palcach, wyciągnęła dłonie ku jego uszom i zręcznie palcami poprawiła ułożenie obydwu dysków. Zadowolona z siebie cofnęła się o krok.

– Teraz – powiedziała najczystszym angielskim – możemy się porozumieć i wszystko sobie wyjaśnić.

Carpenter wybałuszył na nią oczy.

– No cóż, muszę przyznać, że szybko nauczyłaś się angielskiego!

– Wcale się go nie nauczyliśmy – odparł chłopiec. – To są kolczyki-gadułki – takie mikrotranslatory. Z chwilą ich założenia to, co my mówimy, brzmi dla pana tak, jakby pan to powiedział. Z kolei to, co pan powie, zabrzmi dla nas tak, jakbyśmy to my sami powiedzieli.

– Zupełnie zapomniałam, że mam je ze sobą – powiedziała dziewczynka. – Należą do standartowego wyposażenia wszystkich podróżników. Co prawda my nie jesteśmy podróżnikami w pełnym tego słowa znaczeniu i w zasadzie mam te kolczyki zupełnie przypadkowo. Właśnie wracałam z lekcji, poświęconej postępowaniu z cudzoziemcami, kiedy zostałam porwana przez kidnaperów. A teraz – ciągnęła, znowu patrząc poważnie Carpenterowi w oczy – o ile nie ma pan nic przeciw temu, będzie chyba najlepiej, jeśli dopełnimy na początku formalności. Mam na imię Marsi, a to mój brat Skip. Pochodzimy z Wielkiego Marsa. Czy wolno mi będzie zapytać kim ty jesteś, łaskawy panie, i skąd przybywasz?

Niełatwo było Carpenterowi nie zdradzić podniecenia i z trudem udało mu się zachować beznamiętny, rzeczowy styl udzielania odpowiedzi. Jednak musiał zachować spokój – wszak to co chciał powiedzieć, było jeszcze bardziej nieprawdopodobne od tego, co sam przed chwilą usłyszał. – Nazywam się Howard Carpenter i pochodzę z Ziemi z 2156 roku, to jest z przyszłości odległej od tej chwili o 79 062 156 lat.

Wskazał triceraczołg.

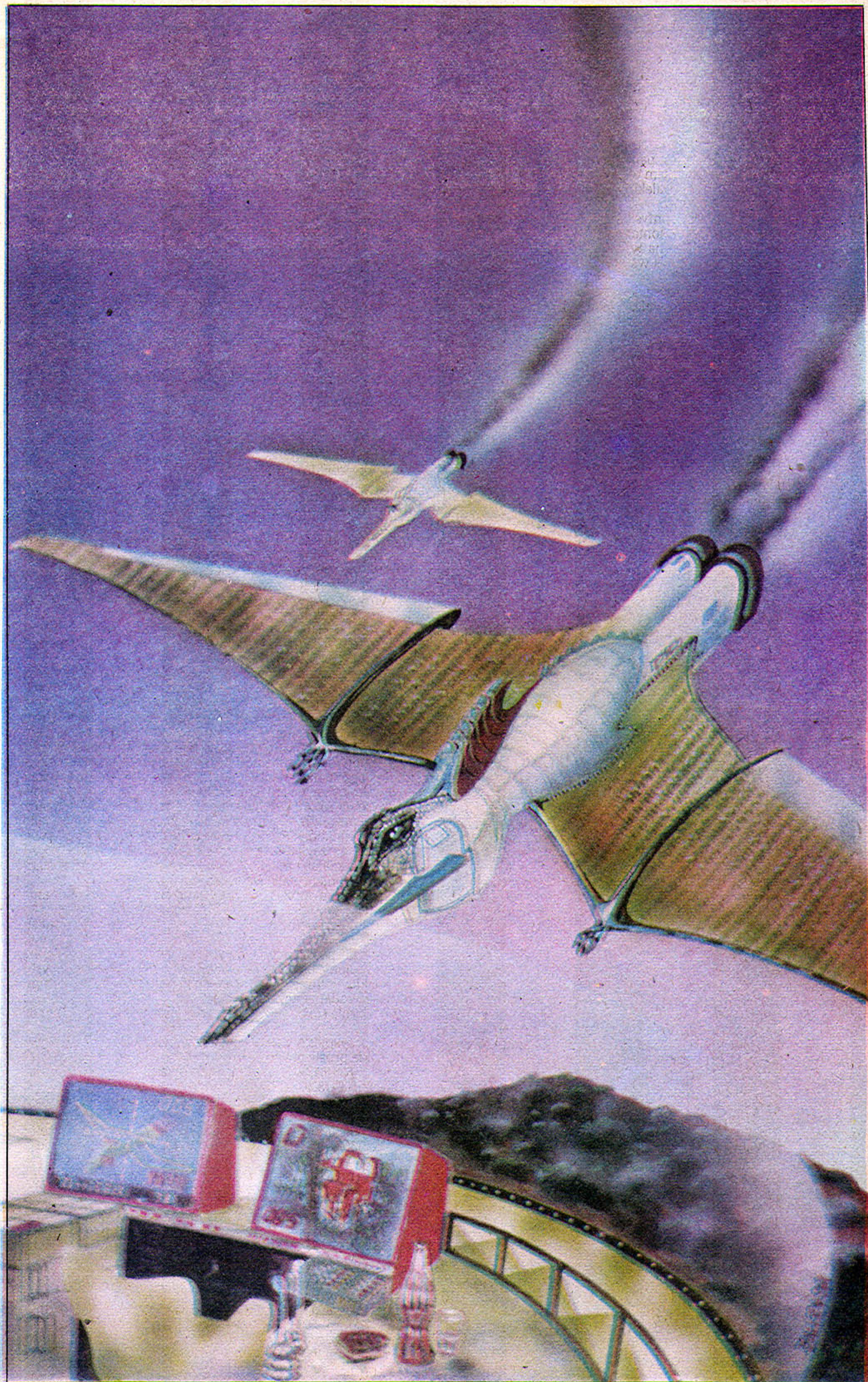
– A to, jest Sam, moja machina czasu, a także trochę ponad to.

Jeśli zasila się go z zewnętrznego źródła, jego zasięg działania jest praktycznie nieograniczony.
Dziewczynka tylko mrugnęła, chłopiec również i... i to wszystko.
– A zatem – powiedziała Marsi – sporo sobie wyjaśniliśmy. Pan pochodzi z Ziemi z przyszłości, natomiast my z Marsa z teraźniejszości.
Przerwała i spojrzała na Carpentera z zaciekawieniem.
– Czyżby pan czegoś nie rozumiał, panie Carpenter?
Carpenter zaczerpnął głęboko powietrza, potem je wypuścił.
– W rzeczy samej. Przede wszystkim taka drobnostka jak różnica w siłach grawitacji obu planet. Tu na Ziemi ważycie dwukrotnie więcej niż na Marsie i nie mogę pojąć, jakim cudem potraficie poruszać się z taką swobodą, a zwłaszcza jak udało wam się tak gładko wspiąć na ten miłorząb.
– Ach, rozumiem pana, panie Carpenter – odparła Marsi – i przyznaję, że to trafne spostrzeżenie. Źródło pańskich wątpliwości leży zapewne w tym, że kryterium pańskiego rozumowania stanowi Mars z przyszłości. W istocie Mars z przyszłości nie jest już taki sam jak Mars obecnie. W końcu niemało chyba może się zmienić przez 79 062 156 lat. Tak czy owak, panie Carpenter – kontynuowała Marsi – Mars z moich i Skipa czasów posiada grawitację zbliżoną do siły przyciągania na Ziemi. Otóż wiele wieków temu nasi inżynierowie sztucznie zwiększyli pierwotną siłę grawitacji, aby uchronić planetę przed dalszą utratą atmosfery. Kolejne pokolenia mieszkańców Marsa powoli przystosowały się do zwiększonego przyciągnia. Czy to, co powiedziałam wyjaśnia pańskie wątpliwości, panie Carpenter?
Musiał przyznać, że w zupełności.
– Słuchajcie, dzieci. Czy macie nazwiska?
– Nie, proszę pana. Dawno temu istniał wśród Marsjan zwyczaj przybierania nazwisk, ale z chwilą wprowadzenia desentymentalizacji, został on zaniechany. Zanim jednak będziemy kontynuować naszą rozmowę, chciałabym podziękować panu za uratowanie nam życia. To... to było bardzo szlachetne z pana strony.
– Drobiazg. Nie ma o czym mówić – odrzekł Carpenter. – Obawiam się jednak, że jeśli dalej będziemy tak sobie stać na otwartej przestrzeni, będę musiał stale was ocalać – a przy tym również i samego siebie. Lepiej schrońmy się we trójkę w Samie. Dobrze?
Poprowadził dzieci do triceraczołgu, wspiął się na jego „pysk" i schyliwszy się, podał dłoń dziewczynce. Wciągnął ją na maskę pojazdu i pomógł jej wejść do kabiny kierowcy.
– Za siedzeniem kierowcy jest niewielki luk – powiedział. – Wczołgaj się tam i rozgość się w kabinie, do której prowadzi. Znajdziesz tam stół, krzesełka i koję, a ponadto szafkę wypełnioną smakołykami – innymi słowy, wszelkie wygody domowe.
Zanim zdążyła zastosować się do propozycji Carpentera, do ich uszu dobiegł znad równiny dziwny, świszczący dźwięk. Spojrzała na niebo i pobladła śmiertelnie.
– To oni! – wykrztusiła. – Już nas znaleźli!
Carpenter ujrzał ciemne skrzydła dwóch pteranodonów. Pędziły w kierunku triceraczołgu jak para prehistorycznych nurkujących bombowców. Chwyciwszy dłoń Skipa, wciągnął go na maskę, wepchnął do kabiny obok siostry i kazał im natychmiast wejść w głąb pojazdu. Wkrótce i on wskoczył na siedzenie kierowcy. Zatrzasnął za sobą kopułę kabiny w chwili, gdy pierwszy z pteranodonów zbliżył się na tyle, że lotka jego prawego skrzydła otarła się o falisty pancerz głowy Sama, a drugi przeleciał tak nisko, że aż otarł się brzuchem kadłuba o grzbiet triceraczołgu.
Pteranodony przeleciały, zostawiając za sobą dwie podwójne smugi niebieskawego dymu, dobywającego się z dysz bliźniaczych silników odrzutowych umieszczonych na ogonie.

II

Carpenter wyprostował się w fotelu kierowcy. Lotki? Kadłub? Silniki odrzutowe na ogonie?
Pteranodony?
Włączył pole ochronne Sama i rozszerzył je na odległość dwóch stóp poza płyty pancerza, a następnie wrzucił bieg. Pteranodony krążyły wysoko w powietrzu.
– Marsi – zawołał – chodź tu na chwilkę, dobrze?
Gdy odwrócił głowę przez ramię, jej żółte włosy otarły się o jego policzek.
– Słucham, panie Carpenter?
– Kiedy zauważyłaś pteranodony, powiedziałaś, że oni już nas znaleźli. Co to miało znaczyć?
– To nie są pteranodony, proszę pana, czymkolwiek one są. To kidnaperzy, pilotujący zamaskowane bojowe samoloty, które jak sądzę, wyglądają jak pteranodony. To oni porwali Skipa i mnie ze szkoły przygotowawczej do Technicznego Apoteozacyjnego Instytutu Wielkiego Marsa i przetrzymywali nas w oczekiwaniu na okup. Ziemia jest ich kryjówką. Jest ich trzech – Roul, Fritad i Holmer. Jeden z nich został zapewne na statku.
Carpenter przez chwilę nie odzywał się. Mars w 2156 roku był ponurą, pustynną planetą, na której znaleźć można było niemal tylko kamienie, piach i wiatr. Zamieszkiwało go kilka tysięcy upartych kolonistów z Ziemi i kilkaset tysięcy równie upartych Marsjan. Ci pierwsi przebywali pod kopułami wypełnionymi sztuczną atmosferą, podczas gdy drudzy, z wyjątkiem nielicznych, którzy wstąpili w związek małżeński z kobietą lub mężczyzną z Ziemi, mieszkali w głębokich jaskiniach, gdzie można jeszcze było znaleźć tlen. Jednakże wykopaliska poczynione w dwudziestym drugim stuleciu przez Instytut Archeologii Pozaziemskiej, dostarczyły niezbitych dowodów na to, że przed ponad 20 milionami lat na Marsie istniała supertechniczna cywilizacja, podobna do współczesnej ziemskiej. Naturalnie należało w związku z tym przyjąć niemal za pewnik, iż takiej cywilizacji nieobce były podróże międzyplanetarne. A jeśli tak, to Ziemia, na której panowała wówczas era mezozoiczna, z pewnością mogła służyć jako doskonała kryjówka dla wszelkiego autoramentu kryminalistów z Marsa – w tym również i kidnaperów. Oczywiście taka teoria rzucałaby światło na niewyjaśnione anachronizmy, które stale znajdywano w wykopaliskach z okresu kredy.
Obecność Marsi i Skipa w epoce dinozaurów mogłaby jednakże być wyjaśniona i w inny sposób – mogli oni być ziemskimi dziećmi z 2156 roku i przybyć tutaj, podobnie jak on, za sprawą machiny czasu. Idąc dalej tym tropem można by podejrzewać, że porwali ich ziemscy kidnaperzy rodem z dwudziestego drugiego wieku i przerzucili ich w przeszłość. Ale skoro tak było, to dlaczego mieliby kłamać?
– Powiedz mi Marsi – spytał Carpenter. – Czy ty wierzysz w to, że przybyłem tu z przyszłości?
– Tak, oczywiście proszę pana. Jestem pewna, że Skip także jest o tym przekonany. W to troszkę... troszkę trudno uwierzyć, ale wiem, że ktoś tak miły jak pan nie mówiłby nieprawdy – zwłaszcza tak oczywistej.
– Dziękuję – odpowiedział Carpenter. – A ja wierzę, że wy przybyliście z Wielkiego Marsa, który, jak sobie wyobrażam, jest największym i najpotężniejszym krajem na Marsie. Powiedz mi coś o waszej cywilizacji.
– To wspaniała cywilizacja, panie Carpenter. Z każdym dniem postęp jest coraz większy, a zwłaszcza teraz, kiedy usunęliśmy już czynnik destabilizujący, będziemy rozwijać się jeszcze szybciej.
– Czynnik destabilizujący?
– Tak, ludzkie emocje. Krępowały nas przez setki lat, ale mamy to już poza sobą. Obecnie, kiedy chłopcy osiągną wiek trzynastu lat, a dziewczynki piętnastu, poddawani są desentymentalizacji. Dzięki temu są w stanie podejmować chłodne, wyrachowane decyzje w pełnej zgodzie z prawidłami logiki. W ten sposób osiągają maximum wydajności. Skip i ja przechodzimy właśnie w przygotowawczej szkole Instytutu proces zwany „procesem pre-desentymentalizacji". Po upływie czterech lat zaczniemy przyjmować dawki środka desentymentalizującego. A później...
– SZRRRAAACH!
Ze straszliwym zgrzytem jeden z pteranodonów prześliznął się po powierzchni pola ochronnego. Odrzucony w bok zakołysał się wściekle i zanim wystrzelił w niebo, Carpenter ujrzał w jego kabinie człowieka. Zdążył jedynie zauważyć kamienną twarz, nie wyrażającą żadnych uczuć i na podstawie jej położenia wywnioskował, że pilotujący leży płasko na brzuchu pomiędzy dwoma skrzydłami długości dwunastu stóp.
Marsi drżała na całym ciele.
– Wydaje mi się, że oni przybyli, by nas zabić, proszę pana – wyszeptała. – Grozili nam, że to zrobią, jeśli ośmielimy się spróbować ucieczki. Mają zapis naszych głosów na taśmie i zapewne doszli do wniosku, że już im nie jesteśmy do niczego potrzebni.
Carpenter sięgnął do tyłu i poklepał jej dłoń, spoczywającą lekko na jego ramieniu.
– Nie bój się kruszyno. Pod opieką staruszka Sama nie ma się czego obawiać.
– Czy... czy to jego prawdziwe imię?
– Całkiem prawdziwe. Szanowny Pan Sam Triceratops. Sam – oto Marsi! Masz się porządnie opiekować nią i jej bratem, jasne?
Odwrócił głowę i spojrzał w szeroko otwarte, błękitne oczy dziewczynki.
– Mówi, że się zaopiekuje. Idę o zakład, że na Marsie nie ma czegoś takiego jak on. Czy się mylę?
Zaprzeczyła ruchem głowy – najwyraźniej na Marsie był to równie powszechny sposób wyrażania negacji, jak i na Ziemi. Carpenter był przekonany, że jeszcze chwila i na jej usta wypłynie szeroki uśmiech. Jeszcze troszkę... Nic takiego jednak nie nastąpiło.
– W istocie, nie ma, proszę pana.
Kątem oka spojrzał przez szybę kabiny w górę, na krążące pteranodony (wciąż myślał o nich jako o pteranodonach, mimo że wiedział, iż nimi nie są).
– Gdzie znajduje się ich statek, Marsi? Czy to daleko stąd?
Wskazała palcem na lewo.
– To tam. Trzeba dojść do rzeki, a następnie do bagna. Skip i ja daliśmy nogę dziś rano, kiedy pilnujący luku Fritad usnął. To banda śpiochów – zawsze usypiają, kiedy tylko muszą stać na warcie. W końcu kiedyś Policja Kosmiczna Wielkiego Marsa wytropi ich statek i pomyśleliśmy sobie, że może uda nam się schować i poczekać na ich przylot. Przebrnęliśmy przez bagno i przepłynęliśmy rzekę na pniu drzewa. To... było straszne. Ścigały nas olbrzymie węże z nogami i... i...
Poczuł, że dziewczynka ponownie drży.
– Posłuchaj, kruszyno, coś ci powiem – powiedział. – Wracaj do kabiny i przygotuj sobie i Skipowi coś do jedzenia. Nie mam pojęcie co zwykle jadacie, ale wśród moich zapasów powinniście znaleźć coś dla siebie. W szafce znajdziecie szczelne, próżniowe pojemniki, zawierające kanapki. Wyżej, na półce w lodówce, znajdziesz wysokie butelki z rysunkiem kółek w gwiazdki, – to

lemoniada. Otwórz kilka pojemników i spróbuj. Mówiąc o jedzeniu poczułem, że i ja jestem głodny, zatem kiedy będziesz przygotowywać posiłek, zrób coś i dla mnie.
Ponownie dziewczynka prawie się uśmiechnęła.
– Dobrze, panie Carpenter. Przygotuję panu coś specjalnego.
Zostawszy samotnie w kabinie kierowcy, Carpenter przyjrzał się mezozoicznemu krajobrazowi poprzez przednie, boczne i tylne okienka. W odległej perspektywie po lewej stronie rozciągał się łańcuch młodych gór. Daleko, z prawej strony, rysowała się nierówna linia urwistych skałek. W ramce tylnego okienka widać było porozrzucane kępy wierzb, palm i karłowatych magnolii, a za nimi wznosiły się pokryte lasem wzgórza – to gdzieś tam znajdował się jego punkt wejścia. Daleko w przodzie z mezozoiczną żywiołowością dymiły wulkany.
Za 79 061 889 lat od tej chwili – pomyślał Carpenter – to terytorium będzie stanowiło część stanu Montana. Za 79 062 156 lat grupa paleontologów, kopiąca gdzieś na tym, zmienionym nie do poznania terenie, odnajdzie szkielet współczesnego człowieka, który zmarł przed 79 062 156 laty.
Czyżby miał to być jego własny szkielet?
Carpenter uśmiechnął się i spojrzał w niebo, gdzie wciąż krążyły oba pteranodony – a może będą to pozostałości po Marsjaninie? Zawrócił triceraczolg i ruszył w przeciwnym kierunku.
– Jedziemy, Sam – powiedział. – Zobaczymy, czy nie da się znaleźć jakiejś dobrej kryjówki, gdzie można by spokojnie spędzić noc. Może rano uda mi się wymyślić, co mamy dalej robić. Czy kiedykolwiek komuś przyszłoby na myśl, że uwikłamy się w ratowanie dwójki dzieciaków?
Sam mruknął basowo z głębi skrzyni biegów i ruszył w stronę zalesionych wzgórz.
Zawsze istniało ryzyko, że człowiek, ruszający w przeszłość w celu zbadania jakiegoś anachronizmu może w istocie okazać się jego autorem. Weźmy na przykład klasyczny już przypadek profesora Archibalda Quigley.
Nie sposób ocenić, czy historia ta była prawdziwa czy nie, niemniej jednak stanowi ona doskonałą ilustrację paradoksów podróży w czasie.
Otóż, rzeczony profesor Quigley, zagorzały miłośnik poezji Coleridge'a, przez wiele lat usiłował zidentyfikować osobnika, który w 1797 roku odwiedził farmę w Nether Stowey w Somersetshire, w Anglii i przeszkodził Coleridge'owi w zapisywaniu poematu, który ten właśnie ułożył we śnie. Gość spędził w towarzystwie poety około godziny, na skutek czego Coleridge nie był w stanie przypomnieć sobie zakończenia poematu. W rezultacie „Kubla Khan" nigdy nie został ukończony. Z upływem czasu ciekawość profesora Quigley'a nabrzmiała do tego stopnia, że nie mógł dłużej znieść swej niewiedzy. Zgłosił się zatem do Biura Podróży w Czasie po zezwolenie na odbycie podróży w przeszłość, co miało przynieść ukojenie jego niespokojnemu umysłowi. Biuro zgodziło się spełnić tę prośbę, a profesor bez wahania wyłożył ponad połowę oszczędności całego swego życia, by zapłacić za podróż w ten właśnie poranek 1797 roku. Znalazłszy się w pobliżu farmy, ukrył się w kępie krzaków i bacznie obserwował drzwi wejściowe. Zniecierpliwiony faktem, że nikt nie nadchodzi, sam podszedł do drzwi i zapukał. Coleridge otworzył drzwi osobiście i zaprosił go do środka. Profesor do końca swoich dni nie mógł zapomnieć wyrazu wściekłości w oczach poety.
Przypomniawszy sobie tę historię, Carpenter zachichotał. Prawdę mówiąc nie bardzo było z czego się śmiać, bowiem to co zdarzyło się profesorowi, mogło równie dobrze przytrafić się i jemu. Czy to mu się podobało, czy też nie, ten szkielet, który przybył zbadać w erze mezozoicznej na polecenie Północno-amerykańskiego Towarzystwa Paleontologicznego mógł przecież być jego własnym szkieletem.
Tak czy owak, starał się nie myśleć o takiej ewentualności. Po pierwsze, wiedział, że jeśli tylko wpadnie w tarapaty, wystarczy nawiązać łączność z dwójką swych asystentów – panną Sands i Peterem Detritusem, a oni natychmiast przybędą mu na pomoc, lecąc na Edith lub na jednym z wielu jaszczurochodów pozostających do dyspozycji PATP. Po wtóre, wiedział już, że w okresie Kredy działają jeszcze inne siły zewnętrzne. Nie był zatem jedynym kandydatem do przybrania formy znaleziska archeologicznego. Co by o tym nie sądzić, wszelkie martwienie się należało uznać za zwykłą stratę czasu, jako że to, co miało się wydarzyć, przecież i tak już się wydarzyło i nie było na to żadnej rady.
Skip wyczołgał się z kabiny i przechylił się nad oparciem fotela kierowcy.
– Marsi posyła panu kanapkę i butelkę lemoniady, panie Carpenter – powiedział, podając obie rzeczy.
– Czy mogę usiąść obok pana? – dorzucił.
– Jasne! – odparł Carpenter, usuwając się nieco na bok. Chłopiec wspiął się na oparcie siedzenia, po czym ześliznął się w głąb fotela. Zaledwie to uczynił, a już druga złotowłosa główka pojawiła się w przedziale kierowcy.
– A czy ja... czy mnie wolno byłoby... proszę pana...
– Posuń się na bok i zrób jej miejsce w środku, Skip!
„Łeb" Sama miał dobrych pięć stóp szerokości, a zatem przedział kierowcy nie należał do najmniejszych. Samo jednak siedzenie było szerokie na zaledwie trzy stopy i pomieszczenie dwójki dorastających dzieci i mężczyzny o budowie Carpentera, jedzących na dodatek kanapki i pijących lemoniadę, było nie lada wyczynem. Carpenter poczuł się jak sumienny i opiekuńczy ojciec, zabierający sw. pociechy na wycieczkę do zoo.
To ci dopiero zoo! Znajdowali się obecnie w lesie i wszędzie wokół pełno było mezozoicznych dębów, wawrzynów, wierzb i sosen o malowniczo pokręconych gałęziach, a pośród najliczniejszych w tym lesie miłorzębów natykali się od czasu do czasu na nieregularne skupiska drzew palmowych. Przez zarośla dostrzegli ogromne, ciężko stąpające stworzenie, wyglądające z przodu jak koń, a z tyłu jak kangur. Carpenter rozpoznał w nim anatosaurusa. Jadąc dalej natknęli się na struthiomimusa, a przypominające wyglądem strusia zwierzę, wypłoszone ich pojawieniem się, rzuciło się z przerażeniem do ucieczki. Zza kępy turzycy ankylosaurus o grzebieniastym grzbiecie potoczył za nimi groźnym spojrzeniem, ale dyskretnie nie zakwestionował pierwszeństwa przejazdu, które Sam wymusił. Rzuciwszy okiem na wierzchołki drzew, Carpenter po raz pierwszy w życiu miał okazję zobaczyć kształty pteranodonów. Prowadząc Sama mylącym kursem, miał nadzieję zgubić je po wniknięciu do lasu. Najwidoczniej jednak były one wyposażone w detektory materii. Należało zastosować bardziej wyrafinowany fortel. Istniała możliwość zestrzelenia ich za pomocą ognia zaporowego z ładunków oszałamiających, ale ta metoda nie dawała całkowitej gwarancji powodzenia i Carpenter postanowił nie używać przeciw nim tej broni, niezależnie od okoliczności. Co prawda kidnaperzy za swój postępek w pełni zasłużyli sobie na śmierć, ale on nie miał prawa być ich sędzią. Zabiłby ich, jeśli okazałoby się to nieodzowne, ale nie zamierzał tego uczynić, dopóki miał jeszcze asa schowanego w rękawie. Odwróciwszy się ku dzieciom, zobaczył, że zapomniały zupełnie o kanapkach i z niepokojem wpatrywały się w niebo. Pochwyciwszy ich spojrzenie, mrugnął do nich szelmowsko.
– No, chyba już najwyższy czas, żeby się im wymknąć, nie?
– Ale w jaki sposób, panie Carpenter? – spytał Skip. – Śledzą nas dzięki promieniom swych detektorów. Co prawda tacy zwykli Marsjanie jak my czy oni nie mogą kupić marsjańskiej superbroni, jednakże oni mają roztapiacze – coś w rodzaju opalizatorów. Gdyby mieli prawdziwe opalizatory, już by nie było po nas śladu.
– Możemy pozbyć się ich w dziecinnie prosty sposób – po prostu skoczymy sobie odrobinę w przeszłość. Dalej, kończcie swoje kanapki i przestańcie się martwić!
Dotychczasowy strach został wyparty przez podniecenie.
– Cofnijmy się o sześć dni – powiedziała Marsi. – Nie znajdą nas, bo nas tu jeszcze nie będzie.
– Nie da rady, kruszyno. Taki skok za bardzo osłabiłby Sama. Podróżowanie w czasie wymaga zużycia ogromnej ilości energii. Niesamodzielna machina czasu, taka jak Sam, w przypadku długich skoków w czasie, musi mieć zapewnione dodatkowe zasilanie, które może zapewnić jedynie stacjonarna energoczasownia. Stacja taka zasila jaszczurochód aż do chwili przeniesienia się do wcześniej zaprogramowanego obszaru wejścia i dopiero wtedy podróżnik w czasie samodzielnie wyjeżdża z tego obszaru i wykonuje swoje zadanie. Jeśli chce się powrócić do teraźniejszości, należy ponownie wjechać w obszar wejścia, nawiązać kontakt ze stacją i pobrać z niej energię. Można również wysłać umówiony sygnał wskazujący na fakt wplątania się w tarapaty, a wtedy ktoś przybędzie na ratunek w innym jaszczurodzodzie. Innych możliwości nie ma. Sam, zasilany z własnego źródła energii, mógłby co najwyżej pokonać dystans czterech dni, ale byłoby to równoznaczne z jego zagładą. W takim przypadku nawet energoczasownia nie zdołałaby ściągnąć go z powrotem. Sądzę, że postąpimy najroztropniej cofając się zaledwie o godzinę.
Jak na ironię, im mniejszy był dystans czasowy do pokonania, tym bardziej skomplikowanych obliczeń należało dokonać. Posługując się pierścieniem łącznikowym, osadzonym na wskazującym palcu prawej ręki, wydał dyspozycje dla Sama, by kontynuował jazdę po dotychczasowym, mylącym kursie. Następnie ujawszy w dłonie ołówek i blok papieru do notatek, zaczął wystukiwać na klawiaturze wbudowanego w pulpit kontrolny komputera zawiłe zadania arytmetyczne.
Marsi pochyliła się do przodu, bacznie obserwując jego czynności.
– Jeśli to przyśpieszy naszą podróż – powiedziała – mogę wykonywać takie proste obliczenia, które pan zapisuje, w pamięci. Na przykład 828464280 pomnożone przez 4692438921 daje 3887518032130241880.
– Być może przyśpieszy kruszyno, ale myślę, że powinniśmy to sprawdzić, nie sądzisz?
Wystukał obie liczby na kalkulatorze i wcisnął klawisz mnożenie. 3887518032130241880 – wypisał kalkulator. Carpenter prawie upuścił trzymany ołówek.
– Ona jest matematycznym geniuszem – powiedział Skip. – Ja natomiast jestem geniuszem w dziedzinie mechaniki. Oto dlaczego zostaliśmy porwani. Naszemu rządowi bardzo zależy na geniuszach. Zapłacą każdą sumę, by nas odzyskać.
– Waszemu rządowi? Sądziłem, że kidnaperzy polują na pieniądze rodziców.
– Nasi rodzice nie są już za nas odpowiedzialni – wyjaśniła Marsi. – Na dobrą sprawę prawdopodobnie już o nas zupełnie zapomnieli. Po osiągnięciu wieku sześciu lat dzieci stają się własnością państwa. Współcześni Marsjanie są zdesentymentalizowani i w najmniejszym nawet stopniu nie oponują, kiedy muszą oddać swoje dzieci.
Carpenter wnikliwie przyjrzał się obu poważnym twarzyczkom.



M. Zalejski

– Tak – odparł – rozumiem.
Korzystając z pomocy Marsi, dokończył swe obliczenia i wprowadził ostateczny zestaw cyfr do pamięci Sama.
– Jedziemy, dzieciaki! – powiedział i pchnął dźwignię włącznika inicjującego skok w przeszłość. Nastąpiło krótkotrwałe migotanie i niemal nieodczuwalna wibracja. Transfer odbył się tak płynnie, że Sam nawet nie przystanął w swym marszu przez las.
Carpenter cofnął wskazania zegarka na przegubie dłoni z 4:16 na 3:16 po południu.
– Spójrzcie w niebo, dzieci. No i co? Widać jeszcze jakieś pteranodony?
Popatrzyli w górę przez listowie.
– Ani jednego, panie Carpenter – powiedziała Marsi z ciepłym spojrzeniem, wyrażającym podziw. – Słowo daję!
– O rany! A nasi naukowcy już od niedzieli próbują dziesiątków sposobów, by nas stąd wydostać. Wydaje im się, że są niezwykle sprytni, ale założę się, że nigdy im nawet nie przyszło do głowy, że można podróżować w czasie... Panie Carpenter, a jak daleko można skoczyć w przyszłość – mam na myśli przeciętną machinę czasu.
– Otrzymawszy niezbędną ilość energii, do samego końca czasu, o ile czas w ogóle ma jakiś koniec. Podróżowanie w przyszłość, poza własną teraźniejszość, jest jednak prawnie zabronione. Władze z 2156 roku są zdania, że społeczeństwo ludzkie nie powinno wiedzieć, co przytrafi mu się w przyszłości, a ja, przynajmniej w tej kwestii, jestem skłonny przyznać tym władzom rację.
Carpenter zaniechał kontroli nad Samem poprzez pierścień łącznikowy, przeszedł na sterowanie ręczne i poprowadził jaszczurochód pod kątem prostym do linii dotychczasowego kursu. Po pewnym czasie wyzwolili się z gęstwiny leśnej i wytoczyli się na otwartą przestrzeń. Daleko w przodzie białe plamy skałek, które widział już poprzednio, wyrastały na tle niebieskiego, zamglonego nieba.
– Co myślicie, dzieci, o rozbiciu tu obozu? – spytał.
– Obozu, proszę pana?
– Pewnie! Rozpalimy ogień, ugotujemy na nim posiłek, rozłożymy koce na ziemi – wszystko to w stylu Indian amerykańskich. Może nawet uda nam się znaleźć jakąś jaskinię wśród tych skałek. Co wy na to?
Dzieci patrzyły na niego szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami.
– Jaki jest ten styl Indian amerykańskich, proszę pana? – zapytała Marsi.
Opowiedział im o Arapahoach i Szejenach, o Crowach i Apaczach, o bizonach i wielkich równinach, o Conestogach i osadnikach, a także o Geronimo, Siedzącym Byku i Koczisie, i przez cały czas, gdy mówił, oczy dzieci wpatrywały się w jego twarz, jakby była ona słońcem, a oni nigdy przedtem nie widzieli dnia. Kiedy zakończył swą opowieść o kolonizacji zachodu, powiedział im o Wojnie Domowej, Abrahamie Lincolnie i generałach Grancie i Lee oraz o przemówieniu w Gettysburgu, bitwie pod Bull Run i kapitulacji w Appomattox. Nigdy w życiu nie mówił tak wiele. Zastanawiał się, co go naszło, dlaczego ni z tego ni z owego czuł się tak beztroski i wesoły, i dlaczego nic, poza tym mglistym mezozoicznym popołudniem i dwójką dzieciaków siedzących przy nim z szeroko rozwartymi oczami, nagle nie miało żadnego znaczenia. Jego zaduma nie trwała jednak długo i, nie marnując czasu, kontynuował swą opowieść – tym razem o podpisaniu Deklaracji Niepodległości, o Rewolucji Amerykańskiej, o Jerzym Waszyngtonie, Tomaszu Jeffersonie, Benjaminie Franklinie i Johnie Adamsie i o tym, jak wspaniałą wizję Ameryki stworzyli Ojcowie Rewolucji i jak obiecująca mogła być realizacja ich projektów, gdyby nie grupa oportunistów, który wykorzystali ich idee dla osiągnięcia swych egoistycznych celów, a także o tym jak, mimo wszystko, w znacznym stopniu udało się wprowadzić w życie idee tych czterech wielkich mężów, mimo licznych przestępstw, popełnionych w imieniu tych idei.
Zapadał wieczór, gdy skończył swą opowieść. Przed nimi wyrosły białe skałki, jakby podpierające ciemniejące niebo. U ich podnóża znaleźli uroczą, niezamieszkałą jaskinię, wystarczająco dużą, by pomieścić trójkę ludzi, Sama i ognisko. Carpenter wjechał jaszczurochodem do wnętrza groty i zatrzymał pojazd w głębi, przy ścianie. Następnie włączył pole ochronne tak, by ogarniało swym zasięgiem całą jaskinię, zbocze skały i rozległą, półokrągłą płachtę terenu u jej podnóża. Uważnie obejrzał „podwórko" i stwierdziwszy, że oprócz kilku niegroźnych, małych jaszczurek, nie ma na nim żadnych gadów, nakazał dzieciom zebranie drzewa na ognisko. Tymczasem sam wygenerował jednostronne pole iluzyjne i dopasował je dokładnie do otworu jaskini. Do tego czasu przynajmniej Skip zapomniał już o charakterystycznej dla nich rezerwie w zachowaniu.
– Czy mogę pomóc w rozpalaniu ogniska, panie Carpenter? – wykrzyknął podskakując niecierpliwie. – Czy mogę, czy mogę?

Robert Franklin YOUNG

Robert Franklin Young urodził się w roku 1915 w Silver Creek w stanie Nowy York. Pracował w różnych zawodach, w czasie II wojny światowej służył w armii amerykańskiej w Japonii i na Filipinach. Jest autorem kilku zbiorów opowiadań: „The Worlds of Robert F. Young" (1965) i „A Glass of Stars" (1968).

an

– Skip! – upomniała go Marsi.
– Nie widzę przeszkód, kruszyno – zwrócił się do niej Carpenter. – Ty również możesz nam pomóc, jeśli masz na to ochotę.
Ogień zaczął lizać gałęzie, rzucając czerwone światło na ściany jaskini, które, gdy tylko ognisko strzeliło pełnym płomieniem, przybrały różową barwę.
Carpenter otworzył trzy opakowania z frankfurterkami i trzy inne z bułkami i pokazał swym towarzyszom, jak nabija się kiełbaski na zaostrzone patyki i piecze się je nad ogniskiem. Następnie zademonstrował jak umieścić frankfurterkę w bułce, pokryć ją musztardą, przyprawami i posiekaną cebulką. Wyglądało to tak, jakby nagle otworzył magiczne okno wychodzące na zaczarowany ląd, o którego istnieniu dzieci nawet nie śniły. Ostatnie ślady powagi zniknęły zupełnie z ich twarzy, gdy przez następne pół godziny samodzielnie przygotowały i pochłonęły sześć hot-dogów. Skip był tak podniecony, że o mały włos wpadłby do ogniska, a na ustach Marsi pojawił się nareszcie uśmiech, który Carpenter daremnie usiłował sprowokować przez całe popołudnie.
Carpenter przygotował w maleńkiej kuchni wewnątrz Sama kakao, nalał je do dzbanka i jedyną rzeczą, której brakowało mu do zaspokojenia podniecenia był prawoślaz. Choć niewielkie, istniało przecież prawdopodobieństwo, że jego pracowita asystentka uzupełniła bogate zapasy znajdującej się w ogonowej części Sama o tak wyborny smakołyk – rozmarzył się, aż ślinka mu pociekła na myśl o delicjach. Nie obiecując sobie wiele, zajrzał do spiżarni. Ku swej radości znalazł całe pudełko prawoślazu. Ponownie dokonał demonstracji, a dzieci, otworzywszy usta, śledziły z respektem jego ruchy. Gdy dwa korzenie, które nabił na patyk, nabrały złocisto-brązowego koloru, Carpenterowi wydało się na moment, że Skipowi wyskoczą oczy, tak je wytrzeszczył. Z kolei Marsi stała nieruchomo, patrząc w niemym zachwycie, zupełnie, jakby Carpenter powiedział „Niech się stanie światło" i pierwszy dzień wyłonił się z nicości.
Śmiejąc się, podał im po jednym korzeniu.
– Skip! – upomniała go Marsi, gdy chłopiec włożył prawoślaz do ust i rozprawił się z nim za jednym obróceniem języka. Gdzie twoje maniery? – dorzuciła jedząc z wdziękiem. Nasyciwszy się pieczonym prawoślazem, Carpenter wyszedł z jaskini i naciął wawrzynu i gałęzi dereniu tak, by starczyło na trzy posłania. Pokazał dzieciom, jak należy ułożyć gałęzie na ziemi w grocie i jak rozciągnąć na nich koce, które przyniósł z przedziału ogonowego w Samie. Skip nie potrzebował specjalnego zaproszenia do snu – wyczerpany atrakcjami dnia i ukojony przez pełny żołądek, zwalił się na koc, kiedy tylko go rozłożył. Carpenter przyniósł trzy inne koce i nakrywszy chłopca jednym z nich, zwrócił się do Marsi:
– Ty też wyglądasz na zmęczoną, kruszyno.
– Wcale nie, panie Carpenter. Ani troszeczkę. Wie pan, ja jestem o całe dwa lata starsza od Skipa. To jeszcze dziecko.
Złożył dwa pozostałe koce w zaimprowizowane poduszki i położył je na ziemi o kilka stóp od ogniska. Usiadł na jednej z nich; ona usiadła na drugiej. Przez cały wieczór, z poza pola ochronnego dobiegały sporadyczne odgłosy wycia, chrumkania i warczenia. Teraz do dźwięków tych dołączył się przeraźliwy hałas, przypominający łoskot gigantycznej maszyny drogowej, rozbijającej stary trotuar. Podłoga jaskini zadrżała, a światło z ogniska zamigotało na skalnych ścianach. – To wygląda na staruszka Tyrannosaurusa – powiedział Carpenter. – Zapewne wyszedł sobie na kolacyjkę pod postacią jednego lub dwóch struthiomimusów.
– Tyrannosaurus, proszę pana?
Opisał jej tego groźnego, prehistorycznego gada.
– Tak – powiedziała i wstrząsnął nią dreszcz. – Widzieliśmy ze Skipem to zwierzę. Działo się to wtedy, kiedy przeprawialiśmy się przez rzekę. Ukryliśmy się w kępie krzaków i nie wychylaliśmy z nich nosa, dopóki nie przeszedł. Cóż za przerażające stworzenia macie tu na Ziemi, proszę pana!
– W wieku, w którym żyję, one już dawno nie istnieją – odparł Carpenter. – Mamy natomiast „stworzenia" zupełnie innego rodzaju, „stworzenia", które pokazałyby takiemu tyrannosaurusowi gdzie raki zimują. Wszystko to dzięki rozwojowi techniki. Co prawda nasze techniczne rozpasanie pozostawiło po sobie szczególnego kaca, wywołanego latami „zimnej wojny", ale z drugiej strony przyniosło ze sobą liczne osiągnięcia. Jednym z nich jest umiejętność podróżowania w czasie; inną podróże międzyplanetarne.
W tym momencie „maszyna drogowa" natrafiła na zniszczony odcinek chodnika i sądząc po serii przeraźliwych odgłosów, wzięła się solidnie do pracy. Dziewczynka przysunęła się do niego.
– Spokojnie kruszyno. Nie mam się czym przejmować. Nawet cała armia takich prehistorycznych gadów nie byłaby w stanie przebić się przez pole ochronne.
– Dlaczego nazywa mnie pan kruszyną? Na Marsie kruszyną nazywamy nieprzyjemne, gąbczaste warzywo, rosnące na trzęsawiskach i zaśmieconych bagnach.
Zaśmiał się. Dźwięki, dobiegające z zewnątrz pola przycichły i w końcu całkiem umilkły. Gad potoczył się w przeciwnym kierunku.
– Na Ziemi kruszyna jest całkiem ładnym krzewem, a jego kora stosowana jest w medycynie. Ale to nieistotne. „Kruszyna" to słowo, używane przez mężczyznę dla określenia dziewczyny, którą lubi.

Zapadła cisza.
– Czy ma pan swoją dziewczynę, panie Carpenter?
– Niezupełnie, Marsi. Można by rzec, że wielbię pewną damę na dystans.
– To nie brzmi radośnie. Któż to taki?
– Jest moją główną asystentką w Północno-amerykańskim Towarzystwie Paleontologicznym, w którym pracuję. To panna Sands. Na imię jej Elaine, ale nigdy się tak do niej nie zwracam. Kiedy podróżuję w przeszłość, ona pilnuje, bym o niczym nie zapomniał i nastawia temposkop przed moim startem. Następnie wraz z moim drugim asystentem, Peterem Detritusem, czuwa w pogotowiu, by przybyć mi na ratunek w przypadku gdybym wysłał im puszkę pasztetu z zająca. Wiesz, puszka pasztetu z zająca to nasz umówiony znak, że niezbędna jest natychmiastowa pomoc. Puszka to przedmiot o takich rozmiarach, że zmieści się w każdej chyba szafce na pokładzie palenontochodu, a „zając" w naszym języku kojarzy się z płochliwością i strachem.
– Ale dlaczego wielbi ją pan na dystans, panie Carpenter?
– Cóż, moja mała – odparł Carpenter – panna Sands nie jest zwyczajnym trzpiotem. Jest chłodna, wyniosła jak bogini, nie wiem, czy mnie dobrze rozumiesz? W zasadzie chyba nie jesteś w stanie tego zrozumieć. Tak czy owak, po prostu nie traktuje się bogiń tak jak zwykłe dziewczyny – należy utrzymać należyty dystans i wielbi się je z dala, pokornie czekając na to, by łaskawie zwróciła na ciebie uwagę. Ja... ją wielbię do tego stopnia, że za każdym razem kiedy się do niej zbliżę, tak się denerwuję, że niemal nie potrafię wykrztusić z siebie słowa. Może po jakimś czasie, kiedy ją lepiej poznam, to się zmieni. Na razie znam ją zaledwie od trzech miesięcy.
Umilkł. Marsi obróciła głowę i spojrzała łagodnie na jego twarz.
– Co się stało, panie Carpenter? Czemu pan tak zaniemówił?
– Zamyśliłem się tylko – powiedział. – Trzy miesiące to wystarczająco długo, przynajmniej w tym przypadku, by mężczyzna mógł powiedzieć, czy istnieje choćby szansa, żeby dziewczyna go





M. Załejski

kiedyś polubiła. Teraz dopiero widzę, że panna Sands nigdy mnie nie polubi. Przecież ona nigdy nawet na mnie nie spojrzy, chyba, że jest to nieuniknione, a jeśli tylko może tego uniknąć, to nie mówi do mnie ani słowa. Widzisz zatem, że nawet gdybym zaniechał wielbienia jej w skrytości ducha i zebrał całą odwagę, żeby powiedzieć jej, że ją kocham, ona zapewne rozgniewałaby się na mnie i kazałaby mi zejść jej z oczu.

Marsi była poruszona.

– Ona musi mieć poplątane w głowie – tak, właśnie poplątane w głowie. Powinna się wstydzić!

– Nie, Marsi. Twoja ocena jest dla niej krzywdząca. Nie należy przecież oczekiwać, że tak śliczna dziewczyna jak panna Sands zainteresuje się takim nic nie wartym włóczęgą po czasie jak ja.

– Nic nie warty włóczęga po czasie. Coś podobnego! Nie sądzę, by pan dobrze znał się na kobietach, panie Carpenter. Idę o zakład, że gdyby powiedział jej pan, że ją kocha, rzuciłaby się panu w ramiona!

– Jesteś romantyczna, Marsi. W normalnym życiu takie rzeczy się nie zdarzają – powiedział Carpenter i wstał. – Cóż, młoda damo, nie wiem jak ty, ale ja jestem znużony. Chyba już czas spać?

– Jak pan sobie życzy, panie Carpenter.

Zanim zdążył porządnie otulić ją kocem, już spała. Stał przez chwilę przyglądając się jej. Przewróciła się we śnie na bok, a płomień ogniska rozświetlił żółciutki kosmyk włosów z tyłu szyi, nadając mu złocisto czerwony odcień.

Przed oczami stanął mu widok pokrytych jaskrami łąk i wstającego, ciepłego słońca, które rozpoczynało dzień nad srebrzącą się kroplami rosy trawą...

Sprawdził, czy Skip śpi spokojnie, przeszedł jaskinię i stanąwszy u jej wyjścia, spojrzał w ciemność. Po odejściu tyrannosaurusa mniejsze stworzenia ery mezozoicznej ośmieliły się wyjść ze swych kryjówek i zaczęły dawać znać o swoim istnieniu. Dostrzegł groteskowe kształty kilku prehistorycznych ptaków, zobaczył ankylosaurusa, stojącego nieruchomo pod zagajnikiem palmowym, słyszał jaszczurki, biegające tak z jednej jak i drugiej strony pola ochronnego. Po prehistorycznym nieboskłonie wspiął się księżyc, nieco różny od tego, do którego przywykł. Różnica polegała na liczbie kraterów. W tej chwili było ich znacznie mniej niż miało być w przyszłości, za 79062156 lat.

W pewnej chwili zdał sobie sprawę z tego, że mimo iż nadal patrzy na księżyc, zupełnie inny obraz stał mu przed oczami. Widział biwakowe ognisko, a przy nim chłopca i dziewczynkę, entuzjastycznie piekących prawoślaz. Dlaczego się jeszcze nie ożenił i nie miał dzieci? – zamyślił się nagle. Dlaczego zignorował te wszystkie, poznane dotychczas dziewczęta i na domiar złego w wieku trzydziestu dwóch lat zakochał się beznadziejnie w cudownej bogini, która zdawała się nie zauważać jego istnienia? Skąd wzięło się u niego to przekonanie, że podniecenie, wypływające z przeżywania przygód, było więcej warte od zadowolenia, czerpanego z faktu kochania i bycia kochanym? Że szukanie atrakcji w czasach historycznych i prehistorycznych było ważniejsze niż szukanie ich w jego własnym życiu; że samotny pokój w pensjonacie był dla mężczyzny prawdziwym domem, a drinki, wypijane w przyćmionym świetle nocnych barów w towarzystwie pań do towarzystwa, których twarzy nie pamiętał już następnego dnia, oznaczały wolność. Jakie skarby chciał znaleźć w przeszłości, które równałyby się skarbom zaprzepaszczonym już w jego przyszłości?

Noc zrobiła się chłodna. Zanim ułożył się do snu, dorzucił trochę drew do ognia. Słuchał ich trzasku i obserwował migotanie bladego światła na ścianach jaskini. Z głębi prehistorycznego cienia przyglądała mu się złocistooka jaszczurka. W oddali, głośno skrzecząc, przeleciał mezozoiczny ptak. Obok niego, na posłaniu z zielonych gałęzi, spoczywało, odychając miarowo, dwoje dzieci. Usnął.

III

Następnego ranka Carpenter nie zwlekał ani chwili z wyruszeniem w drogę.

Marsi i Skip zdecydowanie woleli pozostać w jaskini, ale Carpenter wyjaśnił im, że jeśli będą przebywać w jednym miejscu, istnieje większe prawdopodobieństwo, że zostaną odnalezieni przez kidnaperów i w związku z tym należało cały czas zmieniać miejsce pobytu. Dotychczas wszystko, co do nich mówił było dla nich dzięki kolczykom-gadułom zrozumiałe, lecz tym razem z jakiegoś powodu musiał się solidnie namęczyć, żeby dzieci pojęły, do czego zmierza. Albo coś się zepsuło w mikrotranslatorach, albo po prostu dzieci najnormalniej w świecie nie miały ochoty opuścić groty. W końcu, dokonawszy ablucji w malutkiej łazience Sama i posiliwszy się w małej kuchni jajecznicą na boczku, zgodziły się wyjechać. Jednak Carpenter musiał wyraźnie dać im do zrozumienia, że na razie jeszcze on tu rządzi.

Nie miał skrystalizowanego planu działania. Rozważając rozmaite możliwości, skierował triceraczołg kursem wiodącym na ukos przez równinę – mógł przy tym stwierdzić, że superczuły terenometr pojazdu sprawował się wyśmienicie.

W zasadzie miał do wyboru tylko dwie możliwości. Pierwsza – nadal odgrywać rolę opiekuna dwójki dzieci i wymykać się kidnaperom tak długo, aż zrezygnują z poszukiwań lub przybędzie odsiecz pod postacią Kosmicznej Policji Wielkiego Marsa; druga – to powrócić do obszaru wejścia i porozumieć się z panną Sands i Peterem Detritusem, aby ci sprowadzili jego triceraczołg z powrotem w teraźniejszość. Drugie rozwiązanie było ponad wszelką wątpliwość bezpieczniejszym sposobem postępowania i przystąpiłby bez wahania do jego realizacji, gdyby nie następujące argumenty: a) Marsi i Skip, mimo iż niewątpliwie potrafiliby zaadaptować się do cywilizacji ziemskiej z dwudziestego drugiego wieku, która w znacznym stopniu przypominała ich własną, mogliby nigdy nie czuć się na Ziemi jak we własnym domu; b) prędzej czy później, musieliby stawić czoła demoralizującej informacji, że ich własna cywilizacja sprzed 79 062 156 lat dawno już obróciła się w pył, a marzenia o nieskończonym rozwoju techniki, którymi ich zawsze karmiono i nauczono traktować jak modlitwę, okazały się nieuzasadnione.

Teoretycznie istniała i trzecia możliwość. Można by zabrać dzieci do teraźniejszości, przetrzymać je tam tak długo, aż kidnaperzy zrezygnują z poszukiwań i opuszczą Ziemię, albo do momentu, w którym pojawi się Kosmiczna Policja i wtedy zabrać je ponownie do przeszłości. Szkopuł jednak w tym, że tego rodzaju przedsięwzięcie wiązałoby się z koniecznością dokonania kilkakrotnych wypadów w okres kredy. Carpenter dobrze wiedział, że z uwagi na ogromne koszty podróży w czasie budżet PATP nie mógłby wesprzeć nawet jednej takiej niepaleontolocznej wyprawy, nie mówiąc już o kilku.

Próbując rozgryźć owe problemy, Carpenter poczuł, że ktoś ciągnie go za rękaw. To Skip, który wdrapał się na siedzenie kierowcy.

– Czy mogę go poprowadzić, panie Carpenter? Mogę? – zapytał błagalnie.

Carpenter zbadał równinę poprzez przednie, boczne i tylne okienka, następnie podniósł łeb Sama i obejrzał dokładnie niebo przez kopułę kabiny. Nad linią skałek, które zostawili za sobą niespełna godzinę temu, krążył mały czarny punkcik. W chwilę później przyłączyły się do niego dwie nowe plamki.

– Później Skip. Teraz, jak mi się zdaje, będziemy mieli towarzystwo.

Oczy Skipa również zatrzymały się na trzech plamkach.

– To znowu pteranodony, proszę pana?

– Obawiam się, że tak.

Punkciki zaczęły gwałtownie rosnąć. Można już było zobaczyć rozpostarte skrzydła i wąskie, szpiczaste głowy. Marsi także przyszła do kabiny i wbiła wzrok w niebo. Tym razem zdawała się nie być ani trochę przestraszona. Skip też nie.

– Czy znowu skoczymy w przeszłość, panie Carpenter? – spytała. Pteranodony rysowały się już bardzo wyraźnie na niebie. Nie ulegało wątpliwości, że lecą w kierunku Sama. Inna sprawa, że nie wiadomo było, czy spróbują ponownie go zaatakować. Na wszelki wypadek Carpenter zdecydował, że lepiej będzie schronić się w najbliższej kępie drzew. W odległości pół mili dojrzał kępę karłowatych palm. Wrzucił wyższy bieg i przeszedł na sterowanie ręczne.

– Dalej, Sam – powiedział dziarsko, by podtrzymać morale dzieci – pokaż Marsi i Skipowi, co umiesz.

Sam wystartował jak dwudziestowieczna lokomotywa, rytmicznie poruszając stalowymi, elastycznymi łapami, wystukując kopytami z metalowego stopu melodię grzmotów. Cóż, kiedy szybkością nie mógł równać się z pteranodonami, które niebawem go wyprzedziły. Pierwszy z nich zanurkował o sto jardów przed nimi, zrzucił coś, co wyglądało jak ogromne metalowe jajo i z rykiem wzniósł się w niebo.

Metalowe jajo okazało się być bombą. Krater, który powstał na skutek wybuchu, był tak rozległy, że Carpenter musiał użyć swych wszystkich umiejętności, by Sam obszedł go bezpiecznie, bez wywrotki. Zwiększył obroty silnika i wrzucił drugi bieg.

– Chyba nas nie dopadną w ten sposób, stary temporalku, nie?

– URRRH! – zawarczał Sam.

Carpenter ogarnął spojrzeniem niebo. Wszystkie pteranodony zawisły dokładnie ponad nimi. Krążyły. Jeden, dwa, trzy – policzył. Trzy... wczoraj były tylko dwa.

– Marsi – zapytał w nagłym podnieceniu – ilu było tych kidnaperów?

– Trzech, panie Carpenter: Roul, Fritad i Holmer.

– A zatem tam w górze są wszyscy trzej. To znaczy, że ich statek jest bez ochrony – chyba że ma własną załogę.

– Nie, proszę pana. Nie ma załogi. Pilotowali go samodzielnie. Opuścił wzrok i spojrzał na dzieci.

– Słuchajcie, dzieci. Czy potrafilibyście się dostać do środka?

– Bez trudu – odparł Skip. – To transportowiec z rezerw wojskowych, posiadający standartowe zamki, a dla kogoś kto ma smykałkę do spraw technicznych otworzenie ich to drobiazg. Właśnie dzięki mojej smykałce udało nam się z Marsi stamtąd uciec. Proszę tylko zostawić to mnie, panie Carpenter.

– Dobrze – powiedział Carpenter. – Będziemy już tam na nich czekać.

Z pomocą genialnego umysłu Marsi kalkulacje danych, potrzebnych do retro-skoku poszły jak z płatka i dosłownie po paru sekundach Sam gotów był do podróży w przeszłość.

Carpenter zwlekał chwilę do momentu, gdy zagłębili się w gaj palmowy i pchnął dźwignię. Ponownie wszystko zadrżało, błysnęło i dzień zmienił się w poprzedzające świt ciemności. Z tyłu, za nimi, w grocie u podnóża skał, stał drugi triceraczołg i drugi Carpenter, a Marsi i Skip spali jeszcze smacznie na posłaniach z zielonych gałęzi.

– O ile cofnęliśmy się tym razem, panie Carpenter? – spytał Skip.
Carpenter włączył reflektory czołowe i zaczął wyprowadzać pojazd z kępy karłowatych palm.
– Cztery godziny. To powinno nam śmiało wystarczyć, by dotrzeć do statku i przygotować się do przyjęcia naszych przyjaciół. Może się nawet zdarzyć, że będziemy tam zanim oni wyjdą, o ile założymy, że nie prowadzą swych poszukiwań przez okrągłą dobę.
– Przypuśćmy, że zobaczą nas w jednej z faz podróży w czasie? – zaoponowała Marsi. – Czy nie wpadniemy w takie same tarapaty, jak te, z których dopiero co się wydobyliśmy?
– Istnieje taka ewentualność, kruszyno. Wszystko jednak wskazuje na to, że tak się nie stało. W przeciwnym wypadku nie szukaliby nas. Mam rację?
Obdarzyła go spojrzeniem pełnym podziwu.
– Wie pan, panie Carpenter. Jest pan bardzo inteligentny.
Usłyszeć coś podobnego od osoby potrafiącej przemnożyć w pamięci 469243921 przez 828464280 – to był nie lada komplement. Carpenter zdołał jednak przełknąć go bez słowa.
– Mam nadzieję, dzieciaki, że teraz uda wam się bez trudu odnaleźć statek – powiedział.
– Jesteśmy na właściwym kursie – odparł Skip. – Wiem to, bo mam nieomylne poczucie kierunku. On jest zamaskowany i wygląda jak duże drzewo.
Po raz wtóry tego rana wstało słońce. Rozmiary i wygląd Sama przepłaszały rozmaite, napotkane po drodze mezozoiczne stwory, gdyby jednak natknęli się na tyrannosaurusa, to wątpliwe było, czy ten też by się przeląkł. Nie spotkali go jednak. Dochodziła godzina ósma, gdy przemierzali to samo terytorium, które przejechali wczoraj, po opuszczeniu zalesionych wzgórz.
– Patrz! – krzyknęła Marsi. – To jest to drzewo, na które wspięliśmy się, gdy ścigał nas ten garbaty potwór!
– No – odrzekł Skip. – O rany, ale się wtedy baliśmy.
Carpenter uśmiechnął się.
– Zapewne myślał, że jesteście jakąś odmianą rośliny, której jeszcze nie próbował. Na szczęście dla jego układu pokarmowego interweniowałem w porę.
Popatrzyli na niego obojętnie i przez pierwszą chwilę sądził, że bariery między ich dwoma językami i światami myśli są zbyt wysokie, by pokonał je jego drobny żart. Okazało się, że nie miał racji. Pierwsza wybuchnęła śmiechem Marsi, za nią Skip.
– Panie Carpenter, ależ z pana wesołek! – wykrzyknęła Marsi.
Jechali dalej. Przestrzeń robiła się coraz bardziej otwarta. Tu i ówdzie wyrastały zagajniki karłowatych palm i grupki wysokich, szerokolistnych palm, będących najpowszechniej spotykanymi przedstawicielkami świata roślinnego. Daleko na prawo dymiące wulkany uzupełniały mgłę perspektywy o swój bezbarwny oddech. Na wprost, na linii horyzontu, rozciągały się góry z zatopionymi w mezozoicznym smogu wierzchołkami. Powietrze było tak wilgotne, że nieprzerwanie skraplało się na kopule kabiny Sama i spływało w dół jak ogromne krople deszczu. Wszędzie roiło się wręcz od żółwi, jaszczurek i węży, a raz prawdziwy pteranodon prześliznął się chyżo ponad ich głowami.
Po pewnym czasie dotarli do rzeki, o której wspominała Marsi, a której bliskie sąsiedztwo zwiastowała od dłuższej chwili wzrastająca miękkość gruntu. Carpenter spojrzał w dół strumienia i pierwszy raz w życiu zobaczył brontosaurusa.
Wskazał go dzieciom palcem, a te wpatrzyły się weń, wytrzeszczając oczy. Pławił się w toczącym wolno swe wody strumieniu. Widoczna była jedynie jego długa szyja, zakończona maleńkim łbem i górna część grzbietu. Szyja przywodziła na myśl wierzchołek gumowej wieży, lecz złudzenie to zakłócała częstotliwość z jaką łeb zanurzał się w porastające linię brzegową rzeczułki paprocie i skrzypy. To biedne stworzenie było tak ogromne, że musiało jeść dzień i noc, by utrzymać się przy życiu.
Carpenter znalazł bród i skierował Sama na drugi brzeg. Grunt był tam twardszy niż gdziekolwiek indziej, ale ta twardość okazała się zwodnicza – terenometr odnotował obecność znacznej ilości grząskich miejsc. Boże! – pomyślał Carpenter. – Gdyby te dzieci przy poprzedniej przeprawie natrafiły na takie miejsce!
Wszędzie pełno było paproci, a na ziemi rozpościerał się gruby dywan z sasafrasu i turzycy. Wśród drzew nadal dominowały karłowate oraz wysokie palmy, ale od czasu do czasu można było ujrzeć rozrzucone tu i ówdzie miłorzęby. Jeden z nich był prawdziwym okazem, wznoszącym się jak wieża na wysokość około stu pięćdziesięciu stóp.
Carpenter przyjrzał mu się bacznie. W okresie kredowym miłorzęby zazwyczaj rosły na wyżynach, a ponadto miłorząb o tych rozmiarach nie pasował w żadnym razie do okresu Kredy. Co więcej, olbrzymie drzewo wyglądało jakoś nienaturalnie. Po pierwsze, jego pień był zbyt gruby. Po drugie, jego dolna część do wysokości około dwudziestu stóp składa się z trzech, przechodzących jedna w drugą, szczuplejszych części, tworzących swoisty trójczłon, na którym opierała się pozostała część drzewa.
W tym momencie Carpenter uświadomił sobie, że dwie armatki jaszczurochodu celują w obiekt jego zainteresowania.
– To on! – wykrzyknął Skip. – To statek!
– Ha! Nic dziwnego, że przykuł moją uwagę. – powiedział Carpenter. – Nie bardzo im się udał kamuflaż. Widać nawet fragment jednego z luków.
– Im specjalnie nie zależało na tym jak statek będzie wyglądał z ziemi – wyjaśniła Marsi. – Ważne jest to, jak wygląda z góry. Oczywiście, jeśli Kosmiczna Policja przybędzie na czas, prędzej czy później odkryją go detektorami promieni, ale przynajmniej przez pewien czas taki kamuflaż spełni swoją rolę.
– Mówisz tak, jakbyś nie wierzyła, że przybędą na czas.
– Nie, proszę pana. Przecież w końcu przylecą. Nie wcześniej jednak niż za kilka tygodni... może miesięcy. Departament Rozpoznania Radioelektronicznego strawi mnóstwo czasu, zanim wyśledzi jakikolwiek statek. Poza tym mogę się założyć, że oni jeszcze nawet nie wiedzą, że zostaliśmy porwani. Dotychczas we wszystkich przypadkach uprowadzeń dzieci z Instytutu nasz rząd najpierw płacił okup, a dopiero później zawiadamiał Kosmiczną Policję. Naturalnie nawet po wypłaceniu okupu i odzyskaniu dzieci, Kosmiczna Policja kontynuuje poszukiwania i w końcu odnajduje kryjówkę złoczyńców. Oczywiście jest już ona wtedy od dawna opuszczona.
– Myślę – powiedział Carpenter – że czas najwyższy na stworzenie warunków dla precedensu. Co wy na to?
Zaparkowawszy Sama poza zasięgiem wzroku, w zagajniku karłowatych palm, wyłączył pole ochronne, sięgnął pod fotel i wyciągnął jedyną ręczną broń, znajdującą się na pokładzie triceraczołgu – lekki, lecz skuteczny karabin z ładunkami paraliżującymi, specjalnie zaprojektowany przez PATP dla ochrony swego podróżującego w czasie personelu. Zarzuciwszy broń na ramię, pchnięciem otworzył kopułę kabiny, zszedł po pysku Sama na ziemię i pomógł dzieciom opuścić jaszczurochód. Cała trójka zbliżyła się do statku.
Skip wdrapał się po jednym z amortyzatorów na pień drzewa i w mgnieniu oka rozprawił się z zamkami, broniącymi dostępu do jego wnętrza. Następnie opuścił aluminiową drabinkę.
– Wszystko załatwione, panie Carpenter.
Marsi spojrzała przez ramię na zagajnik palmowy.
– Czy myśli pan, że Sam będzie tam bezpieczny?
– Oczywiście, że będzie, kruszyno – odrzekł Carpenter. – No, wspinaj się.
Klimatyzowane wnętrze statku miało temperaturę podobną do ciepłoty w kabinie Sama. Palące się w środku przyćmione światło miało zimną barwę.
Za drugimi drzwiami znajdował się krótki korytarz, prowadzący do spiralnych schodów, wiodących na wyższe pokłady i w dół, do przedziałów napędowych. Carpenter rzucił okiem na zegarek. Była 8:24. Za kilka minut pteranodony zaczną zbliżać się do Sama, Carpentera, Marsi i Skipa w „poprzedniej" fazie czasu. Założywszy nawet, że trzej porywacze udali się po tym fakcie bezpośrednio do statku, mieli nadal wystarczająco dużo czasu na to, by wysłać wiadomość, zanim założą pułapkę, którą wymyślił. Oczywiście mógł wysłać wiadomość dopiero wtedy, kiedy Roul, Fritad i Holmer będą już siedzieli uwięzieni w swoich kabinach, ale ponieważ mogło wydarzyć się coś nieoczekiwanego, rozsądniej byłoby wysłać ją natychmiast.
– W porządku, dzieciaki – powiedział. – Zamknijcie zamki i prowadźcie do kabiny łącznościowej.
Zastosowali się do pierwszego polecenia bez zmrużenia oka, ale zwlekali z wykonaniem drugiego. Marsi powolnym krokiem zbliżała się do niego, Skip tuż za nią.
– Dlaczego chce pan iść do kabiny łącznościowej, panie Carpenter? – spytała.
– Żebyście mogli nadać przez radio naszą pozycję do informacji Kosmicznej Policji i zażądać, by przybyli tu niezwłocznie. Mam nadzieję, że wiecie jak to się robi.
Skip popatrzył na Marsi, Marsi na Skipa. Po chwili oboje pokręcili głowami.
– Posłuchajcie – powiedział Carpenter poirytowany. – Doskonale wiecie jak. Dlaczego udajecie?
Skip spuścił wzrok.
– My... my nie chcemy wracać do domu, proszę pana.
Carpenter badawczo przyjrzał się najpierw jednej, potem drugiej zasępionej twarzy.
– Ależ musicie wrócić do domu. Dokąd indziej moglibyście się udać?
Oboje milczeli, nie patrząc na niego.
– Sprawy mają się następująco – tłumaczył im Carpenter. – Jeśli uda nam się gładko pojmać Roula, Fritada i Holmera, będziemy tu siedzieć plackiem, a kiedy pojawi się Kosmiczna Policja przekażemy jej złoczyńców. Jeśli jednak coś by się nam nie powiodło, będziemy mieli asa w rękawie, a będzie nim wiadomość, którą teraz wyślecie. Wiem, ile czasu zabiera podróż z Marsa na Ziemię w statkach kosmicznych z mojego wieku, ale naturalnie nie mam pojęcia, ile czasu potrzeba waszym statkom. Może zatem powiecie mi ile czasu upłynie między przyjęciem przez Kosmiczną Policję wiadomości od was do chwili ich przybycia, tu na Ziemię.
– Przy obecnym położeniu obu planet nieco ponad cztery dni – powiedziała Marsi. – Jeśli pan tylko chce, panie Carpenter, mogę to dla pana natychmiast obliczyć z dokładnością do...
– To wystarczająco dokładna informacja, kruszyno. A teraz oboje na górę! Czas ucieka!
Zgodzili się z ponurym wyrazem twarzy. Kabina łącznościowa znajdowała się na drugim pokładzie. Część wyposażenia wydała się Carpenterowi znajoma, ale większość stanowiła całkowitą niewiadomą. Szeroki iluminator, ciągnący się od podłogi aż do sufitu, wyglądał wprost na mezozoiczną równinę. Patrząc w dół poprzez listowie kamuflażu, dojrzał palmowy zagajnik, w którym zostawili Sama. Omiótł spojrzeniem niebo w poszukiwaniu

powracających pteranodonów. Było czyste. Odwracając się od iluminatora zobaczył kątem oka jakąś czwartą postać, która wtargnęła do pomieszczenia. Szybkim ruchem zerwał z ramienia karabin i już w połowie złożył się do strzału, gdy... – ZZZZTSZ – świstnęła metalowa rura w rękach czwartej postaci i po karabinie nie pozostało ani śladu.
Patrzył z niedowierzaniem na puste dłonie.

IV

Czwartym osobnikiem był wysoki, muskularny mężczyzna, odziany w ubranie podobne do ubrań Skipa i Marsi lecz z grubszej tkaniny. Jego wąska twarz wyrażała nie więcej uczuć niż suszona figa. Metalowa rura w jego dłoniach wymierzona była w środek czoła Carpentera. Carpenterowi nie trzeba było mówić, że jeśli ruszy się choćby odrobinę, natychmiast podzieli los swego karabinu, ale mężczyzna mimo to rzucił ostrzeżenie:
– Jeśli się ruszysz, wyparujesz – powiedział.
– Nie, Holmer! – krzyknęła Marsi. – Nie ośmielaj się zrobić mu krzywdy. Pomógł nam tylko dlatego, że zrobiło mu się nas szkoda.
– Wydawało mi się, że mówiłaś tylko o trzech mężczyznach, kruszyno – powiedział Carpenter, nie spuszczając wzroku z twarzy Holmera.
– Bo tylu ich jest, panie Carpenter. Naprawdę! Ten trzeci pteranodon musiał być maszyną bez pilota. Przechytrzyli nas!
Holmer powinien się był uśmiechnąć. Nie zrobił tego. Kiedy mówił do Carpentera w jego głowie powinien był dźwięczeć tryumf. Głos ten był jednak beznamiętny.
– Z pewnością przybyłeś z przyszłości, przyjacielu – powiedział Holmer. – Ja i moi kumple byliśmy tu niejednokrotnie i pojęliśmy, że nie możesz pochodzić z teraźniejszości. Dlatego nietrudno było się domyśleć, że kiedy twój czołg zniknął nam wczoraj, to przeniosłeś się albo w przyszłość, albo w przeszłość. Prawdopodobieństwo, że cofnąłeś się w czasie, wynosiło dwa do jednego. Przemyśleliśmy dla ciebie małą pułapkę, w którą zgodnie z oczekiwaniami, dałeś się łatwo schwytać. A teraz jedynym powodem, dla którego jeszcze cię nie roztopiłem jest to, że Ruol i Fritad jeszcze nie wrócili, a chcę, by się tobie przyjrzeli. Później cię roztopię, a razem z tobą tych dwoje gówniarzy. Już nam nie są do niczego potrzebni.
Carpenter wzdrygnął się. Dyktaty czystej logiki okazały się mieć wiele wspólnego z nakazami mściwości. Niewykluczone, że pteranodony usiłowały „roztopić" Skipa, Marsi, Sama i jego już od samego początku i gdyby nie pole ochronne jaszczurochodu, usiłowania te byłyby uwieńczone sukcesem. No cóż – pomyślał Carpenter – logika to broń obosieczna, w której i jedno i drugie ostrze może sprawować władzę.
– Kiedy wracają twoi kumple, Holmer?
Marsjanin spoglądał na niego beznamiętnie. Dopiero wtedy Carpenter spostrzegł, że nie ma on w uszach kolczyków.
– Powiedz mi kruszyno – powiedział do Marsi – gdyby ten statek miał upaść na bok, to czy zmiana jego pozycji, bądź skutki zderzenia z ziemią mogłyby wywołać eksplozję? Odpowiadając „tak" lub „nie", żeby nasz przyjaciel nie wiedział o czym rozmawiamy.
– Nie, proszę pana.
– A czy konstrukcja statku jest na tyle solidna, że ściany między pomieszczeniami nie zwalą się na nas?
– Tak, proszę pana.
– A wyposażenie tego pomieszczenia? Czy jest bezpiecznie przyśrubowane i nie odpadnie przy wstrząsie?
– Tak, proszę pana.
– Dobrze. A teraz ty i Skip ukradkiem zacznijcie się przesuwać w kierunku tego stalowego słupa podpierającego środek pokładu. Kiedy statek runie, uczepcie się go i módlcie się o zachowanie życia.
– Co on tam do ciebie gada, dziecko? – zapytał Holmer.
Marsi pokazała mu język.
– Chciałbyś wiedzieć, no nie? – odparowała.
Najwidoczniej zdolność podejmowania spokojnych, chłodnych decyzji zgodnie z regułami czystej logiki nie wymagała jednoczesnej umiejętności szybkiego myślenia, jako że dopiero w tej chwili ten zdesentymentalizowany Marsjanin, jako ostatni z całej czwórki, pojął, że tylko w jego uszach nie tkwią kolczyki-gadułki. Sięgnąwszy do zawieszonej u pasa torebki wciągnął parę kolczyków. Następnie, przytrzymując jedną ręką wymierzony w czoło Carpentera roztapiacz, drugą zaczął mocować je w uszach.
Tymczasem Carpenter przesunął kciukiem prawej dłoni po malutkich, nacechowanych rozmaitymi znakami klawiszach pierścienia łącznikowego na wskazującym palcu i odnalazł te, których szukał, nacisnął je w odpowiedniej kolejności. W dole, na równinie, Sam wystawił swój pysk z zagajnika palmowego.
Carpenter skoncentrował się, a jego myśli obiegły teleobwodem, który połączył jego umysł z krzyżowym ośrodkiem nerwowym Sama.
– Wciągnij z powrotem haubice i unieś tarczę kadłubową, Sam – rozkazał, a Sam zastosował się do polecenia. – Teraz cofnij się, weź porządny rozbieg, zaatakuj stalową łapę statku po twojej prawej stronie, wybij ją i uciekaj ile sił!
Sam wychynął z zagajnika, odwrócił się i podreptał sto jardów w głąb równiny. Następnie ponownie odwrócił się i ustawił się do mającego nastąpić zderzenia. Ruszył powoli, wrzucił drugi bieg. Dźwięk jego kopyt przerodził się w grzmiące crescendo i przeniknął ścianę kabiny łącznościowej. Holmer, który w końcu uporał się z kolczykami, drgnął i podszedł do iluminatora. Tymczasem Sam pędził w kierunku statku jak oszalały, atakujący tryk. Nikt, mający iloraz inteligencji przewyższający 75 nie miałby najmniejszych wątpliwości, co tu się za chwilę stanie. Co prawda iloraz inteligencji Holmera niewątpliwie przekraczał 75, ale zdarza się czasem, że wysoka inteligencja jest równie niebezpieczna, co ignorancja. Tak było i tym razem. Zupełnie zapomniawszy o Carpenterze, Marsjanin przerzucił małą dźwignię po prawej stronie iluminatora, w wyniku czego jego grube, nietłukące się szkło, wsunęło się w ściankę kabiny. Następnie wychylił się na zewnątrz przez powstały w ten sposób otwór i skierował roztapiacz ku ziemi. W tym samym czasie Sam staranował łapę statku i Holmer pod wpływem wstrząsu wyleciał na zewnątrz jak odrzutowiec.
Dzieci zdążyły się już uczepić słupa podporowego. Jednym skokiem Carpenter był z nimi.
– Trzymajcie się – krzyknął.
Upadek zaczął się powoli, ale wkrótce nabrał tempa. Ktoś powinien był krzyknąć: „uwaga, drzewo się wali!", ale nikt nie rzucił podobnego ostrzeżenia. Nie uchroniło to jednak ogromnego milorząbu od wypełnienia swego przeznaczenia. Jaszczurki rozbiegły się na boki, żółwie grzebały w miejscu łapami, a wszystkie zwierzęta w promieniu jednej mili stanęły zmartwiałe, patrząc na to niecodzienne zjawisko. GRRRUUUCH! Uderzenie oderwało Carpentera i dzieci od słupa. Zdążył jednak schwytać je w locie i zamortyzować ich upadek swoim ciałem. Uderzył plecami o ściankę kabiny; powietrze huraganem wyrwało się z jego płuc. Ktoś wyłączył światło. Po długim czasie ktoś ponownie je włączył. Ujrzał nad sobą kołyszącą się twarz Marsi. Wyglądała jak mały, blady księżyc. Jej oczy przypominały jesienne astry po pierwszym przymrozku. Poluźniła mu kołnierzyk i klepiąc go po policzkach, płakała. Uśmiechnął się do niej, z werwą wstał na nogi i rozejrzał się wokoło. Kabina łącznościowa zupełnie się nie zmieniła, ale wyglądała jakoś inaczej. To dlatego, że zamiast na podłodze leżał na ścianie; dlatego również, że wciąż mu się kręciło w głowie. Marsi, ze łzami w oczach, zawodziła:
– Bałam się, że pan już nie żyje, panie Carpenter!
Zmierzwił dłonią jej jaskrawo-żółte włosy.
– Nabrałem cię, nie?
W tym momencie przez poprzecznie ułożone wskutek upadku drzwi wszedł do pomieszczenia Skip. W dłoni trzymał małą puszkę. Jego twarz rozjaśniła się, gdy ujrzał Carpentera.
– Poszedłem po jakiś gaz otrzeźwiający, ale widzę, że już panu nie jest potrzebny. O rany, jak się cieszę, że się panu nic nie stało, panie Carpenter!
– Mam nadzieję, że wy, dzieci, także nie zrobiłyście sobie krzywdy – powiedział Carpenter.
Ulżyło mu, gdy zapewniły go, że czują się dobrze. Nieco jeszcze odurzony, podszedł wklęsłą ścianą do iluminatora i wyjrzał na zewnątrz. Sama nigdzie nie dostrzegł. Przypomniawszy sobie, że wciąż podłączony jest to teleobwodu wezwał triceraczołg do powrotu, wyczołgał się przez kanał iluminatora i opuścił się na ziemię, by odszukać ciało Holmera. Nie znalazłszy go, pomyślał, że ten musiał przeżyć upadek i ukrył się gdzieś w okolicy. Następnie podszedł do jednego z wielu okolicznych trzęsawisk i popatrzył na jego zmierzwioną powierzchnię. Wzdrygnął się. No cóż, teraz przynajmniej wiedział, do kogo należał ten szkielet.
Drepcząc i klucząc po bagnie zgodnie z nakazami terenometru, nadchodził Sam. Carpenter poklepał jaszczurochód po łbie – o dziwo zupełnie nie noszącym śladów niedawnej kolizji, wyłączył pierścień łącznikowy i wrócił do statku. Marsi i Skip stali w otworze iluminatora spoglądając w niebo. Carpenter odwrócił się i popatrzył w niebo. W górze czerniały trzy małe plamki. Raptownie oprzytomniał, opuścił dzieci na ziemię i powiedział:
– Biegnijcie do Sama. Prędko!

Ruszył za nimi. Dzieci bez trudu wyprzedzały jego długie, lecz wolniejsze kroki i dopadły do jaszczurochodu, sadowiąc się w kabinie kierowcy, zanim przebył połowę drogi. Pteranodony były już blisko. Widział ich długie cienie sunące po ziemi w jego kierunku. Co za pech! Nie zauważył małego żółwia, który co sił starał się zejść mu z drogi i potknąwszy się o jego skorupę, padł jak długi.
Rzuciwszy kątem oka w górę, zobaczył jak Skip i Marsi zamykają kabinę Sama. W chwilę później, ku jego konsternacji, triceraczołg zniknął.

Nagle po ziemi przesunął się inny cień – cień tak ogromny, że pochłonął trzy mniejsze, rzucane przez pteranodony. Przewróciwszy się na bok Carpenter zobaczył statek. Siadał na równinie jak pozaziemski Empire State Building. Wtem z jego górnej części wystrzeliły tęczowe promienie światła. PFFUT! PFFUT! PFFUT! rozległo się wokoło i po trzech pteranodonach nie zostało ani śladu.
Empire State Building osiadł pewnie na ziemi, otworzył drzwi i opuścił trap szerokością równy chodnikowi przy Fifth Avenue. Na pomoście pojawili się kawalerzyści. Spojrzawszy w inną stronę, Carpenter zobaczył, że Sam ponownie pojawił się w dokładnie tym samym miejscu, z którego niedawno zniknął. Kabina otworzyła się i Marsi ze Skipem wyłonili się z przedziału kierowcy, spowitego niebieskawym dymem. Carpenter w lot pojął, co się stało. W tej chwili mógł już tylko przesłać pożegnalne całusy

dla dwudziestego drugiego wieku. Dwójka dzieci podbiegała już do niego, kiedy na czoło swych żołnierzy wystąpił ich dowódca. Oddział składał się z sześciu wysokich Marsjan o surowym wyrazie twarzy, ubranych w purpurowe togi, dzierżących w dłoniach roztapiacze. Dowódca był jeszcze wyższe od swych podwładnych, jego toga miała ciemniejszy odcień, a twarz jeszcze surowszy wyraz. Trzymał coś, co wyglądało jak czarodziejska różdżka. Obrzucił srogim spojrzeniem Carpentera, a następnie dzieci.

Chłopiec i dziewczynka pomagali właśnie Carpenterowi wstać. Co prawda sam upadek nie pozbawił go władzy w członkach, ale szybki bieg niespodziewanych wydarzeń całkowicie wytrącił go z równowagi i zupełnie nie mógł się pozbierać. Marsi szlochała.

– Nie chcieliśmy spalić Sama, proszę pana – powiedziała pośpiesznie – ale skok w przyszłość o cztery dni dwie godziny szesnaście minut i trzy czwarte sekundy po to, by dostać się na pokład statku porywaczy i wysłać wołanie o pomoc do Kwatery Głównej Kosmicznej Policji, żeby ci zdążyli przybyć na czas, wydał nam się jedyną możliwością uratowania panu życia. Powiedziałam im w jakich pan jest opałach i żeby mieli w pogotowiu opalizatory. Wtedy to, kiedy chcieliśmy tu wrócić, układ podróży w czasie w Samie uległ awarii i Skip musiał go naprawić, a kiedy już wróciliśmy, znów się zepsuł i spłonął. Oh, jak mi przykro, panie Carpenter. Teraz już nigdy nie będzie pan mógł wrócić w czas odległy o 79 062 156 lat i zobaczyć panny Sands i...

Carpenter poklepał ją po ramieniu.

– No już dobrze, kruszyno. Już dobrze, Postąpiliście właściwie i jestem z was dumny. – Pokręcił głową z podziwem. – Naturalnie przemnożyłaś wszystko przez współczynnik T? – spytał. W załzawionych oczach błysnął uśmiech. Marsi przestała szlochać.

– Ja... ja doskonale rachuję, panie Carpenter.

– Ale to ja pociągnąłem dźwignię – wtrącił się Skip – i ja naprawiłem układ podróży w czasie, kiedy się popsuł.

Carpenter uśmiechnął się.

– Wiem, że to ty, Skip. Myślę, że oboje jesteście wspaniali.

Zwrócił się do wysokiego Marsjanina, trzymającego różdżkę i zauważył, że ten zdążył już umocować kolczyki-gadułki w swych uszach.

– Sądzę – powiedział Carpenter – że winien jestem podziękowanie nie tylko Marsi i Skipowi, ale również wam. Jestem wam dozgonnie wdzięczny. Obawiam się, że będę zmuszony jeszcze raz skorzystać z waszej uprzejmości i poprosić o to, byście wzięli mnie ze sobą na Marsa. Mój jaszczurochód jest zupełnie wypalony i może być naprawiony wyłącznie przez grupę techników-specjalistów, pracujących w ultranowoczesnym warsztacie mechanicznym, wyposażonym w niezbędne części zamienne. Innymi słowy nie mam już żadnej możliwości ani nawiązania łączności z erą, z której przybyłem, ani też powrotu w mój czas.

– Nazywam się Hautor – przemówił wysoki Marsjanin. – Zrelacjonuj – zwrócił się do Marsi – w sposób tak maksymalnie zwięzły wszystkie wydarzenia, które tu zaszły, począwszy od waszego przybycia na tę planetę, aż do chwili bieżącej.

Marsi opowiedziała mu całą historię.

– A zatem widzi pan – konkludowała – że pomagając Skipowi i mnie, pan Carpenter wpadł w poważne tarapaty. Nie może powrócić do swojej ery i nie może zostać tutaj i przeżyć. Po prostu musimy go zabrać ze sobą na Marsa, bowiem to jedynie wyjście z sytuacji.

Hautor nie odpowiedział. Jakby od niechcenia uniósł swą różdżkę, wymierzył nią w powalony statek porywaczy i wykonał jakiś ruch uchwytem, co sprawiło, że sama różdżka zabłysła zielononiebieskim światłem. W tej samej chwili z Empire State Building trysnął tęczowy promień światła, uderzył w statek kidnaperów i kosmiczny pojazd podzielił los trzech pteranodonów. Obróciwszy się, Hautor zwrócił się do dwóch ze swych żołnierzy.

– Zabierzcie dzieci na pokład naszego krążownika i przypilnujcie, by miały tam wszelkie niezbędne wygody.

W końcu zwrócił się do Carpentera.

– Rząd Wielkiego Marsa jest panu wdzięczny za usługi, które pan poczynił dla uratowania życia dwojga jego najcenniejszych przyszłych obywateli. Dziękuję panu w jego imieniu. A teraz żegnam pana, panie Carpenter.

Hautor zaczął się już odwracać, gdy Marsi i Skip biegiem znaleźli się u jego boku.

– Nie wolno wam go tu zostawić! – krzyczała Marsi. – On tu umrze!

Hautor skinął na dwóch żołnierzy, z którymi poprzednio rozmawiał. Skoczyli do dzieci, schwytali je i poczęli ciągnąć w kierunku krążownika.

– Posłuchajcie – powiedział Carpenter, oszołomiony nieco rozwojem wypadków, ale wciąż przytomny. – Nie błagam was o życie, ale mogę się wam na coś przydać, o ile znajdzie się dla mnie miejsce w waszym społeczeństwie. Po pierwsze mogę wam wyjawić sekret poruszania się w czasie, po drugie...

– Panie Carpenter, gdybyśmy potrzebowali podróżować w czasie, dawno byśmy się z tym zagadnieniem uporali. Podróż w czasie to zabawa dla głupców. Przeszłość jest ustalona i nie da się jej zmienić. Po co próbować? Kto, oprócz jakiegoś imbecyla chciałby wiedzieć, co przyniesie dzień jutrzejszy?

– No dobrze – odparł Carpenter. – Nie wymyślę dla was podróżowania w czasie. Nie puszczę nawet pary z ust, a tylko osiedlę się gdzieś i będę dobrym, solidnym obywatelem.

– To nieprawda. I pan o tym wie, panie Carpenter. Chyba, że pana zdesentymentalizujemy. Jednakże, już na podstawie pańskiego wyrazu twarzy, mogę z góry powiedzieć, że się pan nigdy dobrowolnie na takie rozwiązanie nie zgodzi. Wolałby pan raczej zostać tu w swej prehistorycznej przeszłości i umrzeć.

– Po tym, co tu usłyszałem, niewątpliwie tak – powiedział Carpenter. – W porównaniu z wami Tyrannosaurus rex to pracownik Armii Zbawienia, a inne dinozaury, pteranodony i tym podobne mają serca z czystego złota. Wydaje mi się jednak, że istnieje jedna drobnostka, którą moglibyście dla mnie zrobić, nie zakłócając jednocześnie w poważny sposób waszego zdesentymentalizowanego equilibrium. Moglibyście dać mi broń, która zastąpiłaby moją, zniszczoną przez Holmera.

Hautor potrząsnął głową.

– To jedna z tych rzeczy, których zrobić mi nie wolno, panie Carpenter, bowiem broń mogłaby z czasem stać się znaleziskiem archeologicznym, a ja byłbym odpowiedzialny za pojawienie się tego anachronizmu. Już jestem potencjalnie odpowiedzialny za jeden – mam na myśli ciało Holmera, nie do odzyskania, i odmawiam ryzyka ponoszenia odpowiedzialności za następne anachronizmy. Dlaczego, jak pan sądzi, zlikwidowałem statek porywaczy?

– Panie Carpenter – zawołał Skip z pomostu, na który dwóch Marsjan wciągnęło jego i siostrę. – Może Sam nie wypalił się doszczętnie. Może uda się panu wycisnąć z niego tyle siły, by wysłać puszkę pasztetu z zająca.

– Obawiam się, że to niemożliwe, Skip! – odkrzyknął Carpenter. – Ale nie martwcie się tym dzieci. Nie martwcie się o mnie. Dam sobie jakoś radę. Skoro zwierzęta zawsze mnie lubiły – kontynuował – dlaczego gady miałyby mnie nie polubić. To w końcu też zwierzęta.

– Oh, panie Carpenter – krzyczała Marsi. – Tak mi przykro, że to się kończy w ten sposób. Dlaczego nie zabrał nas pan ze sobą do dwudziestego drugiego wieku? Cały czas tego pragnęliśmy, ale baliśmy się o tym powiedzieć.

– Szkoda, że nie zabrałem, kruszyno. Wielka szkoda.

Nagle coś go oślepiło i odwrócił głowę. Kiedy spojrzał ponownie, dwaj Marsjanie siłą wprowadzali dzieci do statku. Pomachał im.

– Żegnajcie dzieci – zawołał. – Nigdy o was nie zapomnę.

Marsi uczyniła ostatni, desperacki wysiłek, by się uwolnić. Niewiele brakowało, by się jej to udało. Jesienne astry jej oczu błyszczały łzami jak poranna rosa.

– Kocham pana, panie Carpenter! – krzyknęła nim zaciągnięto ją i Skipa do wnętrza krążownika. – Będę kochała pana przez resztę swego życia!

Dwoma zręcznymi ruchami Hautor usunął kolczyki z uszu Carpentera. Następnie razem ze swymi kawalerzystami wspiął się po trapie i wszedł na pokład statku. Też mi kawaleria – pomyślał Carpenter. Patrzył jak zamykają włazy i jak Empire State Building zaczyna dygotać.

Krążownik wzniósł się, zawisł majestatycznie na chwilę w powietrzu, po czym wzbił w oślepiające bladoniebieskie światło nieba ponad ziemią. Oddalał się szybko, jakby bez wysiłku, by wkrótce widokiem przypominać gwiazdę. Szkoda, że nie była to spadająca gwiazda. Szkoda!

– Życzę wam obojgu szczęścia – powiedział – i życzę wam, żeby im nigdy nie udało się pozbawić was serca, ponieważ wasze serca to najcenniejsza rzecz, jaką macie.

Gwiazda mrugnęła i zniknęła. Stał samotnie na ogromnej równinie.

Zadrżała ziemia. Odwróciwszy się, dojrzał imponujący, ciemny kształt na prawo od kępy trzech palm. Za chwilę rozpoznał ogromny łeb i masywny, wyprostowany korpus. Odruchowo cofnął się, gdy dwa rzędy szablistych zębów błysnęły w słońcu. Tyrannosaurus!

V

Wypalony jaszczurochód w końcu lepszy był niż żaden. Carpenter skierował się do Sama.

Siedząc wewnątrz szczelnie zamkniętego przedziału kierowcy, patrzył jak prehistoryczny gad zbliża się coraz bardziej. Nie ulegało wątpliwości, że już go zauważył i że posuwa się prosto ku Samowi. Marsi i Skip wciągnęli z powrotem tarczę ochronną kadłuba, miał zatem znacznie, znacznie więcej miejsca do siedzenia. Nie wchodził jednak do wewnętrznego przedziału Sama, bowiem stwierdził, że dzieci wysunęły na zewnątrz lufy haubic. Mimo, że haubicami nie dało się już manewrować, były nadal sprawne. Jeśliby tyrannosaurus wszedł w zasięg tak ustawionych dział, można by ładunkiem paraliżującym wykluczyć go na pewien czas z akcji. Zbliżał się w tej chwili, klucząc pod kątem postym do linii strzału haubic i istniała szansa, że wejdzie w pole strzału, nim będzie za blisko. Carpenter postanowił zaryzykować i skorzystać z pojawiającej się szansy. Skulił się w fotelu kierowcy z prawą ręką w pobliżu języków spustowych. Z uwagi na uszkodzony klimatyzator, wnętrze pojazdu wypełniało gorące, duszne powietrze. Dodatkową niewygodę stanowił unoszący się w kabinie ostry, kwaśny zapach spalonych kabli. Starał się nie zwracać uwagi na towarzyszące mu niewygody i skoncentrował się na bieżącym zadaniu.

Potwór był już tak blisko, że widział dobrze jego małe, szczątkowe przednie łapy. Dobre dwadzieścia pięć stóp powyżej nich,

oparty na szyi o obwodzie potężnego pnia drzewa, majaczył gigantyczny łeb, poniżej groteskowy tors rozrastał się, aż do tylnych łap jak opuchlizna. Potężny ogon sunął po ziemi, dorzucając do grzmotów rozlegających się przy każdym stąpnięciu ogromnych szponiastych stóp odgłos trzasku łamanych krzewów. Można się było naprawdę przerazić i Carpenter zupełnie nie rozumiał, dlaczego się nie boi.

Kilkanaście jardów od triceraczołgu tyrannosaurus zatrzymał się i jego częściowo otwarta paszcza zaczęła się rozwierać. Półtorastopowej długości zęby bestii mogły śmiało wgryźć się w kadłub Sama, jakby był zrobiony z bibuły i wyraźnie zanosiło się na to, że tak się stanie. Carpenter przygotowany już był na pośpieszne wycofanie się do pomieszczenia w głębi jaszczurochodu, gdy nagle, w chwili, w której sytuacja zdawała się być beznadziejna, potwór, jak gdyby niezadowolony z przyjętej do ataku pozycji, począł obchodzić jaszczurochód i pojawił się z przodu pojazdu, dając Carpenterowi szansę, o której tak marzył. W mgnieniu oka jego palce znalazły się na jednym z trzech języków spustowych, dotknęły go, lecz nie przycisnęły. Dlaczego się nie bał?
Spojrzał przez osłonę kabiny w górę, na przerażający łeb. Olbrzymie szczęki ciągle się rozwierały i w tej chwili całe sklepienie czaszki przyjęło pozycję pionową. Zobaczył, jak nad dolnym rzędem zębów wyłania się śliczna główka, należąca do istoty zupełnie odmiennej natury i para jasnych niebieskich oczu spoglądała prosto na niego.
– Panna Sands! – zachłysnął się i niemal spadł z fotela.

Ochłonąwszy, otworzył kabinę, wyszedł na pysk Sama i z afektem poklepał tyrannosaurusa po brzuchu.
– Edith – powiedział . – Edith, ty śliczna, ty!
– Czy nic się panu nie stało, panie Carpenter? – krzyknęła z góry panna Sands.
– Prawie nic – odparł Carpenter. – Miło mi panią widzieć, panno Sands.
Kolejna głowa wyłoniła się obok panny Sands. To znajoma głowa o kasztanowych włosach, należąca do Petera Detritusa.
– Czy równie miło panu widzieć i mnie?
– Też pytanie, Pete – stary byku!
Panna Sands opuściła ze szczęki gada drabinkę i oboje zeszli po niej na ziemię. Peter Detritus zniósł zwój kabla i obecnie mocował go do pyska Sama, a następnie do ogona Edith. Carpenter pośpieszył mu z pomocą.
– Skąd wiedzieliście, że jestem w opałach? – zapytał. – Nie wysyłałem przecież żadnego pasztetu?
– Mieliśmy przeczucie – odparł Peter Detritus. Zwrócił się do panny Sands: – Dobra, wszystko gotowe.
– No to w drogę – powiedziała panna Sands. Popatrzyła na Carpentera, po czym pośpiesznie odwróciła wzrok.
– Oczywiście, o ile pańska misja jest skończona, panie Carpenter.
Teraz, kiedy dotychczasowe podniecenie minęło, jej obecność onieśmieliła go tak jak zazwyczaj.
– Zupełnie skończona, panno Sands – odrzekł spuszczając wzrok z jej twarzy na kieszeń polowej bluzy, w którą była ubrana. – Nigdy pani nie uwierzy, jak zadziwiające okazały się jej rezultaty.
– Jestem innego zdania. Częstokroć najbardziej niewiarygodne rzeczy okazują się w efekcie najbardziej wiarygodnymi. Przygotuję panu coś do jedzenia, panie Carpenter.
Zwinnie wspięła się po drabinie. Carpenter wszedł za nią, a pochód zamknął Peter Detritus.
– Ja będę sterował, panie Carpenter – powiedział Peter, wciągając za sobą drabinę. – Wygląda pan na zmęczonego.
– Bo jestem – odrzekł Carpenter.
W kabinie Edith opadł na koję. Panna Sands poszła do kuchni, nastawiła wodę na kawę i wyjęła z lodówki gotowaną szynkę. Powyżej, w przedziale kierowcy Peter Detritus zamknął kabinę i wyłączył silnik.
Detritus był doskonałym kierowcą i wyraźnie wolał prowadzić pojazd niż jeść. Nie była to zresztą jego jedyna zaleta. Potrafił z zawiązanymi oczami rozebrać na części paleontojazd i następnie ponownie go złożyć. To dziwne, że on i panna Sands nigdy nie mieli się ku sobie. Oboje byli tak atrakcyjni, iż wydawałoby się, że już dawno powinni się w sobie zakochać. Oczywiście Carpenter cieszył się, że się tak nie stało – naturalnie nie dlatego, że on sam mógłby na tym skorzystać. Zastanowił się dlaczego nie wspomnieli ani słowem o statku Kosmicznej Policji. Z pewnością musieli widzieć, jak odlatywał... Edith zmierzała na ukos przez równinę w kierunku gór. Przez szybę kabiny zobaczył, jak Sam niezdarnie drepcze za nimi na stymulowanych do ruchu łapach. W kuchni panna Sands kroiła szynkę na plastry. Carpenter utkwił w niej spojrzenie, próbując otrząsnąć się ze smutku po rozstaniu z Marsi i Skipem. Jego wzrok musnął jej smukłe, kształtne nogi, szczupłą talię, wzniósł się ku jej miedzianym włosom i zatrzymał się na chwilę na jedwabistym kosmyku spadającym uroczo na tył szyi.
To ciekawe, że ludziom z wiekiem ciemnieją włosy...
Carpenter nieruchomo leżał na pryczy.
– Panno Sands – odezwał się niespodziewanie – ile jest 499999991 razy 80003432111?
– 40017159836911001 – odparła panna Sands.
Nagle drgnęła. Po chwili powróciła do przerwanej czynności krojenia szynki.
Z wolna Carpenter usiadł. Opuścił stopy na podłogę. Jakiś ucisk wokół klatki piersiowej sprawił, że oddychał z trudnością. Weźmy parę samotnych dzieci – myślał. – Jedno z nich jest matematycznym geniuszem, drugie to geniusz w dziedzinie mechaniki. Para samotnych dzieci, które nigdy w swym samotnym życiu nie wiedziały, co to znaczy być kochanym. Teraz niech się je przeniesie na inną planetę i umieści w jaszczurochodzie, który przy całej swojej użyteczności jest przecież również wielką, wspaniałą zabawką, a następnie niech się je zabierze na wycieczkę traperską w okresie Kredy i okaże im uczucie, jakiego nigdy jeszcze nie poznali. W końcu niech się ich tego wszystkiego pozbawi, a jednocześnie dostarczy im tak silnej motywacji, jaką jest potrzeba uratowania ludzkiego życia i niech dodatkowo w owej motywacji zawrze się możliwość, iż dzięki uratowaniu życia człowiekowi, będą mogli, choć w innym, ale jednak w pełnym sensie tego słowa, uratować również swoje życie.
Ale 79 062 156 lat! 49 000 000 mil! To niemożliwe!
A niby d l a c z e g o nie?
Mogli przecież potajemnie skonstruować machinę w szkole przygotowawczej, cały ten czas udając, że robią to w zgodzie z zasadami procesu predesentymentalizacji. Następnie, tuż przed datą otrzymania narkotyku desentymentalizującego, mogli wejść do machiny i odlecieć w przyszłość.
Zgoda, ale taki skok w przyszłość wymagałby zużycia ogromnej ilości energii, a poza tym widok Marsa, na którym wyłoniliby się, stanowiłby dla nich szok, nie dający się wymazać z pamięci. Z drugiej strony, Marsi i Skip byli zaradnymi dziećmi, wystarczająco zaradnymi, żeby podłączyć się chyłkiem do jakiegoś dużego źródła energii i wystarczająco wytrzymałymi, by znieść klimat i atmosferę Marsa w dwudziestym drugim wieku, do czasu zlokalizowania jednej z jaskiń zamieszkiwanych przez Marsjan. Marsjanie zajęliby się nimi i nauczyliby ich wszystkiego, co niezbędne, by w jakiejkolwiek przykrytej kopułą kolonii na Marsie mogli uchodzić za Ziemian. Sami koloniści, uradowani, że dwoje nowicjuszy przyłączyło się do ich tak przecież nielicznej społeczności, nie zadawaliby im zbyt wielu pytań. Później dzieci musiałyby jedynie spokojnie czekać, aż dorosną, by móc podjąć pracę i zarobić na swój wyjazd na Ziemię. Już Na Ziemi jedynym problemem z jakim by się spotkali, byłoby zdobycie wiedzy pozwalającej im na podjęcie pracy związanej z paleontologią. Naturalnie zrealizowanie takiej misji zajęłoby im całe lata, ale wiedząc o tym mogliby skoczyć w przyszłość w punkt na tyle odległy w czasie od AD 2156, żeby zdążyć osiągnąć założone uprzednio cele. Faktycznie zdążyli w ostatniej niemal chwili. Panna Sands pracowała w PATP dopiero od trzech miesięcy, a Petera Detritusa przyjęto w miesiąc później. Oczywiście za poręczeniem panny Sands.
Przybyli tu okrężną drogą – oto jak się tu znaleźli. Najpierw przelecieli 49 000 000 mil na Marsa w przeszłość. Później pokonali 79 062 100 lat w drodze do Marsa teraźniejszego.
Następnie przelecieli 49 000 000 mil do Ziemi – też w dwudziestym drugim wieku, by w końcu cofnąć się na Ziemię o 79 062 156 lat w przyszłość.
Carpenter siedział oszołomiony.
Czy planowali już wcześniej, że przyjmą nazwiska Detritus i Sands – zastanawiał się. Zapewne tak, a jeśli nie, to prawdopodobnie przybrali je, gdy przyłączyli się do kolonistów. Tak czy owak, zakrawało to na swoisty paradoks, ale nie było się w zasadzie nad czym zastanawiać, bowiem nazwiska świetnie do nich pasowały.
Ale dlaczego utrzymywali, że są cudzoziemcami?
W końcu przecież nimi byli, czyż nie tak? Gdyby powiedzieli mu całą prawdę, czy byłby im uwierzył? Ponad wszelką wątpliwość – nie.
To wszystko jednak nie tłumaczyło, dlaczego panna Sands go nie lubiła. Czy jednak na pewno go nie lubiła? Może jej zachowanie w stosunku do niego wywołane było tą samą przyczyną, dla której on sam odnosił się do niej nie tak, jak chciał. Może ona wielbiła go tak samo mocno, jak on wielbił ją i podobnie jak jemu i jej ten fakt wiązał język. Być może powodem, dla którego nie spoglądała na niego ani chwili dłużej niż wydawało się to konieczne, była obawa, że zdradzi się ze swoimi uczuciami, zanim on pozna całą prawdę o niej.
Zaczął się już gubić w domysłach.
Łagodny warkot elektrycznego silnika Edith wypełniał kabinę. Przez jakiś czas był to jedyny dźwięk, słyszalny wewnątrz pojazdu.
– Co się stało? – zapytała niespodziewanie panna Sands. – Czemu pan tak nagle zaniemówił, panie Carpenter.
Wstał. Odwróciła się twarzą do niego. Jej oczy zaszły mgłą, patrzyła na niego łagodnie, z uwielbieniem... – w sposób, w jaki patrzyła na niego ubiegłej nocy, licząc według jednego kalendarza, a 79 062156 lat temu według innego, gdy siedzieli obok siebie przy mezozoicznym ognisku w okresie górnej kredy.
„Idę o zakład, że gdyby powiedział jej pan, że ją kocha, rzuciłaby się panu w ramiona" – przypomniał sobie jej słowa.
– Kocham cię, kruszyno – powiedział Carpenter.
Panna Sands wygrałaby ten zakład.

Przełożył **Marek Doskocz**



W miłości jest zawsze to,
które całuje i to,
które nadstawia policzek.

(Przysłowie francuskie)

Harlan Ellison

Na stoku

(On the Downhill Side)

Wiedziałem od razu, że jest dziewicą, ponieważ mój jednorożec pozwolił jej czochrać swą jedwabistą grzywę. Miała na imię Lizetta, była grecką świątynią, w której nie złożono jeszcze ofiary, westalką Nowego Orleanu, wędrującą w boskim chłodzie pełzającej jak karaluch luizjańskiej nocy. Mój jednorożec zarżał z rozkoszy, pochylił łeb, a ona poklepała białą jak kość słoniowa spiralę jego rogu.

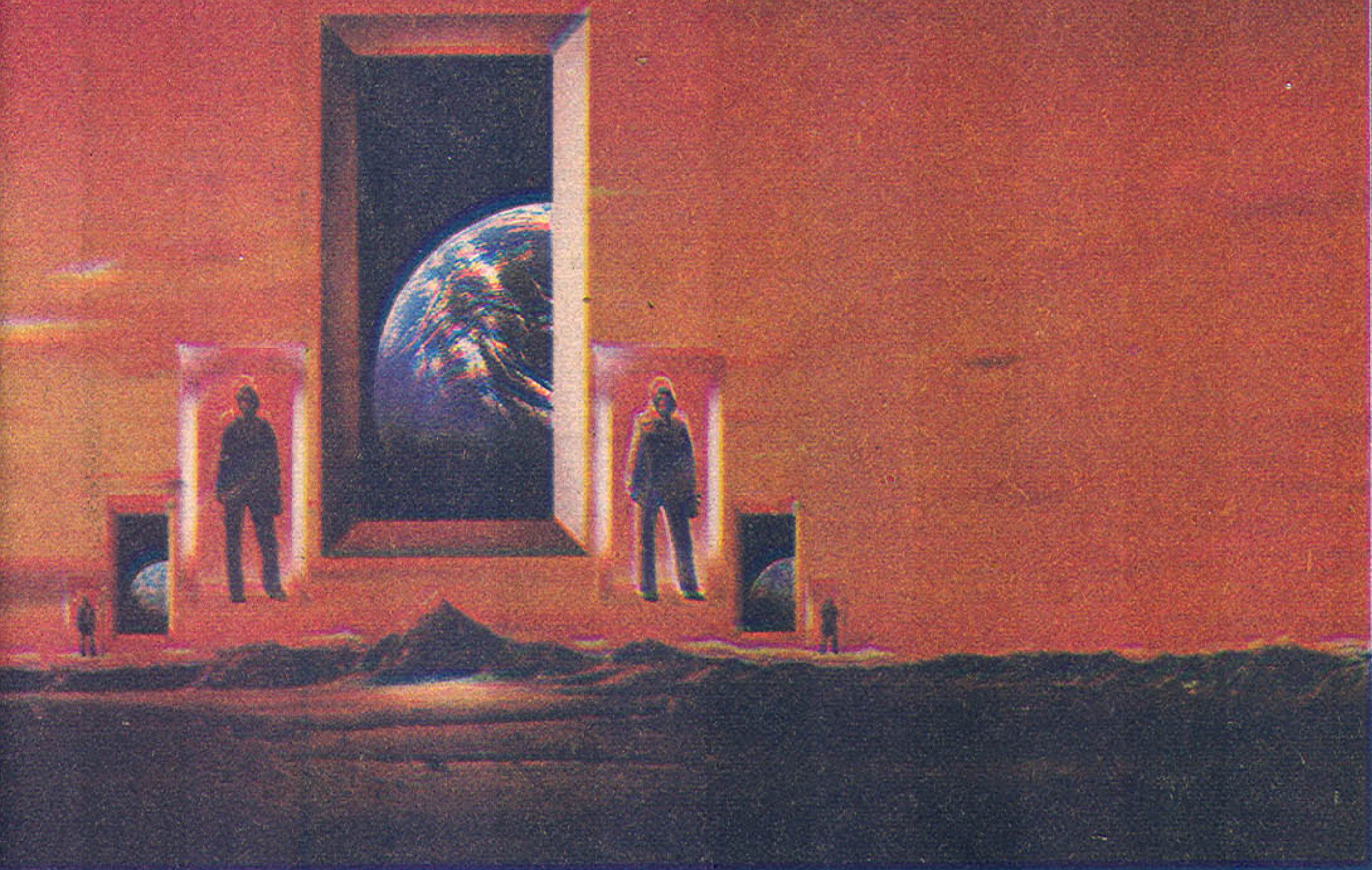
Wiele z tego działo się na tak zwanym Irish Channel – odcinku ulicy w starym Nowym Orleanie, gdzie dziesiątki lat temu osiedlili się emigranci Irlandzcy. Irlandczyków już tu nie było, a Channel przejęli po nich Kubańczycy. Kubańczycy spali teraz, regenerując siły po parnym dniu. Obłupane kocie łby bocznych uliczek, odchodzących od Magazine, uwalniały o tej porze uwięzione w nich nocne duchy i jedna z tych zjaw podeszła do mnie, przywołując mojego jednorożca – a więc bez wątpienia dziewica – a ja stałem i czekałem.

Gdyby to było Sutton Place, gdyby to była manhattańska noc i spotkalibyśmy się, ona przyklękłaby, żeby pogłaskać mego psa. A ja bym czekał. Gdyby to było Puerto Vallarta, gdyby to było na 20° 36' szerokości północnej i 105° 13' długości zachodniej i spotkalibyśmy się, ona przykucnęłaby, żeby przebiec koniuszkami palców po jedwabiście gładkim grzbiecie mojej iguany. A ja bym czekał. Uliczne spotkania wymagają rytuału. Jeśli chce się brać udział w zgromadzeniu nocnych duchów, trzeba czekać cierpliwie i nie oddychać zbyt głośno. Spojrzała ponad pięknym łbem mojego jednorożca i uśmiechnęła się do mnie. Jej oczy miały dziwny odcień szarości.

– Nie jest ci za zimno? – zapytałem.

– Kiedy miałam trzynaście lat – odparła ujmując mnie pod rękę i czyniąc dwa nieśmiałe kroki, które skłoniły mnie do pójścia za nią – a może dwanaście... no nieważne... kiedy byłam mniej więcej w tym wieku, miałam cudowny szal z belgijskiej koronki. Mogłam patrzeć przez niego i wtedy odkrywały się przede mną tajemnice słońca i innych gwiazd. Jestem przekonana, że ten szal nabył u jakiegoś antykwariusza ktoś bardzo bogaty i sporo za niego zapłacił.

Nie wyglądało to na zbyt sensowną odpowiedź na proste przecież pytanie.



TIM WHITE

– Królowej balu Marde Cras nigdy nie jest zimno – dodała. Szedłem obok niej. Łączyła nas zimna niedostępność jej ramienia. Mój umysł był kłębowiskiem najprzeróżniejszych odpowiedzi – każda z nich niezadowalająca.

Za nami podążał cicho mój jednorożec. No, może niezupełnie cicho. O bruk stukały jego platynowe kopyta. Nic na to nie poradzę, że w tym momencie poczułem przenikającą mnie igłę zazdrości. Tak działa na mnie perfekcja.

– Kiedy byłaś królową Balu?

Podała mi datę sprzed stu trzynastu lat.

Tam, pod kamieniami, musiało jej być brutalnie zimno.

Szliśmy jakiś czas, poznając się wzajemnie na tyle, na ile pozwalało na to każde z nas. W życiu ludzkim istnieje pewna liczba ważnych wydarzeń. Nie ma między nimi ciągłości. Nie tłumaczę się, stwierdzam po prostu ten fakt, dodając nie bez słuszności, że większości romansów brak jest ciągłości. Odnajdujemy się w dziwnych miejscach w różnych momentach czasu i na krótki jego okres łączymy swe życie z życiem kogoś innego – tak jak Lizetta połączyła swe ramię z moim – a potem, gdy nasz czas upływa, rozchodzimy się każde w swoją stronę – zdarza się, że z bólem w sercu, unosząc ze sobą mgiełkę wspomnień, która zrazu otacza nas swym welonem, by potem rozwiać się, a czasami jak gdybyśmy się nigdy nie spotkali.

– Nazywam się Paul Ordahl – przedstawiłem się jej. – A najgorszą rzeczą jaka mnie w życiu spotkała, była moja pierwsza żona, Berenice. Nie wiem jak to inaczej wyjaśnić, ale chociaż brzmi to nieco melodramatycznie, to tak właśnie było – zwariowała i rozwiodłem się z nią, a jej matka oddała ją do prywatnego zakładu dla umysłowo chorych.

– Kiedy miałam osiemnaście lat – powiedziała Lizetta – moja rodzina wydała przyjęcie z okazji wkroczenia przeze mnie w wiek dojrzały. Mieszkaliśmy w Garden District na Pytanie Street w przepięknym, białym dworku z greckimi kolumnami. O takich domach mówią teraz „sprzed wojny domowej". W ogrodzie, za domem, zaraz za płaczącą wierzbą, stała zielona altanka. Była sześcioboczna. Ośmiokątna. A może sześciokątna? To było najwspanialsze przyjęcie. I gdy wszyscy się rozbawili, wymknęłam się do ogrodu z chłopcem... nie pamiętam jego imienia... i poszliśmy do tej altanki i tam pozwoliłam mu dotykać swoich piersi. Nie pamiętam jego imienia.

Szliśmy teraz Decatur Street w kierunku Dzielnicy Francuskiej, po naszej prawej ręce toczyła swe wody ciemna, ale dająca znać o swojej obecności Mississippi.

– To jej matka tam ją oddała. Po rozwodzie miałem od nich wiadomości tylko dwa razy. To były cztery śmierdzące lata i naprawdę nie miałem ochoty do nich wracać. Pewnego razu, kiedy zacząłem już lepiej zarabiać, zadzwoniła do mnie teściowa i powiedziała, że musi przenieść Bereice do przytułku stanowego. Nie wystarczało jej pieniędzy na opłacanie pobytu córki w prywatnej lecznicy. Posłałem jej trochę pieniędzy, niewiele. Wydaje mi się, że mogłem wtedy wysłać więcej, ale byłem po raz drugi żonaty, a żona miała dziecko z pierwszego małżeństwa. Nie chciałem posyłać więcej. Powiedziałem teściowej, żeby więcej do mnie nie dzwoniła. Zrobiła to potem tylko jeden raz... to była najstraszniejsza rzecz, jaka mnie w życiu spotkała.

Okrążaliśmy Plac Jacksona, wpatrując się w bardzo czarną trawę i odczytując tabliczki przyśrubowane do ogrodzenia z zaostrzonych prętów – tabliczki świadczące o tym, jak bardzo francuski był niegdyś Nowy Orlean. Usiedliśmy na jednej z ulicznych ławek. Uliczka była zamknięta dla ruchu, a my siedzieliśmy na jednej z ustawionych na niej ławek.

– Nazywaliśmy się Charbonnet. Potrafisz to wymówić?

Wymówiłem to nazwisko, nawet z dobrym akcentem.

– Poślubiłam bardzo bogatego człowieka. Był prawdziwym bogaczem. Swojego czasu jego własnością był cały blok na Burbon Street, w którym teraz mieści się „Vieux Carre". Adorował mnie. Przyszedł i poprosił o moją rękę, a rozmawiać z nim musiała mama, bo ojciec był na to za miękki – pił. Mogę to teraz przyznać. Ale to nie miało znaczenia. Wtedy wiedziałam już, jak mój konkurent stoi finansowo. Nie był człowiekiem z gminu, ale nie był też wysokiego rodu. Był jednak bogaty i wyszłam za niego. Kupował mi prezenty. Robiłam, co musiałam. Ale nie chciałam się już z nim kochać, gdy zaprzyjaźnił się z tym okropnym Żydem, który założył cmentarz Mertairie na miejscu toru wyścigowego, bo nie dopuszczali do gonitw jego żydowskich koni. Mój mąż nazywał

się Dunbar, Claude Dunbar, może słyszałeś to nazwisko? Na naszych przyjęciach bywały osoby z najlepszego towarzystwa.
– Może wstąpimy na kawę i beignetki do Du Monde?
Patrzyła na mnie przez chwilę, jak gdyby oczekiwała, że jeszcze coś dodam, a potem skinęła głową i uśmiechnęła się. Obeszliśmy Plac naokoło. Mój jednorożec czekał przy krawężniku. Na odchodnym podrapałem go po tęczowym boku, a on skrzesał iskrę, uderzając prawym przednim kopytem o bruk.
– Wiem – powiedziałem do niego. – Niedługo zaczniemy schodzić po stoku. Ale jeszcze nie teraz. Bądź cierpliwy. Nie zapomnę o tobie.
Weszliśmy z Lizettą do Cafe du Monde. U kelnera, który pochodził z New Jersey, ale większą część swego życia mieszkał o parę zaledwie mil od College Station w Teksasie, zamówiłem dwie kawy z ciepłym mlekiem i dwie porcje beignetek.
Od przystani wiało chłodem.
– Przebywałem akurat w Nowym Jorku – powiedziałem. – Odbierałem nagrodę na zjeździe architektów – czy wspominałem ci już, że byłem architektem? – tak, to był właśnie mój zawód, architekt – i przeprowadzono ze mną wywiad telewizyjny. Teściowa zobaczyła mnie w programie, wyszukała w gazecie nazwę hotelu, w którym zatrzymali się uczestnicy zjazdu, zdobyła numer mojego pokojowego telefonu i zadzwoniła do mnie. Późno wróciłem z bankietu, na którym wręczano mi nagrodę. Bardzo późno. Siedziałem właśnie na krawędzi łóżka z rozluźnionym krawatem i rozpiętą pod szyją koszulą, ściągając buty i marząc tylko o zrzuceniu ubrania i wślizgnięciu się pod kołdrę, kiedy zadzwonił telefon. To była teściowa. Była straszną osobą, jedną z najgorszych, jakie znałem, wiedźmą, straszną, po prostu straszną osobą. Zaczęła mi opowiadać o Berenice, przebywającej już w przytułku. Że trzymają ją w takiej małej klitce i że ona większość czasu spędza wyglądając przez okno. Że cofnęła się do lat dzieciństwa i przez dłuższy czas nie rozpoznawała nawet jej, swojej matki. A kiedy już ją poznała, powiedziała coś w tym rodzaju: „Nie pozwól im mnie skrzywdzić, mamusiu. Nie pozwól im mnie skrzywdzić". Spytałem więc czego ode mnie oczekuje, czy chce pieniędzy na Berenice, czy co... czy chce, żebym ją odwiedził, skoro już jestem w Nowym Jorku, a ona odparła, że broń Boże. I wtedy zrobiła mi tę okropną rzecz. Powiedziała, że kiedy ostatnim razem była u Berenice, moja ex-żona odwróciła się do niej i kładąc palec na ustach powiedziała: „sza, musimy być bardzo cicho. Paul pracuje". I przysięgam, poczułem wtedy rozwijającego się w mym żołądku węża. To była najstraszniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek usłyszałem. To nieważne, jak jest się pewnym, że nigdy z rozmysłem nie wpędziło się nikogo do domu wariatów. Zawsze istnieje jakiś cień wątpliwości i to, co od niej usłyszałem, wypaliło się piętnem w moim mózgu. Nie mogłem nawet dopuścić do siebie tej myśli, nie mogłem nawet tak naprawdę tego usłyszeć, bo by mnie to załamało. Runęła we mnie jakaś tama i zacząłem mówić, mówić, mówić, żeby tylko nie dopuścić jej do głosu. Po chwili odwiesiła słuchawkę.
Dopiero w dwa lata później odważyłem się pomyśleć o tym i wtedy zapłakałem. Ostatni raz płakałem bardzo dawno temu. Och, nie dlatego, żebym wcześniej wierzył w tę bzdurę, iż mężczyzna nigdy nie płacze, ja po prostu uważałem, że nie ma niczego tak ważnego, żeby warto było nad tym ronić łzy. Ale kiedy dotarło do mnie, to co od niej usłyszałem, wybuchnąłem płaczem i nie mogłem się opanować, dopóki nie spojrzałem w łazienkowe lustro i patrząc prosto w oczy memu w nim odbiciu nie spytałem siebie samego: „Czy ja tak postępowałem, czy kiedykolwiek kazałem jej być cicho, kiedy siadałem do pracy nad planami albo rysunkami..?"
I po chwili ujrzałem, że moje lustrzane odbicie kręci przecząco głową i to sprawiło mi ulgę. To zdarzyło się jakieś trzy lata przed moją śmiercią.
Oblizała z palców cukier-puder po beignetkach i zaczęła snuć długą opowieść o kochanku, którego sobie wzięła. Nie pamiętała jego imienia.
Było już jakiś czas po północy. Sądziłem, że północ będzie sygnałem do ruszenia w dół stoku, ale ta godzina minęła, a my wciąż byliśmy razem i ona nie sprawiała wrażenia gotowej do zniknięcia. Opuściliśmy Cafe du Monde i weszliśmy do Dzielnicy.
Pogardzam Bourbon Street. Roznegliżowane prostytutki o ziemistej skórze piersi, odór grzesznego pożądania, skarlone dusze mężczyzn, dostrojone tylko do reagowania na ciało. Zgiełk. Przechodziliśmy tamtędy, jak koneserzy sztuki przez wystawę kiczowatych malowideł. Mówiła wciąż o swym życiu, o mężczyznach, których znała, o tym, jak ją kochali, o tym, jak ich kolejno odtrącała i o banalności jej minionej egzystencji. Ja mówiłem dalej o moich miłościach, o kobietach, które zachowałem w sercu bez względu na to, jak długi był nasz związek. Mówiliśmy jedno przez drugie. Nasza konwersacja toczyła się pod kątami prostymi, a jedyne jej spotkania następowały na przecięciach ciszy przy końcu opowieści.
Zapragnęła miętówki i zabrałem ją do hotelu Royal Orleans. Piła w milczeniu, a ja też się nie odzywałem. Obserwowałem ją, studiując jej widmową twarz, szukając w jej lodowatych oczach najmniejszego chociaż przebłysku światła, żywiąc nadzieję na znalezienie najdrobniejszej oznaki tajania tego lodowca. Ale nie znajdowałem niczego takiego i płonąłem z pragnienia powiedzenia czegoś, co skrzesałoby iskierkę ciepła. Piła i wspominała wieczory, spędzone przed stu laty z młodymi ludźmi w podobnych hotelach.
Przeszliśmy do nocnego klubu, gdzie na scenie z niepolerowanych desek występował tancerz Flamenco ze swą trupą, składającą się z dwóch kobiet. Ich błyszczące jak gwiazdy trzewiki wywołały w mej duszy rezonans, który postanowiłem zignorować. Potem spostrzegłem, że w klubie znajdują się tylko trzy pary i że bardzo przystojny tancerz tańczy tylko dla Lizetty. Uchwyciwszy poły swego bolero stukotał o scenę obcasami, jak ktoś wbijający gwoździe. Patrzyła na niego, a jej język zataczał pełne kokieterii koła po krawędzi kieliszka z napojem. Najmniej można było zamówić dwa drinki, a że ja nigdy nie przepadałem za smakiem alkoholu, ona bardziej niż skłonna do zapobieżenia marnotrawstwu, wychyliła zarówno swój, jak i mój. Czy była coraz bardziej pijana czy tylko udawała, nie wiem. To nie miało znaczenia. Coraz bardziej zaślepiała mnie zazdrość i smoki przejęły w posiadanie me oczy.
Gdy tancerz skończył, gdy dobiegł końca jego półgodzinny występ, podszedł do naszego stolika. Miał na sobie obcisły kostium o barwie arktycznych jezior, a jego włosy były zmierzwione i mokre od potu. Jego uroda rozwścieczyła mnie. Doszło do awantury. On spytał o jej imię, ja wtrąciłem swój komentarz, on próbował zachować się grzecznie, wyczuwając mój podły nastrój, ona puściła mój komentarz mimo uszu, on spróbował znowu po katylijsku, odpowiedziała mu w tym samym języku, a ja wstałem i przyłożyłem mu. Wywiązała się bójka. Wyproszono nas.
Gdy znaleźliśmy się na ulicy, zostawiła mnie.
Mój jednorożec stał przy krawężniku, jedząc proso z porcelanowego talerza do zupy. Patrzyłem za nią, jak chwiejnym krokiem idzie ulicą w kierunku Placu Jacksona. Podrapałem po karku mojego jednorożca, a on przestał jeść i spojrzał na mnie przeciągle.
– Już niedługo, stary przyjacielu – powiedziałem.
Pochylił swój wspaniały łeb nad talerzem.
– Widzę, że chodziłeś do Las Americas. Gdy będziesz oddawał talerz, pozdrów ode mnie senora Pene.
Ruszyłem jej śladem. Szła szybko w stronę Placu. Zawołałem ją, ale się nie zatrzymała. Wyciągnęła rękę i zaczęła nią sunąć po metalowych prętach otaczającego Plac ogrodzenia. Koniuszki jej palców przeskakiwały z głuchym odgłosem z pręta na pręt, a raz usłyszałem trzask wypielęgnowanego paznokcia uderzającego o metal.
– Lizetto!
Przyspieszyła kroku, wciąż sunąc dłonią po ciemnych metalowych prętach.
– Lizetto! Do cholery!
Coś mnie powstrzymywało od ruszenia za nią biegiem, nie wiem czemu wydało mi się, że będzie to straszliwie poniżające. A ona oddalała się coraz bardziej. Na ustawionych na Placu ławkach rozwalali się w niedbałych pozach włóczędzy. Trampy, duże dzieciaki z brodami i plecakami. Nagle zacząłem się o nią bać. Niemożliwe. Była martwa od stu lat. Nie ma powodu, żeby... Bałem się o nią.
Zacząłem biec. Odgłos moich kroków odbijał się echem po Placu. Dogoniłem ją na rogu i chwyciwszy za ramię, obróciłem twarzą ku sobie. Próbowała wymierzyć mi policzek, ale chwyciłem ją za rękę. Próbowała mnie uderzyć, podrapać mi twarz wypielęgnowanymi paznokciami. Trzymałem ją mocno, a później okręciłem wkoło. Kręciłem nią i kręciłem, za wszelką cenę starając się nie dopuścić do tego, aby odzyskała równowagę. Wirowała nieprzytomnie, płacząc i wydając nieartykułowane okrzyki. W końcu potknęła się, a ja podtrzymałem ją, przyciągnąłem i z całych sił przycisnąłem do siebie.
– Przestań! Przestań, Lizetto! Ja.. przestań! – dała za wygraną Zwisła mi na rękach i płakała, wtuliwszy twarz w moją pierś. Odprowadziłem ją pod osłonę cienia, a tymczasem mój jednorożec nadszedł Decatur Street i stanął pod uliczną latarnią.
Zaczęły wiać chimeryczne wiatry. Usłyszałem je i teraz wiedziałem już na pewno, że znajdujemy się na stoku, że czas kurczy się coraz bardziej. Tuliłem ją do siebie i czułem w nozdrzach woń drzewnego dymu, wydzielaną przez jej włosy.
– Posłuchaj – powiedziałem, z ustami tuż przy jej uchu. – Posłuchaj, Lizetto. Nasz czas niemal już przeminął. To nasza ostatnia szansa. Przez sto lat żyłaś uwięziona w kamieniu. Słyszałem, jak płaczesz. Przychodziłem tam, na to miejsce, noc w noc i słuchałem, jak płaczesz. Dosyć już wycierpiałaś. Bóg jeden wie. Ja również. Możemy to uczynić. Mamy jeszcze jedną szansę i możemy tego dokonać, jeśli się tylko postarasz. To wszystko, o co proszę. Spróbuj.
Odsunęła się ode mnie, tak gwałtownie potrząsając głową, że kasztanowe włosy odleciały do tyłu, odsłaniając jej twarz. Oczy miała suche. Duchy to potrafią. Płaczą bez łez. Łzy się nas wypierają.
– Okłamałam cię – powiedziała.
Dotknąłem boku jej twarzy. Wystającej kości policzkowej, tuż przy linii włosów.
– Wiem. Mój jednorożec nigdy nie pozwoliłby ci się tknąć, gdybyś nie była czysta. Ja takim nie jestem, ale on nie ma co do mnie żadnego wyboru. Został mi przypisany. Jest mi bliski i toleruje mnie. Jesteśmy przyjaciółmi.
– Nie. Mnie chodzi o inne kłamstwa. Kłamstwem było całe moje życie. Wszystko, co ci powiedziałam. Nie możemy tego uczynić. Musisz pozwolić mi odejść.
Nie wiem właściwie skąd, ale wiedziałem, że tak się stanie. Spierałem się z nią, usiłując ją przekonać, że jest jeszcze dla nas szan-

sa. Ale nie mogła w to uwierzyc. Nie miała dosc siły woli albo wiary. W koncu puściłem ją.
Objęła mnie ramionami za szyję, przyciagneła moją twarz ku swojej i trzymała mnie tak przez kilka chwil. Potem zerwal się wiatr i posród nocy rozległy się odgłosy, odgłosy przywoływania i zostawiła mnie tam, w cieniu.
Usiadłem na krawężniku i zamyslilem się, wspominając lata, które upłynęły od mojej śmierci. Lata bez muzyki. Lata ograbione ze światła. Lata włóczęgi. Lata bez towarzystwa innego niż wspomnienia i jednorożec. Jakim ponurym byłem dlań towarzyszem. Przypisany był mi do czasu, kiedy odnajdę swą szanse. A teraz ona nadeszła, zrobiłem, co mogłem, żeby ją wykorzystać i przegrałem.
Lizetta i ja bylismy dwiema stronami tej samej monety - zdewaluowanej i bezwartościowej. Środka płatniczego narodów, które dawno już przeminęły, których nazw nie można już znaleźć na wymiętych, starych mapach. Wyrwano nas z wiecznego odpoczynku, skazano na włóczęgę za nasze zbrodnie i tylko raz między śmiercią a wiecznością dane nam było znaleźć swoją szanse. Tej nocy... tej niczym się nie wyróżniającej nocy... nadeszła nasza szansa.
Mój jednorożec zbliżył się do mnie i potarł swym aksamitnym pyskiem me ramię. Wyciągnąłem rękę i podrapałem go wokół nasady spiralnego rogu, po jego ulubionym miejscu. Wydał przeciągłe, srebrzyste westchnienie i w tym dźwięku usłyszałem wyrok, jaki gotowałem i sobie i jemu. Byliśmy ze sobą nierozerwalnie związani. Przypisani jeden drugiemu przez tego, który zesłał tę nocną szansę. I jeśli ja przegrywałem, przegrywał też mój jednorożec, on, który był mi towarzyszem wędrówki przez wszystkie te bezdźwięczne, bezświetlne lata.
Wstałem. Stanowczo nie byłem gotów do walki, ale mogłem chociaż próbować do końca okresu... po drodze w dół stoku.
- Czy wiesz, gdzie oni są?
Mój jednorożec ruszył ulicą.
Poszedłem za nim - beznadzieja walcząca z frustracją. Pełny okres trwa od zmierzchu do świtu - ostatnia szansa. Po północy zaczyna się stok. Czasu było mało, a kiedy już upłynie, nie będzie ani dla Lizetty, ani dla mnie, ani dla mego jednorożca niczego prócz czasu. Na wieczność.
Kiedy mijaliśmy hotel Royal Orleans, wiedziałem już dokąd zmierzamy. Za nami zamierały odgłosy Dzielnicy. Zbliżał się świt. Ludzkie wszy wpełzły wreszcie do swych kopców ciała, żeby odsypiać nocną biesiadę. Chociaż nigdy nie byłem w tym Nowym Orleanie, w którym dorastała Lizetta, pragnąłem mocy, która pozwoliłaby mi wymazać tę rakowatą narośl, jaką stały się Bourbon Street i Dzielnica z ich turystycznym plugastwem i wrzeszczącymi neonami, mocy która pozwoliłaby mi przywrócić je do dawnego stanu, w jakim kwitły sto lat temu. Ale byłem tylko duchem, a nie jednym z obdarzonych taką mocą bogów i teraz znajdowałem się niemal na końcu nitki trzymanej przez jednego z nich.
Mój jednorożec skręcił w ciemną uliczkę, zdążając wciąż w tym samym mniej więcej kierunku i kiedy na tle nocnego nieba ujrzałem pierwsze zarysy nagrobków, wiedziałem, że słusznie domyślałem się celu naszej podróży.
Cmentarz Św. Ludwika.
Och, jakże współczuję każdemu, kto nigdy nie widział słynnego na cały świat cmentarza Św. Ludwika w Nowym Orleanie. Jest to cmentarz doskonały, cmentarz skończony, najwspanialszy cmentarz we wszechświecie. (W niektórych konstrukcjach tkwi jakaś doskonałość, która od razu zdradza ich funkcję. Na przykład duńskie krzesła, które nie mogą być niczym innym, jak krzesłami - są tak całkowicie i bez reszty krzesłami, że gdyby skończył się świat, jakim go znamy i za miliard lat dominującym gatunkiem stałyby się nowoorleańskie końskie karaluchy, które przekopałyby się przez napływowe warstwy i znalazły jedno z tych krzeseł, to chociaż same krzeseł nie używają, ich budowa fizyczna nie zmusza ich do korzystania z krzeseł, wiedziałyby czym jest ich znalezisko: krzesłem. Bo byłaby to esencja krzesłologii. I na jego podstawie mogłyby stworzyć kopię rasy ludzkiej. Taki cmentarz ma się na myśli mówiąc o słynnym na cały świat cmentarzu Św. Ludwika.
Cmentarz Św. Ludwika jest bardzo stary. Tchnie cieniami i spoczywającymi w pokoju prochami zmarłych i ich pośmiertnymi obrazami, przechowywanymi nadal w pamięci, wielkimi tylko dlatego, że ci, którzy odeszli, pogrzebani zostali na cmentarzu Św. Ludwika. Lustro wody leży na głębokości zaledwie osiemnastu cali pod Nowym Orleanem - z tego powodu nie kopie się grobów w ziemi. Ciała chowane są nad ziemią w kryptach, mauzoleach i grobowcach. Każdy nagrobek jest tu inny, nie ma dwóch podobnych do siebie, każdy jest testamentem kunsztu rzeźbiarza. Dopiero potem testamentem tego, który pod nim spoczywa.
To były ostatnie chwile nocnych ciemności. Zbliżał się przełom nocy i dnia. Świt musiał jeszcze rozjaśnić wschodni nieboskłon, ale mrok już łagodniał - to był ostatni stok mojej szansy. Szansy Lizetty.
Zbliżyliśmy się do cmentarza - ja i mój jednorożec. W głębi, wśród majaczących za ogrodzeniem kamiennych pomników dostrzegłem lodowato zimną poświatę pulsującego błękitu. Błękitu, który znaleźć można w lodowce - zimnego, płaskiego, kruchego. Dosiadłem mego jednorożca. Uczepiwszy się obiema rękami grzywy przywarłem do jego szyi i ściskając kolanami atłasowe boki, falujące teraz światłem i barwą, wydałem cichy syk pochwały, zachęty do skoku.
Mój jednorożec przepłynął nad ogrodzeniem słynnego na cały świat cmentarza Św. Ludwika.
Zsiadłem z jego grzbietu, dziękując mu. Zaczęliśmy kluczyć między nagrobkami, kryptami i grobowcami.
Niebieska poświata stawała się coraz bardziej wyraźna. Słyszałem teraz, jak chimeryczne wiatry przybierają na sile, wirując, nadlatując znad obcych mórz. Pulsowanie światła, zawodzenie wiatrów, umierająca noc. Mój jednorożec trzymał się blisko mnie. Nawet my, ze świata duchów, wiemy kiedy trzeba się bać.
Wykorzystywałem przecież tylko swoją szansę; nie znajdowałem się pod opieką żadnego boga. Nagi nawet po śmierci.
W Nowym Orleanie nie ma mgieł.
Wokół nas zaczęły tworzyć się opary.
Poza kilkoma przypadkami w zimie, mgły w Nowym Orleanie nie występują.
Przypomniałem sobie brzask dnia wstającego po nocy, której umarłem. Wtedy też były takie opary. Popełniłem samobójstwo. Porzuciła mnie moja trzecia żona. Odeszła w nocy, kiedy byłem na spotkaniu z klientem - zaangażowano mnie do opracowania projektu kościoła w Baton Rouge. Cały ten dzień odparowywałem tapetę w apartamencie, który wynajęliśmy. To miał być nasz pierwszy wspólny dom. Tapetę odparowywałem sam, skraplaczem pary i dwoma patelniami z wywierconymi otworami, stojąc na wysokiej drabinie. W górze, pod sufitem, było tak okropnie duszno, że o mało nie zemdlałem. Przyniosła mi z lodówki butelkę rozkosznie chłodnej lemoniady. Potem wziąłem prysznic, przebrałem się i wyszedłem na to umówione spotkanie. Gdy wróciłem, jej już nie było. Nie zostawiła żadnego listu.
Lizetta i ja byliśmy dwiema stronami tej samej monety odlanej po śmierci dla upamiętnienia przeciwnych skrajności tej samej zbrodni. Ona nigdy nie kochała. Ja kochałem za dużo. Przesada w czymś tak subtelnym jak miłość musi wyglądać potwornie nieprzyzwoicie w oczach Boga Miłości. I niektórzy z nas - ci, którzy nigdy nie pojęli, że ratunek tkwi w Złotym Środku - rzuceni zostają na łaskę żywiołu z jedną tylko szansą. To się zdarza.
Wokół nas kłębiły się opary i mój jednorożec wlókł się tuż przy mnie, jakiś mniejszy, niemal zalękniony. Wkraczaliśmy do królestwa, którego nie rozumiał, w którym jego magia była bezużyteczna. Było to królestwo leżące tak całkowicie poza zdolnością pojmowania nawet stworzeń otchłani - takich jak mój jednorożec - tak całkowicie obce dla wędrowców strefy pośredniej - Lizetty i mnie - że byliśmy w nim tak samo bezsilni i tak samo mało z niego rozumieliśmy, jak ci, którzy należą do świata żywych. Mieliśmy tylko jedną przewagę nad żyjącymi, oddychającymi, jak dotąd nieumarłymi ludźmi: wiedzieliśmy na pewno, że to królestwo po tamtej stronie rzeczywiście istnieje.
W górze, poza, głębiej: tam, gdzie żyją bogowie. Gdzie żyje ten, który dał mi tę szansę, który dał szansę Lizetcie. Tam, skąd On niewątpliwie nas obserwuje.
Opary kłębiły się wokół nas tak przygnębiające i ostateczne, jak pył grobowców faraonów.
Brnęliśmy przez nie w kierunku pulsującego serca błękitnego światła. I wszedłszy do przedostatniego kręgu zatrzymaliśmy się. Znaleźliśmy się w zewnętrznym pierścieniu potężnej siły i widzieliśmy stąd wysłanników zaświatów, którzy przybyli po Lizettę. Leżała na ołtarzu z kryształu, naga i drżąca. Stali wokół niej kolosalnie wysocy i przezroczyści. Ludzkie postacie bez twarzy. W ich przejrzystych kształtach, jak dym ze świętych kadzielnic, wirowała dziwna, srebrzysta mgła. Tam, gdzie u człowieka, czy ducha powinny znajdować się oczy, unosiły się w tej mgle migotliwe, roziskrzone ćmy, poruszające się bez ustanku, zmieniające kształt i położenie. Oczu nie było. I byli wysocy, bardzo wysocy, górowali nad Lizettą i ołtarzem.
Dla mnie, przesadnie poświęconego miłości, gdy nadejdzie świt bez ocalenia, będzie tylko wieczna tułaczka z mym jednorożcem, jako jedynym towarzyszem. Duch już na wieczność. Zniknie na zawsze kadzidlana chimera, jaką byłem idąc ulicami miasta - widoczna jako drżący tuman kurzu na horyzoncie. Odejdzie na zawsze, stanie się niewidzialna, zagubiona, pusta, bezsilna, nieustająca w wędrówce.
Ale jej, pustemu naczyniu, pisany był los zupełnie inny. Uwięzionej w kamieniu w dzień, uwalnianej nocą, Bóg Miłości dał jej czas na wędrówki. Dał jej ostatnią szansę. I jeśli jej nie wykorzysta, stanie się ofiarą tych demonów - bogów samych w sobie... innego rzędu... wyższego czy niższego - nie miałem pojęcia. Ale straszliwych.
- Lagniappe! - wykrzyknąłem to słowo. Stare francuskie słowo, którego używają w Nowym Orleanie, gdy chcą otrzymać więcej czegoś, dokładki, paru dodatkowych marchewek wrzuconych do torby na zakupy, większej porcji małży, krabów, czy krewetek - Lagniappe! Lizetto, proś o zwłokę! Spróbuj to wyprosić! Spróbuj... zażądaj jej... jest jeszcze czas... należy ci się... zapłaciłaś... i ja zapłaciłem... jest nasz... spróbuj!
Usiadła. Jej nagie ciało oświetlały migotliwe ognie koszmarnego, niebieskiego chłodu z tamtej strony. Usiadła i patrzyła na mnie przez wewnętrzny krąg, a ja stałem tam z wyciągniętymi przed siebie ramionami, usiłując rozpaczliwie przedostać się do niej przez krąg zewnętrzny. Ale był on dla mnie nie do przebycia i nie mogłem go sforsować. Nie stanowił on żadnej przeszkody tylko dla dziewic.

A oni jej nie puszczą. Obiecano im strawę i przybyli tu, aby się posilić. Wybuchnąłem płaczem, tak jak wtedy, gdy dotarł do mnie sens słów teściowej, jak wtedy, gdy wróciłem do pustego mieszkania i uświadomiłem sobie, że przetrwoniłem swe życie za dużo kochając, żądając zbyt wiele – ja, gość za stołem, z którego uprzątnięto właśnie wszystkie opróżnione przeze mnie naczynia i który już nigdy nie zostanie nakryty. Chciała przyjść do mnie, widziałem, że chciała do mnie przyjść. Ale oni nie zrezygnują ze swego posiłku.

I wtedy poczułem na karku dotyk zimnego pyska mojego jednorożca. Odwróciłem się, a on jednym krokiem przestąpił barierę, która była dla mnie nieprzenikniona, przeszedł przez krąg, stanął i czekał. Lizetta zeskoczyła z ołtarza i podbiegła do mnie.

To wszystko odbyło się jednocześnie. Poczułem, jak ciało Lizetty przywiera do mojego, ujrzeliśmy mojego jednorożca stojącego tam, po drugiej stronie i przez chwilę nie mogliśmy się zdobyć na właściwą reakcję, prawidłowy dźwięk. Wiedzieliśmy po raz pierwszy w życiu, czy też w śmierci każdego z nas, co to znaczy być sparaliżowanym. Potem, fala za falą, zaczęła powracać mi... nam... zdolność reagowania: kaskada radości z faktu, że Lizetta przyszła do... nas; niewysłowiona miłość do tej duchowej istoty – Paula; świadomość, że cząstka nas wpada instynktownie w te same schematy; strach, że ta cząstka nas w tym mistycznym zespoleniu będzie znów zbyt bardzo kochać; decyzja powściągnięcia naszej miłości; a potem cierpienie na widok naszego jednorożca stojącego tam i czekającego na wchłonięcie.

Wołaliśmy go... jego sekretnym imieniem, którego nigdy nie wymawialiśmy głośno. Ledwie dobywaliśmy głosu. Coś ściskało krtań Paula, nasze krtanie.

– Stary przyjacielu...

Postąpiliśmy krok w jego kierunku, ale na przeszkodzie stanęła nam bariera. Lizetta tuliła się do mnie. Paul przyciskał mnie mocno do siebie, a ja drżałem z trwogi i zimna tamtego wewnętrznego kręgu, który wciąż jeszcze przenikał mrozem me ciało.

Wielcy, przezroczyści wysłannicy zaświatów stali w milczeniu obserwując nasze rozterki, czekając, dając nam jak gdyby tych kilka chwil na podjęcie ostatecznej decyzji. Ale w powietrzu dawała się wyczuć ich niecierpliwość – cichy pomruk, jakim śmierć rzęzi w gardle kota.

– Wracaj! Nie dla mnie... nie rób tego dla mnie... to nie fair!

Jednorożec Paula odwrócił łeb i spojrzał na nas.

Mój przyjacielu bezgwiezdnych nocy, podczas których żeglowaliśmy razem poprzez ciemność. Mój przyjacielu, który towarzyszyłeś mi w nie mających końca obchodach pustych miejsc. Mój przyjacielu łagodnego usposobienia, który byłeś do mnie tak przywiązany. Do chwili spotkania Lizetty, mój przyjacielu, mój jedyny przyjacielu, wyznaczony do uciążliwego zadania, który mnie pokochałeś i do którego należałem, tak jak ty należałeś do mnie.

Nie mogłem znieść bólu, jaki narastał w mych piersiach, w mym żołądku; moja głowa była w ogniu, oczy piekły mnie od łez ronionych najpierw nad Paulem, a teraz nad najsłodszym stworzeniem, jakie bóg kiedykolwiek zesłał dla złagodzenia ludzkiego cierpienia... dla mnie. Nie mogłam znieść myśli, że nigdy nie zaznam tak jak dane to było Paulowi – cichego towarzystwa tego łagodnego, magicznego zwierzęcia.

Odwrócił się i podszedł do nich, a oni uznali to za ostateczną decyzję i wielkie, przezroczyste demony otoczyły go ciasnym kołem, ich szybkie, zwinne ręce sięgnęły w dół, żeby go dotknąć i przez chwilę trwali tak jakby się wahając, a ja krzyknąłem:

– Nie bój się... – i mój jednorożec odwrócił łeb, żeby po raz ostatni spojrzeć poprzez mgłę magicznej mocy i spostrzegłem, że się boi, ale nie tak, jak by się bał, gdyby mnie tam nie było.

Potem pierwszy z nich dotknął jego gładkiego, srebrzystego boku, a on wydał drżące westchnienie bólu. Zmarszczka przebiegła po jego grzbiecie. Nie był to szybki ruch ciała dla opędzenia się od muchy, ale zupełnie obcy, nienaturalny skurcz – zawierający w swej szybkości całe cierpienie i żal za traconą wiecznością. Z piersi jednorożca Paula wyrwało się westchnienie, chociaż on go wcale nie wydał.

Czuliśmy ten ból, to osamotnienie. Mojemu jednorożcowi nie pozostało już nic czasu. To był koniec. Wszystko się teraz na zawsze dla niego kończyło. Był ze mną, wędrował ze mną i stworzony był do opieki nade mną aż do czasu, kiedy zwolniony zostanie z tego obowiązku przez tego specjalnego boga. Ale teraz nie miało już być dla niego wolności. To był koniec. Dotykały go już wszystkie wielkie, przezroczyste demony. Patrzyliśmy, jak ich lodowe palce gładzą jego ciepłą grzywę. Lizetta skryła twarz na piersiach Paula. Przez ciało mego jednorożca przebiegały jedna za drugą barwy, jak gdyby przez przybrania cieplejszego koloru miał on nadzieję złagodzić mroźny dotyk demonów. Pulsujące fale tęczowych barw żyły przez kilka chwil w jego grzywie, potem bladły, znowu jaśniały i w końcu zamierały. Potem wszystkie te barwy znikły, jedna po drugiej. Tęcza przygasła: purpurowy błękit, fiolet magnezowy, protest, błękit kobaltowy, wątpliwość, przywiązanie, zieleń chromowa, żółć chromowa, sienna naturalna, zaduma, purpura alizarynowa, ironia, srebro, upór, litość, czerwień kadmowa, biel.

Wyssali go... nie opierał się im... stygł i stygł... przebłyski żółci, poszept bladego jak biel dotyku... dreszcze zlewające się w jedno nieustanne drżenie... przewracające się w cierpieniu cudowne, złociste oczy tracące swą barwę, zachodzące mgłą, metal bez połysku... pokrywające się rdzą platynowe kopyta... a on stoi tam, nie próbując ucieczki, poświęcając się za nas... wysysany. Ze wszystkiego. Potem, tak jak przez demony, mogliśmy widzieć przez niego na wskroś. Jeszcze przez chwilę w migoczącej, przezroczystej jak przydymione szkło powłoce kłębiły się opary... potem nie było już nic. Oni wchłonęli nawet tę powłokę.

Mroźna, błękitna poświata bladła i demony nikły z naszych oczu, rozpływając się w powietrzu. Dym w ich wnętrznościach zdawał się gęstnieć, poruszały się wolniej, straszliwie, jakby ociężali po obfitym posiłku i odeszli z powrotem przez granicę do ciemnego miejsca, gdzie będą czekać, wciąż czekać, aż znowu obudzi się w nich głód. I nie było już mojego jednorożca. Zostałem sam z Lizettą. Zostałam sama z Paulem. Mgła rozwiała się, demony odeszły i gdy pierwsze promienie porannego słońca utorowały sobie drogę poprzez gąszcz nagrobków, znowu był to tylko cmentarz.

Staliśmy razem jak jedno Nagie ciało, białe i dziewicze, w mych znużonych ramionach. I gdy padło na nas światło słoneczne, zaczęliśmy znikać, stapiać się. Mieszały się jedno z drugim nasze ciała i nasze wędrujące dusze, tworzył się jeden duch, który nigdy nie będzie kochał za bardzo ani za mało, wykorzystawszy szansę na stoku.

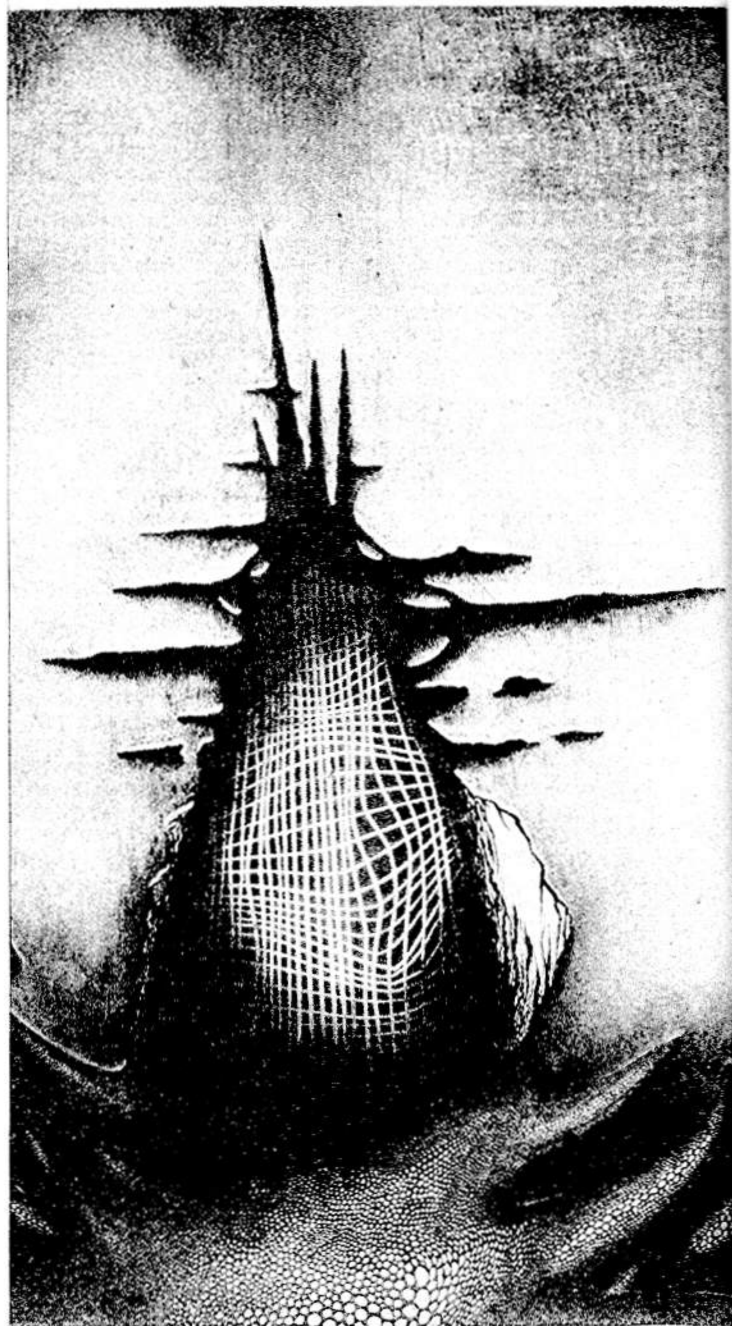
Zniknęliśmy. Niewiedzialni, uniesieni ledwie wyczuwalnym tchnieniem dobrego Boga, który nas posiadł, zabrani stamtąd. Żeby odrodzić się jako jedna dusza w jakiejś innej ludzkiej istocie – w mężczyźnie czy kobiecie – nie wiedzieliśmy w kim. I nie będziemy niczego pamiętali, bo też nie ma to żadnego znaczenia.

Tym razem miłość nas nie zniszczy. Odtąd będzie sprzyjało nam szczęście.

Szczęście jedwabistej grzywy, tęczowych barw, platynowych kopyt i spiralnego rogu.

Przełożył **Jacek Manicki**

M. Gołędzinowski



skiego, upłynęło sporo czasu, zanim Hilvar, pomimo znajomości biologii, rozpoznał typ organizmu, z którym mieli do czynienia. Nie była to pojedyncza istota; w dialogu, który z nimi prowadziła, zawsze mówiła o sobie „my". W rzeczywistości nie była niczym innym, jak kolonią niezależnych stworzeń organizowanych i kontrolowanych przez nieznane siły.

Bardzo podobne zwierzęta - na przykład meduzy - ozdabiały niegdyś oceany Ziemi. Niektóre z nich osiągały duże rozmiary, ciągnąc na długości pięćdziesięciu, czy nawet stu stóp za swymi przezroczystymi korpusami warkocze parzących macek. Ale żadne z nich, poza umiejętnością reagowania na proste bodźce, nie przejawiały najmniejszego przebłysku inteligencji.

Tutaj mieli na pewno do czynienia z inteligencją, choć była to inteligencja upadająca, zdegradowana. Alvin miał nigdy nie zapomnieć tego nieziemskiego spotkania, podczas którego Hilvar składał powoli ze strzępów historię Mistrza, proteinowy polip szukał po omacku słów, ciemne wody jeziora z pluskiem omywały ruiny Shalmirane, a trójoki robot obserwował ich swym nieruchomym wzrokiem.

Arthur C. Clarke

Miasto i gwiazdy

Przełożył Jacek Manicki

Arthur Charles Clarke

jeden z najwybitniejszch autorów science fiction, twórca ponad czterdziestu książek fantastyczno-naukowych, urodził się w roku 1917 w Minehead koło Somerset w Anglii. W czasie drugiej wojny światowej był oficerem RAF-u, brał udział w pracach nad konstrukcją urządzeń radarowych. Po roku 1945 studiował fizykę i matematykę w Londynie, był zastępcą naczelnego redaktora „Science Abstracts". W roku 1950 rzucił pracę poświęcając się całkowicie działalności pisarskiej i publicystycznej. Pisał artykuły, nowele o tematyce SF, od 1954 r. interesował się fotografią podwodną. Przygotowując książkę na ten temat wyjechał do Australii prowadząc badania Wielkiej Rafy Koralowej. W roku 1956 osiedlił się na Ceylonie, gdzie mieszka po dzień dzisiejszy. Tu też napisał wiele artykułów popularnonaukowych z zakresu elektroniki, astronomii, matematyki, astronautyki i futurologii. (Już w 1945 r. opracował A. Clarke techniczne założenia projektu telewizji satelitarnej). Swoje prace zamieszczał przeważnie na łamach „Readers Digest", „Harper's", „New York Timesa".

Pierwsze nowele o tematyce SF publikował Clarke w latach 40-tych na łamach brytyjskiego magazynu „Fantasy". Wkrótce potem, w roku 1946 debiutował opowiadaniem „Rescue Party" w amerykańskim czasopiśmie „Astounding" prowadzonym przez Johna Campbella Jr. Jego pierwszą powieścią fantastyczno-naukową była – rozpoczęta w roku 1937, lecz ukończona dopiero po drugiej wojnie światowej – „Against teh Fall of Night". W latach 1948–1963 wydaje Clarke kilka następnych powieści SF: „The City and the Stars" (1948), „The Lion of Comarre" (1949), „Childhood's End" (1950), „Prelude to Space" (1950), „Snads of Mars" (1950), „Islands in the Sky" (1952), „Earthlight" (1955), „The Deep Range" (1957), „A Fall of Moondust" (1961), „Dolphin Island" (1963). W roku 1968, na podstawie noweli „The Sentinel" zostaje zrealizowana słynna „2001: Odyseja kosmiczna" („2001:A Space Odyssey", reż. Stanley Kubrick), która zdaniem wielu krytyków okazała się „najambitniejszym i najbardziej udanym pod względem technicznym filmem fantastyczno-naukowym, jaki kiedykolwiek powstał". (Film ten wyświetlany był również w Polsce w latach 70-tych.) A. Clarke, zachęcony niebywałym sukcesem tej superprodukcji, opracowuje jej wersję powieściową „A Space Odyssey" (1968).

W latach 1968–1979 autor „The Sentinel" publikuje kolejne powieści: „Rendez vous with Rama" (1973), „Impenal Earth" (1976), „The Fountains of Paradise" (1979). W roku 1982, w Londynie, ukazuje się druga część „Odysei kosmicznej" zatytułowana „2010 – Odyssey Two" (zob. recenzję tej książki zamieszczoną w 6(9) numerze „Fantastyki").

W roku 1956 autor „Earthlight", członek wielu towarzystw naukowych, otrzymał nagrodę Hugo Gernsbacka za opowiadanie „The Star", a w roku 1972 „Nebulę" za opowiadanie „A Meeting with Medusa". Do roku 1983 książki A. Clarke'a zostały przetłumaczone na ponad 30 języków świata. Jego powieść „Rendez vous with Rama" została uhonorowana aż trzykrotnie: w roku 1974 nagrodą „Hugo", w 1973 – „Nebulą", a w 1974 – „John Campbell Memorial Award".

W Polsce ukazały się jak dotychczas następujące przekłady Clarke'a: „Zdobywamy Księżyc" (1957), „Piaski Marsa" (1958), „Tajemnice koralowej rafy" (1962), „Wyspy na niebie" (1963), „Kowboje oceanu" (1972), „Spotkanie z Ramą" (1978). Opowiadania tego autora były ponadto przedrukowywane w wielu antologiach SF, m.in. w „Rakietowych szlakach" (1958; wyd. 2, skrócone – 1978) i „Krokach w nieznane" (tom 3,5,6), ukazywały się również na łamach „Problemów".

A.N.

Większa część cielska stwora pozostała pod wodą; wynurzył się tylko na dziesięć stóp ponad powierzchnię. Cały potwór mierzył sobie około pięćdziesięciu stóp długości i nawet ktoś nie mający żadnego przygotowania z zakresu nauk biologicznych zorientowałby się, że coś jest z nim nie w porządku. Budową swoją przywodził na myśl niedbałą, niezwykłą improwizację, jak gdyby elementy składowe jego cielska wytworzone zostały w pośpiechu bez jakiejkolwiek myśli przewodniej i pozlepiane z grubsza, gdy zaistniała tego potrzeba.

Pomimo rozmiarów stwora i swych początkowych wątpliwości ani Alvin, ani Hilvar nie odczuwali najmniejszej obawy, przyjrzawszy się dobrze mieszkańcowi jeziora. Stworzenie to miało w sobie tyle ujmującej niezgrabności, że było wprost niemożliwe spodziewać się z jego strony poważnego zagrożenia, nawet gdyby istniały powody, aby przypuszczać, że może być niebezpieczne. Rasa ludzka już dawno przezwyciężyła swój dziecinny lęk przed czymkolwiek o obcym wyglądzie. Ten strach nie mógł przetrwać po pierwszym kontakcie z przyjaznymi, pozaziemskimi rasami.

– Pozwól, że ja się tym zajmę – powiedział spokojnie Hilvar. – Umiem postępować ze zwierzętami.

– Ależ to nie jest zwierzę – wyszeptał w odpowiedzi Alvin. – Jestem pewien, że to istota inteligentna i że do niej należy ten robot.

– To ona może należeć do robota. W każdym razie jej mentalność musi być bardzo dziwna. Wciąż nie wykrywam żadnego rodzaju myśli. Hej – co się dzieje?

Potwór nie zmienił pozycji, w której spoczywał na krawędzi wody i w której utrzymanie wkładał najwyraźniej sporo wysiłku, ale pośrodku trójkąta wyznaczanego przez oczy, zaczęła się tworzyć półprzezroczysta membrana – membrana, która łopotała i drżała i nagle wydobył się z niej słyszalny dźwięk. Był to niski, donośny bełkot nie układający się w żadne zrozumiałe słowa, chociaż stało się oczywiste, że stwór chce do nich przemówić.

Trudno było patrzeć na tę desperacką próbę porozumienia się. Przez kilka minut wysiłki stworzenia spełzały na niczym; potem, zupełnie nagle, uświadomiło sobie chyba, że popełniło jakiś błąd. Łopocząca membrana skurczyła się, a częstotliwość emitowanych przez nią dźwięków skoczyła o kilka oktaw w górę i znalazła się w spektrum normalnej mowy ludzkiej. Poczęły padać zrozumiałe już słowa, nadal jednak przeplatane bełkotem, jak gdyby stwór przypominał sobie dopiero słownictwo, które znał dawno temu, ale przez dłuższy okres czasu go nie używał.

Hilvar starał się mu pomóc, jak mógł.

– Teraz cię rozumiemy – powiedział wolno i wyraźnie. – Czy możemy ci w czymś pomóc? Widzieliśmy światło, które wysłałeś. Sprowadziło nas tutaj z Lys.

Na dźwięk słowa „Lys" stwór zdał się opaść z sił, jak gdyby spotkało go jakieś wielkie rozczarowanie.

– Lys – powtórzył za Hilvarem. Nie mógł sobie poradzić z „s" i słowo to w jego wykonaniu zabrzmiało jak „Lyd". – Zawsze Lys. Nikt więcej nie przychodzi. Wołamy Wielkich, ale oni nas nie słyszą.

– Kto to są Wielcy? – spytał Alvin pochylając się z ożywieniem do przodu. Delikatne, nieustające w ruchu wici zafalowały szybciej wskazując na niebo.

– Wielcy – powtórzył stwór. – Z planet wiecznego dnia. Oni przyjdą. Mistrz nam obiecał.

Niczego to nie wyjaśniało. Zanim Alvin przystąpił do zadawania dalszych pytań, wtrącił się Hilvar. Jego indagacje były tak cierpliwe, tak spokojne i tak wnikliwe, że Alvin, pomimo rozsadzającej go niecierpliwości, wolał mu nie przerywać. Wzbraniał się przyznać, że Hilvar przewyższa go inteligencją, ale nie ulegało wątpliwości, że jego umiejętność postępowania ze zwierzętami rozciąga się nawet na tę fantastyczną istotę. Co więcej, ona udzielała mu odpowiedzi. Jej wymowa stawała się, w miarę postępującej konwersacji, wyraźniejsza i chociaż z początku jej odpowiedzi były szorstkie, prawie niegrzeczne, to teraz lody zostały przełamane i stwór coraz chętniej odpowiadał na stawiane mu pytania.

Alvin stracił zupełnie poczucie upływu czasu przysłuchując się, jak Hilvar składa po kawałku niewiarygodną historię. Nie mogli dowiedzieć się całej prawdy; wciąż pozostawało dużo miejsca na przypuszczenia i domysły. Tymczasem stwór zaczął zmieniać swój wygląd. Osunął się w wody jeziora, a jego krótkie nogi, na których się wspierał, zdawały się zlewać z resztą cielska. Naraz zaszła jeszcze bardziej niezwykła zmiana; trzy ogromne ślepia zamknęły się powoli, skurczyły do rozmiarów główek od szpilki i zanikły zupełnie. Odnosiło się wrażenie, że stwór zobaczył wszystko, co chciał zobaczyć i oczy przestały mu być potrzebne.

Zachodziły też ciągle jeszcze inne, bardziej subtelne przemiany i w końcu nad powierzchnią wody pozostała tylko wibrująca błona, za pośrednictwem której przemawiał stwór. Bez wątpienia i ona, kiedy przestanie być potrzebna, rozpuści się w oryginalną, bezpostaciową masę protoplazmy.

Alvinowi trudno było uwierzyć, że inteligencja może zamieszkiwać tak niestabilną formę – ale największe zdziwienie miało dopiero nastąpić. Chociaż oczywiste było, iż stwór nie jest pochodzenia ziem-

pomyślał Alvin. – „A Najeźdźcy?"). – Nie wykrywam tu żadnego rodzaju myśli, ale czuję, jak byśmy nie byli sami. To bardzo dziwne.

Ruszyli z powrotem w kierunku fortecy, mając ciągle w pamięci odgłos tego jednostajnego, przytłumionego pulsowania. Alvin miał wrażenie, że tajemnica nakłada się na tajemnicę i że, pomimo swoich wysiłków, oddala się coraz bardziej od zrozumienia prawd, których szukał.

Niewielka była nadzieja, że ruiny coś im powiedzą, ale przetrząsali dokładnie zwały gruzu i wielkie stosy kamieni. Tutaj być może znajdowały się groby maszyn – maszyn, które tak dawno temu wywiązały się z postawionego przed nimi zadania. Byłyby teraz bezużyteczne, pomyślał sobie Alvin, gdyby Najeźdźcy powrócili. Dlaczego nigdy nie wrócili? Ale to była jeszcze jedna zagadka; miał ich już dosyć do rozwiązywania – nie czas teraz szukać dalszych.

Kilka jardów od jeziora natknęli się na niewielką, nie zawaloną gruzem przestrzeń. Porośnięta była chwastami, ale te poczerniały już i uschły od żaru lejącego się z nieba i kiedy się do nich zbliżali, rozsypywały się na popiół plamiąc im nogi smugami węgla drzewnego. Pośrodku tego placyku stał metalowy trójnóg zakotwiczony pewnie do podłoża i przytrzymujący okrągłą obręcz. Oś obręczy, nachylona pod kątem, celowała w niebo. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że obręcz niczego nie otacza; potem, gdy Alvin przyjrzał się jej uważniej, zauważył, że jest ona wypełniona zwiewną mgiełką, która czając się na granicy widzialności męczyła oko patrzącego. To był żar energii i z tego urządzenia, w co teraz nie wątpił, pochodziła eksplozja światła, która zwabiła ich do Shalmirane.

Nie ryzykowali zbliżenia się i obserwowali maszynę stojąc w bezpiecznej odległości. Byli na właściwym tropie; teraz pozostaje tylko stwierdzić, kto – czy też co – ustawiło tutaj ten aparat i jakie mogło być jego przeznaczenie. Ta nachylona obręcz była najwyraźniej wycelowana w Kosmos. Czyżby błysk, który obserwowali w nocy, był rodzajem sygnału? To przypuszczenie niosło ze sobą zapierające dech w piersiach implikacje.

– Alvinie – powiedział nagle Hilvar cichym, ale ponaglającym głosem – mamy gościa.

Alvin odwrócił się na pięcie i znalazł oko w oko z trzema pozbawionymi powiek ślepiami. Takie było przynajmniej pierwsze wrażenie: potem, za wytrzeszczonymi ślepiami dostrzegł zarysy małej, ale skomplikowanej maszyny. Unosiła się w powietrzu, kilka stóp nad ziemią i nie była podobna do żadnego znanego mu robota.

Gdy tylko minęło pierwsze zaskoczenie, poczuł się panem sytuacji. Całe życie wydawał rozkazy maszynom, a że ta nie była mu znana, nie miało tu żadnego znaczenia. Przecież nigdy nie widział na oczy więcej niż kilka procent robotów zaspokajających jego codzienne potrzeby w Diaspar.

– Umiesz mówić? – spytał.

Zapadła cisza.

– Czy ktoś tobą steruje?

Nadal cisza.

– Odejdź. Przyjdź. Wznieś się. Opuść się.

Żaden z konwencjonalnych rozkazów nie wywołał najmniejszej reakcji. Maszyna pozostawała pogardliwie bierna. Sugerowało to dwie możliwości. Albo była zbyt mało inteligentna, aby go zrozumieć, albo bardzo inteligentna z możliwością dokonywania wyboru i kierowania się własną wolą. W tym drugim przypadku musi traktować ją jak równą sobie. Nawet i tego może być za mało – ale przecież jej nie urazi; próżność nie jest wadą często spotykaną u robotów.

Widząc oczywistą klęskę Alvina, Hilvar nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Miał mu właśnie sugerować inny sposób porozumienia się z maszyną, lecz słowa uwięzły mu w gardle. Cisza Shalmirane zmącona została złowieszczym i zupełnie wyraźnym dźwiękiem – bulgotem wody ustępującej wielkiemu cielsku wynurzającemu się z toni jeziora i ściekającej z niego kaskadami.

Po raz drugi od chwili opuszczenia Diaspar Alvin zapragnął znaleźć się z powrotem w domu. Potem przypomniał sobie, że nie jest to nastrój, w którym spotyka się przygodę i ruszył wolno, ale stanowczo w stronę jeziora.

Wynurzający się spod ciemnej wody stwór przypominał potworną karykaturę robota, który wciąż poddawał ich milczącym oględzinom, tyle że zbudowaną z żywej materii. Ten sam układ oczu rozmieszczonych w wierzchołkach równobocznego trójkąta nie mógł być żadnym zbiegiem okoliczności; odtworzone nawet zostało z grubsza rozmieszczenie macek i krótkich, zaopatrzonych w stawy kończyn. Na tym jednak podobieństwo się kończyło. Robot nie posiadał, bo prawdopodobnie jej nie potrzebował, falbany delikatnych, pierzastych wici, które u jego ożywionej kopii smagały wodę w jednostajnym rytmie, a także wielu krótkich i grubych nóg, na których bestia gramoliła się na brzeg oraz otworów oddechowych, jeśli takimi one były, sapiących teraz nierówno w rozrzedzonej atmosferze.

Miasto, niczym skrzący się klejnot spoczywało na łonie pustyni. Kiedyś zmieniało się i przekształcało, ale teraz Czas je omijał. Noc na przemian z dniem wstawały nad powierzchnią pustyni, ale na ulicach Diaspar trwało wieczne popołudnie, a ciemności nie zapadały tu nigdy. Długie, zimowe noce pokrywały pustynię szronem zamarzniętych resztek wilgoci rozrzedzonej atmosfery Ziemi, ale miasto nie znało ani upału, ani chłodu. Nie miało żadnego kontaktu ze światem zewnętrznym; było wszechświatem samo w sobie.

Ludzie budowali kiedyś miasta, nigdy jednak takiego jak to. Jedne przetrwały wieki, inne tysiąclecia, zanim Czas zatarł nawet ich nazwy. Tylko Diaspar rzuciło wyzwanie Wieczności osłaniając siebie i wszystko, czemu udzieliło schronienia przed powolnym działaniem wieków, przed spustoszeniem i rozkładem, przed zniszczeniami, jakich dokonywała rdza.

Od czasów powstania miasta wyschły oceany Ziemi i pustynia ogarnęła cały glob. Wiatry i deszcze starły na pył ostatnie góry, a świat był już zbyt znużony, aby wydać z siebie nowe. Miasta to jednak nie wzruszało; mogła rozsypać się w proch cała Ziemia, a Diaspar wciąż będzie chroniło dzieci swych budowniczych, unosząc je i ich skarby z prądem rzeki czasu.

Ludzie dużo zapomnieli, chociaż nie zdawali sobie z tego sprawy. Byli tak idealnie przystosowani do swego środowiska, jak ono przystosowane było do nich – bo i oni i ono stworzeni zostali dla siebie. Nie obchodziło ich, co znajduje się poza murami miasta; było to coś, co wymazano z ich świadomości. Diaspar było wszystkim, co dla nich istniało, wszystkim, czego potrzebowali, wszystkim, co mogli sobie wyobrazić. Nic nie znaczyło dla nich, że Człowiek panował kiedyś nad gwiazdami.

Czasami jednak odżywały starożytne mity i wtedy, na wspomnienie legendy o Imperium, o czasach, kiedy Diaspar było młode i czerpało swe soki żywotne z kontaktu z wieloma słońcami, ogarniał ich niepokój. Nie chcieli powrotu tamtych dni, bo zadowoleni byli ze swej wiecznej jesieni. Chwała Imperium należała do przeszłości i tam powinna pozostać, ponieważ pamiętali, jaki koniec je spotkał i na samą myśl o Najeźdźcach przenikał ich do głębi dreszcz samego kosmosu.

Wracali zatem do spokoju i ciepła miasta, do długiego złotego wieku, którego początki zaginęły gdzieś w pomroce dziejów, a którego koniec był jeszcze odleglejszy. O takich czasach marzyli i inni ludzie, ale tylko im dane było ich dożyć.

Mieszkali przecież w tym samym mieście, przechadzali się tymi samymi, cudownie niezmiennymi ulicami, podczas gdy w świecie zewnętrznym przeminęło już ponad tysiąc milionów lat.

Rozdział 1

Wydostanie się z Pieczary Białych Robaków zajęło im wiele godzin. Nawet teraz nie byli całkowicie pewni, czy nie ściga ich jeden z tych bladych potworów – a energia ich broni znajdowała się już niemal na wyczerpaniu. Unoszące się przed nimi w powietrzu świetlne strzałki, będące ich tajemniczymi przewodniczkami przez labirynty Kryształowej Góry, zachęcały wciąż do dalszej wędrówki. Nie mieli innego wyjścia, niż podążać ich śladem, chociaż, jak już wiele razy przedtem, mogły prowadzić ich na spotkanie jeszcze groźniejszego niebezpieczeństwa.

Alvin obejrzał się, aby sprawdzić, czy nikt się nie zgubił. Tuż za nim szła Alystra niosąc kulę zimnego, ale płonącego wiecznie światła, które od samego początku ich przygody wyłuskiwało z mroków takie okropności i takie piękno. Blade, białe promieniowanie zalewało wąski korytarz i rozbryzgiwało się na

wszystkie strony padając na połyskliwe ściany. Dopóki nie wyczerpie się jego energia, będą widzieli dokąd idą i zdołają wykryć wszelkie widzialne niebezpieczeństwa. Ale największe zagrożenie w tych jaskiniach – Alvin wiedział o tym aż nazbyt dobrze – stanowiły wcale nie te widzialne niebezpieczeństwa.

Za Alystrą, uginając się pod ciężarem swych projektorów, szli Narillian i Floranus. Dlaczego te projektory są tak ciężkie, przemknęło przez myśl Alvinowi, jeśli tak łatwo można by je wyposażyć w neutralizatory grawitacji? Zawsze zastanawiały go takie szczegóły, nawet w ferworze najbardziej dramatycznych przygód. Gdy nawiedzały go takie myśli, wydawało mu się, że przez mgnienie oka drga w posadach gmach rzeczywistości i poza światem zmysłów dostrzega wtedy inny, całkowicie odmienny wszechświat...

Korytarz kończył się ślepą ścianą. Czyżby strzałka znowu ich oszukała? Nie – na ich oczach skała zaczęła rozsypywać się w pył. Przewiercała się przez nią wirująca metalowa włócznia powiększając się gwałtownie do rozmiarów gigantycznego świdra. Alvin z przyjaciółmi cofnęli się czekając aż maszyna przebije się do pieczary. Z ogłuszającym metalicznym jazgotem – który z pewnością musiał rozchodzić się echem po wszystkich zakamarkach Góry, budząc ze snu całe jej koszmarne plemię! – machina przewierciła ścianę i zatrzymała się tuż przy nich. Otworzyły się masywne drzwi i pojawił się w nich Callistron ponaglając ich krzykiem do pośpiechu. („Dlaczego Callistron? – pomyślał Alvin – „Co on tu robi?"). W chwilę później byli już bezpieczni, a maszyna ruszyła zrywem naprzód rozpoczynając podróż w głąb Ziemi.

Przygoda była skończona. Niedługo, tak jak zawsze, znajdą się w domu i cała cudowność, strach i podniecenie pozostaną poza nimi. Byli zmęczeni i zadowoleni.

Z pochyłości podłogi Alvin zorientował się, że podziemny pojazd kieruje się w dół, do wnętrza ziemi. Callistron wiedział przypuszczalnie, co robi i była to droga, która z pewnością zaprowadzi ich do domu. Jednak to chyba szkoda...

– Callistronie – odezwał się nagle Alvin – dlaczego nie posuwamy się w górę? Nikt nie wie, jak naprawdę wygląda Kryształowa Góra. Może byśmy tak przebili się na powierzchnię gdzieś na jej zboczu, żeby zobaczyć niebo i całą otaczającą ją krainę. Już wystarczająco długo przebywamy pod ziemią.

Mówiąc jeszcze te słowa, zorientował się, że popełnił gafę. Alystra wydała zduszony okrzyk, wnętrze podziemnej łodzi zafalowało, jak oglądany pod wodą obraz i przez jej metalowe ściany Alvin zobaczył znowu na mgnienie oka inny świat. Te dwa światy zdawały się ścierać ze sobą. Najpierw górę brał jeden, potem drugi. I nagle było po wszystkim. Nastąpiło uczucie pękania, rozdzierania... i sen się skończył. Alvin był z powrotem w Diaspar, w swym własnym znajomym pokoju, i unosił się w powietrzu na stopę, czy dwie nad podłogą, chroniony przez pole grawitacyjne przed bolesnym kontaktem z twardą materią.

Był znowu sam. To była rzeczywistość i wiedział dokładnie, co się za chwilę wydarzy.

Pierwsza pojawiła się Alystra. Była bardziej zmartwiona niż rozzłoszczona, gdyż bardzo kochała Alvina.

– Och, Alvinie! – żaliła się, patrząc na niego ze ściany, na której się zmaterializowała. – To była tak podniecająca przygoda! Dlaczego musiałeś ją popsuć?

– Przepraszam. Nie chciałem... Wydawało mi się, że to dobry pomysł...

Przerwało mu jednoczesne pojawienie się Callistrona i Floranusa.

– Słuchaj no, Alvin – zaczął Callistron. – Już trzeci raz przerywasz Sagę. Wczoraj zburzyłeś sekwencję chcąc wspiąć się na górę w Dolinie Tęczy, a przedwczoraj popsułeś wszystko usiłując cofnąć się do Punktu Początkowego w strumieniu czasu, który badaliśmy. Jeśli nie zaczniesz przestrzegać reguł gry, będziesz musiał chodzić sam.

Zniknął rozwścieczony pociągając za sobą Floranusa. Narillian wcale się nie zjawił; miał prawdopodobnie powyżej uszu całej tej historii. Na ścianie pozostał tylko obraz Alystry, spoglądającej smutnie z góry na Alvina.

Alvin przechylił pole grawitacyjne, wstał i podszedł do zmaterializowanego przez siebie stołu. Na blacie pojawiła się misa pełna egzotycznych owoców – nie było to pożywienie, jakiego oczekiwał, ale w ogarniającym go zakłopotaniu nie potrafił się skupić. Nie chcąc przyznać się do błędu, wziął najmniej niebezpiecznie wyglądający z owoców i zaczął go ostrożnie ssać.

– No więc – odezwała się w końcu Alystra – co teraz zamierzasz?

– Nic na to nie mogę poradzić – odparł Alvin nieco nadąsany. – Uważam, że reguły są głupie. Poza tym, jak mam je pamiętać, kiedy przeżywam Sagę? Zachowuję się w sposób, który wydaje mi się naturalny. A ty nie chciałaś zobaczyć góry?

– Ależ to piękne! – szepnął Alvin. – Co to może być?

– Przypomina mi to jakiś rodzaj reflektora.

– Ale jest takie czarne!

– Pamiętaj, że tylko dla naszych oczu. Nie wiemy, z jakiego promieniowania korzystali.

– Ale na pewno musi tu być coś więcej! Gdzie jest forteca?

Hilvar wskazał na jezioro.

– Przypatrz się uważnie – powiedział.

Alvin utkwił wzrok w falującej tafli jeziora starając się zgłębić tajemnice, jakie kryło w swych odmętach. Z początku nie widział nic; potem na płyciznach blisko brzegu dostrzegł nikłą siateczkę światła i cienia. Po chwili odróżniał już wzór ciągnący się w kierunku środka jeziora, dopóki jego szczegółów nie skryła głębsza woda.

To ciemne jezioro pochłonęło fortecę. W jego głębinach leżały ruiny potężnych niegdyś budowli, powalonych przez czas. Jednak nie wszystko zagarnęła woda. Po przeciwległej stronie krateru Alvin zauważył teraz rumowisko kamieni i wielkich bloków, które musiały niegdyś tworzyć część masywnych murów. Omywały je fale jeziora, ale poziom wody nie podniósł się jeszcze na tyle, aby przypieczętować swoje zwycięstwo.

– Obejdziemy jezioro naokoło – odezwał się cicho Hilvar, jak gdyby ta majestatyczna ruina wzbudziła w jego duszy nabożną cześć. – Być może znajdziemy coś w tych gruzach.

Przez pierwszych kilkaset jardów ściany krateru były tak strome i gładkie, że trudno się było wyprostować, ale po chwili dotarli do łagodniejszych zboczy i dalej szli już bez trudności. W pobliżu jeziora, gładka ebonitowa nawierzchnia pokryta była cienką warstwą gleby, którą musiał tu nanieść przez wieki wiatr wiejący od Lys.

Ćwierć mili dalej, jak rozrzucone w nieładzie zabawki dziecka olbrzyma, spoczywały spiętrzone jeden na drugim tytaniczne kamienne bloki. Można było jeszcze rozpoznać fragment masywnego muru; dwa rzeźbione obeliski wyznaczały coś, co kiedyś mogło być bramą. Wszystko porastały mchy i pnącza i maleńkie, karłowate drzewka. Ciszy nie mącił nawet wiatr.

I tak Alvin z Hilvarem dotarli do ruin Shalmirane. Na te mury szturmowała potęga, która mogła zetrzeć na pył cały świat, a jednak poniosła klęskę. To spokojne, błękitne niebo bluzgało niegdyś ogniami wydartymi z serc słońc, a pod furią tych, którzy nimi władali musiały chwiać się jak żywe góry Lys.

Nikt nigdy nie zdobył Shalmirane, ale ta niezdobyta forteca w końcu padła – padła zniszczona przez cierpliwe macki bluszczu, generacje ryjących ślepo robaków i podnoszące się wolno wody jeziora.

Ogarnięci nabożną czcią dla jej majestatu, Alvin z Hilvarem szli w milczeniu w kierunku kolosalnej ruiny. Zagłębili się w cień pękniętego muru i znaleźli się w kanionie, którego ściany tworzyły zwały kamieni. Przed nimi rozpościerało się jezioro. Podeszli tak blisko brzegu, że woda sięgała im prawie do stóp. Na wąskim skrawku brzegu załamywały się bez końca maleńkie, nie wyższe niż kilka cali, fale.

Pierwszy odezwał się Hilvar, a mówił głosem tak niepewnym, że Alvin spojrzał nań ze zdziwieniem.

– Jest tu coś, czego nie rozumiem – powiedział powoli Hilvar. – Nie ma wiatru, skąd więc te zmarszczki na wodzie? Powierzchnia jeziora powinna być idealnie gładka.

Zanim Alvin zdążył zastanowić się nad odpowiedzią, Hilvar położył się na ziemi i zanurzył prawe ucho w wodzie. Alvin zdziwił się z początku, co przyjaciel ma nadzieję odkryć w takiej dziwnej pozycji, ale po chwili uświadomił sobie, że Hilvar nasłuchuje. Z pewnym ociąganiem, ponieważ nie odbijające światła wody jeziora nie wyglądały szczególnie zachęcająco, Alvin poszedł na przykładem Hilvara.

Pierwszy szok przy zetknięciu się z zimną wodą trwał tylko sekundę; gdy minął, Alvin usłyszał słabiutkie, ale wyraźne, jednostajne, rytmiczne pulsowanie. Wydawało mu się, że gdzieś z oddali, z głębin jeziora dochodzi jego uszu bicie gigantycznego serca.

Otrząsnęli włosy z wody i spojrzeli na siebie w milczeniu. Żaden nie chciał pierwszy wyrazić słowami swoich myśli: to jezioro było żywe.

– Najlepiej będzie – odezwał się wreszcie Hilvar – jeśli przeszukamy te ruiny i będziem; s' ; trzymali z dala od jeziora.

– Sądzisz, że tam na dnie coś jest? – spytał Alvin wskazując na zagadkowe fale wciąż załamujące się na ich stopach. – Czy to może być niebezpieczne?

– Czy to może być niebezpieczne?

– Nic, co jest obdarzone umysłem, nie jest niebezpieczne – odparł Hilvar. („Czy aby na pewno?" –

prostym korytem, aby można je uznać za całkowicie naturalne i trzymając się jej brzegu mogli uniknąć przedzierania się przez gęste zarośla. Nawet Alvin, dla którego wszystko było ciągle nowe, wyczuwał, że ten las ma w sobie coś fascynującego, coś czego brakowało mniejszym, bardziej swojskim lasom północnego Lys. Wiele drzew najwyraźniej nie pochodziło z Ziemi, a prawdopodobnie nawet z Układu Słonecznego. Gigantyczne sekwoje, wysokie na trzysta lub czterysta stóp wyglądały jak strażniczki pilnujące mniejszych drzew. Kiedyś nazywano je najstarszymi na Ziemi: nadal były nieco starsze od Człowieka.

Rzeka stawała się coraz szersza; rozlewała się co chwila w małe jeziorka, na których kotwiczyły mikroskopijne wysepki. Nad powierzchnią wody uwijały się jaskrawo ubarwione owady.

Pod wieczór ujrzeli przed sobą góry. Rzeka pełniąca dotąd sumiennie rolę przewodnika toczyła teraz leniwie swe wody, jak gdyby również spodziewała się rychłego końca swej podróży. Zdawali sobie jednak jasno sprawę, że nie dotrą do gór przed zmrokiem, na długo przed zachodem słońca w lesie zrobiło się tak ciemno, że dalszy marsz był niemożliwy.

Alvin z Hilvarem rozbili na noc obóz pod niebotyczną sekwoją, której najwyższe konary skąpane były jeszcze w promieniach słońca.

Kiedy zaszło wreszcie niewidoczne słońce, na rozkołysanych wodach marudziło jeszcze światło. Dwaj badacze, za jakich się teraz uważali, a zresztą takimi też byli – leżeli w gęstniejącym mroku wpatrując się w rzekę i rozmyślając o wszystkim, co widzieli. Alvin stwierdził, że ogarnia go to samo uczucie przyjemnego wyczerpania, które poznał po raz pierwszy poprzedniej nocy i poddał mu się bez oporu. Zasypiając zdążył jeszcze pomyśleć, kto ostatni szedł tą drogą i jak dawno temu to było.

Kiedy zostawili za sobą las i stanęli wreszcie przed górską ścianą Lys, słońce stało już wysoko. Przed nimi teren wznosił się stromo falami nagiej skały ku niebu. Tutaj rzeka kończyła swój bieg tak samo widowiskowo, jak go zaczynała, gdyż na jej drodze otwierała się ziemia i masy wody rycząc znikały w tej czeluści z oczu. Alvin był ciekaw, co się z nią dalej dzieje i przez jakie podziemne groty przepływa, zanim z powrotem ujrzy światło dzienne. Być może gdzieś tam głęboko istnieją nadal utracone oceany Ziemi, a ta starożytna rzeka wciąż podąża za wzywającym ją zewem morza.

Hilvar stał przez chwilę wpatrzony w ogromny wir. Potem wskazał na górską przełęcz.

– Shalmirane leży w tamtym kierunku – powiedział pewnie. Alvin nie pytał go, skąd to wie; zakładał, że umysł Hilvara nawiązał kontakt z umysłem jakiegoś odległego o wiele mil przyjaciela i informacja, o którą prosił została mu bezgłośnie przesłana.

Dotarcie do przełęczy nie zajęło im zbyt dużo czasu i kiedy ją minęli, ich oczom ukazał się niezwykły płaskowyż o lekko wygiętym obrzeżu. Alvin nie odczuwał teraz ani zmęczenia, ani strachu – tylko napiętą nadzieję i przeczucie zbliżającej się przygody. Nie miał pojęcia, co tu odkryje, ale w to, że coś odkryje ani przez chwilę nie wątpił.

W miarę zbliżania się do wierzchołka, natura terenu zmieniała się gwałtownie. Niższe partie zboczy pokrywał porowaty kamień wulkaniczny, spiętrzony tu i ówdzie w wielkie hałdy żużla. Teraz pod nogami mieli twarde, szkliste tafle, gładkie i zdradliwie śliskie, jak gdyby skała spływała tu kiedyś z góry roztopionymi strumieniami.

Hilvar dotarł pierwszy do krawędzi płaskowyżu. Alvin dogonił go kilka sekund później i stanął bez słowa u boku przyjaciela. Stali nie na skraju płaskowyżu, którego się spodziewali, ale na krawędzi gigantycznej niecki, głębokiej na pół mili i o średnicy trzech mil. Teren przed nimi opadał stromo, aby przy dnie doliny powrócić powoli do poziomu i wznieść się ponownie coraz to stromiej po jej przeciwległej stronie. Najniżej położoną część niecki zajmowało okrągłe jezioro, którego powierzchnią wstrząsały nieustanne spazmy.

Chociaż dzień był słoneczny, całe wielkie zagłębienie sprawiało wrażenie ebonitowoczarnego Alvin z Hilvarem nie potrafili rozpoznać materiału, z jakiego utworzony był krater, ale jego czarna barwa przywodziła na myśl skałę świata, który nigdy nie oglądał światła słonecznego. Nie było to jednak wszystko, gdyż u ich stóp leżała szeroka na jakieś sto stóp, jednolita wstęga metalu otaczająca pierścieniem cały krater, zmatowiała na skutek niezmierzonego wieku, ale wciąż nie wykazująca śladu korozji.

Gdy ich oczy przywykły do tej nieziemskiej panoramy, Alvin z Hilvarem zdali sobie sprawę, iż czerń niecki nie była tak idealna, jak zrazu myśleli. Tu i ówdzie, tak krótkotrwałe, że można je było tylko zauważyć patrząc bezpośrednio na nie, w ebonitowych ścianach rozbłyskiwały eksplozje światła. Migotały w sposób nieuporządkowany, gasnąc tak szybko, jak się zapalały, jak odbicia gwiazd na wzburzonym morzu.

Oczy Alystry rozszerzyły się w przerażeniu.

– To oznaczałoby wyjście na zewnątrz! – wykrztusiła.

Alvin wiedział, że przeciąganie tej rozmowy jest bezcelowe. To tu właśnie wznosiła się bariera, oddzielająca go od wszystkich ludzi jego świata, co mogło go skazać na życie w ciągłej frustracji. Zawsze – zarówno w rzeczywistości, jak i w marzeniach – pragnął wydostać się na zewnątrz. Jednak to „na zewnątrz" było dla wszystkich w Diaspar koszmarem, któremu nie byli w stanie stawić czoła. Jeśli można było tego uniknąć, nie mówili nawet o tym; było to w ich odczuciu coś nieczystego i diabelskiego. Nawet Jeserac, jego nauczyciel, nie potrafił wyjaśnić mu dlaczego...

Alystra wciąż patrzyła nań zasmuconym, ale czułym wzrokiem.

– Jesteś nieszczęśliwy, Alvinie – odezwała się po pewnej chwili. – Nikt w Diaspar nie powinien być nieszczęśliwy. Pozwól mi przyjść. Porozmawiamy.

Alvin pokręcił nieelegancko głową. Wiedział, czym by się to skończyło, a teraz właśnie pragnął być sam. Alystra, podwójnie rozczarowana, znikła rozpływając się w powietrzu.

W mieście, w którym żyło dziesięć milionów istot ludzkich, nie było nikogo, z kim mógłby szczerze porozmawiać. Eriston i Etania lubili go nawet na swój sposób, ale teraz, kiedy minął już okres opiekuńczy, byli chyba szczęśliwi opuszczając go, aby sam kształtował swoje rozrywki i życie. Przez ostatnie kilka lat, kiedy jego odchylenie od standardowego wzorca stawało się coraz bardziej oczywiste, wyczuwał często zatroskanie swych rodziców, graniczące ze złością. Nie na niego, ale na pech, że z tylu milionów mieszkańców miasta właśnie oni zostali wybrani, aby go powitać, gdy dwadzieścia lat temu wychodził z Sali Tworzenia.

Dwadzieścia lat. Pamiętał swe pierwsze chwile i słowa, które wtedy usłyszał:

– Witaj, Alvinie. Jestem Eriston, wyznaczony ci na ojca, a to Etania, twoja matka. – Te słowa nic wtedy nie znaczyły, ale jego mózg zarejestrował je z bezbłędną wiernością. Pamiętał, jak spojrzał wtedy w dół, na swe ciało; było teraz o cal czy dwa wyższe, ale poza tym mało się zmieniło od dnia narodzin. Przyszedł na świat niemal dorosły i niewiele się zmieni, nie licząc wzrostu, gdy za tysiąc lat nadejdzie czas, aby odejść.

Przed tym pierwszym wspomnieniem nie było nic. Pewnego dnia, być może, znowu przyjdzie nicość, ale ta myśl była zbyt odległa, aby wywołać w nim jakiekolwiek uczucia.

Jeszcze raz wrócił myślami do tajemnicy swych narodzin. Alvina nie dziwiło, że mógł być stworzony w jednej chwili przez moce i siły, które materializowały wszelkie przedmioty otaczające go w codziennym życiu. Nie, to nie to było tajemnicą. Zagadką, której nie potrafił dotąd rozwikłać i której nikt nigdy mu nie wyjaśnił była jego odmienność.

Odmieniec. Dziwaczne, smutne słowo. Smutno i dziwacznie było kimś takim być. Kiedy określano go tym przydomkiem – co robiono często, gdy sądzono, że tego nie słyszy – wydawało mu się, że wyczuwa w nim jakieś ukryte, złowieszcze znaczenie, które zagraża nie tylko jego szczęściu.

Jego rodzice, jego nauczyciel, wszyscy starali się ukryć przed nim prawdę, usiłując chyba ocalić w ten sposób beztroskę jego dzieciństwa. Pozory szybko znajdują swój kres; za kilka dni będzie dojrzałym obywatelem Diaspar i nic, czego zapragnie się dowiedzieć, nie będzie mogło być przed nim ukrywane.

Dlaczego, na przykład, nie nadawał się do wspólnego przeżywania Sag? Z tysięcy form rozrywek dostępnych w mieście były one najpopularniejsze. Biorąc udział w Sadze nie było się jedynie pasywnym obserwatorem, jak miało to miejsce w prymitywnych widowiskach z zamierzchłych czasów. Było się aktywnym ich uczestnikiem, kierującym się – tak się przynajmniej wydawało – własną wolą. Zdarzenia i sceneria przeżywanych przygód były wcześniej wyreżyserowane przez zapomnianych już artystów, ale pozostawili oni wystarczająco dużo swobody dla inwencji uczestników. Można więc było udawać się w te widmowe światy z przyjaciółmi w poszukiwaniu wrażeń, które były nie do pomyślenia w Diaspar i tak długo, jak długo trwał sen, nie sposób było odróżnić go od rzeczywistości. A zresztą, któż mógł mieć pewność, że samo Diaspar nie było takim snem?

Nikt do tej pory nie zdołał wykorzystać wszystkich Sag, ułożonych i zarejestrowanych od początku istnienia miasta. Oddziaływały one na wszystkie emocje i odznaczały się nieskończenie różnorodną subtelnością. Jedne, popularne zwłaszcza wśród ludzi bardzo młodych, stanowiły nieskomplikowane teatry przygody i łatwych do rozwikłania intryg. Inne sprowadzały się po prostu do badania stanów psychicznych, jeszcze inne były ćwiczeniami w logice i matematyce i dostarczały najwyższej rozkoszy bardziej wyrafinowanym umysłom.

Chociaż Sagi zdawały się zadowalać jego towarzyszy, to Alvinowi pozostawało po nich uczucie nieokreślonego niedosytu. Pomimo całej barwności wywoływanego przez nie podniecenia, mimo zmieniających się, jak w kalejdoskopie, scenerii i tematów, czegoś mu w nich brakowało.

Sagi – zdecydował – nigdzie w rzeczywistości nie przenoszą. Osnute są zawsze na tak wąskiej kanwie. Nie ma w nich wielkiej wiedzy, żadnego z rozległych krajobrazów, do jakich tęskniła jego dusza. A przede wszystkim, nie ma w nich nigdy cienia bezmiaru, w którym naprawdę miały miejsce bohaterskie wyczyny starożytnego człowieka – świetlistej pustki pomiędzy gwiazdami i planetami. Artyści, którzy układali Sagi, byli zarażeni tą samą dziwną fobią, jaka była udziałem wszystkich mieszkańców Diaspar. Nawet te ich zastępcze przygody musiały rozgrywać się za zamkniętymi drzwiami, w podziemnych grotach, albo w kształtnych małych dolinkach, otoczonych ze wszystkich stron wysokimi górami odcinającymi je od reszty świata.

Istniało tylko jedno wyjaśnienie tego stanu rzeczy. Dawno temu, może zanim jeszcze położono kamień węgielny pod fundamenty Diaspar, wydarzyło się coś, co nie tylko zniszczyło ciekawość i ambicję Człowieka, ale też zepchnęło go z gwiazd z powrotem do domu, aby kulił się tu szukając schronienia w maleńkim, zamkniętym światku ostatniego istniejącego miasta na Ziemi. Człowiek wyrzekł się Wszechświata i powrócił do sztucznego łona Diaspar. Palący, niepohamowany pęd, który pchał go niegdyś ku granicom Galaktyki i ku mglistym wyspom poza nią, zamarł. Od niezliczonych eonów żaden statek nie wleciał do Układu Słonecznego. Gdzieś tam, pośród gwiazd, potomkowie Człowieka mogli nadal budować Imperia i niszczyć słońca – Ziemia ani o tym nie wiedziała. ani jej to nie interesowało. Ziemi – nie. Ale interesowało Alvina.

Rozdział 2

W pokoju było ciemno. Jarzyła się tylko jedna ściana, na której pod wpływem snutych przez Alvina marzeń pojawiały się i gasły fale barw. Część kompozycji zadowalała go; zakochał się w konturach niebotycznych gór wynurzających się z morza. W tych stromych zarysach tkwiła jakaś duma i potęga; przyglądał im się przez dłuższy czas, po czym wprowadził je do jednostki pamięci wizualizera, gdzie zostaną przechowane na czas, gdy będzie eksperymentował z resztą obrazu. Coś mu się wymykało, chociaż nie wiedział co. Wielokrotnie próbował zapełnić puste obszary odczytywanymi i materializowanymi na ścianie przez urządzenie pomysłami przesuwającymi mu się przez mózg. Nic mu nie wychodziło. Linie były drżące i niepewne, kolory brudne i matowe. Jeśli artysta nie wie, czego chce, nawet najcudowniejsze narzędzia w tym go nie wyręczą. Alvin skasował swoje nieudolne gryzmoły i gapił się posępnie na nie zapełniony w trzech czwartych prostokąt, który usiłował ożywić pięknem. Tknięty nagłym impulsem, podwoił wymiary istniejącej kompozycji i przesunął ją na środek. Nie – to nie było rozwiązanie. Wyważenie całości szwankowało. Gorzej – powiększenie ujawniło nowe defekty. Brak było pewności w tych, na pierwszy rzut oka, śmiałych liniach. Trzeba zacząć wszystko od początku.

– Całkowite wymazanie – polecił maszynie. Błękit morza zbladł, góry rozpłynęły się, jak mgła i w końcu pozostała tylko pusta ściana. Tak, jak gdyby w ogóle ich nie było – jak gdyby zapadły się w otchłań zapomnienia, które pochłonęło wszystkie morza i góry Ziemi na wieki przed narodzinami Alvina.

Światło zaczęło z powrotem zalewać pokój i jasny prostokąt, na którym Alvin wyświetlał swe marzenia, zlewał się z wolna z otoczeniem, by po chwili upodobnić się do pozostałych ścian. Ale czy to były ściany? Dla kogoś, kto by znalazł się tu po raz pierwszy, pokój wydawałby się osobliwy. Nie stał w nim ani jeden mebel, przez co odnosiło się wrażenie, że Alvin unosi się w środku kuli. Nie widać było żadnych linii załamania płaszczyzn w miejscach, gdzie ściany przechodziły w sufit i podłogę. Nie było w nim niczego, na czym mogłoby spocząć oko; otaczająca Alvina przestrzeń mogła mieć równie dobrze dziesięć stóp, jak i dziesięć mil średnicy. Tyle tylko można było stwierdzić posługując się zmysłem wzroku. Trudno było oprzeć się pokusie ruszenia przed siebie z wyciągniętymi rękoma, celem odkrycia fizycznych granic tego niezwykłego pomieszczenia.

Takie jednak pokoje były „domem" większości przedstawicieli rasy ludzkiej przez większą część jej dziejów. Alvinowi wystarczyło tylko sformułować odpowiednią myśl i ściany staną się oknami wychodzącymi na tę część miasta, którą by chciał oglądać. Następne życzenie, i maszyny, których nigdy nie widział, zapełnią pomieszczenie wszelkimi sprzętami, jakich w danej chwili potrzebował. Fakt, czy były one „prawdziwe", czy nie, interesował w ciągu ostatniego miliarda lat kilku zaledwie ludzi. Pewnie były one nie mniej rzeczywiste niż cały świat materialny, ale kiedy przestawały być potrzebne, można je było zwrócić widmowemu światu banków pamięci miasta. Jak wszystko w Diaspar, nigdy się one nie zużyją i nie zmienią nigdy, o ile rozmyślnym aktem woli nie zostaną skasowane ich przechowywane tam matryce.

Alvin zrekonstruował już częściowo swój pokój, gdy w uszach rozbrzmiał mu natarczywy dźwięk dzwonka. Wysłał w odpowiedzi sformułowany w myśli sygnał i ściana, na której przed chwilą tworzył,

– Nie wiem; może tylko mi się przyśniło.

Zapadła cisza, podczas której dwie pary oczu wpatrywały się w noc usiłując przeniknąć jej tajemnice. Nagle Hilvar chwycił Alvina za ramię.

– Patrz! – wyszeptał.

Daleko na południu, zbyt nisko nad linią horyzontu, aby wziąć go za gwiazdę, jarzył się pojedyńczy, świetlisty punkt. Był jaskrawobiały, wpadający w fiolet i rozjarzał się coraz bardziej. Wkrótce oko nie mogło już znieść jego blasku. Po chwili eksplodował i wydawało się, że w krawędź świata uderzyła błyskawica. Góry i kraina, którą otaczały, wyryły się na chwilę ogniem na tle nocnych ciemności. O wiele później nadleciało echo odległego wybuchu i w lesie porastającym zbocze wzgórza zerwał się wiatr. Ucichł szybko i jedna po drugiej na niebo zaczęły z powrotem wypełzać gwiazdy.

Po raz drugi w swym życiu Alvin przeżył chwilę grozy. Nie był to strach tak osobisty i konkretny, jak w sali Ruchomych Dróg, kiedy podejmował decyzję, która przywiodła go do Lys. Może był to raczej zachwyt niż strach; stanął twarzą w twarz z nieznanym i wydawało mu się, iż czuje, że tam, za górami, znajduje się coś, z czym musi się spotkać.

– Co to było? – szepnął po chwili.

– Staram się dowiedzieć – odparł Hilvar i znowu zamilkł. Alvin domyślił się, co tamten robi i nie przeszkadzał przyjacielowi w jego niemym poszukiwaniu odpowiedzi.

Po chwili Hilvar parsknął z niezadowoleniem.

– Wszyscy śpią – powiedział. – Nikt nic nie wie. Musimy zaczekać do rana. Nie lubię budzić przyjaciół, o ile nie jest to naprawdę konieczne.

Po chwili milczenia Hilvar odezwał się znowu:

– Coś sobie właśnie przypomniałem – powiedział przepraszająco. – Dawno już tu nie byłem i nie jestem całkowicie tego pewien, ale to musiało być w Shalmirane.

– Shalmirane? To ono jeszcze istnieje?

– Tak. Prawie o tym zapomniałem. Seranis mówiła mi kiedyś, że forteca znajduje się w tej partii gór. Oczywiście leży od wieków w gruzach, ale może nadal ktoś ją zamieszkuje.

Shalmirane! Była to magiczna nazwa dla tych dzieci dwojga ras tak bardzo różniących się od siebie pod względem historii i kultury. W całych dziejach Ziemi nie było nic większego od obrony Shalmirane przed najeźdźcą, który podbił cały Wszechświat. Chociaż prawdziwe fakty zatarły się już we mgle tak grubą zasłoną spowijającą Wieki Zarania, to legenda przetrwała i trwać będzie nadal, dopóki istnieć będzie Człowiek.

W ciemnościach rozległ się znowu głos Hilvara.

– Więcej mogliby nam powiedzieć ludzie z południa. Mam tu kilku przyjaciół; porozumiem się z nimi rano.

Alvin ledwie go słyszał; zatopił się w myślach usiłując przypomnieć sobie wszystko, co kiedykolwiek słyszał o Shalmirane. Nie było tego wiele; po tak długim okresie czasu nikt nie potrafił oddzielić prawdy od legendy. Pewne było tylko, że Bitwa o Shalmirane wyznaczyła koniec podbojów Człowieka i początek jego powolnego upadku.

„Wśród tych gór" – myślał Alvin – „może leżeć odpowiedź na wszystkie, dręczące mnie od lat problemy".

– Ile czasu – zwrócił się do Hilvara – zajęłoby nam dotarcie do fortecy?

– Nigdy tam nie byłem, ale to dużo dalej niż zamierzałem się zapuścić. Wątpię, czy doszlibyśmy tam w ciągu jednego dnia.

– A nie możemy pojechać łazikiem?

– Nie; droga prowadzi przez góry, a tam nie mogą się poruszać żadne pojazdy.

Alvin znowu popadł w zadumę. Był zmęczony; od nadmiernego wysiłku bolały go stopy i mięśnie ud. Może odłożyć tę wyprawę na później? Tak, tylko to później może już nie nastąpić...

Alvin zmagał się z myślami w nikłym świetle gwiazd, z których wiele już umarło od czasu wzniesienia Shalmirane, i w końcu podjął decyzję. Nic się nie zmieniło; góry na nowo podjęły straż nad śpiącą krainą. Ale punkt zwrotny historii nadszedł i minął, a rasa ludzka zmierzała ku nowej, jakże dziwnej przyszłości.

Alvin z Hilvarem nie zasnęli już tej nocy i o świcie zwinęli obóz. Kiedy dotarli do skraju lasu, słońce stało już wysoko nad wschodnią ścianą Lys. Tutaj Natura była u siebie. Pośród gigantycznych drzew, które przesłaniały światło słoneczne i rzucały mroczne cienie na podściółkę dżungli, nawet Hilvar czuł się nieswojo. Na szczęście rzeka biorąca swój początek u stóp wodospadu płynęła na południe zbyt

– Ta część Lys była kiedyś zamieszkała – powiedział. – Nie wiem dlaczego została opuszczona, ale może pewnego dnia powrócimy tam. Teraz spotkać tam można tylko zwierzęta.

I rzeczywiście. Kraj leżący przed nimi nie nosił żadnych znamion ludzkiej działalności – nie dostrzegało się wyciętych w lesie polan, czy uregulowanych rzek, które świadczą o obecności Człowieka. Pozostał tylko jedyny dowód jego tam pobytu. W odległości wielu mil, jak ukruszony ząb, wystawała ponad dach lasu samotna biała ruina. Wszystko inne pochłonęła z powrotem dżungla.

Słońce kryło się za zachodnią ścianą Lys. Przez zapierający dech w piersiach moment dalekie pasmo gór zdawało się płonąć złocistym ogniem, potem kraina utonęła powoli w cieniu i zapadła noc.

– Powinniśmy to zrobić wcześniej – powiedział jak zawsze praktyczny Hilvar rozpakowując swój plecak. – Za pięć minut będzie ciemno choć oko wykol... i zimno. – Wzniósł nad głowę wysmukły trójnóg zakończony gruszkowatą bulwą i wydał w myśli jakiś rozkaz, którego Alvin nie odebrał. Ich małe obozowisko zalała nagle powódź światła i ciemności cofnęły się. Alvin poczuł, że gruszka oprócz światła emitowała również ciepło.

Niosąc w jednym ręku trójnóg, a w drugim swój plecak, Hilvar ruszył w dół zbocza, a Alvin podążył śpiesznie za nim, starając się utrzymać w kręgu światła. Wybrali miejsce na obóz w małej kotlince, kilkaset jardów poniżej szczytu wzgórza i przystąpili do rozpakowywania reszty ekwipunku.

Najpierw roztoczyli nad sobą wielką półkulę z niemal niewidocznego, ale sztywnego materiału, która osłoniła ich przed zrywającym się chłodnym wiatrem. Kopuła ta wytwarzana była przez małą skrzyneczkę, którą Hilvar położył na ziemi, a potem zignorował zupełnie. Być może wytwarzała też ona te wygodne, półprzezroczyste materace, na których Alvin wyciągnął się z taką przyjemnością.

Posiłek, który Hilvar wydobył ze swych bagaży był pierwszym syntetykiem, jaki Alvin jadł w Lys. Zasiedli do kolacji wśród zapadającej nocy i wschodzących gwiazd. Kiedy skończyli było już zupełnie ciemno, a poza kręgiem światła wysyłanym przez gruszkę, Alvin dostrzegał ruchliwe cienie leśnych stworzeń, które wyszły ze swych kryjówek na żer.

Leżeli na swych materacach i rozmawiali o tym, co widzieli, o tajemnicy, w którą byli uwikłani i o różnicach, jakie dzieliły ich dwie kultury. Hilvar był zafascynowany Układami Wieczności, które wyniosły Diaspar poza zasięg czasu i Alvinowi trudno było udzielać wyczerpujących odpowiedzi na niektóre z jego pytań. W końcu Hilvar powiedział:

– Jestem zmęczony. A ty... też pójdziesz spać?

Alvin rozcierał obolałe stopy.

– Chciałbym – odparł – ale nie wiem, czy potrafię zasnąć. Nie jestem do tego przyzwyczajony.

– To coś więcej niż przyzwyczajenie – uśmiechnął się Hilvar. – Słyszałem, że kiedyś była to dla każdego człowieka konieczność. My nadal lubimy się przespać przynajmniej raz na dobę, nawet jeśli miałyby to być tylko cztery godziny. Podczas snu odpoczywają ciało i umysł. Czy w Diaspar nikt nigdy nie śpi?

– Tylko w rzadkich przypadkach – odparł Alvin. – Jeserac, mój nauczyciel, robił to raz czy dwa po jakimś wyjątkowym wysiłku umysłowym. Dobrze zaprojektowane ciało nie powinno potrzebować takich okresów wypoczynku; skończyliśmy z tym miliony lat temu.

Jego zachowanie przeczyło jednak wypowiadanym właśnie słowom. Odczuł zmęczenie, jakiego nigdy dotąd nie zaznał; wydawało się promieniować od stóp i rozpływać po całym ciele. Nie było w tym uczuciu nic nieprzyjemnego – wręcz przeciwnie. Hilvar przyglądał mu się z uśmiechem i Alvin zdążył jeszcze pomyśleć, czy przyjaciel nie wypróbowuje czasem na nim potęgi swojego umysłu. Nawet jeśli tak było, to nie miał nic przeciwko temu.

Światło spływające z metalowej gruszki przygasło i Alvin zasnął.

Rozdział 12

Obudził się w środku nocy. Coś go zaniepokoiło, jakiś szept, który wciskał się w mózg pomimo nieustannego grzmotu wodospadu. Usiadł w ciemnościach i wstrzymawszy oddech wsłuchiwał się w dudniący ryk wody i cichsze, przerywane szmery powodowane przez nocne stworzenia.

Wytężał wzrok, ale nic nie widział. Światło gwiazd było zbyt nikłe, aby oświetlić połacie krainy leżącej setki stóp niżej; tylko postrzępiona linia ciemniejszej nocy przesłaniającej gwiazdy wskazywała na obecność gór na południowym horyzoncie. Poczuł w panujących ciemnościach, że Hilvar również siada na swym posłaniu.

– Co się stało? – doszedł go szept przyjaciela.

– Wydawało mi się, że coś słyszałem. Jakiś hałas.

– Jaki hałas?

rozpłynęła się po raz wtóry. Jak się tego spodziewał, stali tam jego rodzice z Jeseracem. Obecność nauczyciela świadczyła o tym, że nie jest to zwykłe spotkanie rodzinne.

Złudzenie ich obecności było doskonałe. W rzeczywistości, czego Alvin był zupełnie świadom, Eriston, Etania i Jeserac oddaleni byli o mile, ponieważ budowniczowie miasta tak samo pokonali przestrzeń, jak ujarzmili czas. Alvin nie wiedział nawet na pewno gdzie, pośród labiryntów Diaspar, mieszkają jego rodzice, gdyż przeprowadzili się po jego odejściu.

– Alvinie – zaczął Eriston. – Minęło już dwadzieścia lat od chwili, gdy wraz z twoją matką spotkaliśmy ciebie po raz pierwszy. Wiesz, co to oznacza. Nasza opieka nad tobą już się skończyła i możesz teraz robić, co chcesz.

W głosie Eristona dawał się wyczuć ślad, ale tylko ślad, smutku. Znacznie więcej było w nim ulgi, jak gdyby Eriston był zadowolony, że stan rzeczy, jaki istniał od pewnego czasu, został wreszcie prawnie zalegalizowany. Alvin cieszył się wolnością od paru dobrych lat.

– Rozumiem – odparł. – Dziękuję wam za opiekę i zapewniam, że będę o was pamiętał we wszystkich moich wcieleniach. – Była to formalna odpowiedź; słyszał ją już tyle razy, że wypłukało to ją z wszelkiego znaczenia. Jednak gdyby się nad nią zastanowić, to stwierdzenie „we wszystkich moich wcieleniach" było dziwną formułą. Alvin wiedział mgliście, co to znaczy; teraz jednak nadszedł czas, aby dowiedział się tego dokładnie. W Diaspar istniało wiele rzeczy, których nie rozumiał i których musiał się nauczyć w nadchodzących wiekach.

Przez chwilę wydawało mu się, że Etania też chce coś powiedzieć. Podniosła rękę, potem ją opuściła. Spojrzała bezradnie na Jeseraca i wtedy po raz pierwszy Alvin zdał sobie sprawę, że rodzice martwią się o niego. Przebiegł szybko pamięcią wypadki ostatnich tygodni. Nie, nie wydarzyło się ostatnio nic, co mogło tłumaczyć tę ledwie zauważalną niepewność, tę atmosferę niepokoju, która zdawała się otaczać Eristona i Etanię.

Jeserac zdawał się jednak panować nad sytuacją. Rzucił Eristonowi i Etanii pytające spojrzenie, upewnił się, że nie mają nic do dodania i rozpoczął mowę, na której wygłoszenie czekał od wielu lat.

– Alvinie – zaczął – przez dwadzieścia lat byłeś moim uczniem i zrobiłem, co było w mojej mocy, aby zapoznać cię z obyczajami panującymi w mieście i doprowadzić cię do tego dnia. Zadawałeś mi wiele pytań i nie na wszystkie potrafiłem udzielić ci odpowiedzi. Nie byłeś jeszcze gotów na dowiedzenie się o pewnych sprawach, a niektórych rzeczy sam nie wiedziałem. Twój okres niemowlęcy już się skończył, ale twoje dzieciństwo dopiero się zaczyna. Moim obowiązkiem jest nadal służyć ci radą, kiedy tylko będziesz jej potrzebował. Za dwieście lat, Alvinie, będziesz więcej wiedział o tym mieście i o jego historii. Ale nawet ja, który znajduję się u schyłku swego życia, nie widziałem nawet czwartej części Diaspar i nawet tysięcznej części jego bogactw.

Jak dotąd Jeserac nie mówił nic nowego, nie wypadało go jednak ponaglać. Starzec patrzył na Alvina poprzez przepaść wieków, jego słowa tchnęły nie dającą się ocenić mądrością, nabytą wskutek długiego kontaktu z ludźmi i maszynami.

– Powiedz mi, Alvinie – ciągnął Jeserac – czy zadawałeś sobie kiedykolwiek pytanie, co się z tobą działo, zanim się narodziłeś, zanim stwierdziłeś, że stoisz przed Eristonem i Etanią w Sali Tworzenia?

– Sądzę, że mnie przedtem nie było – że stanowiłem matrycę w mózgu miasta, czekając na odtworzenie... coś w tym rodzaju.

Obok Alvina zamajaczyło i zmaterializowało się niskie łóżko. Usiadł na nim i oczekiwał dalszych słów Jeseraca.

– Masz, oczywiście, rację – powiedział Jeserac. – Ale to jedynie część prawdy... bardzo mała część. Do tej pory przestawałeś jedynie ze swoimi rówieśnikami, a oni nie znają prawdy. Oni niedługo sobie ją przypomną, ale nie ty. Musimy więc przygotować cię na spojrzenie w oczy faktom.

Rasa ludzka, Alvinie, żyje w tym mieście od ponad tysiąca milionów lat. Był to nasz świat, od kiedy upadło Imperium Galaktyczne i Najeźdźcy powrócili do gwiazd. Poza murami Diaspar nie ma nic oprócz pustyni, jak głoszą nasze legendy.

Mało wiemy o swoich prymitywnych przodkach poza tym, że byli istotami żyjącymi bardzo krótko i że potrafili, chociaż może się to wydawać bardzo dziwne, reprodukować się bez pomocy jednostek pamięci czy organizatorów materii. W jakimś skomplikowanym i na pewno nie kontrolowanym procesie, podstawowe matryce każdej istoty ludzkiej przechowywane były w mikroskopijnych strukturach komórkowych, formujących się we wnętrzu organizmu. Jeśli cię to zainteresuje, więcej informacji na ten temat mogą ci udzielić biologowie, ale metoda ta nie ma już żadnego zastosowania, ponieważ zaniechano jej u zarania dziejów.

Istota ludzka, jak każdy inny obiekt materialny, definiowana jest przez swą strukturę – swoją matrycę. Matryca człowieka, a tym bardziej ta jej część, która zawiera w sobie informację o mózgu, jest nie-

bywale skomplikowana. Pomimo tego Natura potrafiła upakować tę matrycę w maleńkiej komórce - zbyt małej, aby można ją dostrzec gołym okiem.

Co potrafi Natura, potrafi również Człowiek. Nie wiemy, ile czasu pochłonęło rozwiązanie tego problemu. Może milion lat, ale cóż to znaczy? W końcu przodkowie nasi nauczyli się analizować i przechowywać informacje, które mogą zdefiniować i opisać istotę ludzką, oraz wykorzystywać te informacje do odtworzenia oryginału, tak jak ty odtworzyłeś przed chwilą ten tapczan.

Wiem, Alvinie, że interesują cię te sprawy, ale nie potrafię ci powiedzieć, jak to jest robione. Sposób przechowywania tych informacji nie ma tutaj żadnego znaczenia. Może ona przyjmować postać słów spisanych na papierze, zmiennych pól magnetycznych lub matryc utworzonych z ładunków elektrycznych. Ludzie korzystali z wszystkich tych metod przechowywania informacji i z wielu jeszcze innych. Wystarczy powiedzieć, że dawno temu stali się oni zdolni do przechowywania samych siebie lub, żeby być bardziej precyzyjnym, odcieleśnionych matryc, z których można ich z powrotem powołać do istnienia.

Tyle już wiesz. To jest sposób, w który nasi przodkowie dali nam potencjalną nieśmiertelność, unikając przy tym problemów związanych z abolicją śmierci. Tysiąc lat w jednym ciele, to wystarczająco długo dla każdego człowieka; pod koniec tego okresu jego mózg zapchany jest wspomnieniami, a on pragnie tylko odpoczynku - lub nowego poczęcia.

Wkrótce, Alvinie, gotów będę do opuszczenia tego życia. Muszę sięgnąć pamięcią wstecz, zredagować moje wspomnienia i skasować te, których nie chcę zachować. Potem wejdę do Sali Tworzenia, ale przez drzwi, których ty nigdy nie widziałeś. To stare ciało przestanie istnieć, przestanie istnieć świadomość. Z Jeseraca nie pozostanie nic, prócz galaktyki elektronów zastygłych w sercu kryształu.

Zasnę, Alvinie, i to zasnę bez snów. Potem, pewnego dnia, może za sto tysięcy lat, obudzę się w nowym ciele i spotkam tych, którzy zostaną wybrani na moich opiekunów. Będą się mną opiekować tak, jak Eriston z Etanią opiekowali się tobą, ponieważ zrazu nie będę wiedział nic o Diaspar i nie będę miał żadnych wspomnień o tym, kim byłem. Wspomnienia te powrócą z wolna pod koniec mojego okresu niemowlęctwa i na ich fundamencie budować zacznę swój nowy cykl egzystencji.

Taki jest szablon naszych wcieleń, Alvinie. Wszyscy byliśmy już tutaj wiele, wiele razy przedtem, chociaż obecna populacja nie powtórzy się już nigdy, ponieważ długość naszych okresów nieistnienia zmienia się zgodnie z prawami przypadku. Nowy Jeserac będzie miał nowych i innych przyjaciół i zainteresowania, ale stary Jeserac - tyle z niego, ile zechcę ocalić - będzie istniał nadal.

To jeszcze nie wszystko. W Diaspar żyje i spaceruje po jego ulicach tylko jedna setna jego mieszkańców. Ogromna większość drzemie w bankach pamięci czekając na sygnał, który ponownie powoła ich do istnienia. W ten sposób zachowujemy ciągłość, zapewniając jednocześnie zmianę, cieszymy się nieśmiertelnością nie popadając w stagnację.

Wiem, nad czym się teraz zastanawiasz, Alvinie. Chcesz wiedzieć, kiedy odzyskasz pamięć o swoich wcześniejszych wcieleniach tak, jak odzyskują ją już twoi towarzysze.

Ty nie masz takich wspomnień, bo jesteś Odmieńcem. Staraliśmy się ukrywać przed tobą ten fakt, na ile to było możliwe, aby na twoim dzieciństwie nie kładł się żaden cień - chociaż wydaje mi się, że już częściowo domyślasz się prawdy. Jeszcze pięć lat temu sami niczego nie podejrzewaliśmy, teraz nie ma już żadnych wątpliwości.

Swoją osobą, Alvinie, stanowisz coś, co w całym okresie istnienia Diaspar zdarzyło się zaledwie kilka razy. Być może spoczywałeś uśpiony w bankach pamięci przez wszystkie te wieki, a może zostałeś stworzony w wyniku jakiejś permutacji losowej dopiero dwadzieścia lat temu. Twoje pojawienie się mogło zostać zaplanowane na samym początku przez budowniczych miasta, a równie dobrze może ono być dziełem przypadku.

Nie wiemy tego. Wiadomo nam tylko, że ty, Alvinie, jako jedyny spośród rasy ludzkiej, nigdy przedtem nie żyłeś. Jesteś pierwszym od co najmniej dziesięciu milionów lat dzieckiem urodzonym na Ziemi w dosłownym tego słowa znaczeniu.

Rozdział 3

Po zniknięciu Jeseraca i rodziców, Alvin leżał przez dłuższy czas nieruchomo, starając się nie myśleć o niczym. Zamknął pokój wokół siebie, aby nikt nie mógł wyrwać go z transu.

Nie spał; sen był czymś, czego nigdy nie doświadczył, bo sen właściwy był światu dnia i nocy, a tutaj był tylko dzień. Mógł co najwyżej popaść w stan nieświadomości i chociaż nie było mu to naprawdę potrzebne, wiedział, że w ten sposób łatwiej uporządkuje swoje myśli.

Niewiele nowego się dowiedział. Już wcześniej domyślał się wszystkiego, co powiedział mu Jeserac. Ale czym innym były domysły, a czym innym pewność, którą teraz miał.

gącego Lys. Prawdziwe góry leżały za tymi wzgórzami, ale i te małe wzniesienia wywarły na Alvinie niezatarte wrażenie.

Łazik zatrzymał się w wąskiej, osłoniętej z obu stron dolinie, zalewanej jeszcze ciepłem i światłem chylącego się ku zachodowi słońca. Hilvar spojrzał na Alvina.

- Stąd musimy pójść pieszo - powiedział wyrzucając z pojazdu ekwipunek. - Dalej nie możemy już jechać.

Alvin rozejrzał się po otaczających ich wzgórzach, potem spojrzał na wygodny fotel, w którym siedział.

- A nie ma drogi okrężnej? - spytał bez wielkiej nadziei na twierdzącą odpowiedź.

- Oczywiście, że jest - odparł Hilvar - ale nie pojedziemy naokoło. Wejdziemy na szczyt. To będzie o wiele bardziej interesujące. Przełączę łazik na sterowanie automatyczne, tak żeby czekał na nas po drugiej stronie wzgórza, tam gdzie zejdziemy na dół.

Zdecydowany nie poddawać się bez walki, Alvin zdobył się na ostatnią próbę.

- Niedługo zapadnie zmrok - zaprotestował. - Nie zdołamy przebyć tej trasy przed zachodem słońca.

- Wiem o tym - odparł Hilvar z nadzwyczajną szybkością sortując pakunki i sprzęt. - Noc spędzimy na szczycie i skończymy wycieczkę rano.

Alvin dał za wygraną.

Hilvar pozapinał wszystkie taśmy plecaków, sprawdził, czy wszystko jest w porządku, po czym ruszyli wolno doliną. Obejrzawszy się za siebie, Alvin dostrzegł jeszcze ruszający do tyłu i znikający łazik; ciekaw był, ile jeszcze czasu upłynie, zanim będzie mógł znowu zasiąść w jego wygodnym fotelu.

Wspinaczka nie była mimo wszystko zbyt uciążliwa. Posuwali się częściowo zarośniętą ścieżką tracąc ją co chwila z oczu, ale Hilvar dobrze chyba znał drogę, bo szedł bez wahania naprzód, chociaż Alvin nie mógł czasem dostrzec jej śladu.

Po pół godzinie marszu pod górę, Alvin po raz pierwszy złowił uchem cichy, unoszący się w powietrzu pomruk. Nie potrafił umiejscowić źródła tego dźwięku, ponieważ dochodził on zewsząd. Nie ustawał ani na chwilę i przybierał wciąż na sile. Spytałby Hilvara, co to jest, ale wolał oszczędzać oddech.

Hilvar zlitował się nad nim, gdy pokonali już dwie trzecie wzniesienia i zarządził krótki odpoczynek. Przystanęli, opierając się o wychodzący na zachód nasyp. Pulsujący grzmot był teraz bardzo głośny i chociaż Alvin spytał o jego źródło Hilvara, ten wzbraniał się przed udzieleniem odpowiedzi. Gdyby powiedział Alvinowi, co ich czeka u celu wspinaczki, popsułby wszystko. Gdy ujrzeli wreszcie szczyt, Hilvar zdobył się na ostatni zryw i ruszył biegiem w górę zbocza. Alvin zdecydował zignorować to wyzwanie; dowlókł się noga za nogą na wierzchołek i zwalił wyczerpany na ziemię obok Hilvara.

Dopóki nie odzyskał tchu, nie był zdolny do podziwiania roztaczającego się stąd widoku i do szukania źródła nieustannego grzmotu, który wypełniał teraz powietrze. Przed nimi, poczynając od szczytu wzgórza, teren opadał stromo w dół - tak stromo, że po paru krokach przechodził w niemal pionowe urwisko. Z urwiska tego tryskała daleko wstęga wody, która wyginając się łukiem w powietrzu waliła w dół i roztrzaskiwała na dnie przepaści o skały. Tam ginęła, w mieniącej się wszelkimi kolorami tęczy mgiełce, a z otchłani dobiegał nieustanny dudniący grzmot odbijający się głuchym echem od wznoszących się z obu stron skalnych ścian.

Hilvar zatoczył ręką łuk opasujący cały horyzont.

- Stąd - powiedział podnosząc głos, aby być słyszanym poprzez grzmot wodospadu - widać całe Lys.

Alvin uwierzył mu. W kierunku północnym, mila za milą, ciągnął się las poprzecinany tu i ówdzie polanami, polami uprawnymi i wędrującymi nitkami rzek. Gdzieś w tej panoramie kryło się Airlee, ale próby jego odnalezienia skazane były z góry na niepowodzenie. Jeszcze dalej na północ drzewa i polany ustępowały miejsca zielonemu kobiercowi pomarszczonemu w wielu miejscach przez pasma wzgórz. A jeszcze dalej, ledwo widoczne, przypominające wał odległych chmur, wznosiły się góry oddzielające Lys od pustyni.

Widok na wschód i na zachód mało się różnił od widoku na północ, ale patrząc w kierunku południowym odnosiło się wrażenie, że góry odległe są o kilka zaledwie mil. Alvin widział je wyraźnie i teraz dopiero uświadomił sobie, że były daleko wyższe od wzgórza, na którym stali. Między górami, a miejscem, gdzie się znajdowali, leżała kraina o wiele dziksza od tej, którą podróżowali do tej pory. Wydawała się wyludniona i pusta, jak gdyby Człowiek nie mieszkał tutaj od wielu, wielu lat.

Hilvar odpowiedział na nieme pytanie Alvina.

Z początku sądził, że ludzie z Lys zapomnieli o energii i maszynach, na których opierało się całe życie w Diaspar, albo że w ogóle nigdy ich nie posiadali. Szybko przekonał się, iż był w błędzie. Istniały tu maszyny i wiedza o nich, ale korzystano z nich jedynie wtedy, gdy było to konieczne. Najjaskrawszym tego przykładem był system transportu, jeśli można go było w ogóle tak nazwać. Krótkie odległości ludzie pokonywali pieszo i zdawało się to sprawiać im przyjemność. Jeśli się spieszyli, albo mieli do przeniesienia mały bagaż, podróżowali na specjalnie do tego celu hodowanych zwierzętach. Do transportu towarów służyły im niskie, sześcionożne stworzenia, posłuszne i silne, ale mało inteligentne. Zwierzęta szybkie były przeważnie czworonogami, ale kiedy nabierały prędkości, używały tylko zadnich, potężnie umięśnionych kończyn. Mogły one w ciągu kilku godzin przebyć wszerz całe Lys, a pasażer podróżował w siodle przytroczonym do grzbietu zwierzęcia.

Te dwa gatunki zwierząt wystarczały do zaspokojenia wszystkich normalnych potrzeb. Kiedy jednak potrzebna była prawdziwie duża prędkość, albo zachodziła konieczność przetransportowania wielkich ładunków, bez wahania uciekano się wtedy do wykorzystania maszyn.

Najbardziej jednak interesowały Alvina dwie skrajności populacji ludzkiej. Bardzo młodzi i bardzo starzy – jedni i drudzy byli dlań równie obcy i intrygujący. Najstarszy mieszkaniec Airlee liczył sobie niespełna dwieście lat i niewiele mu pozostało życia. Alvin wiedział, że jego ciało w podobnym wieku niemal by się nie zmieniło – natomiast ten starzec wydał się całkowicie pozbawiony sił fizycznych. Włosy miał siwe, a twarz niewiarygodnie pomarszczoną. Większość czasu spędzał wygrzewając się na słońcu lub spacerując wolno po wiosce i wymieniając pozdrowienia z każdym, kogo spotkał. Alvin odnosił wrażenie, że człowiek ten jest całkowicie zadowolony ze swego losu, nie czepia się kurczowo życia i że nie przygnębia go zbliżający się koniec.

Dla wychowanego w Diaspar Alvina była to rzecz niepojęta. Jak można było akceptować śmierć, skoro była ona tak niepotrzebna, skoro można było żyć tysiąc lat, a potem przeskoczyć tysiąclecia i zacząć życie od początku. Trudno mu było uwierzyć, że Lys dokonało takiego wyboru z własnej, nieprzymuszonej woli, skoro wiedziało o istniejącej alternatywie.

Część odpowiedzi na to pytanie znalazł wśród dzieci, przez które został w końcu przyjęty jak przyjaciel i z którymi spędzał dużo czasu obserwując, jak się bawią.

Tak samo, jak Alvin obserwował Lys, tak i Lys obserwowało jego. Po trzech dniach pobytu w Airlee, Seranis zaproponowała mu dłuższą wycieczkę po swojej krainie. Przyjął propozycję bez namysłu, pod warunkiem jednak, że nie będzie musiał podróżować na jednym z szybkich zwierząt.

– To mogę ci obiecać – powiedziała Seranis z rzadkim u niej odcieniem wesołości. – Ponieważ jest to przypadek wyjątkowy, wystaram ci się o środek lokomocji, w którym będziesz czuł się bardziej swojsko. Twoim przewodnikiem będzie Hilvar, ale oczywiście możesz udać się gdzie chcesz.

Alvin doceniał gest Seranis, która oferowała mu na przewodnika własnego syna, chociaż bez wątpienia Hilvar otrzymał dokładne instrukcje na wypadek, gdyby Alvin zamierzał spłatać jakiegoś figla. Trochę czasu zajęło Alvinowi oswojenie się z powierzchownością Hilvara. Według norm Alvina był on szpetny i Alvin umyślnie go dotąd unikał. Jeśli nawet Hilvar domyślał się tego, to nie dawał niczego po sobie poznać i w końcu jego wdziek i ujmujący sposób bycia przełamały dzielącą ich barierę. Wkrótce Alvin nie mógł uwierzyć, że kiedykolwiek uznawał go za nieatrakcyjnego.

Wyruszyli z Airlee krótko po wschodzie słońca w małym pojeździe, który Hilvar nazywał łazikiem i który działał prawdopodobnie na tej samej zasadzie, co maszyna, która przywiozła Alvina z Diaspar. Pojazd płynął w powietrzu na wysokości kilku cali nad ziemią i chociaż nie widać było szyny prowadzącej, Hilvar twierdził, iż pojazdy te mogą się poruszać tylko po wcześniej wytyczonych trasach. Siecią takich tras połączone były wszystkie osiedla w Lys, ale podczas swego pobytu w Airlee, Alvin nie widział jeszcze podobnego łazika.

Hilvar włożył dużo wysiłku w przygotowanie wyprawy. Zamierzał podróżować tak daleko na południe, jak daleko zdoła przewieźć ich maszyna, a potem kontynuować wyprawę pieszo. Nie zdając sobie sprawy ze wszystkich implikacji, jakie pociągał za sobą ten plan, Alvin nie stawiał sprzeciwu.

Podróż przez Lys była dla Alvina jak sen na jawie. Maszyna sunęła cicho, jak duch, przez równiny i nie zbaczając o cal z niewidzialnego szlaku przemierzała gęste lasy.

Mijali po drodze wiele wsi, większych czasem od Airlee. Hilvar zatrzymywał się często, żeby porozmawiać z przyjaciółmi i przedstawić im Alvina.

Po wielu godzinach jazdy trawa skończyła się jak nożem uciął i ujrzeli przed sobą pasmo niskich, porośniętych lasami wzgórz. Była to, jak wyjaśnił Hilvar, forpoczta głównego masywu górskiego, strze-

W jaki sposób wpłynie to na jego życie, o ile w ogóle wpłynie? Nie był tego pewien, a niepewność była dla Alvina nowym uczuciem. Być może niczego to nie zmieni. Jeśli teraz nie przystosuje się całkowicie do warunków panujących w Diaspar, zrobi to w następnym życiu... lub jeszcze w następnym...

Mózg Alvina odrzucał jednak tę myśl jeszcze w trakcie jej formułowania. Diaspar mogło zaspokoić potrzeby reszty ludzkości, ale jemu ono nie wystarczało. Nie wątpił, że można było przeżyć tysiąc wcieleń i nie wyczerpać wszystkich cudów miasta, nie zakosztować wszystkich doświadczeń, których mogło ono dostarczyć.

Ale w takim przypadku istniał jeden problem, któremu trzeba było spojrzeć w oczy. Co jeszcze można było poza tym robić?

To pytanie pozostające bez odpowiedzi wyrwało go z zadumy. Nie potrafił siedzieć bezczynnie targany takimi rozterkami, a w mieście istniało tylko jedno miejsce, w którym mógł znaleźć spokój ducha.

Część ściany, w miejscu, w którym ją przekroczył wychodząc na korytarz, zamigotała i przestała istnieć, a jej molekuły owiały mu twarz leciutkim wietrzykiem, stawiając opór zakłócającemu ich spokój ciału. Istniało wiele sposobów przenoszenia się z miejsca na miejsce, ale wybrał spacer. Jego mieszkanie znajdowało się tuż przy głównym poziomie miasta. Krótki pasaż zawiódł go do spiralnej rampy prowadzącej w dół, na ulicę. Nie skorzystał z ruchomej drogi i ruszył pieszo stacjonarnym chodnikiem; było to dość ekscentryczne, ponieważ od celu dzieliło go kilka mil, ale Alvin lubił się czasem przejść, gdyż spacer wyostrzał mu umysł, a poza tym miał przed sobą całą wieczność.

Wszystkie drogi, zarówno ruchome, jak i stacjonarne, zbiegały się w parku stanowiącym zielone serce miasta. Tutaj, na obszarze w kształcie koła o średnicy trzech mil, znajdowało się wspomnienie tego, czym była niegdyś Ziemia, zanim pustynia pochłonęła wszystko, oprócz Diaspar. Obrzeże tego wielkiego koła stanowił szeroki pas trawy, za nim rosły niskie drzewka, które w miarę posuwania się ku środkowi parku stawały się coraz wyższe. Jednocześnie teren opadał łagodnie i kiedy wychodziło się na skraj tego wąskiego lasku, za parawanem drzew znikały wszystkie ślady istnienia miasta.

Szeroki strumień przepływający teraz przed Alvinem nazywano po prostu Rzeką. Nie nosił i nie potrzebował innej nazwy. Jego brzegi łączyły liczne, przerzucone w niewielkich odstępach, wąskie mostki. Strumień opływał park, zataczając pełne koło i tworząc od czasu do czasu na swej drodze małe laguny. To, że rzeka mogła po przebyciu niecałych sześciu mil powrócić w to samo miejsce, nigdy nie dziwiło Alvina; nie zastanawiało go również to, że na niektórych odcinkach swego biegu rzeka płynie pod górę. W Diaspar zdarzały się daleko dziwniejsze rzeczy.

W jednej z małych lagun kąpało się kilkoro młodych ludzi i Alvin przystanął, aby się im przyjrzeć. Wielu znał, jeśli nie z nazwiska, to z widzenia i przez chwilę korciło go, aby się do nich przyłączyć, ale tajemnica, którą dźwigał, odwiodła go od tego i zadowolił się rolą widza.

Nie sposób było stwierdzić, który z tych młodych obywateli wyszedł z Sali Tworzenia tego roku, a który żył w Diaspar już tak długo, jak Alvin. Chociaż występowały różnice we wzroście i wadze, to nie miały one żadnego związku z wiekiem. Tacy się po prostu ludzie rodzili i chociaż statystycznie osoby starsze były nieco wyższe, to nie stanowiło to niezawodnej reguły, którą bez kilkusetletniego doświadczenia można by stosować do każdego.

Alvin pozostawił swoich rozbawionych rówieśników i ruszył dalej w kierunku centrum Parku. Szedł wytyczoną ścieżką, jakich wiele przebiegało, krzyżując się, wśród niskich zarośli, to znów opadając w wąskie wąwozy utworzone z wielkich, porośniętych mchem głazów. Natknął się po drodze na małą, wielościenną maszynę, nie większą od głowy człowieka, która unosiła się wśród gałęzi drzewa. Nikt się nie orientował, ile odmian robotów znajdowało się w Diaspar; schodziły człowiekowi z drogi i tak spełniały swoje obowiązki, że ujrzenie któregoś z nich było czymś niezwykłym.

Teren zaczął się znów podnosić; Alvin zbliżał się do niewysokiego wzgórza wznoszącego się w samym środku Parku, a zatem i miasta. Mniej tu było przeszkód terenowych i krętych ścieżek, widział więc dobrze szczyt wzgórza i wieńczący go prosty budynek. Zdyszał się trochę zanim dotarł do celu, z przyjemnością więc oparł się o jedną z różowych kolumn i spojrzał za siebie, na drogę, którą tu przyszedł.

Istnieje pewna liczba form architektonicznych, które nie mogą się już zmienić, ponieważ osiągnęły doskonałość. Grobowiec Yarlana Zeya mógł równie dobrze zostać wzniesiony przez budowniczych świątyń pierwszych cywilizacji, jakie znał człowiek, chociaż ci nie mogły sobie nawet wyobrazić materiału, z jakiego go zbudowano. Budynek nie posiadał dachu, a jego pojedynczą komorę wyłożono wielkimi płytami, które tylko na pierwszy rzut oka przypominały naturalny kamień. Stopy ludzkie przez wieki przemierzały tam i z powrotem tę posadzkę, nie pozostawiając na niej najmniejszego śladu.

Twórca wielkiego parku – budowniczy, jak twierdzili niektórzy, samego Diaspar – siedział z oczyma spuszczonymi w dół, przyglądając się jak gdyby rozłożonym na kolanach planom. Na jego twarzy gościł

ten osobliwie nieuchwytny uśmiech, który przez tyle pokoleń intrygował świat. Niektórzy twierdzili, że to nic innego, jak tylko kaprys artysty rzeźbiarza, ale inni przekonani byli, że Yarlan Zey uśmiecha się na myśl o jakimś tajemniczym żarcie.

Cały ten budynek był zagadką, gdyż w kronikach dziejów miasta nie można się było doszukać żadnej o nim wzmianki. Alvin nie bardzo nawet wiedział, co oznacza słowo „grobowiec". Jeserac potrafiłby mu je prawdopodobnie wyjaśnić, ponieważ znany był z kolekcjonowania starych, zapomnianych słów, którymi szpikował później swoje wypowiedzi ku zmieszaniu słuchaczy.

Z tego centralnego punktu obserwacyjnego Alvin miał dobry widok na cały Park i, ponad przesłaniającymi je drzewami, na samo miasto. Najbliższe budynki oddalone były o prawie dwie mile i tworzyły niskie pasmo okalające cały Park; za nimi, szereg za szeregiem, coraz wyższe i wyższe, wznosiły się wieże i tarasy tworzące główną bryłę miasta. Ciągnęły się milami wspinając powoli ku niebu, coraz bardziej złożone i monumentalne. Diaspar zaplanowano jako jedność; stanowiło ono pojedynczą, potężną maszynę. Ale chociaż jego panorama była w swym ogromie przytłaczająca, to stanowiła zaledwie cień ukrytych cudów techniki, bez których wszystkie te wielkie budynki byłyby pozbawionymi życia grobowcami.

Alvin patrzył w zadumie w stronę granic tego świata. Dziesięć, dwadzieścia mil stąd majaczyły w oddali zewnętrzne obwałowania miasta, na których zdawało się spoczywać sklepienie niebieskie. Za nimi nie było już nic, zupełnie nic, oprócz przerażającej pustyni, na której człowiek szybko by oszalał.

Dlaczego więc ta pustka go wzywała, jak żadnej ze znanych mu osób? Nie wiedział. Patrzył w dal na kolorowe iglice i blanki otaczające całe teraz dominium ludzkości, jakby tam właśnie spodziewał się znaleźć odpowiedź na swe pytanie.

Nie znalazł jej. Ale w tym właśnie momencie, gdy jego serce tęskniło za nieosiągalnym, podjął decyzję.

Wiedział teraz, co zrobi ze swym życiem.

Rozdział 4

Jeserac nie pomógł mu wiele, chociaż nie okazał takiej niechęci do współpracy, jakiej się Alvin po nim spodziewał. W jego długiej karierze nauczyciela zadawano mu już takie pytania i nie sądził, aby nawet taki Odmieniec, jak Alvin, mógł go zaskoczyć lub postawić przed problemem, którego nie będzie w stanie rozwiązać.

Prawdą było, że Alvin zaczyna wykazywać pewne dziwactwa w zachowaniu, które, być może, będą wymagały korekcji. Nie włączał się, jak powinien, w niebywale skomplikowane życie społeczne miasta, ani w światy fantazji swych rówieśników. Nie objawiał większego zainteresowania wyższymi formami rozrywek umysłowych, chociaż w jego wieku nie było to takie dziwne. Bardziej zastanawiał jego nietypowy stosunek do płci odmiennej; nie należało się spodziewać, że stworzy z jakąś kobietą względnie stabilny związek przed upływem stulecia.

Nie wynikało to z braku serca, czy nierozwagi Alvina. Odnosiło się wrażenie, że szuka on w miłości, tak jak we wszystkim innym, czegoś, czego Diaspar nie mogło mu zapewnić.

Żadne z tych dziwactw Alvina nie martwiło zbytnio Jeseraca. Można się było spodziewać, że Odmieniec będzie się zachowywał w ten właśnie sposób i że z upływem czasu Alvin dostosuje się do obowiązującego powszechnie w Diaspar szablonu. Żaden pojedynczy indywidualista, czy to dziwak, czy geniusz, nie był w stanie naruszyć ogromnej bezwładności społeczeństwa, które pozostawało praktycznie nie zmienione od ponad miliarda lat. Jeserac nie tylko wierzył w stabilność – nie mógł sobie po prostu wyobrazić nic poza nią.

– Problem, który cię nurtuje, jest bardzo stary – powiedział Alvinowi – ale dziwiłbyś się, jak wielu ludzi bierze świat jakim jest i coś podobnego nigdy ich nie zastanawia, ani nawet nie przychodzi im do głowy. To prawda, że rasa ludzka zamieszkiwała niegdyś obszar nieskończenie większy od Diaspar. Widziałeś jak wyglądała Ziemia zanim wyparowały oceany i przyszła pustynia. Te filmy, które tak lubisz sobie wyświetlać, są najstarszymi, jakie posiadamy; są jedynymi, jakie przedstawiają Ziemię taką, jaką była ona przed przybyciem Najeźdźców. Nie sądzę, aby oglądało je wielu ludzi. Widok tych bezgranicznych, otwartych przestrzeni to coś, czego nie potrafimy znieść.

A przecież Ziemia była tylko ziarenkiem piasku w porównaniu z całym Imperium Galaktycznym. To, do czego musiały być podobne otchłanie międzygwiezdne, jest koszmarem, którego normalny człowiek nie jest w stanie sobie wyobrazić. Nasi przodkowie przemierzali je u zarania dziejów, kiedy to wyruszyli w kosmos, aby zbudować Imperium. Przemierzyli kosmos po raz drugi i ostatni wyparci przez Najeźdźców z powrotem na Ziemię.

z Lys i z przyjemnością pokażemy ci, jak mogą żyć ludzie bez pomocy miasta. Na razie nie masz się czym martwić – twoi przyjaciele nie będą zaniepokojeni. Zadbamy o to, chociażby we własnym interesie.

Po raz pierwszy Seranis złożyła obietnicę, której nie była w stanie spełnić.

Rozdział 11

Pomimo usilnych starań, Alystra nie potrafiła wydobyć od Khedrona bliższych informacji. Błazen otrząsnął się szybko z pierwszego szoku i z paniki, pod wpływem której czmychnął z powrotem na powierzchnię, gdy tylko znalazł się sam w podziemiach Grobowca. Wstydził się swego tchórzostwa i zastanawiał, czy kiedykolwiek zdobędzie się na odwagę, aby wrócić do sali Ruchomych Dróg i sieci rozchodzących się stamtąd na wszystkie strony świata tuneli. Nie przypuszczał, aby Alvinowi mogło przytrafić się coś złego. Wróci na pewno w swoim czasie – tego Khedron był pewien. No, prawie pewien. Istniało tu wystarczająco dużo wątpliwości, aby uczynić go ostrożnym w swoich przewidywaniach. Zdecydował, że najlepiej będzie jak najmniej mówić o całym zdarzeniu i obrócić wszystko w kolejny żart.

Na nieszczęście dla tego planu, nie potrafił zamaskować swych emocji, kiedy po powrocie na powierzchnię natknął się na Alystrę. Dziewczyna od razu dostrzegła strach wyzierający mu z oczu i wywnioskowała z tego, że Alvin znajduje się w niebezpieczeństwie. Zrazu chciała pozostać w Grobowcu i oczekiwać tam na powrót Alvina. Khedronowi udało się ją przekonać, że byłaby to strata czasu i odetchnął z ulgą, gdy wraz z nim poszła z powrotem do miasta. Istniała możliwość, że Alvin wróci bardzo szybko, a Błazen nie chciał, aby ktokolwiek poza nimi poznał tajemnicę Yarlana Zeya.

Zanim dotarli do miasta, Khedron przekonał się, że jego taktyka zawiodła na całej linii i rozwój wypadków wymyka się spod jego kontroli. Do tej pory niewiele zważał na konsekwencje swych poczynań. Dotarli do wielkiej drogi okalającej Park i rozstali się w kamiennym milczeniu. Khedron odprowadzał wzrokiem oddalającą się Alystrę i starał się przeniknąć jej zamiary.

Alystra działała szybko i inteligentnie. Nie zawracała sobie głowy szukaniem kontaktu z Eristonem i Etanią. Jeserac wysłuchał jej opowieści nie zdradzając żadnych gwałtowniejszych uczuć. Jeśli się przestraszył, albo był zdziwiony, nie dał tego po sobie poznać, a robił to tak dobrze, że Alystra czuła się w pewnym sensie zbita z tropu. Kiedy skończyła, zadał jej kilka pytań i dał do zrozumienia, że mogła się omylić. Alvin mógł teraz skręcać się ze śmiechu ukryty gdzieś w Diaspar. Przemawiało za tym uczestnictwo w tym wszystkim Khedrona. Jeserac obiecał jednak, że zajmie się wyjaśnieniem tej sprawy i skontaktuje się z nią za dzień lub dwa. Przez ten czas miała się nie martwić i nic nikomu nie mówić.

Alystra wyszła od Jeseraca z mieszanymi uczuciami. Byłaby bardziej usatysfakcjonowana, gdyby mogła widzieć zachowanie się Jeseraca bezpośrednio po jej wyjściu.

Jeserac miał przyjaciół w Radzie; skontaktował się z trzema swymi znajomymi i wzbudził ostrożnie ich zainteresowanie. Jako nauczyciel Alvina zdawał sobie sprawę, że im mniej osób będzie wiedziało, co się wydarzyło, tym lepiej dla niego.

Zgodzono się natychmiast, że pierwszą rzeczą, jaką trzeba uczynić, to skontaktować się z Khedronem i zażądać od niego wyjaśnień. Ten świetny plan miał tylko jedną wadę. Khedron spodziewał się takiego obrotu sprawy i nigdzie nie można go było znaleźć.

Jeśli istniała jakaś dwuznaczność w sytuacji Alvina, jego gospodarze unikali przypominania mu o tym. Mógł się swobodnie poruszać po Airlee – małej wiosce, w której władzę sprawowała Seranis. Alvin odkrył, że Lys dzieliło się na niezliczone wioski, których Airlee było typowym przykładem.

Chociaż bardzo małe i liczące niespełna tysiąc mieszkańców, Airlee pełne było niespodzianek. Głosu do porozumiewania się używały tylko dzieci; dorośli bardzo rzadko się odzywali i po jakimś czasie Alvin zorientował się, że jeśli to robili to tylko z uprzejmości w stosunku do niego. Dziwne było, że mowa, chociaż tak rzadko wykorzystywana, przetrwała jednak, ale potem Alvin odkrył, że ludzie z Lys bardzo lubili śpiewać. Bez tego już dawno temu staliby się niemowami.

Byli zawsze czymś zajęci, oddając się czynnościom i problemom przeważnie dla Alvina niezrozumiałym. Większość ich zajęć wydawała mu się niepotrzebną stratą czasu. Na przykład większość żywności rosła tutaj naturalnie, zamiast być syntetyzowana, tak jak w Diaspar. Airlee słynęło ze swych owoców, ale kiedy Alvin skosztował kilku, ich smak nie wydał mu się w niczym lepszy od owoców, które mógł za skinieniem palca otrzymać w Diaspar.

– To nieprawda – zaprotestował. – Nie wierzę, abyś znalazła w Diaspar drugą osobę, która byłaby zdolna do opuszczenia miasta... nawet gdyby wiedziała, że jest dokąd się udać. Jeśli pozwolisz mi wrócić, nic się w Lys nie zmieni.

– To nie jest moja decyzja – wyjaśniła Seranis – a ty nie doceniasz potęgi umysłu, jeśli sądzisz, że bariery trzymające twych ludzi w mieście nie mogą być nigdy przełamane. Nie chcemy przetrzymywać cię tutaj wbrew twojej woli, ale jeśli będziesz obstawał przy zamiarze powrotu do Diaspar, będziemy zmuszeni wymazać z twej pamięci wszystkie wspomnienia o Lys. – Zawahała się przez chwilę. – Nigdy przedtem do tego nie dochodziło; wszyscy twoi poprzednicy przybywali, aby tu pozostać.

Postawiono go przed wyborem, którego nie mógł zaakceptować. Chciał zbadać Lys, aby poznać wszystkie jego tajemnice, aby wykryć wszystko, co różniło je od jego świata. Ale tak samo zdecydowany był powrócić do Diaspar i dowieść swym przyjaciołom, że nie był takim sobie zwykłym marzycielem. Nie mógł pojąć przyczyn skłaniających mieszkańców Lys do zachowania tajemnicy; nawet gdyby je zrozumiał, nie wpłynęłoby to w najmniejszym stopniu na jego postępowanie.

Zdał sobie sprawę, że musi grać na zwłokę, albo udowodnić Seranis, że żąda odeń niemożliwego.

– Khedron wie, gdzie jestem – powiedział. – Nie możesz zatrzeć jego wspomnień.

Seranis uśmiechnęła się. Był to uśmiech miły, uśmiech, który w innych okolicznościach można by było nazwać przyjaznym. Ale pod jego maską Alvin po raz pierwszy dostrzegł obecność przytłaczającej i nieugiętej siły.

– Nie doceniasz nas, Alvinie – odparła. – To byłoby bardzo łatwe. Mogę dostać się do Diaspar szybciej niż zajęłoby mi przemierzenie całego Lys. Przybywali tu przed tobą inni ludzie i niektórzy z nich zwierzali się swoim przyjaciołom, dokąd się udają. Jednak ci przyjaciele zapomnieli o nich i zniknęli oni z historii Diaspar.

Alvin postąpił nierozważnie ignorując taką możliwość, chociaż teraz, kiedy Seranis o niej wspomniała, wyrzucał sobie, że wcześniej o tym nie pomyślał. Ciekaw był, ile razy w ciągu milionów lat, jakie upłynęły od chwili rozdzielenia obu kultur, ludzie z Lys wyprawiali się do Diaspar z misją ochrony swej zazdrośnie strzeżonej tajemnicy. Ciekaw był też, jak potężnymi możliwościami umysłu dysponowali ci dziwni ludzie nie wahając się ich wykorzystywać.

Czy snucie jakichkolwiek planów było bezpieczne? Seranis przyrzekła, że bez jego zgody nie będzie czytała jego myśli, ale czy istniały okoliczności, w których przyrzeczenie to mogło zostać złamane...?

– Nie sądzę – powiedział – żebyście się spodziewali, iż podejmę decyzję od razu. Czy nie mógłbym przyjrzeć się bliżej waszej krainie, zanim dokonam wyboru?

– Oczywiście – odparła Seranis. – Możesz tu pozostać tak długo, jak zechcesz, a potem, gdybyś zmienił zamiary, wrócić do Diaspar. Ale jeśli mógłbyś się zdecydować w ciągu kilku dni, byłoby to o wiele prostsze. Nie chcesz chyba, żeby twoi przyjaciele martwili się o ciebie, a im dłużej cię tam nie ma, tym trudniej będzie nam dokonać niezbędnych korekcji.

Na to Alvin mógł przystać; chciałby tylko wiedzieć, na czym polegają te „korekcje". Prawdopodobnie ktoś z Lys odszukałby Khedrona, aby zmienić jego wspomnienia. Fakt zniknięcia Alvina nie zostałby z nich wymazany, ale informacje, które zdobyli wraz z Khedronem uległyby zatarciu. Z upływem wieków imię Alvina znalazłoby się wśród imion innych Odmieńców, którzy w tajemniczy sposób zniknęli z miasta i ślad po nich zaginął.

Miał do czynienia z wieloma zagadkami i nie wydawało mu się, aby był bliski rozwiązania którejkolwiek z nich. Czy za dziwacznym, jednostronnym kontaktem między Lys, a Diaspar krył się jakiś cel, czy był to jedynie historyczny przypadek? Kim i czym byli Odmieńcy i jeśli ludzie z Lys potrafili przenikać do Diaspar, to dlaczego nie skasowali układów pamięci, które przechowywały ślad ich istnienia? Było to chyba jedyne pytanie, na które Alvin mógł dać możliwą do przyjęcia odpowiedź. Centralny Komputer był prawdopodobnie tworem nieustępliwym i odpornym na tego rodzaju manipulacje i trudno poddawał się najbardziej nawet zaawansowanym technikom opartym na telepatii...

Odłożył te problemy na później; pewnego dnia, kiedy dowie się więcej, zdoła może odpowiedzieć sobie na nie. Szkoda było czasu na spekulacje i budowę piramidy przypuszczeń na fundamencie niewiedzy.

– A więc dobrze – powiedział. – Postaram się dać wam odpowiedź jak najszybciej... jeśli pokażecie mi swój kraj.

– Zgoda – odparła Seranis i tym razem za jej uśmiechem nie kryła się żadna groźba. – Jesteśmy dumni



Legenda głosi – a jest to tylko legenda – jakoby ludzkość zawarła z Najeźdźcami pakt. Oni mieli sobie zatrzymać wszechświat, którego tak pożądali, my zadowolić się naszym rodzimym światem.

Dotrzymaliśmy warunków tego układu i zapomnieliśmy o próżnych marzeniach naszego dzieciństwa, tak jak i ty o nich zapomnisz, Alvinie. Ludzie, którzy zbudowali to miasto i zaprojektowali społeczeństwo jego mieszkańców, byli panami zarówno umysłu, jak i materii. Pomieścili w tych murach wszystko, czego mogłaby kiedykolwiek potrzebować rasa ludzka – a potem postarali się o to, żebyśmy nigdy już ich nie opuścili.

Och nie, bariery fizyczne mają tu najmniejsze znaczenie. Być może istnieją drogi, którymi można wydostać się z miasta, ale nie sądzę, żebyś uszedł nimi daleko, gdybyś nawet je znalazł. A jeśli nawet ci się to uda, to co z tego? Twoje ciało nie przetrwa długo na pustyni nie chronione i nie karmione przez miasto.

– Jeśli istnieje droga prowadząca na zewnątrz – powiedział wolno Alvin – to co może mnie powstrzymać od skorzystania z niej?

– To niemądre pytanie – odparł Jeserac. – Sądzę, że znasz już na nie odpowiedź.

Jeserac miał rację, ale jednego nie wziął pod uwagę. Alvin znał odpowiedź, a raczej domyślał się jej. Wnioskował po prostu z zachowania swych towarzyszy zarówno w życiu na jawie, jak i we wspólnie przeżywanych, sennych przygodach. Oni nigdy nie będą zdolni do opuszczenia Diaspar. Jeserac nie wiedział jednak że ta niemożność nie dotyczy Alvina. Alvin nie wiedział, czy jego odmienność była sprawą przypadku, czy też starożytnego projektu, ale właśnie tym między innymi się objawiała. Ciekaw był, ile jeszcze jej dowodów w sobie odkryje.

W Diaspar nikt się nigdy nie śpieszył i była to reguła, od której nawet Alvin rzadko odchodził. Rozważał problem kilka tygodni spędzając dużo czasu na wyszukiwaniu najwcześniejszych wzmianek o początkach miasta. Potem leżał całymi godzinami, podparty niewyczuwalnymi ramionami pola antygrawitacyjnego, a hipnotronowy projektor otwierał przed jego umysłem przeszłość. Zapis dobiegł końca i maszyna znikła, rozpływając się w powietrzu, ale Alvin leżał nadal zapatrzony w nicość. Ten powrót poprzez wieki do rzeczywistości trwał dosyć długo. Znowu widział bezkresne przestrzenie błękitnych wód. Pomimo tych tysięcy wieków, rozbrzmiewał mu w uszach grzmot fal, bijących o złocisty brzeg. Przypominał sobie lasy, prerie i dziwne zwierzęta, które żyły kiedyś wraz z Człowiekiem na tym świecie.

Bardzo mało było tych starożytnych przekazów. Zakładano powszechnie, chociaż nikt nie wiedział dlaczego, że gdzieś między przybyciem Najeźdźców, a zbudowaniem Diaspar zagubiły się wszystkie wzmianki o prymitywnych czasach. Zatarcie to było jednak tak kompletne, że trudno było uwierzyć, iż stało się tak tylko za sprawą przypadku. Ludzkość, oprócz, kilku kronik, które mogły być równie dobrze legendą, zagubiła swoją przeszłość. Przed Diaspar istniały po prostu Wieki Zarania. W tym lamusie historii, kłębili się ze sobą ludzie, którzy wyzwolili energię atomową, pierwsi ludzie, którzy wyciosali czółno z pnia drzewa z pierwszymi ludźmi, którzy dotarli do gwiazd. Po tamtej stronie pustyni czasu wszyscy oni byli sąsiadami.

Alvin zamierzał przeprowadzić swój eksperyment sam, jednak w Diaspar nie było łatwo o samotność. Ledwie opuścił swoje mieszkanie, spotkał Alystrę, która nawet nie starała się udawać, że jej obecność tutaj jest przypadkowa.

To spotkanie poirytowało Alvina, jednak złość szybko mu przeszła. Nic nie stało na przeszkodzie, aby Alystra, skoro sama tego chciała, poszła razem z nim. Nie był samolubny i nie chciał zachować tego nowego doświadczenia tylko dla siebie, a poza tym dużo mógł wywnioskować z jej zachowania.

Z zatłoczonego centrum miasta wyniósł ich kanał ekspresowy. Alystra, co było u niej niezwykłe, nie zadawała żadnych pytań. Podróżowali, stojąc pośrodku ruchomej drogi, na najszybszym jej paśmie i nie zadając sobie nawet trudu, aby zerknąć pod nogi na tę cudowną nawierzchnię. Inżynier starożytnego świata szybko by oszalał usiłując zrozumieć, w jaki sposób niezaprzeczalnie jednolita wstęga drogi może być nieruchoma po obu skrajach i jednocześnie przesuwać się z szybkością wzrastającą płynnie w miarę zbliżania się do jej środka. Ale dla Alvina i Alystry istnienie materiałów, które z jednej strony wykazywały właściwości ciał stałych, zaś z drugiej – cieczy, wydawało się być sprawą naturalną.

Budynki wokół nich stawały się coraz wyższe, jak gdyby miasto umacniało obwałowania, oddzielające je od świata zewnętrznego. Jakież to by było dziwne, pomyślał Alvin, gdyby te ściany stały się przezroczyste i można by przez nie zajrzeć do wnętrz. Mieszkali tam ludzie, których już zna, których jeszcze pozna i których nigdy nie spotka – chociaż tych ostatnich będzie bardzo niewielu, ponieważ w ciągu całego życia pozna niemal wszystkich mieszkańców Diaspar. Większość z nich siedzi teraz w swoich pokojach, ale nie jest sama. Wystarczy im tylko sformułować odpowiednie życzenie, a znajdą się, chociaż nie fizycznie, w obecności dowolnej osoby, którą sobie wybiorą. Nie dokuczała im nuda, ponieważ

kultura oparta w wielkim stopniu na bezpośrednim wykorzystaniu potęgi umysłu i to właśnie oddzieliło ich od reszty społeczeństwa ludzkiego, które coraz bardziej zdawało się na maszyny.

Ten trwający eony rozwój dwoma odmiennymi drogami poszerzył przepaść między Lys a miastami. Most ponad nią przerzucano tylko w wypadku wielkich kryzysów. Kiedy na Ziemię spadał Księżyc, zniszczyli go naukowcy z Lys. Tak samo było z obroną Ziemi przed Najeźdźcami, którym stawiano czoła w ostatecznej bitwie o Shalmirane.

Była to ciężka próba wyczerpanej ludzkości; jedno po drugim wyludniały się miasta i pochłaniała je pustynia. Gdy populacja drastycznie spadła, ludzkość rozpoczęła migrację, której ostatecznym celem było uczynienie Diaspar ostatnim i największym ze wszystkich miast.

Większość zachodzących wtedy zmian nie dotyczyło Lys. Miało ono do stoczenia swą własną walkę – walkę z pustynią. Nie wystarczała tu naturalna bariera tworzona przez łańcuch górski i minęło wiele wieków, zanim zabezpieczono tę wielką oazę. Tutaj, być może celowo, obraz stawał się bardziej zamazany. Alvin nie mógł się zorientować, co zrobiono, aby dać Lys potencjalną wieczność, jaką osiągnęło Diaspar.

Głos Seranis zdawał się docierać doń z wielkiej odległości – i nie był to tylko jej głos, gdyż mieszał się w symfonię słów, jakby nuciło z nią unisono wiele innych głosów.

– To, w wielkim skrócie, nasza historia. Przekonałeś się, że nawet w Wiekach Zarania niewiele mieliśmy wspólnego z miastami, chociaż ludzie z nich często przybywali do naszej krainy. Nigdy im tego nie zabranialiśmy, ponieważ wielu naszych wielkich ludzi pochodziło z zewnątrz, ale kiedy miasta umierały, nie chcieliśmy mieszać się do ich upadku. Gdy skończyła się komunikacja powietrzna, pozostała tylko jedna droga, którą można się było dostać do Lys – podziemny system transportowy z Diaspar. Zamknięto go po waszej stronie, kiedy zakładano Park – i zapomnieliście o nas, chociaż my wciąż was pamiętamy.

Diaspar zadziwiło nas. Spodziewaliśmy się, że dzieli los innych miast, ale zamiast tego stworzyło ono stabilną kulturę, która można istnieć tak długo, jak długo istnieć będzie Ziemia. Nie jest to kultura, którą pochwalamy, cieszy nas jednak, że tym, którzy chcieli stamtąd uciec, udało się tego dokonać. Więcej ludzi niż myślisz odbyło tę podróż, a byli oni niemal zawsze ludźmi wybitnymi, którzy wnieśli coś od siebie przybywając do Lys.

Głos ucichł; paraliż zmysłów ustąpił i Alvin był znowu sobą. Spostrzegł zdumiony, że słońce zniżyło się już za drzewa i od wschodu niebo przybierało z wolna odcień nocy. Uświadomił sobie, że drży lekko, nie od pierwszego dotyku wieczornego chłodu, ale ze zwykłego oczarowania i podziwu dla wszystkiego, czego się dowiedział. Było bardzo późno i był daleko od domu. Ogarnęło go nagle pragnienie ujrzenia znów swych przyjaciół i znalezienia się wśród znajomych widoków i scen Diaspar.

– Muszę wracać – powiedział. – Khedron... moi rodzice... będą się niepokoić.

Nie mówił tego z przekonaniem; Khedron na pewno będzie się zastanawiał, co się z nim dzieje, ale o ile się orientował, nikt poza Khedronem nie wiedział, że nie ma go w mieście.

Seranis spojrzała nań dziwnie.

– Przykro mi, ale to nie takie proste – powiedziała.

– Co to znaczy? – spytał Alvin. – Czy wagon, który mnie tu przywiózł nie odwiezie mnie z powrotem? – wciąż nie dopuszczał do siebie myśli, że może zostać zatrzymany w Lys wbrew własnej woli, chociaż takie podejrzenie przychodziło mu już do głowy.

Seranis po raz pierwszy wydawała się być zażenowana.

– Rozmawialiśmy o tobie – powiedziała, nie wyjaśniając, kim mogą być ci „my", ani też, jak się z nimi konsultowała. – Jeśli powrócisz do Diaspar, dowie się o nas całe miasto. Nawet jeśli przyrzekniesz, że nic nie powiesz, to i tak zachowanie tajemnicy może przekraczać twoje możliwości.

– A dlaczego chcecie ją zachować? – spytał Alvin. – Przecież gdyby doszło do spotkania naszych dwóch kultur, wyszłoby to na dobre i nam i wam.

Seranis spojrzała nań z niezadowoleniem.

– My tak nie uważamy – powiedziała. – Gdyby bramy waszego miasta stanęły otworem, naszą krainę zalałaby fala ciekawskich i łowców sensacji. Teraz mogą do nas dotrzeć tylko najwartościowsi z waszych ludzi.

Z tej wypowiedzi emanowało takie poczucie wyższości, a przy tym opierała się ona na tak fałszywych przesłankach, że zdenerwowanie wzięło u Alvina górę nad zaniepokojeniem.

– Taka okazja nieczęsto się nadarza, wybacz więc, jeśli nie zachowam się odpowiednio. Istnieją jednak pewne prawa należne gościowi, nawet gościowi niespodziewanemu. Zanim zaczniemy naszą rozmowę, powinnam cię chyba o czymś uprzedzić. Potrafię czytać twoje myśli.

Uśmiechnęła się widząc konsternację Alvina i dodała szybko:

– Nie musisz się obawiać. Nie ma bardziej przestrzeganego prawa niż prywatność myśli. Wejdę w twój umysł tylko wtedy, gdy mnie do niego zaprosisz. Ale ukrywanie przed tobą tego faktu nie byłoby w porządku. Wyjaśnia to poza tym, dlaczego nasza mowa jest powolna i sprawia nam czasem trudności. Nieczęsto jej używamy.

Ta rewelacja, chociaż trochę alarmująca, nie zdziwiła Alvina. Kiedyś zdolność tę posiadali zarówno wszyscy ludzie, jak i maszyny. Te maszyny, które nie uległy zmianie, mogły nadal odczytywać rozkazy z myśli swoich operatorów. Ale w Diaspar człowiek sam utracił ten dar, który dzielił niegdyś ze swymi niewolnikami-robotami.

– Nie wiem, co przywiodło cię do nas z twego świata – ciągnęła Seranis – ale jeśli szukasz życia, twoje poszukiwania dobiegły końca. Nie licząc Diaspar, za naszymi górami jest tylko pustynia.

Alvin, który tak często kwestionował przyjęte powszechnie prawdy, nie wątpił w prawdziwość słów Seranis. Jego jedynym na nie odruchem był tylko żal, że wszystko, czego go uczono, było tak bliskie prawdy.

– Opowiedz mi o Lys – poprosił. – Dlaczego tak długo byliście odcięci od Diaspar, skoro okazuje się, że dużo o nas wiecie?

Seranis uśmiechnęła się.

– Wkrótce – odparła. – Ale najpierw chciałabym się dowiedzieć czegoś o tobie. Powiedz mi, jak znalazłeś do nas drogę i dlaczego tu przybyłeś?

Zacinając się z początku, potem z rosnącą pewnością siebie, Alvin opowiedział jej całą historię. Nigdy przedtem nie mówił z taką swobodą; tutaj znalazł nareszcie kogoś, kto nie będzie się śmiał z jego marzeń, ponieważ ci ludzie wiedzieli, że te marzenia są prawdą.

Kiedy skończył, zapadła chwila milczenia. Potem Seranis spojrzała nań i powiedziała cicho:

– Po co przybyłeś do Lys?

Alvin spojrzał na nią zdumiony.

– Przecież ci powiedziałem – odparł. – Chciałem zbadać świat. Wszyscy mówili mi, że tam, za murami miasta, jest tylko pustynia, ale musiałem się sam o tym przekonać.

– Czy to był jedyny powód?

Alvin zawahał się. Kiedy się wreszcie odezwał, nie mówił już, jak nieugięty badacz, ale jak zagubione dziecko, które narodziło się w obcym świecie.

– Nie – powiedział wolno – to nie była jedyna przyczyna – chociaż do tej pory nie zdawałem sobie z tego sprawy. Byłem samotny.

– Samotny? W Diaspar? – Na ustach Seranis pojawił się uśmiech niedowierzania, ale jej oczy spoglądały z sympatią i Alvin wyczuł, że ona nie spodziewa się już dalszego ciągu opowieści.

Teraz, kiedy opowiedział już swoją historię, pozostawało mu tylko czekać, aż ona wypełni swoja część umowy. Seranis wstała i zaczęła przechadzać się tam i z powrotem po dachu.

– Wiem, jakie pytania chcesz mi zadać – zaczęła. – Na niektóre z nich potrafię odpowiedzieć, ale będę miała trudności z wyrażeniem ich słowami. Jeśli otworzysz przede mną swój umysł, przekażę ci wszystko, co chcesz wiedzieć. Możesz mi zaufać: nie zabiorę ci stamtąd niczego bez twego pozwolenia.

– Co chcesz, abym uczynił? – spytał ostrożnie Alvin.

– Nastaw się na przyjęcie moich myśli... spójrz mi w oczy... i zapomnij o wszystkim – rozkazała Seranis.

Alvin nigdy nie był pewien, co się wtedy stało. Wszystkie jego zmysły uległy nagle zupełnemu zaćmieniu i chociaż nie pamiętał nawet, kiedy się ocknął, to gdy wejrzał w swój umysł, była już w nim cała wiedza.

Niewyraźnie, jak ktoś patrzący ze szczytu góry na majaczącą w dole równinę, widział przeszłość. Zrozumiał, że Człowiek nie zawsze był mieszkańcem miast i że od czasu, kiedy maszyny uwolniły go od ciężkiej pracy, zawsze istniała rywalizacja między dwoma odmiennymi typami cywilizacji. W Wiekach Zarania istniało tysiące miast, ale duża część ludzkości wolała żyć w stosunkowo małych społecznościach. Wszechstronna komunikacja i możliwość nawiązania natychmiastowej łączności, dawały wszystkim kontakt z resztą świata i nie odczuwali potrzeby tłoczenia się z milionami podobnych im ludzi.

W tych dawnych czasach Lys było nieco inne od innych społeczeństw. Ale z upływem wieków rozrosło się stopniowo w niezależną kulturę, jedną z najwyżej postawionych w dziejach człowieka. Była to

mieli dostęp do wszystkiego, co działo się w sferze wyobraźni oraz rzeczywistości od początków istnienia miasta. Dla ludzi, których umysły były w ten sposób zaprogramowane, była to całkiem znośna egzystencja. Że była ona jednocześnie egzystencją bardzo spłyconą, tego nie pojmował jeszcze nawet Alvin.

W miarę jak Alvin z Alystrą oddalali się od centrum miasta, liczba ludzi, których spotkali na ulicy z wolna malała i kiedy ruchoma droga zatrzymała się łagodnie przed długą platformą z jasno barwionego marmuru, w zasięgu ich wzroku nie było już nikogo. Przeszli przez zastygły wir materii, gdzie substancja ruchomej drogi spływała z powrotem do swego źródła i stanęli przed ścianą podziurawioną jasno oświetlonymi tunelami. Alvin wybrał bez wahania jeden z nich i ruszył przed siebie. Alystra podążyła za nim, starając się dotrzymać mu kroku. Pochwyciło ich od razu pole perystaltyczne i uniosło w głąb tunelu.

Niebawem znaleźli się w wielkiej, owalnej sali o wielu oknach. Dostrzegali przez nie w przelocie ogrody, płonące olśniewającymi barwami kwiatów.

Alystra była oczarowana ich pięknem i sądziła najwyraźniej, że to dla tego widoku przyprowadził ją tu Alvin. Obserwował przez chwilę, jak biega radośnie od okna do okna, ciesząc się jej zachwytem z każdego nowego odkrycia. W na wpół opuszczonych budynkach na peryferiach Diaspar znajdowało się setki takich miejsc, utrzymywanych w idealnym porządku przez tajemnicze siły. Być może pewnego dnia przepłynie tędy znowu fala życia, ale do tego czasu starożytne ogrody były tajemnicą, którą znały tylko one same.

– Musimy iść dalej – powiedział w końcu Alvin. – To dopiero początek. – Przeszedł przez jedno z okien i iluzja prysła. Za szybą nie było ogrodów, tylko spiralny chodnik wznoszący się łagodnie w górę. Za szybą widział wciąż Alystrę, chociaż wiedział, że ona jego nie widzi. Ale nie zawahała się i w chwilę później stała już obok niego, na chodniku.

Nawierzchnia chodnika, na którym stali, zaczęła pełzać powoli. Przeszli po niej kilka kroków, dopóki prędkość nie wzrosła na tyle, że dalszy wysiłek był zbyteczny.

Korytarz piął się łagodnie pod górę, lecz po przebyciu stu stóp przeszedł gwałtownie w pionowy szyb. Mówiła o tym tylko logika, gdyż dla wszystkich zmysłów jazda odbywała się idealnie poziomym korytarzem. Fakt, że w rzeczywistości pędzili pionowo w górę głęboką na tysiąc stóp studnią, nie wywołał u nich poczucia zagrożenia, gdyż awaria pola polaryzującego była nie do pomyślenia.

Niebawem korytarz zaczął pochylać się znowu „w dół", a potem znowu załamał się pod kątem prostym. Nawierzchnia chodnika zwalniała ledwo zauważalnie i wreszcie zatrzymała się w końcu długiej, wyłożonej lustrami sali. Alvin wiedział, że tutaj ponaglanie Alystry nie miałoby większego sensu. Nie chodziło jedynie o tę cząstkę kobiecego charakteru, która nie uległa zmianie od czasów Ewy; nikt nie mógł się oprzeć zafascynowaniu tym miejscem. W całym Diaspar, o ile wiedział, nie było niczego podobnego. Jakiś kaprys artysty sprawił, że tylko kilka luster odbijało obraz rzeczywisty – a i te, Alvin był przeświadczony, zmieniały nieustannie swoje położenie. Reszta na pewno coś odzwierciedlała, ale niepokoiło nieco ujrzenie siebie samego w ciągle zmieniającym się, całkowicie wyimaginowanym otoczeniu.

Czasami w świecie za lustrem widziało się ludzi chodzących tam i z powrotem i nieraz Alvin dostrzegał wśród nich znajome twarze. Zdawał sobie dość jasno sprawę, że nie obserwuje żadnego z przyjaciół, których znał w obecnym wcieleniu. Poprzez umysł nieznanego artysty zaglądał w przeszłość i widział poprzednie wcielenia ludzi spacerujących po dzisiejszym świecie. Zasmucała go przypominająca o własnej odmienności myśl, że chociaż czekałby nie wiem jak długo przed tymi zmieniającymi się scenami, nie dostrzeże nigdy starożytnego echa samego siebie.

– Czy wiesz, gdzie się znajdujemy? – spytał Alystry, gdy skończyli zwiedzanie sali luster. Alystra pokręciła głową.

– Przypuszczam, że gdzieś w pobliżu krańców miasta – powiedziała niepewnie. – Zdaje mi się, że przebyliśmy długą drogę, ale nie mam pojęcia, jak długą.

– Jesteśmy w Wieży Loranne – odparł Alvin. – To jeden z najwyższych punktów Diaspar. Chodź, pokażę ci coś. – Wziął Alystrę za rękę i wyprowadził ją z sali. Nie było tam widocznego wyjścia, ale w wielu miejscach wzór na posadzce wskazywał na istnienie bocznych korytarzy. Po zbliżeniu się do lustra w takim miejscu odbicie zdawało się rozpływać w świetlisty łuk, przez który można było przejść do znajdującego się za nim tunelu. Kluczyli długo labiryntem korytarzy i przejść, aby w końcu znaleźć się w długim, idealnie prostym tunelu, w którym wiał z niezmienną prędkością zimny wiatr. Tunel ciągnął się na setki stóp w obie strony, a na jego odległych krańcach widniały maleńkie krążki światała. Alystra całkiem już straciła orientację.

– Nie podoba mi się tu – poskarżyła się Alvinowi. – Zimno mi.

Prawdopodobnie nigdy w życiu nie doświadczyła jeszcze uczucia chłodu i Alvin poczuł się w jakimś sensie winny. Powinien ją uprzedzić, żeby zabrała ze sobą opończę i to ciepłą, bo wszystkie ubrania noszone w Diaspar spełniały funkcję czysto dekoracyjną i jako zabezpieczenie przed zimnem były bezużyteczne.

Wręczył jej bez słowa swoją opończę. Nie było w tym śladu galanterii; równość płci dawno już zatarła takie konwenanse. Gdyby sprawy miały się odwrotnie, Alystra oddałaby swoją opończę Alvinowi, a on przyjąłby ją bez żadnych ceremonii.

Marsz z wiatrem wiejącym im w plecy był nawet przyjemny i szybko dotarli do końca tunelu. Dalszą drogę zagrodziła im misterna kamienna sieć o wielkich oczkach, ale i tak stali już na skraju nicości. Wielki kanał wentylacyjny kończył się w ścianie frontowej wieży i pod nimi ziała pionowa, tysiącstopowa przepaść. Znajdowali się na zewnętrznych obwałowaniach miasta i pod nimi rozciągało się Diaspar takie, jakim niewielu w ich świecie kiedykolwiek je oglądało.

Widok ten był odwrotnością panoramy, którą obserwował Alvin z centrum Parku. Mógł stąd spoglądać w dół na koncentryczne fale kamienia i metalu, opuszczające się milowymi suwami w kierunku serca miasta. Hen, daleko, częściowo zasłonięte wznoszącymi się na linii obserwacji wieżami, widział odległe polany i drzewa i krążącą wiecznie rzekę. Jeszcze dalej znowu piętrzyły się pod niebo położone z drugiej strony miasta bastiony Diaspar.

Stojąca obok Alystra patrzyła na tę panoramę z zaciekawieniem, ale bez zdziwienia. Widziała miasto już przedtem z równie dobrze położonych punktów obserwacyjnych i to w znacznie wygodniejszych warunkach.

– To nasz świat... cały nasz świat – powiedział Alvin. – Teraz chcę ci pokazać coś jeszcze. – Odwrócił się od kraty i ruszył w kierunku krążka światła widniejącego na drugim końcu tunelu. Dął zimny wiatr, ale Alvin nie zwracał na to uwagi.

Nie uszedł jeszcze daleko, kiedy zorientował się, że Alystra nie ma zamiaru podążyć za nim. Stała, wpatrując się weń, z ręką uniesioną do twarzy, a jej opończa powiewała na wietrze. Alvin dostrzegł, że jej usta poruszają się, ale słowa nie docierały do jego uszu. Patrzył na nią najpierw ze zdziwieniem, a potem z niecierpliwością z domieszką współczucia. To, co mówił Jeserac, było prawdą. Ona nie mogła pójść za nim. Wiedziała już, co oznacza ten odległy krąg światła, z którego zawsze wiał do Diaspar wiatr. Za plecami Alystry znajdował się znajomy świat, pełen cudowności, ale pozbawiony niespodzianek, dryfujący rzeką czasu, niczym błyszczący, szczelnie zamknięty pęcherz. Przed nią, nie dalej niż kilka kroków od miejsca, w którym stała, roztaczało się dzikie odludzie – świat pustyni – świat Najeźdźców.

Alvin zawrócił, podszedł do niej i zdziwił się widząc, że drży.

– Czego się boisz? – spytał. – Nadal jesteśmy w Diaspar i nic nam nie zagraża. Wyjrzałaś przez to okno za nami... na pewno możesz wyjrzeć przez tamto!

Alystra wytrzeszczyła na niego przerażone oczy, jakby był jakimś dziwnym potworem.

– Nie mogę tego zrobić – wykrztusiła wreszcie. – Nawet sama myśl o tym przejmuje mnie większym chłodem niż ten wiatr. Nie idź dalej, Alvinie!

– Ale gdzież tu logika? – zaprotestował Alvin. – Co ci się może stać, jeśli pójdziesz do końca tego tunelu i wyjrzysz na zewnątrz? Tam jest dziwnie i pusto, ale nie strasznie. Właśnie im dłużej na to patrzę, tym wydaje mi się piękniejsze...

Alystra nie czekała aż skończy. Odwróciła się na pięcie i pobiegła długą rampą, która ich tu przywiodła. Alvin nie próbował jej zatrzymywać, ponieważ narzucanie komuś swojej woli zaliczane było w Diaspar do złego tonu. Zdawał sobie sprawę, że perswazje nie odniosłyby tu żadnego skutku. Wiedział, że Alystra nie zatrzyma się, dopóki nie znajdzie się wśród swoich towarzyszy. Nie było obawy, że zabłądzi w labiryntach miasta, gdyż mogła bez trudności wracać po własnych śladach. Instynktowna zdolność odnajdywania drogi w najbardziej nawet zawiłych labiryntach była tylko jedną z umiejętności, jakie posiadł Człowiek, od kiedy zaczął mieszkać w miastach. Do wyrobienia w sobie podobnych zdolności zmuszony został dawno wymarły szczur, kiedy opuścił pola, aby podzielić swój los z ludzkością.

Alvin zaczekał chwilę, jakby spodziewał się jeszcze powrotu Alystry. Nie tyle zdziwiła go sama reakcja dziewczyny, co jej gwałtowność i irracjonalność. Chociaż było mu jej szczerze żal, pomyślał sobie, że mogłaby zostawić opończę.

Było mu zimno i z trudem brnął pod wiatr. Walczył nie tylko z prądem powietrza, ale i z siłą, która go wywoływała. Nie spoczął jednak, dopóki nie dotarł do kamiennej kraty i nie zacisnął dłoni na jej prętach. Odstępy między prętami były na tyle duże, by mógł przepchnąć przez nią głowę, a i teraz widok miał ograniczony, ponieważ wylot kanału był lekko wpuszczony w mur miasta.

Widział jednak wystarczająco dużo. Tysiące stóp w dole światło dnia szykowało się do opuszczenia

odległych światach, które musiały być udziałem ludzi. Ci, których teraz spotykał, należeli do jego rasy – ale jak dalece zmieniły ich eony dzielące Lys od Diaspar?

Delegacja zatrzymała się na krok przed Alvinem. Mężczyzna stojący na jej czele uśmiechnął się i wyciągnął rękę w starożytnym geście powitania.

– Pomyśleliśmy sobie, że najlepiej będzie, jeśli przywitamy cię tutaj – powiedział. – Nasza kraina różni się bardzo od Diaspar i droga z terminala daje przybyszom okazję do... aklimatyzacji.

Alvin uścisnął wyciągniętą dłoń, ale był tak zaskoczony, że przed chwilę nie mógł wydobyć z siebie głosu. Zrozumiał teraz, dlaczego pozostali wieśniacy tak całkowicie go ignorowali.

– Spodziewaliście się mnie? – wykrztusił wreszcie.

– Oczywiście. Zawsze wiemy, kiedy wagony rozpoczynają jazdę. Powiedz mi – jak odkryłeś drogę? Od ostatniej wizyty upłynęło już tak wiele czasu, że sądziliśmy, iż sekret został zapomniany.

Mówcy przerwał jeden z jego towarzyszy.

– Lepiej chyba będzie, jeśli powstrzymamy swą ciekawość, Gerane. Seranis czeka.

Imię „Seranis" poprzedzone zostało nieznanym Alvinowi słowem i ten domyślił się, że był to jakiegoś rodzaju tytuł. Nie miał żadnych trudności ze zrozumieniem tych ludzi i nawet nie przyszło mu do głowy, że to dziwne. Diaspar i Lys odziedziczyły w spadku po przodkach tę samą mowę.

Gerane westchnął z rezygnacją.

– No dobrze – uśmiechnął się – Seranis ma niewiele przywilejów, nie należy więc ograbiać jej jeszcze z tego. Chodźmy.

Alvin przyglądał się po drodze prowadzącym go mężczyznom. Sprawiali wrażenie miłych i inteligentnych, ale były to cnoty, które przez całe życie uważał za naturalne, szukał więc w nich cech odróżniających mieszkańców Lys od podobnych grup w Diaspar. Te różnice istniały, ale trudno je było wyraźnie określić. Wszyscy mężczyźni byli nieco wyżsi od Alvina, a dwóch z nich zdradzało nieomylne oznaki podeszłego wieku. Ich skóra była brązowa, a ze wszystkich ruchów emanowały krzepkość i werwa, co trochę onieśmielało Alvina. Uśmiechnął się na wspomnienie słów Khedrona, który twierdził, że jeśli kiedykolwiek dotrze do Lys, to zobaczy, że jest bardzo podobne do Diaspar.

Wieśniacy obserwowali teraz Alvina podążającego w eskorcie swoich przewodników z nieskrywaną ciekawością; nie udawali już, że biorą jego obecność za coś normalnego. Nagle w kępie krzaków po prawej stronie drogi rozległy się przenikliwe, piskliwe okrzyki; wypadła stamtąd gromadka małych, ruchliwych istot i stłoczyła się wokół Alvina. Zatrzymał się osłupiały. Miał przed sobą coś, co jego świat utracił już tak dawno temu, że przetrwało to tylko w mitach. Tak właśnie rozpoczynało się kiedyś życie; te hałaśliwe, fascynujące stworzonka były ludzkimi dziećmi.

Alvin obserwował je z niemym niedowierzaniem i z jeszcze innym uczuciem, które ściskało go za serce, ale którego nie potrafił jeszcze nazwać. Żaden inny widok nie uświadomiłby mu tak wyraźnie jego odrębności od świata, w którym się znalazł. Diaspar zapłaciło i płaciło nadal cenę nieśmiertelności.

Orszak zatrzymał się przed największym budynkiem, jaki do tej pory Alvin tu widział. Stał w samym środku wioski, a na maszcie, sterczącym ze szczytu niskiej, okrągłej wieżyczki, łopotała na wietrze zielona chorągiew.

Gerane wprowadził Alvina do wnętrza budynku, a pozostali mężczyźni zatrzymali się przed wejściem. W środku było cicho i chłodno; promienie słoneczne, przefiltrowane przez półprzezroczyste ściany oświetlały wnętrze łagodną, rozproszoną poświatą. Weszli na górę krótkimi, krętymi schodkami, które zaprowadziły ich na płaski dach budynku. Widać było stąd całą wioskę i Alvin zauważył, że tworzy ją około stu budynków. W oddali drzewa rzedły i odsłaniały szeroką łąkę, na której pasło się kilka gatunków zwierząt. Większość była czworonogami, ale niektóre wydawały się mieć po sześć, a nawet osiem odnóży.

W cieniu wieżyczki czekała na niego Seranis. Alvin nie potrafił określić jej wieku; jej długie, złociste włosy przyprószone były siwizną, która, jak się domyślał Alvin, musiała być jakąś oznaką zbliżającej się starości. Obecność dzieci, z wszystkimi tego konsekwencjami, wprawiła go w zakłopotanie, które jeszcze nie minęło. Tam, gdzie istniały narodziny, musiała też istnieć śmierć, a więc długość życia tu, w Lys, musiała się bardzo różnić od długości życia w Diaspar. Nie mógł się zorientować, czy Seranis miała pięćdziesiąt, pięćset, czy pięć tysięcy lat, ale patrząc w jej oczy czuł mądrość i głębię doświadczenia, jakie wyczuwał przebywając w towarzystwie Jeseraca.

Seranis wskazała na małe krzesełko, ale chociaż jej oczy uśmiechały się zapraszająco, nie odezwała się ani słowem, dopóki Alvin nie usadowił się na nim wygodnie – czy też na tyle wygodnie, na ile mógł to uczynić pod tym przyjaznym, ale przenikliwym spojrzeniem. Wtedy dopiero Seranis westchnęła i zwróciła się do Alvina niskim, łagodnym głosem:

nie, gdy tylko Alvin zbliżył się do nich. Chłopiec wszedł do małej klatki, podobnej do tej, która zwiozła go w podziemia pod Grobowcem Yarlana Zeya, i nie zdziwił się zbytnio, kiedy po upływie kilku minut drzwi otworzyły się ponownie, a za nimi ukazał się sklepiony, pochyły korytarz, wznoszący się ku widniejącej na jego końcu bramie. Nie czuł żadnego ruchu, wiedział jednak, że musiał się wznieść kilkaset stóp, zanim tu dotarł. Pobiegł korytarzem w kierunku zalanego słońcem otworu zapominając zupełnie o strachu.

Znalazł się na szczycie niewysokiego wzgórza i przez chwilę wydawało mu się, że jest nadal w centralnym parku Diaspar. Ale jeśli nawet był to park, to nie sposób było objąć umysłem jego ogromu. Miasta, które spodziewał się ujrzeć, nie było nigdzie widać. Jak okiem sięgnąć, ciągnęły się tu lasy i porośnięte trawą równiny.

Alvin przeniósł wzrok na horyzont; tam, ponad drzewami, otaczając wielkim łukiem cały ten świat, wznosiło się kamienne pasmo, przy którym najpotężniejsze giganty Diaspar wyglądałyby jak karzełki. Odległość była tak wielka, że nie można było rozróżnić szczegółów, ale w tych zarysach tkwiło coś co zaintrygowało Alvina. Jego oczy przywykły wreszcie do skali tego kolosalnego krajobrazu i wiedział już, że te dalekie ściany nie zostały wzniesione przez człowieka.

Czas nie zniszczył wszystkiego; Ziemia nosiła jeszcze na sobie góry, z których mogła być dumna.

Przez dłuższy jeszcze czas stał Alvin u wylotu tunelu, przyzwyczajając się z wolna do świata, w którym się znalazł. Był na wpół oszołomiony wstrząsem, jaki wywarł na nim widok tych niezmierzonych przestrzeni. Odległy pierścień gór mógł opasać tuzin miast tak wielkich jak Diaspar. Nie dostrzegał jednak śladów życia ludzkiego. Ale droga, która prowadziła zboczem wzgórza w dół wyglądała na dobrze utrzymaną; nie miał lepszego wyboru, jak zdać się na nią.

U stóp wzgórza droga znikała między wielkimi drzewami, które niemal przesłaniały słońce. Gdy Alvin wszedł w ich cień, przywitała go dziwna mieszanina zapachów i dźwięków. Szelest wiatru wśród liści znał już wcześniej, ale oprócz niego rozbrzmiewało tam tysiące innych odgłosów, które nic mu nie przypominały. Jego oczy zaatakowały nieznane barwy, w nozdrza uderzyły wonie zapomniane na równi z historią jego rasy. Ciepło, bogactwo woni i kolorów, niewidzialna obecność milionów żywych stworzeń poraziły go z niemal fizyczną gwałtownością.

Na jezioro natknął się bez żadnego ostrzeżenia. Drzewa po prawej nagle się urwały i ujrzał przed sobą wielkie rozlewisko wody, poznaczone kleksami wysepek. Nigdy w życiu Alvin nie widział tyle wody na raz; w porównaniu, największe baseny w Diaspar były niewiele większe od kałuży. Podszedł powoli do brzegu jeziora, zaczerpnął ciepłej wody w złożone w muszelkę dłonie i pozwolił przeciekać jej przez palce.

Wtem z podwodnych trzcin wyprysnęła srebrzysta ryba. Była pierwszą nie ludzką istotą, jaką spotkał w swym życiu Alvin. To dziwne, ale jej kształty coś mu przypominały. Unosząc się tak w bladozielonej wodzie wyglądała jak ucieleśnienie szybkości i siły. W tym żywym ciele zawarte były smukłe linie wielkich statków, które panowały niegdyś nad przestworzami. Ewolucja i nauka doszły do tego samego, jednak dzieło Natury przetrwało dłużej.

Alvin zrzucił z siebie w końcu czar jeziora i ruszył dalej. Las znowu go otoczył, ale tylko na chwilę, bo droga kończyła się na skraju wielkiej polany szerokiej na pół mili i dwa razy tak długiej – i Alvin zrozumiał, dlaczego wcześniej nie dostrzegł śladów bytności człowieka.

Polana zapełniona była niskimi, jednopiętrowymi budynkami, pomalowanymi na jasne odcienie, które nawet w pełnym blasku dnia nie raziły oczu. Większość miała proste kształty, ale kilka wyróżniało się przemyślnym stylem architektonicznym, podkreślanym rzeźbionymi kolumienkami i podmurówkami ze zdobnych we wzory kamieni.

Idąc wolno w kierunku ludzkich siedzib, Alvin starał się pojąć to nowe otoczenie. Wszystko było tutaj obce; inne było nawet powietrze, pulsujące tętnem nieznanego życia. Między chatami z niewymuszoną gracją krzątali się wysocy, złotowłosi ludzie. Byli najwyraźniej z innej gliny niż mieszkańcy Diaspar.

Nie zwracali na Alvina najmniejszej uwagi i było to dziwne, gdyż ubiorem różnił się całkowicie od nich. Ze względu na niezmienność temperatury, strój był w Diaspar elementem czysto dekoracyjnym i przyjmował często bardzo wyszukane formy. Tutaj ubranie wydawało się spełniać rolę funkcjonalną i służyło raczej do noszenia niż na pokaz. Składało się przeważnie z jednego kawałka materiału, udrapowanego wokół ciała.

Ludzie z Lys zareagowali na obecność Alvina dopiero wtedy, gdy ten dotarł do środka wsi, a i wtedy ich reakcja przybrała niecodzienną formę. Z jednej z chat wyszła grupka mężczyzn i ruszyła mu na spotkanie – tak jakby spodziewano się tu jego przybycia. Alvina ogarnęło silne podniecenie i krew szybciej zaczęła mu krążyć w żyłach. Pomyślał o tych wszystkich spotkaniach z innymi rasami na

powierzchni pustyni. Wprost na kratę padały niemal poziome promienie słońca, rzucając na ściany tunelu niesamowite wzory światła i cienia. Alvin osłonił dłonią oczy przed blaskiem i spoglądał w dół na ziemię, po której od niezliczonych wieków nie stąpała noga człowieka.

Być może patrzył na zastygłe na zawsze morze. Piaskowe wydmy odpływały falami, mila za milą, ku zachodowi. Ich kontury wyolbrzymiało padające z ukosa światło. Tu i ówdzie jakiś kaprys wiatru wyrzeźbił w piasku osobliwe wiry i żleby, tak że czasem trudno było wprost uwierzyć, iż te twory nie są dziełem inteligencji. W bardzo dużej odległości, tak daleko, że nie potrafił ocenić dystansu, ciągnęło się pasemko niskich, łagodnie zaokrąglonych wzgórz. Rozczarowały one Alvina; wiele by dał, aby ujrzeć na własne oczy te niebotyczne szczyty ze starożytnych przekazów i własnych snów.

Słońce opierało się już krawędzią o wierzchołki wzgórz. Jego promienie rozpraszały się i czerwieniały. Na słonecznej tarczy widniały dwie duże plamy; Alvin wiedział już ze swych obserwacji, że istnieją takie rzeczy, ale dziwiło go, iż może je bez trudu dostrzec. Wyglądały, jak para spoglądających nań oczu.

Zmierzchu nie było. Z odejściem słońca sadzawki cieni zalegające między wydmami zlały się szybko w jedno ogromne jezioro mroku. Z nieba odpłynęła barwa; odpłynęły ciepłe odcienie czerwieni i złota ustępując miejsca arktycznemu granatowi, który ciemniejąc przeradzał się z wolna w noc. Alvin czekał na ten zapierający dech w piersiach moment, który z całej ludzkości oglądał tylko on – na moment, kiedy drżąc zabłyśnie pierwsza gwiazda.

Upłynęło już wiele tygodni od czasu, kiedy był tu po raz ostatni i domyślał się, że układ nocnego nieba musiał się w międzyczasie zmienić, ale pomimo to pojawienie się Siedmiu Słońc zaskoczyło go.

Nie mogły nosić innej nazwy; to określenie samo cisnęło się na usta. Na tle poświaty zachodzącego słońca tworzyły maleńką, bardzo zwartą i zadziwiająco symetryczną formację. Sześć z nich rozłożonych było na obwodzie lekko spłaszczonej elipsy, która w rzeczywistości musiała stanowić idealne koło, nachylone nieco w kierunku linii obserwacji. Każda gwiazda miała inną barwę; odróżniał teraz kolor czerwony, niebieski, złoty i zielony, ale inne odcienie wymykały się jego oczom. W samym środku tej formacji tkwił biały olbrzym – najjaśniejsza gwiazda na całym widocznym nieboskłonie. Grupa ta, jako całość, przywodziła na myśl klejnot: wydawało się nieprawdopodobne i sprzeczne z wszelkimi prawami teorii prawdopodobieństwa, żeby Natura mogła kiedykolwiek utworzyć tak idealny twór.

W miarę, jak oczy Alvina przyzwyczajały się do zapadających ciemności, widział coraz wyraźniej wielki mglisty welon rozpostarty na nocnym niebie, a nazywany niegdyś Drogą Mleczną. Rozciągał się od zenitu po horyzont i ogarniał swymi fałdami Siedem Słońc. Zaczęły się pojawiać inne gwiazdy, a ich bezładnie rozrzucone skupiska uwypuklały tylko zagadkę tej idealnej symetrii. Wydawało się, że jakaś siła rozmyślnie sprzeciwiała się chaosowi wszechświata układając z tych siedmiu gwiazd swój znak.

Dziesięć razy, nie więcej, obróciła się wokół swej osi Galaktyka, od kiedy stopa Człowieka zaczęła stąpać po Ziemi. W skali Galaktyki była to tylko chwila, jednak zmieniła się od tego czasu całkowicie – zmieniła się daleko bardziej niż miała prawo to uczynić naturalną koleją rzeczy. Wielkie słońca, które niegdyś, w glorii młodości, płonęły tak jasnym blaskiem, dopalały się teraz dążąc ku nieuchronnej zgubie. Ale Alvin, który nie widział nigdy nieboskłonu w jego starożytnej krasie, nieświadom był wszystkiego, co zostało utracone.

Przenikające do szpiku kości zimno skłoniło go do powrotu do miasta. Oderwał ręce od kraty i zaczął je rozmasowywać przywracając w nich krążenie krwi. Światło wpadające do tunelu przez przeciwległy wylot było tak jasne, że musiał na chwilę odwrócić wzrok. Poza granicami miasta nadal istniały dnie i noce, ale w jego granicach trwał wieczny dzień. Gdy zachodziło słońce, niebo nad Diaspar rozjarzyło się sztucznym światłem tak łudząco podobnym do naturalnego, że nikt nie potrafił dostrzec różnicy.

Alvin wracał powoli przez salę luster rozmyślając o nocy i gwiazdach. Czuł natchnienie, a zarazem przygnębienie. Wyglądało na to, że nie ma drogi ucieczki z miasta w tę ogromną pustkę – i nie ma też żadnego w tym celu. Jeserac twierdził, iż człowiek umarłby szybko na pustyni i Alvin mu wierzył. Być może któregoś dnia odkryje jakiś sposób opuszczenia Diaspar, ale co z tego, jeśli będzie musiał szybko wrócić do miasta. Wydostanie się na pustynię byłoby niczym więcej, jak niezwykłą rozrywką. Byłaby to zabawa, w którą mógłby się bawić samotnie bez udziału partnerów i nie doprowadziłaby go do niczego. Ale warto było spróbować po to chociażby, aby ugasić pożar tęsknoty płonący w jego duszy.

Ociągając się z powrotem do znajomego sobie świata, Alvin stał przed jednym z wielkich luster i obserwował wynurzające się i znikające w jego głębi sceny. Jakikolwiek był mechanizm powstawania tych obrazów, sterowała nim jego obecność i w pewnym stopniu jego myśli. Zawsze, kiedy wchodził tutaj, lustra nie pokazywały nic i wypełniały się akcją dopiero wtedy, gdy pojawiał się przed nimi.

Teraz wydało mu się, że stoi na wielkim otwartym dziedzińcu, którego nigdy w rzeczywistości nie widział, ale który prawdopodobnie istnieje wciąż gdzieś w Diaspar. Dziedziniec był niezwykle zatłoczo-

ny i wyglądało na to, że odbywa się na nim coś w rodzaju publicznego wiecu. Na trybunie pośrodku placu dyskutowali o czymś dwaj mężczyźni, a zebrani otaczali podium, wznosząc od czasu do czasu jakieś okrzyki.

Chciał już odejść, gdy nagle zauważył dziwnie ubranego mężczyznę stojącego w pewnym oddaleniu od głównej grupy. Jego ruchy, jego ubiór... wszystko, co było z nim związane, wydawało się nie pasować do rozgrywającej się w głębi lustra sceny. Psuł całość kompozycji. Podobnie jak Alvin, był anachronizmy.

Ten mężczyzna był człowiekiem z krwi i kości i przyglądał się Alvinowi z zagadkowym uśmiechem.

Rozdział 5

W swym krótkim życiu Alvin nie spotkał jeszcze tysięcznej części mieszkańców Diaspar. Nie zdziwiło go więc, że nie zna stojącego przed nim mężczyzny. Zaskoczyło go tylko to, że w ogóle spotkał kogoś w tej opuszczonej wieży, tak blisko granicy z nieznanym.

Odwrócił się plecami do lustrzanego świata i stanął twarzą w twarz z nieznajomym. Otworzył usta, aby zadać pytanie, ale tamten go uprzedził:

– Nazywasz się Alvin, o ile się nie mylę? Powinienem się domyślić, że to ty, kiedy odkryłem, iż ktoś nadchodzi.

Alvina nie zdziwiło, iż został rozpoznany; czy chciał tego, czy nie, fakt jego odmienności i nie ujawnionych jeszcze cech charakteru, czynił go osobą znaną w mieście.

– Jestem Khedron – ciągnął nieznajomy, jak gdyby to imię wyjaśniało wszystko. – Nazywają mnie Błaznem. – Wzruszył z rezygnacją ramionami widząc zmieszaną minę Alvina. – Taka oto jest sława. Ale jesteś jeszcze młody i za twojego życia niczego nie zrobiłem. Twoja niewiedza jest usprawiedliwiona.

Khedron miał w sobie coś niezwykłego. Alvin szukał gorączkowo w pamięci znaczenia słowa „błazen", ale go nie znalazł. W skomplikowanej strukturze socjalnej miasta wiele było różnych tytułów i określeń. Nie starczyłoby życia, żeby je wszystkie poznać.

– Często tu bywasz? – spytał Khedrona z nutką zazdrości w głosie. Dochodził już do przekonania, że Wieża Loranne jest jego prywatną własnością i złościło go, iż jej cuda znane są komuś jeszcze. Ale czy ten Khedron patrzył kiedyś na pustynię albo obserwował niknące na zachodzie słońce?

– Nie – odparł Khedron odgadując jak gdyby jego nie wypowiedziane pytanie. – Nigdy przedtem tutaj nie byłem. Ale znajduję przyjemność w śledzeniu niezwykłych wydarzeń mających miejsce w mieście, a upłynęło już sporo czasu, od kiedy ktoś wszedł do Wieży Loranne.

– Nawet jeśli wejście kogoś tutaj jest niezwykłym wydarzeniem, to dlaczego cię to interesuje? – spytał Alvin.

– Ponieważ w Diaspar – odparł Khedron – niezwykłość jest moim przywilejem. Już dawno zwróciłem na ciebie uwagę; wiedziałem, że pewnego dnia musimy się spotkać. Ja też, na swój sposób, jestem odmieńcem. Och, nie takim jak ty: to nie jest moje pierwsze wcielenie. Już tysiąc razy wychodziłem z Sali Tworzenia. Ale kiedyś tam, na początku, zostałem mianowany Błaznem, a w Diaspar istnieje tylko jeden Błazen na raz. I tak większość ludzi uważa, że to o jednego za dużo.

W słowach Khedrona pobrzmiewała nutka ironii. Zadawanie osobistych pytań nie należało do dobrego tonu, jednak to Khedron podjął ten temat:

– Przepraszam za moją ignorancję – powiedział Alvin – ale co to jest Błazen i co on robi?

– Pytasz „co" – odparł Khedron – więc zacznę od wyjaśnienia ci „dlaczego". To długa historia, ale sądzę, że cię zainteresuje.

– Wszystko mnie interesuje – przyznał zgodnie z prawdą Alvin.

– Cieszę się. A więc ludzie – jeśli w ogóle byli to ludzie, w co czasami powątpiewam – którzy zaplanowali Diaspar, musieli rozwiązać niesłychanie skomplikowany problem. Diaspar, jak wiesz, nie jest jedynie maszyną – jest ono żywym organizmem i to nieśmiertelnym. Jesteśmy tak przyzwyczajeni do naszego trybu życia, że nie potrafimy zdać sobie sprawy z tego, jak dziwny musiałby się on wydawać naszym pierwszym przodkom. Mamy tutaj malutki, zamknięty świat, który się nigdy nie zmienia, nie licząc mniej ważnych szczegółów, a który jest do tego, pomimo upływu wieków, idealnie stabilny. Trwa on prawdopodobnie dłużej niż cała historia człowieka poprzedzająca jego założenie – a przecież w tej historii powstawały, jak się sądzi, niezliczone oddzielne kultury i cywilizacje, które istniały krótką chwilę, po czym ginęły. W jaki sposób Diaspar osiągnęło swą nadzwyczajną stabilność?

Alvin zdziwił się, że ktoś może zadawać tak podstawowe pytania i zaczął tracić nadzieję, że dowie się czegokolwiek nowego.

– Oczywiście dzięki Bankom Pamięci – odparł. – Diaspar zamieszkiwane jest wciąż przez tych

LYS
35 MINUT

Na jego oczach liczba „35" zmieniła się na „34". To była już użyteczna informacja, chociaż nie znając szybkości, z jaką poruszała się maszyna, nie mógł sobie wyrobić pojęcia co do odległości dzielącej go jeszcze od kresu podróży. Ściany tunelu stanowiły nieprzerwaną smugę szarości, a jedynym wrażeniem ruchu była lekka wibracja, której nawet by nie zauważył, gdyby jej nie szukał.

Diaspar musiało już pozostać o mile za nim i mknęli teraz pewnie pod powierzchnią pustyni z jej ruchomymi piaskowymi wydmami. Być może znajduje się już pod popękanymi wzgórzami, które tak często obserwował z Wieży Loranne.

Wyobraźnia Alvina pomknęła przodem do Lys. Co to za miasto? Pomimo starań potrafił sobie tylko wyobrazić drugą, mniejszą wersję Diaspar. Ciekaw był, czy jeszcze istnieje, ale przecież gdyby było inaczej, ta maszyna nie niosłaby go z taką prędkością w tamtym kierunku.

Wyczuł nagle wyraźną zmianę wibracji pod stopami. Pojazd zwalniał – nie było co do tego żadnych wątpliwości. Czas musiał płynąć szybciej niż myślał. Zdziwiony nieco, zerknął na wyświetlacz.

LYS
23 MINUTY

Zaintrygowany i nieco przestraszony przycisnął twarz do szyby. Prędkość, z jaką pędzili rozmazywała ściany tunelu w szarą smugę, ale teraz od czasu do czasu dostrzegał na mgnienie oka znaki, które znikały niemal tak szybko, jak się pojawiały, przy czym każdy kolejny znak zdawał się pozostawać w polu widzenia nieco dłużej.

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, ściany tunelu umknęły na boki. Maszyna, rozwijając wciąż wielką prędkość, mijała wielką, pustą halę, daleko większą od sali ruchomych dróg.

Wyglądając z zachwytem przez przezroczystą burtę swego pojazdu, Alvin dostrzegał pod sobą pajęczynę prętów prowadzących, prętów, które przecinały się w wielu miejscach i krzyżowały, aby potem niknąć w labiryncie tuneli po obu stronach hali. Z góry, ze sklepionej łukowato kopuły sufitu, spływała powódź jaskrawego niebieskiego światła. W blasku tym odróżniał sylwetki wielkich maszyn. Światło było tak jasne, że raziło oczy i Alvin domyślił się, że nie było to miejsce przeznaczone dla człowieka. W chwilę później jego pojazd minął w wielkim pędzie rząd cylindrów spoczywających w bezruchu nad swymi szynami prowadzącymi. Były dużo większe od tego, w którym podróżował, i Alvin doszedł do wniosku, że musiały służyć do transportu towarów. Wokół nich tłoczyły się niewiadomego przeznaczenia, wieloprzegubowe mechanizmy, wszystkie ciche i nieruchome.

Prawie tak szybko, jak się pojawiła, ogromna hala zniknęła za pędzącym pojazdem. Przejazd przez nią odcisnął się w umyśle Alvina piętnem grozy; po raz pierwszy zrozumiał znaczenie wielkiej pociemniałej mapy z podziemi Diaspar. Świat krył w sobie więcej dziwów, niż kiedykolwiek odważył się marzyć.

Zerknął znowu na wyświetlacz. Wskazanie nie zmieniło się. Przejazd przez ogromną halę nie trwał nawet minuty. Maszyna znów przyspieszyła; chociaż wrażenie ruchu było nikłe, ściany tunelu po obu bokach umykały w tył z niewyobrażalną prędkością.

Wydawało mu się, że upłynął wiek, zanim znowu nastąpiła nieokreślona zmiana wibracji. Wyświetlacz wskazywał teraz:

LYS
1 MINUTA

i ta minuta była najdłuższa w życiu Alvina. Maszyna zwalniała coraz bardziej, aż wreszcie zatrzymała się.

Długi cylinder wysunął się bezgłośnie z tunelu i wpadł do sali, która mogłaby być bliźniaczką tej spod Diaspar. Alvin był w pierwszej chwili zbyt podniecony, aby skupić na czymś wzrok; drzwi stały już dłuższy czas otworem, gdy zdał sobie sprawę, że może wysiąść z pojazdu. Opuszczając spiesznie maszynę, po raz ostatni rzucił okiem na wyświetlacz. Widniejący na nim komunikat uspokoił go:

DIASPAR
35 MINUT

Przystępując do poszukiwania drogi wyjścia z sali, Alvin natrafił na pierwsze oznaki świadczące o tym, iż trafił do różnej od jego cywilizacji. Droga na powierzchnię wiodła tutaj niskim, szerokim tunelem, wejście do którego widniało w jednej ze ścian sali. W górę tunelu pięło się pasmo schodów. Schody spotykało się w Diaspar niezwykle rzadko; tam, gdzie występowała różnica poziomów, architekci miasta wprowadzali rampy lub pochyłe korytarze. Przetrwało to z czasów, gdy większość robotów poruszała się na kołach i schody stanowiły dla nich przeszkodę nie do przebycia.

Pasmo schodów było bardzo krótkie i kończyło się przed drzwiami, które otworzyły się automatycz-

ostrzeżenie - wycinek burty pojazdu po prostu znikł i przed jego oczyma ukazało się pięknie zaprojektowane wnętrze.

Nadszedł moment decyzji. Aż do tej pory mógł w każdej chwili zawrócić. Wiedział jednak, co się stanie, jeśli wejdzie przez to zapraszające wejście, chociaż nie miał pojęcia, czym to się skończy. Nie będzie już pod kontrolą swego przeznaczenia, a odda się we władanie nieznanym siłom.

Wahał się tylko przez chwilę. Obawiał się, że jeśli będzie zbyt długo zwlekał, taka okazja może się już nie powtórzyć - a nawet jeśli się powtórzy, jego odwaga może nie sprostać żądzy poznania. Khedron otworzył usta w niemym proteście, ale zanim zdążył wydobyć z siebie głos, Alvin przekroczył próg i znalazł się we wnętrzu pojazdu. Odwrócił się do Khedrona stojącego w ramie ledwo widocznego prostokąta drzwi i na moment zaległa napięta cisza. Obaj czekali, aż przemówi ten drugi.

Decyzja została podjęta bez ich udziału. Wejście zmatowiało lekko na ułamek sekundy i burta zasklepiła się. Gdy Alvin unosił rękę w geście pożegnania, długi cylinder ruszał już naprzód nabierając szybkości. Zanim zanurzył się w tunelu, pędził już szybciej od biegnącego człowieka.

Były czasy, kiedy w podobnych maszynach takie podróże odbywało codziennie miliony ludzi, przebywając drogę z domów do pracy i z powrotem. Od tych odległych dni Człowiek zbadał Wszechświat i powrócił na Ziemię - zbudował Imperium i wypuścił je z rąk. Teraz, w maszynie, w której legiony zapomnianych i zwykłych ludzi czułoby się jak w domu, podróżował w nieznane Alvin.

I miała to być najbardziej brzemienna w skutki podróż, jaką podejmował człowiek od miliarda lat.

Alystra przeszukała Grobowiec kilkakrotnie, chociaż wystarczyło to zrobić tylko raz, gdyż i tak nie było tam gdzie się ukryć. Po otrząśnięciu się z pierwszego szoku, zaczęła się zastanawiać, czy zamiast żywych Alvina i Khedrona nie śledziła czasem ich projekcji. Ale to nie miało sensu; projekcje można było materializować od razu w żądanym miejscu, bez potrzeby udawania się tam osobiście. Żadna normalna osoba nie kazałaby „spacerować" swojemu projektowanemu obrazowi przed dwie mile, tracąc na dotarcie do celu pół godziny, kiedy mogła się tam znaleźć momentalnie. Nie, to prawdziwi Alvin i Khedron wchodzili do Grobowca.

Gdzieś zatem musiało istnieć sekretne wejście. Oczekując ich powrotu mogła przecież go poszukać.

Jak to zwykle bywa w takich wypadkach, nie zauważyła pojawienia się Khedrona, gdyż badała kolumnę za statuą, gdy ten wynurzył się spod ziemi po drugiej jej stronie. Usłyszała kroki, odwróciła się i od razu spostrzegła, że Khedron jest sam.

- Gdzie jest Alvin? - krzyknęła.

Błazen nie odpowiedział od razu. Wyglądał na roztrzęsionego, wzrok miał nieobecny i Alystra musiała powtórzyć swe pytanie, zanim ją zauważył. Nie okazał żadnego zdziwienia jej obecnością.

- Nie wiem, gdzie on jest - odezwał się w końcu. - Mogę ci tylko powiedzieć, że znajduje się w drodze do Lys. Teraz wiesz tyle, co ja.

Słów Khedrona nigdy nie można było brać na serio, ale Alystra nie potrzebowała więcej dowodów na to, aby sobie uświadomić, że Błazen nie gra dzisiaj swojej roli. Powiedział jej prawdę - cokolwiek mogła ona oznaczać.

Rozdział 10

Po zamknięciu się drzwi, Alvin opadł na najbliższy fotel. Miał wrażenie, że cała siła uszła mu z nóg: poznał wreszcie ten strach przed nieznanym, który dręczył jego współobywateli, a którego do tej pory nie doświadczył. Czuł, jak drży mu każdy mięsień, a wzrok staje się zamglony i nie może go na dłużej skupić na żadnym przedmiocie. Gdyby mógł teraz czmychnąć z tej pędzącej maszyny, zrobiłby to skwapliwie, nawet za cenę rezygnacji z urzeczywistnienia swych marzeń.

Nie ogarniał go sam tylko strach, ale i poczucie nie dającej się znieść samotności. Wszystkim, co znał i kochał, było Diaspar. Nawet jeśli nie natknie się na żadne niebezpieczeństwo, może już nigdy nie ujrzeć swego świata. Wiedział teraz, co to znaczy opuścić na zawsze swój dom rodzinny. Nie obchodziło go w tej chwili, co go czeka na końcu tej podróży; ważne było tylko, że oddala się od domu.

Nastrój przygnębienia z wolna mijał; opuściły go mroczne myśli. Zaczął rozglądać się w koło po nieprawdopodobnie starym pojeździe, który unosił go w dal. Nie dziwiło zbytnio Alvina, że ten podziemny system komunikacyjny funkcjonuje bez zarzutu po upływie tylu wieków. Nie był on chroniony przez układy wieczności samego miasta, ale musiały gdzieś istnieć podobne układy zabezpieczające go przed awarią czy zniszczeniem.

Dopiero teraz zauważył tablicę wskaźników, stanowiącą część przedniej ściany. Na znajdującym się na niej ekranie widniał krótki, ale treściwy komunikat:

samych ludzi, chociaż w miarę, jak jedni wracają do Sali Tworzenia, a inni z niej wychodzą, skład aktualnej populacji Diaspar ulega ciągłej zmianie na zasadzie rotacji.

Khedron potrząsnął głową.

- To tylko bardzo mała cząstka odpowiedzi. Z dokładnie tymi samymi ludźmi mógłbyś zbudować wiele modeli społeczeństw. Nie potrafię tego dowieść, ale jestem przekonany, że tak jest. Konstruktorzy Diaspar nie tylko zaprojektowali jego populację. Oni ustalili również prawa rządzące jej zachowaniem. Ledwie zdajemy sobie sprawę z istnienia tych praw, ale ich przestrzegamy. Diaspar jest skostniałą kulturą, która nie może się zmienić poza z góry wytyczone, wąskie granice. Banki Pamięci, poza matrycami naszych ciał i osobowości, przechowują również wiele innych rzeczy. Przechowują one obraz samego miasta, chroniąc pieczołowicie każdy jego atom przed zmianami, jakie mógłby przynieść Czas. Spójrz na ten chodnik - położono go miliony lat temu, stąpały po nim niezliczone stopy. Czy dostrzegasz jakikolwiek ślad zużycia? Nie zabezpieczona materia, niezależnie od jej trwałości, starta by została na pył wieki temu. Ale jak długo istnieje energia zasilająca Banki Pamięci i jak długo przechowywane w nich matryce mogą kontrolować bez przerwy stan miasta, fizyczna struktura Diaspar nie ulegnie zmianie.

- Ale następowały przecież pewne zmiany - zaprotestował Alvin. - Od założenia miasta zburzono wiele budynków i wzniesiono wiele nowych.

- Oczywiście, ale tylko w drodze wymazania informacji przechowywanych w Bankach Pamięci i wprowadzenia na ich miejsce nowych danych. Zresztą wspomniałem o tym tylko dlatego, żeby zilustrować ci sposób, w jaki miasto zachowuje swoją strukturę fizyczną. Zmierzam do tego, że w ten sam sposób istniejące w Diaspar maszyny zachowują naszą strukturę społeczną. Wychwytują one wszystkie zmiany i korygują je, zanim te staną się zbyt duże. Jak to robią? Nie wiem - być może poprzez wybór tych, którzy wychodzą z Sali Tworzenia. Być może przez manipulowanie naszymi matrycami osobowości. Sądzimy, że mamy wolną wolę, ale czy możemy być tego pewni? W każdym razie problem ten został rozwiązany. Diaspar przetrwało i przeszło bezpiecznie przez stulecia, jak wielki statek wiozący ładunek wszystkiego, co pozostało po rasie ludzkiej. To jest ogromne osiągnięcie inżynierii społecznej, chociaż czy warto było je realizować, to już zupełnie inna sprawa. Stabilność to jednak nie wszystko. Niedaleko już od niej do stagnacji, a tym samym do dekadencji. Konstruktorzy miasta przedsięwzięli odpowiednie kroki, aby do tego nie dopuścić, jednak te opuszczone budynki świadczą, że nie w pełni im się to udało. Ja, Khedron Błazen, jestem cząstką tego planu. Być może bardzo małą cząstką. Chciałbym myśleć inaczej, ale nigdy nie nabiorę pewności.

- A co to za cząstka? - spytał Alvin wciąż mało rozumiejąc.

- Powiedzmy, że wprowadzam w życie miasta określoną porcję chaosu. Wyjaśnienie celu mej działalności równałoby się zniszczeniu jej skuteczności. Sądź mnie raczej po moich poczynaniach niż po moich słowach.

Alvin nigdy dotąd nie spotkał kogoś podobnego do Khedrona. Błazen był prawdziwą osobowością - charakterem, który głową i ramionami wystawał ponad ogólny poziom uniformizmu tak typowego dla Diaspar. Alvin czuł, że ma przed sobą kogoś, z kim może porozmawiać i kto może udzielić mu odpowiedzi na wiele nurtujących go od dawna problemów.

Wrócili razem korytarzami Wieży Loranne i wynurzyli się przy pustej ruchomej drodze. Dopiero tu, na ulicy, Alvin uświadomił sobie, że Khedron nie spytał go nawet, co robi tutaj, na samej granicy nieznanego. Nasunęło mu się podejrzenie, że Khedron to wie i jest zaciekawiony, ale nie zdziwiony. Coś mu mówiło, że zadziwienie Khedrona nie było sprawą łatwą.

Wymienili numery kierunkowe, żeby móc się skontaktować, kiedy sobie tego będą życzyli. Alvin chciał się jeszcze spotkać z Błaznem, chociaż odniósł wrażenie, że dłuższe przebywanie w obecności tego człowieka może okazać się męczące. Przedtem jednak chciał usłyszeć, co mogą mu powiedzieć o Khedronie jego przyjaciele, a szczególnie Jeserac.

- Do następnego spotkania - powiedział Khedron i natychmiast znikł. Alvin zapłonął gniewem. Spotykając kogoś pod postacią swego wyobrażenia, czy nie będąc obecny ciałem, należało uprzedzić o tym spotkanego na samym początku rozmowy. Khedron przez cały czas przebywał prawdopodobnie w swym mieszkaniu - gdziekolwiek się ono znajdowało. Numer, który podał Alvinowi, gwarantował jedynie, że dotrze doń wszelka wiadomość, nie zdradzał jednak jego miejsca zamieszkania.

Rozdział 6

Jeserac od razu poznał Khedrona i nie był zbytnio zachwycony jego wizytą. Nie lubił, gdy zakłócano mu jego uporządkowany rozkład dnia, a poza tym Khedron był nieobliczalny. Przywitał jednak gościa dość uprzejmie, skrywając skrzętnie wszelkie ślady swego rozdrażnienia.

- Chciałbym porozmawiać z tobą o Alvinie - zaczął bez wstępów Khedron. - Jesteś, zdaje się, jego nauczycielem?

- To prawda - odparł Jeserac. - Widuję się z nim kilka razy w tygodniu, kiedy tylko sobie tego życzy.

- A czy możesz o nim powiedzieć, że jest zdolnym uczniem?

Jeserac zamyślił się; to było trudne pytanie. W mieście pojawiało się średnio dziesięć tysięcy nowych umysłów rocznie. Ich poprzednie wspomnienia były wciąż utajone i przez pierwsze dwadzieścia lat życia wszystko wokół wydawało się im obce i nowe. Trzeba ich było uczyć od podstaw korzystania z niezliczonych maszyn i urządzeń będących tłem codziennego życia mieszkańców miasta oraz zasad współżycia obowiązujących w najbardziej skomplikowanym społeczeństwie, jakie kiedykolwiek zbudował Człowiek.

Część informacji pochodziła od pary wybranej na rodziców nowego obywatela. Wybór dokonywany był drogą losowania, a obowiązki opiekunów nie były zbyt uciążliwe. Eriston i Etania poświęcali wychowaniu Alvina nie więcej niż trzecią część swego czasu i wywiązali się ze wszystkiego, co do nich należało.

Na Jeseracu spoczywał obowiązek bardziej formalnej edukacji Alvina; zakładano, że rodzice zaznajomią go już z normami współżycia społecznego i wprowadzą we wciąż rozszerzający się krąg przyjaciół. Oni byli odpowiedzialni za charakter Alvina, Jeserac za jego umysł.

- Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie - odparł Jeserac. - Alvin jest bez wątpienia inteligentnym chłopcem, ale do wielu spraw, które powinny go interesować, odnosi się obojętnie. Z drugiej strony wykazuje on niezdrowe zainteresowanie tematami, o których zazwyczaj nie rozmawiamy.

- Na przykład światem poza murami Diaspar?

- Tak... ale skąd o tym wiesz?

Khedron zawahał się przez moment, jakby zastanawiał się, na ile może być szczery z Jeseracem. Wiedział, że Jeserac jest dobrym człowiekiem, ale zdawał sobie również sprawę, że musi on być związany tabu, które rządziło zachowaniami wszystkich mieszkańców Diaspar - wszystkich oprócz Alvina.

- Domyślam się tego - powiedział w końcu.

Jeserac usiadł w fotelu, który się obok niego zmaterializował. Była to interesująca sytuacja i chciał ją jak najdokładniej przeanalizować. Nie dowie się jednak wiele, jeśli Khedron nie okaże chęci do współpracy.

Powinien był się spodziewać, że pewnego dnia Alvin spotka Błazna i że wynikną z tego nie dające się przewidzieć konsekwencje. Khedron był jedyną osobą w mieście, którą można było określić mianem ekscentrycznej - ale nawet ta jego ekscentryczność zaplanowana została przez projektantów Diaspar. Już dawno odkryto, że bez pewnej domieszki przestępstwa lub chaosu, Utopia stanie się nie do wytrzymania nudna. Nie można było jednak zagwarantować, że przestępczość utrzyma się na określonym optymalnym poziomie, czego wymagały równania społeczne. Będąc dozwoloną i regulowaną, przestałaby być zbrodnią.

Rozwiązaniem była instytucja Błazna - na pozór naiwna, a jednak głęboko przemyślana. To ją właśnie wybrali projektanci miasta. W całej historii Diaspar nie było nawet dwustu osób predysponowanych przez cechy swojego charakteru do pełnienia tej szczególnej roli. Mieli oni pewne przywileje, które chroniły ich przed konsekwencjami ich czynów, chociaż zdarzali się też Błaźni, którzy przekroczyli dozwolone granice i zapłacili za to jedyną cenę, jaką mogło nałożyć na nich Diaspar - zostali wygnani w przyszłość, zanim skończyła się ich bieżąca inkarnacja.

W rzadkich, nie dających się przewidzieć wypadkach, Błazen przewracał całe miasto do góry nogami jakimś wybrykiem, który mógł być niczym więcej, jak wyszukanym, praktycznym żartem lub celowym zamachem na panujący aktualnie zwyczaj lub tryb życia. Jakby na to nie patrzeć, nazwa „Błazen" była bardzo odpowiednia. Istnieli niegdyś ludzie sprawujący podobne obowiązki i działający na tych samych prawach w czasach, gdy istniały jeszcze dwory i królowie.

- Byłoby lepiej - powiedział Jeserac - gdybyśmy byli ze sobą szczerzy. Obaj wiemy, że Alvin jest Odmieńcem, że nigdy dotąd nie żył w Diaspar. Może nawet lepiej niż ja domyślasz się skutków tego. Osobiście wątpię, czy w mieście może się wydarzyć cokolwiek całkowicie nie planowanego, musi więc istnieć jakiś cel, dla którego został on powołany do życia. Czy ten cel osiągnie - jakimkolwiek by on był - nie wiem. Nie wiem też, czy cel ten jest pozytywny, czy nie. Nie mam pojęcia, co to za cel.

- Przypuśćmy, że dotyczy on czegoś, co leży poza miastem.

Jeserac uśmiechnął się wyrozumiale. Błazen, jak można się było tego spodziewać, stroił sobie żarty.

- Powiedziałem mu już, co tam jest; wie, że na zewnątrz Diaspar jest tylko pustynia. Zabierz go tam,

nej kolumny. Jedna, i tylko jedna z linii była jasno podświetlona. Wydawało się, że nie ma żadnego połączenia z resztą systemu i niczym jarząca się strzała wskazywała na jeden z opadających w dół tuneli. W pobliżu końca linia ta przecinała złote kółko, przy którym płonęło jasnym światłem słowo LYS. To było wszystko.

Przez długą chwilę Alvin z Khedronem stali w bezruchu wpatrując się w ten milczący symbol. Dla Khedrona było to wyzwanie, którego, wiedział to z góry, nigdy nie podejmie i wolałby teraz znaleźć się z powrotem w mieście. Ale dla Alvina oznaczało to spełnienie wszystkich jego marzeń. Chociaż nazwa LYS nic mu nie mówiła, wypowiedział ją na głos, smakując w ustach jej brzmienie. Krew tętniła mu w żyłach, a na policzkach wystąpił gorączkowy rumieniec. Rozglądał się po wielkiej sali próbując sobie wyobrazić, jak wyglądała w starożytnych czasach, kiedy nie było już komunikacji powietrznej, ale miasta Ziemi nadal się ze sobą kontaktowały. Myślał o niezliczonych milionach lat, w ciągu których ruch tutaj powoli zamierał i gasły, jedno po drugim, światełka na wielkiej mapie, aż w końcu pozostało tylko jedno. Zastanawiał się, jak długo płonęło wśród pociemniałych korytarzy, aby pokierować krokami, które nigdy nie nadejdą, zanim Yarlan Zey nie zaplombował ruchomych dróg i nie odciął Diaspar od reszty świata.

A było to tysiąc milionów lat temu. Już wtedy Lys musiało stracić kontakt z Diaspar. Było chyba niemożliwe, aby przetrwało; może ta mapa nic teraz nie oznacza.

Z zadumy wyrwał go Khedron. Wyglądał na zdenerwowanego i roztrzęsionego. Nie przypominał zupełnie tej śmiałej, pewnej siebie osoby, jaką był zawsze na górze, w mieście.

- Wydaje mi się, że nie powinniśmy iść dalej - powiedział. - To może być niebezpieczne, o ile... o ile nie będziemy lepiej przygotowani.

Propozycja była rozsądna, ale Alvin wyczuł w głosie Khedrona ukrytą nutkę strachu. Gdyby nie to, poszedłby może za radą Błazna, ale świadomość własnego męstwa połączona z pogardą dla bojaźliwości Khedrona, popchnęły Alvina naprzód. Jak można się było cofać teraz, gdy cel mógł już być tuż tuż.

- Pójdę tym tunelem - oświadczył z uporem, jak gdyby oczekiwał, że Khedron będzie próbował go powstrzymać. - Chcę zobaczyć, dokąd prowadzi. - Ruszył śmiało naprzód i Błazen, po chwili wahania, podążył za nim. Drogowskazem była im płonąca pod stopami strzała światła.

Wkroczywszy do tunelu poczuli znajomy ciąg pola perystaltycznego i już po chwili zjeżdżali łagodnie w dół. Podróż trwała zaledwie minutę; pole uwolniło ich ze swych objęć w końcu długiej wąskiej sali w kształcie półcylindra. W jej drugim, odległym końcu widniały w ścianie dwa biegnące w nieskończoność mdło oświetlone tunele.

Otoczenie, w którym się znaleźli, rozpoznaliby bez trudu członkowie każdej cywilizacji, jaka istniała na Ziemi od czasów Zarania, ale dla Alvina i Khedrona był to zupełnie obcy świat. Przeznaczenie długiej maszyny o opływowych kształtach, wycelowanej, jak pocisk, w odległy tunel było oczywiste, ale w niczym nie umniejszało to wrażenia obcości, jakie ich ogarniało. Górna część maszyny wykonana była z przezroczystego materiału i zaglądając do środka, Alvin widział rzędy luksusowych foteli. Nie dostrzegał śladu jakiegokolwiek wejścia. Cała maszyna unosiła się na stopę ponad pojedynczym metalowym prętem biegnącym w dal i znikającym w jednym z tuneli. Kilka jardów dalej biegł drugi taki pręt prowadzący do drugiego tunelu, ale nad nim nie unosiła się żadna maszyna. Alvin był przekonany, tak jakby ktoś mu o tym powiedział, że ta druga maszyna spoczywa w podobnej do tej sali gdzieś tam, pod nieznanym, odległym Lys.

Khedron zaczął mówić, szybko wyrzucając z siebie słowa:

- Co za osobliwy system komunikacyjny! Może obsłużyć tylko sto osób na raz, a więc nie spodziewali się chyba dużego natężenia ruchu. I dlaczego zadali sobie tyle trudu, żeby zagrzebać się w ziemi, skoro przestworza były jeszcze otwarte? Być może Najeźdźcy nie pozwolili im nawet latać, chociaż trudno mi w to uwierzyć. A może wydrążono te tunele podczas okresu przejściowego, kiedy ludzie jeszcze podróżowali, ale wystrzegali się wszystkiego, co przypominało im kosmos? Mogli w ten sposób przemieszczać się z miasta do miasta nie widząc nieba i gwiazd. - Roześmiał się nerwowo. - Pewien jestem jednego, Alvinie. Lys, kiedy istniało, było bardzo podobne do Diaspar. Wszystkie miasta musiały być zasadniczo podobne do siebie. Nic dziwnego, że w końcu je opuszczono i powstało Diaspar. Jaki sens miało utrzymywanie więcej niż jednego ośrodka miejskiego?

Alvin ledwie go słyszał. Pochłonięty był oględzinami długiego pocisku w poszukiwaniu wejścia do niego. Jeśli maszyna reagowała na jakiś zakodowany rozkaz myślowy, czy wypowiadany głośno, to mała była szansa, że zdoła zmusić ją do posłuszeństwa, duża natomiast na to, że strawi resztę życia na szukaniu tego szyfru i w końcu oszaleje.

Otwierające się bezszelestnie drzwi zaskoczyły go zupełnie. Nie rozległ się żaden dźwięk, żadne

Podczas jazdy w dół szybu Alvin i Khedron nie odzywali się do siebie. Khedron znowu zmagał się ze swym sumieniem, zastanawiając się, czy tym razem nie posunął się za daleko. Nie potrafił sobie wyobrazić, dokąd zawiedzie ich ta podróż, o ile w ogóle gdzieś ich zawiedzie. Po raz pierwszy w życiu zaczynał rozumieć prawdziwe znaczenie strachu.

Alvin nie bał się; był zbyt podniecony. Tego uczucia doznał po raz pierwszy w Wieży Loranne, kiedy wyglądał na zewnątrz, na nietkniętą ludzką stopą pustynię i widział gwiazdy rozbłyskujące na nocnym niebie. Wtedy patrzył tylko na nieznane; teraz zmierzał ku niemu.

Ściany przestały sunąć w górę. Z boku ich tajemniczo poruszającej się klatki pojawiła się szpara światła, jaśniała i jaśniała i nagle okazało się, że są to drzwi. Wyszli przez nie na zewnątrz, zrobili kilka kroków krótkim korytarzykiem i nagle znaleźli się w wielkiej, okrągłej pieczarze. Jej łagodnie zakrzywione ściany schodziły się ze sobą jakieś trzysta stóp ponad ich głowami.

Kolumna, której wnętrzem zjechali na dół, wydawała się zbyt wysmukła, aby podtrzymywać ciążące na niej tony skały; prawdę mówiąc nie wyglądała wcale na integralną część sali, a sprawiała wrażenie wprowadzonej tu później. Khedron, idąc za spojrzeniem Alvina, doszedł do tego samego wniosku.

– Ta kolumna – powiedział urywanym głosem, jak gdyby z trudnością dobierał słowa – została chyba zbudowana po to, aby ukryć szyb, którym tu przybyliśmy. Nie mogła przecież służyć tłumom, jakie musiały się tędy przewijać, gdy Diaspar było jeszcze otwarte na świat. Ruch odbywał się prawdopodobnie tymi tam tunelami; przypuszczam, że domyślasz się, czym one są?

Alvin omiótł wzrokiem ściany sali oddalone o ponad sto jardów. Dziurawiły je w regularnych odstępach wielkie tunele – było ich dwanaście. Rozchodziły się promieniście we wszystkich kierunkach, dokładnie tak samo, jak ruchome drogi w mieście. Zauważył, że wznoszą się łagodnie pod górę i nagle rozpoznał znajomą szarą nawierzchnię. Były to korzenie wielkich dróg; dziwny materiał, który je ożywiał, był tu zakrzepnięty. Podczas zakładania Parku zasypano centrum ruchomych dróg, ale nigdy go nie zniszczono.

Alvin ruszył w kierunku najbliższych tuneli. Uszedł zaledwie kilka kroków, gdy zorientował się, że podłoże pod jego stopami zmienia swą postać. Stawało się przezroczyste. Jeszcze kilka kroków i wydało mu się, że stoi w powietrzu bez widocznego punktu podparcia. Zatrzymał się i spojrzał w otwierającą się pod nim otchłań.

– Khedronie! – zawołał. – Chodź tutaj!

Khedron dołączył do Alvina i razem wpatrywali się w cud roztaczający się pod ich stopami. Ledwo widoczna, na nieokreślonej głębokości, rozpościerała się tam ogromna mapa – wielka pajęczyna linii zbiegających się w jednym punkcie – pod centralnym szybem. Przez chwilę patrzyli w milczeniu, potem Khedron spytał cicho:

– Czy wiesz, co to jest?

– Sądzę, że wiem – odparł Alvin. – To jest mapa całego systemu komunikacyjnego, a te małe kółeczka muszą oznaczać inne miasta Ziemi. Dostrzegam obok nich nazwy, ale są zbyt wyblakłe, aby je odczytać.

– Musiały być kiedyś w jakiś sposób podświetlane – powiedział w zamyśleniu Khedron. Przyglądał się widniejącym pod jego stopami liniom, śledząc wzrokiem ich bieg w kierunku ścian sali.

– Chyba tak – wykrzyknął nagle. – Czy zauważyłeś, że wszystkie te linie rozchodzą się promieniście i prowadzą do małych tuneli?

Alvin dopiero teraz zauważył, że oprócz wielkich łuków tuneli, w których niknęły ruchome drogi, w ścianach widnieją również wloty mniejszych tuneli prowadzących na zewnątrz sali – tuneli, które opadały w dół, zamiast wznosić się w górę.

Khedron ciągnął dalej nie czekając na odpowiedź:

– Trudno byłoby obmyśleć prostszy system. Ludzie zjeżdżają na dół ruchomymi drogami, wybierają miejsce, do którego chcą się udać, a następnie idą wzdłuż odpowiedniej linii na mapie.

– I co się z nimi potem dzieje? – spytał Alvin. Khedron milczał. Jego oczy starały się rozwiązać tajemnicę opadających tuneli. Było ich trzydzieści albo czterdzieści i wszystkie wyglądały dokładnie tak samo. Tylko nazwy na mapie umożliwiały ich odróżnienie, a te nazwy były teraz nie do odczytania.

Alvin zostawił zadumanego Khedrona i obszedł dookoła centralną kolumnę. Wtem do uszu Khedrona doszedł jego głos przytłumiony nieco i zniekształcony echem odbitym od ścian sali.

– O co chodzi? – zawołał Khedron nie podnosząc głowy, ponieważ bliski był już odczytania jednej z niewyraźnych grup liter, ale w głosie Alvina brzmiała tak ponaglająca nuta, że porzucił swoje zajęcie i poszedł w jego kierunku.

Daleko w dole widniała druga połowa wielkiej mapy. Jej blada pajęczyna rozchodziła się promieniście we wszystkie strony. Tym razem jednak nie wszystko było tak zamglone, jak po drugiej stronie central-

jeśli potrafisz; może znasz drogę. Ujrzenie na własne oczy rzeczywistości może wyleczyć osobliwość jego umysłu.

– Wydaje mi się, że już ją widział – powiedział cicho Khedron. Ale mówił to do siebie, nie do Jeseraca.

– Nie sądzę, żeby Alvin był szczęśliwy – ciągnął Jeserac. – Ale jest jeszcze młody. Może jeszcze z tego wyrosnąć i stać się pełnowartościowym obywatelem miasta.

Khedron był ciekaw, czy Jeserac sam wierzy w to, co mówi.

– Powiedz mi – spytał z nagła – czy Alvin wie, że nie jest pierwszym Odmieńcem?

Jeserac sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– Mogłem się spodziewać – odrzekł ponuro – że wiesz o tym. Ilu to Odmieńców było w dziejach Diaspar? Czy nie dziesięciu?

– Czternastu – odparł bez wahania Khedron. – Nie licząc Alvina.

– Jesteś lepiej poinformowany ode mnie – powiedział kwaśno Jeserac. – Może wiesz również, co się stało z tymi Odmieńcami?

– Zniknęli.

– Dziękuję. Tyle wiem i ja. Właśnie dlatego jak najmniej wspominałem Alvinowi o jego poprzednikach; to nie wpłynęłoby korzystnie na jego dotychczasowy nastrój. Czy mogę liczyć na twoją współpracę?

– W tej chwili – tak. Sam chcę mu się bliżej przyjrzeć, zawsze intrygowały mnie tajemnice, a w Diaspar jest ich tak mało. Poza tym sądzę, że może spłatać nam takiego figla, przy którym zbledną wszystkie moje wyczyny.

– Masz zamiłowanie do mówienia zagadkami – powiedział Jeserac. – Do czego właściwie zmierzasz?

– Wątpię, czy moje domysły są w jakimkolwiek stopniu trafniejsze od twoich. Wierzę jednak w jedno: ani ty, ani ja, ani nikt w Diaspar nie zdoła powstrzymać Alvina, kiedy zdecyduje się on działać. Mamy przed sobą bardzo interesujące stulecia.

Po zniknięciu Khedrona, Jeserac siedział długo w bezruchu. Dręczyło go uczucie, jakiego dotąd nie znał. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien zwrócić się do Rady z prośbą o audiencję – ale czy nie byłoby to wyolbrzymianie faktów? Może cała ta historia jest jakimś skomplikowanym i niezrozumiałym żartem Khedrona, chociaż trudno mu było uwierzyć, że Błazen właśnie jego obrał sobie na ofiarę.

Przemyślał wszystko bardzo dokładnie rozważając problem pod każdym możliwym kątem. Po upływie godziny podjął charakterystyczną dla siebie decyzję.

Poczeka i zobaczy.

Alvin nie tracił czasu. Jego głównym źródłem informacji był, jak zwykle, Jeserac. Stary nauczyciel zrelacjonował pokrótce swoją rozmowę z Błaznem i dodał od siebie tyle, co wiedział o trybie życia tego człowieka. Tak dalece, jak było to możliwe w Diaspar, Khedron był samotny. Nikt nie wiedział, gdzie mieszka, ani jak żyje. Ostatni figiel, jaki spłatał, był raczej dziecinną psotą i polegał na ogólnym sparaliżowaniu ruchomych dróg. Miało to miejsce pięćdziesiąt lat temu; wiek wcześniej Khedron wypuścił na miasto osobliwego wirującego smoka, który włóczył się po ulicach pożerając każdy napotkany egzemplarz prac najpopularniejszego wówczas rzeźbiarza. Sam artysta, zaalarmowany z oczywistych powodów, najwyraźniej monotonną dietą bestii, ukrył się i nie pokazał publicznie, dopóki potwór nie zniknął w sposób równie tajemniczy, jak się pojawił.

Wynikał stąd jeden oczywisty wniosek. Khedron musiał znać się na maszynach i siłach rządzących miastem i potrafił skłonić je do postępowania według jego woli sposobami, których nie znał nikt oprócz niego. Musiała prawdopodobnie istnieć jakaś kontrola nadrzędna, której zadaniem było niedopuszczenie do spowodowania przez jakiegoś nazbyt gorliwego błazna trwałego, nieodwracalnego uszkodzenia złożonej struktury Diaspar.

Alvin zapamiętał sobie wszystkie te informacje, ale nie podjął żadnych kroków, aby skontaktować się z Khedronem. Chociaż miał do Błazna wiele pytań pozostających dotąd bez odpowiedzi, skłonność do samodzielności i niezależności kazały mu działać bez niczyjej pomocy. Obmyślił plan, którego realizacja mogła potrwać kilka lat, ale dopóki czuł, że zmierza do wytyczonego celu, był szczęśliwy.

Niczym podróżnik odkrywca z zamierzchłej przeszłości, sporządzający mapę nieznanych terenów, rozpoczął systematyczne badania Diaspar. Spędzał dni i tygodnie włócząc się po opuszczonych wieżach na obrzeżu miasta w nadziei, że w którejś z nich odkryje drogę prowadzącą do świata zewnętrznego rozciągającego się za murami. W trakcie tych poszukiwań odnalazł z tuzin wielkich otworów klimatyzacyjnych wychodzących na pustynię, ale wszystkie były okratowane, a jeśli nawet nie byłoby w nich

krat, to wystarczającą przeszkodę stanowiłaby pionowa, milowa przepaść dzieląca je od powierzchni.
Innych wyjść nie znalazł, chociaż zbadał tysiące korytarzy i dziesięć tysięcy pustych pomieszczeń. Wszystkie budynki, które zwiedzał znajdowały się w tym idealnym i nienaruszonym stanie, jaki mieszkańcy Diaspar uważali za naturalny i normalny. Czasami spotykał robota odbywającego coś w rodzaju obchodu inspekcyjnego i za każdym razem nie omieszkał zagadnąć maszyny. Nie dowiedział się niczego, ponieważ maszyny, na które się natykał nie były tak zaprogramowane, aby reagować na mowę czy myśli ludzkie. Chociaż zauważały jego obecność, bo usuwały się na bok robiąc mu przejście, to nie wdawały się z nim w konwersację.

Zdarzały się okresy, kiedy Alvin przez parę dni nie widział drugiego człowieka. Gdy poczuł głód, wchodził do jednego z opuszczonych pomieszczeń mieszkalnych i zamawiał posiłek. Po eonach drzemki budziły się do życia cudowne maszyny, nad których istnieniem rzadko się zastanawiał. Przechowywane w ich pamięciach matryce ortanizując się migotały przez chwikę na granicy rzeczywistości i wydawały polecenia materii, którą kontrolowały. I tak, ku rozkoszy podniebienia, czy też po prostu dla zaspokojenia głodu, powoływany był znowu do istnienia posiłek przygotowany przez mistrza kucharskiego dziesięć milionów lat temu.

Samotność tego opuszczonego świata – tej pustej skorupy otaczającej tętniące życiem centrum miasta – nie przygnębiała Alvina. Był przyzwyczajony do samotności. Odczuwał ją nawet wtedy, gdy przebywał wśród tych, których nazywał swymi przyjaciółmi.

Te gorliwe poszukiwania, absorbujące całą jego energię i uwagę sprawiły, że zapomniał na chwilę o tajemnicy swego pochodzenia i odmienności, która odgrodziła go od reszty mieszkańców miasta.

Nie zbadał jeszcze tysięcznej części obrzeża miasta, kiedy zdał sobie sprawę, iż traci na próżno czas. Przeświadczenie to nie było wynikiem znudzenia, ale przebłyskiem zdrowego rozsądku. Jeśli nie będzie innego wyjścia, gotów był podjąć poszukiwania na nowo, nawet gdyby miały mu one zająć resztę życia. Widział już jednak na tyle dużo, aby utwierdzić się w przekonaniu, że jeśli wyjście z Diaspar w ogóle istnieje, to nie tak łatwo będzie je znaleźć. Jeśli nie poprosi o pomoc bardziej doświadczonego człowieka, może stracić na bezowocne poszukiwania całe wieki.

Jeserac powiedział mu po prostu, że nie zna żadnej drogi prowadzącej na zewnątrz Diaspar i wątpi, czy taka w ogóle istnieje. Nagabywane przez Alvina maszyny informacyjne nadaremnie przeszukiwały swe niemal nieograniczone pamięci. Mogły podać mu każdy szczegół z historii miasta poczynając od początku rejestrowanych dziejów – od bariery, za którą, na zawsze ukryte, spoczywały Wieki Zarania. Nie potrafiły jednak odpowiedzieć na proste pytanie Alvina, a być może nie pozwalały im na to jakieś siły nadrzędne.

Będzie musiał znowu spotkać się z Khedronem.

Rozdział 7

– Zwlekałeś – powiedział Khedron – ale i tak wiedziałem, że wcześniej czy później się odezwiesz.

Ta pewność siebie zirytowała Alvina; złościła go myśl, że tak dokładnie można było przewidzieć jego zachowanie. Ciekaw był, czy Błazen obserwował go w trakcie poszukiwań i wie, czym się zajmował cały ten czas.

– Staram się znaleźć drogę prowadzącą na zewnątrz miasta – powiedział bez ogródek. – Musi istnieć taka droga i pomyślałem sobie, że mógłbyś mi pomóc ją znaleźć.

Khedron milczał przez chwilę. Jeśli chciał, miał jeszcze czas, żeby zawrócić z drogi, na którą wkroczył i która prowadziła w przyszłość nie dającą się żadnym sposobem przewidzieć. Nikt inny nie wahałby się ani przez chwilę; żaden inny człowiek w mieście nie ważyłby się zakłócać spokoju duchom świata martwego od milionów stuleci. Może nie było w tym żadnego niebezpieczeństwa, być może nic nie mogło odwrócić wiecznej niezmienności Diaspar, ale jeśli istniało ryzyko, że wydarzy się coś nieprzewidzianego, mogła to być ostatnia szansa, aby temu zapobiec.

Khedron był zadowolony z istniejącego porządku rzeczy. Mógł, co prawda, burzyć od czasu do czasu ten porządek, ale tylko troszkę. Był krytykiem, nie rewolucjonistą. Chciał wywołać tylko parę zmarszczek na powierzchni płynącej spokojnie rzeki czasu. Wzdrygał się przed wprowadzeniem poważniejszych zmian. Żądza przygody, o ile nie była ona przygodą intelektualną, została wyeliminowana z jego świadomości tak skrupulatnie, jak ze świadomości innych mieszkańców Diaspar.

Wciąż jednak, choć silnie stłumiona, tliła się w nim ta iskierka ciekawości, która niegdyś stanowiła największy dar dany Człowiekowi. Wciąż był gotów do podejmowania ryzyka.

Patrzył na Alvina i próbował przypomnieć sobie swą własną młodość, swe własne marzenia sprzed pół tysiąca lat. Nie wyróżniał się wtedy spośród swoich rówieśników. Było tak, dopóki nie osiągnął wieku, w którym powróciły utajone wspomnienia z poprzedniego życia i wtedy dopiero podjął rolę wyzna-

Rozdział 9

Alystra nie miała żadnych trudności z śledzeniem Alvina i Khedrona. Widać było, że bardzo się śpieszą, co było w Diaspar rzeczą niezwykłą. Przez całą drogę nawet nie obejrzeli się za siebie. Cel, do którego zmierzali stał się oczywisty, gdy zeszli z ruchomej drogi i wkroczyli do Parku; mogli kierować się tylko do Grobowca Yarlana Zeya. W Parku nie było innych budynków, a ludziom pędzącym w takim pośpiechu, jak Alvin i Khedron nie chodziło zapewne o napawanie oczu pięknymi krajobrazami.

Ponieważ na ostatnich pięciuset jardach przed Grobowcem nie było gdzie się skryć, Alystra zatrzymała się i odczekała, aż Alvin z Khedronem znikną w mroku marmurowej budowli. Gdy tylko straciła ich z oczu, zbiegła porośniętym trawą zboczem. Nie miała wątpliwości, że zdoła się ukryć za jedną z wielkich kolumn na tyle długo, żeby zobaczyć, co robią Alvin z Khedronem. Było jej obojętne, że potem mogą ją zauważyć.

Grobowiec tworzyły dwa koncentryczne pierścienie kolumn otaczające okrągły dziedziniec. Poza jednym, wąskim sektorem, kolumny całkowicie zasłaniały wnętrze, a Alystra nie chciała podchodzić od strony tego wejścia, ale dostać się do Grobowca z boku. Przeszła ostrożnie przez pierwszy krąg kolumn rozejrzała się, czy w zasięgu wzroku nie ma nikogo i przebiegła na palcach pustą przestrzeń oddzielającą pierwszy pierścień od drugiego. Przez szczeliny między kolumnami widziała Yarlana Zeya patrzącego na Park, który założył i dalej, na miasto, nad którym czuwał tyle wieków.

W tej kamiennej budowli nie było nikogo więcej. Grobowiec był pusty.

W tej właśnie chwili Alvin z khedronem znajdowali się sto stóp pod ziemią w małej klatce, której ściany zdawały się płynąć z jednostajną prędkością w górę. Było to jedyne świadectwo ruchu; nie wyczuwali śladu wibracji, wskazujących, że opadają szybko w głąb ziemi zmierzając do celu, którego żaden z nich nie potrafił sobie jeszcze wyobrazić.

Wszystko to było absurdalnie proste; ta droga została dla nich przygotowana. (Przez kogo? – zastanawiał się Alvin – Przez Centralny Komputer? A może przez samego Yarlana Zeya, kiedy ten przebudowywał miasto?). Monitor pokazał im długi, pionowy szyb prowadzący w głąb, ale zanim zbadali niewielki jego odcinek, obraz znikł. Oznaczało to, że żądali informacji, której monitor nie posiadał i być może nigdy nie był w jej posiadaniu.

Ledwie Alvin o tym pomyślał, ekran znów ożył. Pojawił się na nim krótki komunikat podany uproszczonym pismem, którego maszyny używały do komunikowania się z człowiekiem, chociaż zrównały się już z nim intelektualnie:

STAŃ TAM, GDZIE PATRZY STATUA I PAMIĘTAJ:

DIASPAR NIE ZAWSZE BYŁO TAKIE

Ostatnie pięć słów złożone było z większych liter i znaczenie całego komunikatu od razu stało się dla Alvina jasne. Zakodowane polecenia stosowano od dawna do otwierania drzwi czy sterowania maszynami. Polecenie „Stań tam, gdzie patrzy statua" było aż za proste.

– Ciekaw jestem, ilu ludzi czytało ten komunikat? – powiedział w zamyśleniu Alvin.

– O ile wiem, czternastu – odparł Khedron – choć mogło ich być więcej. – Nie rozwinął tej raczej tajemniczej uwagi, ale Alvinowi zbyt było śpieszno dostać się do Parku, aby prosić o wyjaśnienia.

Nie mieli pewności, czy mechanizmy będą wciąż reagowały na impuls wyzwalający. Gdy dotarli do Grobowca, zlokalizowanie wśród płyt pokrywających jego posadzkę tej jednej, na której spoczywało spojrzenie Yarlana Zeya zajęło im tylko chwilę. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że statua patrzy na miasto; gdy stanęło się bezpośrednio przed nią, można było zauważyć, że Yarlan Zey, z nieuchwytnym uśmiechem na ustach, spogląda spod spuszczonych powiek na miejsce znajdujące się w wejściu do Grobowca. Po odkryciu sekretu nie mogło być co do tego żadnych wątpliwości. Alvin przeszedł na sąsiednią płytę i stwierdził, że Yarlan Zey nie patrzy już w jego kierunku.

Stanął znowu obok Khedrona i powtórzył w myślach słowa, które Błazen wypowiedział głośno: DIASPAR NIE ZAWSZE BYŁO TAKIE. Wyczekująca na ten rozkaz maszyna zareagowała natychmiast, jakby nie istniały te miliony wieków, jakie upłynęły od czasów, kiedy po raz ostatni go usłyszała. Wielka kamienna płyta, na której stali, zaczęła zapadać się płynnie wraz z nimi w otchłań.

Kwadrat błękitu nad ich głowami zamigotał i znikł. Szyb nie był już otwarty; nie było niebezpieczeństwa, że ktoś przypadkowo do niego wpadnie. Alvin sądził zrazu, że na miejscu tej, która unosiła teraz jego i Khedrona, zmaterializowała się w jakiś sposób inna płyta, ale po chwili zarzucił tę myśl. W posadzce Grobowca tkwiła prawdopodobnie wciąż oryginalna płyta; ta, na której teraz stali istniała przez nieskończenie mały ułamek sekundy i była bez przerwy odtwarzana na coraz to większej głębokości szybu, aby stwarzać wrażenie płynnego ruchu w dół.

osiągnięte zostanie najwcześniejsze z tych wspomnień i nawrót się skończy. Ale chociaż lekcja była fascynująca, to nie wyciągnął z niej, jak na razie, wniosków, które pomogłyby mu w wydostaniu się z miasta takiego, jakim było ono teraz.

W nagłej, bezgłośnej implozji Diaspar skurczyło się do ułamka swojej poprzedniej wielkości. W jednej chwili znikł Park i wyparował graniczny mur pomiędzy tytanicznymi wieżami. To miasto było otwarte na świat, a rozchodzące się promieniście drogi biegły bez przeszkód ginąc gdzieś poza kadrem obejmowanym przez monitor. To było Diaspar sprzed wielkiej zmiany, jakiej uległa ludzkość.

– Nie możemy cofnąć się dalej – odezwał się Khedron, wskazując palcem ekran monitora. Pojawiły się tam słowa: „NAWRÓT ZAKOŃCZONY". – To musi być najwcześniejsza wersja miasta, jaką przechowano w komórkach pamięci. Wątpię czy przedtem stosowano układy wieczności; budynki mogły się wtedy zużywać naturalnie.

Alvin przyglądał się przez dłuższą chwilę makiecie starożytnego miasta. Myślał o ruchu, jaki panował na tych drogach, w czasach, gdy ludzie podróżowali swobodnie po całej Ziemi, a również udawali się do innych światów. Ci ludzie byli jego przodkami; czuł bliższe z nimi pokrewieństwo niż z ludźmi, z którymi przyszło mu żyć teraz. Chciałby ich zobaczyć, jak przemierzają ulice odległego o miliard lat Diaspar i dzielić z nimi ich myśli. Jednak te myśli nie mogły być radosne, gdyż musieli już wtedy żyć w cieniu Najeźdźców. Za kilka wieków odwrócą się plecami od chwały, jaką zdobyli i zbudują mur, który odgrodzi ich od reszty wszechświata.

Khedron przesunął kilkakrotnie obraz miasta w przyszłość i w przeszłość w ramach krótkiego okresu historii, w którym następowała ta gwałtowna transformacja. Proces przemiany małego, otwartego miasta w dużo większe i zamknięte trwał nieco ponad tysiąc lat. W tym okresie musiano skonstruować i zbudować maszyny, które tak wiernie służyły Diaspar i wprowadzić do ich układów pamięci wiedzę, która umożliwiłaby im spełnienie zadań, do których zostały przeznaczone. Wtedy też musiały trafić do układów pamięci podstawowe matryce wszystkich żyjących obecnie ludzi, tak, aby po wywołaniu ich odpowiednim impulsem wyszli ponownie, przekształceni w materię, z Sali Tworzenia. Alvin uświadomił sobie, iż w pewnym sensie musiał istnieć w starożytnym świecie. Istniała oczywiście możliwość, że jest istotą całkowicie syntetyczną, a jego osobowość została zaprojektowana przez techników-artystów, którzy pracowali narzędziami o niewyobrażalnej złożoności z myślą o pewnym, jasno określonym celu. Wydawało mu się jednak bardziej prawdopodobne, iż stanowi kompozycję ludzi, którzy kiedyś żyli i stąpali po Ziemi.

W nowym mieście bardzo niewiele pozostało ze starego Diaspar; prawie całkowicie pokrył je Park. Nawet przed przebudową, w środku Diaspar istniała mała, porośnięta trawą polana, na której zbiegały się promieniście wszystkie ulice. Polana ta rozrosła się później dziesięciokrotnie pochłaniając przyległe do niej drogi i budynki. W tym czasie powstał Grobowiec Yarlana Zeya, zajmując miejsce wielkiej okrągłej budowli wznoszącej się kiedyś u zbiegu wszystkich ulic. Alvin nigdy nie wierzył legendom mówiącym o starożytnym pochodzeniu Grobowca, teraz jednak zdawały się one znajdować swoje potwierdzenie.

– Może – odezwał się Alvin, uderzony nagłą myślą – zbadamy ten obraz dokładniej, tak jak zbadaliśmy wyobrażenie dzisiejszego Diaspar?

Palce Khedrona zamigotały nad pulpitem sterowniczym i na pytanie Alvina odpowiedział ekran Monitora. Kadr sunął zadziwiająco wąskimi ulicami i zbliżenię rosło w oczach. To wspomnienie Diaspar sprzed wielu wieków było wciąż tak ostre i wyraźne, jak obraz miasta, w którym żyli obecnie. Układy informacyjne przechowywały je przez tysiąc milionów lat w widmowym pseudoistnieniu, czekając na chwilę, kiedy ktoś znowu je wywoła. Ale to, na co teraz patrzył Alvin, nie było tylko wspomnieniem. To było coś bardziej złożonego – to było wspomnienie wspomnień...

Nie wiedział, czego może się z niego dowiedzieć i czy pomoże mu to w dalszych poszukiwaniach. Nieważne; to zaglądanie w przeszłość i obserwowanie świata, który istniał w dniach, kiedy ludzie wciąż jeszcze uwijali się wśród gwiazd, było fascynujące. Wskazał na niski, okrągły budynek stojący w sercu miasta.

– Zacznijmy stąd – powiedział do Khedrona. – To mi wygląda na najwłaściwsze miejsce do rozpoczęcia.

Być może miał po prostu szczęście, byc może było to jakieś starożytne wspomnienie, być może podstawowa logika. Nie robiło to żadnej różnicy, ponieważ wcześniej czy później dotarłby do tego miejsca, w którym zbiegały się promieniście wszystkie ulice miasta.

W ciągu dziesięciu minut przekonał się, że nie zbiegają się tam dla samej tylko symetrii – po dziesięciu minutach widział już, że jego długie poszukiwania uwieńczone zostały sukcesem.

czoną mu dawno temu. Czuł czasami złość na inteligencję, która stworzyła Diaspar z tak nieskończoną doskonałością i która jeszcze teraz, po tylu wiekach, potrafi poruszać nim, jak lalką na scenie. Teraz być może nadszedł czas na długo odwlekany rewanż. Pojawił się nowy aktor, który może spuścić po raz ostatni kurtynę na sztukę mającą już zbyt wiele aktów.

Sympatia do tego, którego samotność musiała być jeszcze większa niż jego, znudzenie wiekami powtórek oraz szelmowska skłonność do figlów – to wszystko skłoniło Khedrona do działania.

– Nie potrafię ci pomóc – odezwał się do Alvina – a może nie. Nie chcę wzniecać w tobie płonnych nadziei. Spotkamy się za pół godziny na przecięciu Promienia trzeciego z Promieniem drugim. Nawet jeśli się nie uda, to obiecuję ci interesującą wyprawę.

Alvin stawił się na spotkanie dziesięć minut przed umówionym czasem. Czekał niecierpliwie obserwując przesuwające się niestrudzenie ruchome chodniki, niosące spokojnych i zadowolonych mieszkańców w ich błahych interesach. Dojrzał wreszcie wysoką postać Khedrona pojawiającą się w oddali i w chwilę później był po raz pierwszy w fizycznej obecności Błazna. Upewnił się o tym, gdy uścisnęli sobie dłonie w starożytnym geście powitania.

Błazen przysiadł na jednej z marmurowych balustrad i przyglądał się Alvinowi z nieskrywanym zaciekawieniem.

– Ciekaw jestem – odezwał się wreszcie – czy wiesz, o co prosisz. Ciekaw też jestem, co byś zrobił, gdybyś uzyskał odpowiedź. Czy naprawdę sądzisz, że mógłbyś opuścić miasto, nawet gdybyś znalazł drogę?

– Jestem tego pewien – odparł odważnie Alvin, ale Khedron wyczuł w jego głosie nutkę niepewności.

– Pozwól więc, że powiem ci coś, czego możesz nie wiedzieć. Widzisz te wieże? – Khedron wskazał na sąsiadujące ze sobą, bliźniacze szczyty Centralnej Siłowni i Gmachu Rady przedzielone głębokim na milę kanionem. – Przypuśćmy, że między tymi wieżami przerzuciłbym niezawodnie wytrzymałą kładkę o szerokości zaledwie sześciu cali. Czy przeszedłbyś po niej?

Alvin zawahał się.

– Nie wiem – odparł po chwili. – Wolałbym nie próbować.

– Ja jestem zupełnie pewien, że nigdy byś tego nie zrobił. Zakręciłoby ci się w głowie i spadłbyś na dół nie uszedłszy dziesięciu kroków. Jeśli jednak taka sama kładka leżałaby na ziemi, przeszedłbyś po niej bez żadnych trudności.

– I czego to dowodzi?

– Słuszności prostej tezy, którą chcę postawić. W obu eksperymentach, które ci opisałem, kładka była idealnie taka sama. Jeden z tych poruszających się na kółkach robotów, które czasami spotykasz, przejechałby po niej równie łatwo, gdyby była przerzucona między tymi wieżami, jak i gdyby leżała na ziemi. My byśmy tego nie potrafili, bo cierpimy na lęk wysokości. Ta fobia może być czasami irytująca, ale jest zbyt silna, żeby ją ignorować; rodzimy się z nią.

Na tej samej zasadzie cierpimy na lęk przestrzeni. Pokaż któremukolwiek człowiekowi z Diaspar drogę prowadzącą za miasto – drogę, która może być zupełnie taka sama, jak te tutaj, przed nami – a nie ujdzie nią daleko. Będzie musiał zawrócić tak, jak zawróciłbyś ty wszedłszy na kładkę łączącą te dwie wieże.

– Ale dlaczego? – spytał Alvin. – Musiały być czasy...

– Wiem, wiem – przerwał mu Khedron. – Ludzie podróżowali kiedyś po całym świecie i do samych gwiazd. Coś ich zmieniło i obdarzyło lękiem, z którym się teraz rodzą. Tylko ty wyobrażasz sobie, że nań nie cierpisz. No cóż, przekonamy się. Zabieram cię do Gmachu Rady.

Gmach był jednym z największych budynków w mieście, oddanym we władanie maszynom będącym faktycznymi administratorami Diaspar. Sala, w której zbierała się Rada w tych rzadkich przypadkach, kiedy miała coś do przedyskutowania, znajdowała się niemal u samego szczytu.

Połknęło ich szerokie wejście i Khedron natychmiast znikł w złocistej poświacie. Alvin nigdy dotąd nie wchodził do Gmachu Rady. Nie zabraniał tego żaden przepis – w Diaspar niewiele było zabraniających czegoś zakazów – ale jak wszyscy inni, czuł w stosunku do tego miejsca jakąś na wpół religijną cześć. W świecie, który nie znał bogów, Gmach Rady był czymś w rodzaju świątyni.

Khedron bez wahania prowadził Alvina korytarzami i pochylniami przeznaczonymi najwyraźniej nie dla ludzi, a dla poruszających się na kołach maszyn. Niektóre z tych pochylni opadały i wznosiły się zygzakami pod tak ostrym kątem, że byłoby niemożliwe iść po nich, gdyby zakrzywiona grawitacja nie kompensowała pochyłości.

Dotarli w końcu do zamkniętych drzwi, które rozsunęły się cicho, kiedy podeszli bliżej, a potem zamknęły się za ich plecami. Zobaczyli przed sobą drugie drzwi. Te nie otworzyły się, gdy się do nich

zbliżyli. Khedron nie próbował nawet ich dotykać. Stanął i czekał. Po krótkiej chwili rozległ się cichy głos:

– Proszę podać swe imiona.

– Jestem Khedron Błazen. Towarzyszy mi Alvin.

– Po co przyszliście?

– Ze zwykłej ciekawości.

Ku zdziwieniu Alvina, drzwi otworzyły się od razu. Wiedział z doświadczenia, że udzielanie maszynom nieprecyzyjnych odpowiedzi wprowadza je w jakiś nieustalony stan i trzeba wszystko zaczynać od początku. Maszyna, która pytała Khedrona musiała być bardzo wyrafinowana – wysoko postawiona w hierarchii Centralnego Komputera.

Więcej przeszkód nie napotkali, ale Alvin podejrzewał, że, nie wiedząc o tym, przeszli wiele testów. Krótki korytarz zaprowadził ich do wielkiej, okrągłej sali o wpuszczonej podłodze. Na tej podłodze Alvin zobaczył coś tak zdumiewającego, że na chwilę zaniemówił z wrażenia. Patrzył na rozciągające się pod nim całe Diaspar, a najwyższe budynki miasta ledwie sięgały mu ramienia.

Sporo czasu zajęło mu wyszukiwanie na tej makiecie znajomych miejsc i obserwowanie niespodziewanych perspektyw i dopiero po dłuższej chwili przeniósł swą uwagę na resztę pomieszczenia. Ściany pokrywała mozaika ułożona precyzyjnie z mikroskopijnych białych i czarnych kwadracików; sam wzór był zupełnie chaotyczny i przesuwając po nim oczyma, Alvin odniósł wrażenie, że ten migocze szybko, chociaż w rzeczywistości wcale się nie zmieniał. Wzdłuż ścian stały, jedna przy drugiej, jakiegoś rodzaju maszyny z klawiaturami, każda tworząca całość z monitorem ekranowym i fotelem dla operatora.

Khedron pozwolił Alvinowi napatrzeć się do woli. Potem wskazał na makietę miasta i powiedział:

– Wiesz, co to jest?

– Przypuszczam, że to model – odparł pośpiesznie Alvin, ale odpowiedź ta była tak oczywista, że był pewien, iż się myli. Potrząsnął więc głową i czekał, aż Khedron sam odpowie na swoje pytanie.

– Pamiętasz – zaczął Błazen – jak opowiadałem ci kiedyś jak konserwowane jest miasto – jak w Bankach Pamięci przechowywane są wiecznie zaprogramowane niegdyś matryce? Te Banki, z całym swym niewyobrażalnym bagażem informacji definiujących bez reszty miasto, jakim jest ono teraz, są wszędzie wokół nas. Każdy atom Diaspar jest w jakiś sposób zakodowany w matrycach ukrytych w tych ścianach.

Pomachał w kierunku rozciągającego się pod nimi, idealnego, nieskończenie precyzyjnego obrazu Diaspar.

– To nie jest model; to nie istnieje w rzeczywistości. To jedynie projektowany obraz matrycy przechowywanej w Bankach Pamięci, a zatem jest identyczny z samym miastem. Te monitory umożliwiają powiększenie dowolnego, wybranego fragmentu do wielkości naturalnej. Korzysta się z nich, gdy zachodzi konieczność dokonania zmian w wyglądzie miasta, chociaż dawno już tego nie robiono. Jeśli chcesz się dowiedzieć, jak wygląda Diaspar, to tutaj właśnie musisz przyjść. Tu w kilka dni możesz się dowiedzieć więcej, niż dowiedziałbyś się chodząc po mieście przez całe życie.

– To cudowne – powiedział Alvin. – Ilu ludzi wie o istnieniu tej sali?

– Och, sporo, ale rzadko tu przychodzą. Od czasu do czasu zbiera się tu Rada. Nie można dokonać żadnych zmian w wyglądzie miasta, jeśli nie są obecni wszyscy. A nawet wtedy proponowaną zmianę musi zaaprobować Centralny Komputer. Wątpię, czy ta sala jest odwiedzana częściej niż dwa, trzy razy do roku.

Alvin ciekaw był, jak wchodził tu Khedron, ale przypomniał sobie, że wiele z jego bardziej wyszukanych żartów musiało opierać się na gruntownej znajomości wewnętrznych mechanizmów miasta, do której można było dojść tylko w drodze żmudnych badań. Możliwość wchodzenia wszędzie i dowiadywania się wszystkiego musiała być jednym z przywilejów Błazna. Alvin nie mógł znaleźć sobie lepszego przewodnika po tajemnicach Diaspar.

– To, czego szukasz, może nie istnieć – powiedział Khedron – ale jeśli istnieje, tutaj właśnie to znajdziesz. Pozwól, że ci pokażę, jak posługiwać się monitorami.

Przez następną godzinę Alvin siedział przed jednym z ekranów i uczył się przeznaczenia jego elementów regulacyjnych. Potrafił już według życzenia wybrać dowolny punkt w mieście i przyjrzeć mu się pod dowolnym powiększeniem. Zmieniał współrzędne, a przez ekran przesuwały się ulice, wieże i budynki; wydawało mu się, że jest wszystkowidzącym, bezcielesnym duchem, który może bez wysiłku przemieszczać się po całym Diaspar nie zatrzymywany przez jakiekolwiek fizyczne przeszkody.

Nie badał jednak rzeczywistego Diaspar. Poruszał się wśród komórek pamięci patrząc na senny obraz miasta – na sen, który miał siłę utrzymać Diaspar nie tknięte zębem czasu przez tysiąc milionów lat. Mógł oglądać tylko tę część miasta, która była stała. Ludzie nie stanowili części tego zastygłego obrazu.



ciwnościami losu - to mogło być jedno z praw kompensujących w jakimś stopniu te niedogodności...

W sali, w której Alvin spędził ostatnio tyle godzin, dominował nadal niezmieniony obraz miasta. Patrzył teraz nań z nowym zrozumieniem; wszystko, co widział istniało - ale nie całe Diaspar mogło tu być odtworzone. Te nieścisłości musiały być jednak nieznaczne - i jak się domyślał - niewykrywalne.

- Próbowałem już tego wiele lat temu - powiedział Khedron zasiadając za pulpitem monitora - ale elementy sterownicze nie reagowały wtedy na moje manipulacje. Może teraz mnie posłuchają.

Powoli, a potem z rosnącą pewnością siebie, jak gdyby odzyskując dawno zapomnianą wprawę, palce Khedrona przesuwały się nad pulpitem sterowniczym spoczywając co chwila na punktach węzłowych siatki czujnikowej wmontowanej w widniejącą przed nim płytę.

- Myślę, że to było tak - odezwał się w końcu Khedron. - Zresztą zaraz się przekonamy.

Ekran rozjarzył się powracając do życia, ale zamiast obrazu, którego spodziewał się Alvin, pojawił się na nim zaskakujący komunikat:

NAWRÓT ROZPOCZNIE SIĘ Z CHWILĄ NASTAWIENIA
SZYBKOŚCI COFANIA

- Głupiec ze mnie - mruknął Khedron. - Wszystko inne zrobiłem dobrze, a zapomniałem o rzeczy najważniejszej.

Jego palce znowu przesunęły się pewnie nad pulpitem. Komunikat znikł z ekranu i Khedron obrócił się wraz z fotelem, aby móc obserwować obraz miasta.

- Patrz uważnie, Alvinie - powiedział. - Wydaje mi się, że obaj dowiemy się czegoś nowego o Diaspar.

Alvin czekał cierpliwie, ale nic się nie działo. Obraz miasta unosił się przed nim w całej swej znajomej cudowności i krasie. Chciał już spytać Khedrona, na co ma zwrócić uwagę, gdy nagle w obrazie coś drgnęło. Odwrócił głowę, by zobaczyć, co było tego powodem, ale spóźnił się, gdyż poruszenie trwało tylko przez mgnienie oka. Nic się nie zmieniło; Diaspar było takie, jakim zawsze je znał. Spostrzegł, że Khedron obserwuje go z sardonicznym uśmieszkiem, spojrzał więc ponownie na miasto. Tym razem zmiana zaszła na jego oczach.

Jeden z budynków na obrzeżu Parku znikł nagle, a na jego miejscu pojawił się natychmiast inny, o zupełnie różnej konstrukcji. Transformacja była tak szybka, że Alvin przeoczyłby ją, gdyby w tej chwili mrugnął powiekami. Wpatrywał się oszołomiony w nieznacznie zmienione miasto, ale po chwili zaskoczenia jego umysł zaczął szukać wyjaśnienia. Przypomniał sobie słowa, które pojawiły się na ekranie monitora: „NAWRÓT ROZPOCZNIE SIĘ..." i od razu wiedział, co się stało.

- To jest obraz miasta sprzed tysiąca lat - powiedział do Khedrona. - Cofnęliśmy się w czasie.

- Wyjaśniłeś to obrazowo, ale niezbyt precyzyjnie - odparł Błazen. - W rzeczywistości monitor przypomina sobie wcześniejsze wersje miasta. Przy dokonywaniu jakichkolwiek modyfikacji nie wymazywano tak po prostu zawartości komórek pamięci. Zawarta w nich informacja przenoszona była do pomocniczych jednostek pamięciowych, żeby można ją było odtworzyć, kiedy zajdzie tego potrzeba. Nastawiłem monitor na cofanie się poprzez te jednostki z szybkością tysiąca lat na sekundę. Patrzymy w tej chwili na Diaspar sprzed pół miliona lat. Żeby dostrzec bardziej radykalne zmiany, będziemy się musieli cofnąć dużo dalej. Zwiększę szybkość.

Odwrócił się do pulpitu sterowniczego i po chwili przestała istnieć nie jedna budowla, ale cała ich grupa, a na tym miejscu pojawił się wielki owalny amfiteatr.

- O, Arena! - powiedział Khedron. - Przypominam sobie wrzawę, jaka się podniosła, gdy postanowiliśmy się jej pozbyć. Była bardzo rzadko wykorzystywana, ale wiele ludzi darzyło ją sentymentem.

Monitor cofał się teraz poprzez swą pamięć z dużo większą szybkością; obraz Diaspar gnał pod prąd rzeki czasu miliony lat na sekundę i zmiany zachodziły tak gwałtownie, że oko za nimi nie nadążało. Alvin zauważył, że zmiany te zdają się następować cyklami; najpierw panował okres stagnacji, potem następowała cała lawina zmian, a po niej znów zaczynała się kolejna przerwa. Odnosiło się wrażenie, że Diaspar jest żywym organizmem, który musi nabrać sił po każdej eksplozji przekształceń.

Pomimo wszystkich tych modyfikacji, podstawowy plan miasta pozostawał niezmieniony. Budynki pojawiały się i znikały, ale rozkład ulic wydawał się wieczny, a Park stanowił wciąż zielone serce Diaspar. Alvin zastanawiał się, jak daleko w czasie mogą cofnąć się monitory. Czy mogły wrócić do chwili położenia pod miasto fundamentów i przekroczyć zasłonę, która oddzielała znaną historię od mitów i legend Zarania?

Cofnęli się już pięćset milionów lat w przeszłość. Za murami Diaspar była teraz inna Ziemia, ale tego monitory nie pamiętały. Być może istniały tam jeszcze oceany i lasy, a może nawet inne miasta, których człowiek nie zdążył jeszcze opuścić w długotrwałym odwrocie do swego ostatniego domu.

Mijały minuty, a każda z nich była eonem w małym światku monitorów. Wkrótce, pomyślał Alvin,

Dla Alvina nie miało to żadnego znaczenia; jego uwaga skupiała się teraz całkowicie na tworze z kamienia i metalu, w którym był uwięziony, a nie na tych, którzy dzielili z nim jego los - nie buntując się przeciw niemu.

Szukał Wieży Loranne i niebawem ją znalazł. Przebył szybko korytarze i przejścia, które badał już w rzeczywistości. Gdy przed oczyma wyrósł mu obraz kamiennej kraty, poczuł niemal tchnienie zimnego wiatru wiejącego bezustannie od pustyni może od połowy dziejów ludzkości. Zbliżył się do kraty, wyjrzał na zewnątrz i nie zobaczył nic. Szok był tak wielki, że przez chwilę zwątpił w swą pamięć; czyżby jego wizja pustyni była niczym więcej, jak snem?

Potem uświadomił sobie prawdę. Pustynia nie była częścią Diaspar, a więc w tym widmowym świecie, który teraz badał, nie było żadnej o niej informacji. W rzeczywistości za kratą mogło istnieć cokolwiek; ekran nigdy tego nie pokaże.

Mógł mu jednak pokazać coś, czego nie widział jeszcze żaden żyjący człowiek. Alvin przesunął kadr poza kratę, w nicość na zewnątrz miasta. Przekręcił przełącznik zmieniający kierunek obserwacji i patrzył teraz za siebie na drogę, którą przybył. Miał przed sobą Diaspar - widziane od zewnątrz. Ten efekt był dla Alvina przytłaczający. Chociaż duchem, jeśli już nie w rzeczywistości, wyrwał się z miasta. Wydawało mu się, że unosi się w przestrzeni o kilka stóp od pionowej ściany Wieży Loranne. Wpatrywał się przez chwilę w jej gładką, szarą powierzchnię, potem dotknął pokrętła i opuścił kadr na dół, w kierunku ziemi.

Jego plan działania był prosty. Po co spędzać miesiące i lata na badaniu Diaspar od wewnątrz - sala po sali, korytarz po korytarzu. Nie ruszając się z tego wygodnego punktu obserwacyjnego mógł okrążyć miasto wzdłuż jego murów i dostrzec bez trudu wszystkie otwory, które wychodzą na pustynię i świat leżący za nią.

Poczucie triumfu, wielkiego osiągnięcia, sprawiło, iż zrobiło mu się lekko na duszy i wzbudziło pragnienie podzielenia się z kimś swą radością. Odwrócił się do Khedrona, chcąc podziękować Błaznowi za pomoc, ale Khedrona nie było. Szybko domyślił się dlaczego.

Alvin był chyba jedynym człowiekiem w mieście, który mógł bez obawy patrzeć na przesuwające się teraz po ekranie obrazy. Khedron pomógł mu w poszukiwaniach, ale nawet Błazen dzielił z innymi ten dziwny lęk wszechświata, który na tak długo uwięził ludzkość wewnątrz jej małego światka. Zostawił teraz Alvina, aby sam kontynuował swoje poszukiwania.

Uczucie osamotnienia, które na krótką chwilę obudziło się w duszy Alvina, szybko minęło. Tyle jeszcze zostało do zrobienia. Odwrócił się znowu do ekranu monitora, nastawił obraz ściany miasta na powolne przesuwanie się i przystąpił do obserwacji.

Przez kilka następnych tygodni Diaspar niewiele oglądało Alvina, choć tylko kilkoro ludzi zauważyło jego nieobecność. Jeserac, dowiedziawszy się, że jego uczeń, zamiast myszkować po peryferiach miasta, spędza całe dnie w Gmachu Rady, poczuł ulgę, dochodząc do przekonania, że Alvina nie mogą tam spotkać żadne kłopoty. Eriston i Etania łączyli się raz, czy dwa z jego mieszkaniem, stwierdzili, że go tam nie ma, ale nie przejęli się tym zbytnio. Trochę więcej niepokoju okazywała Alystra.

Kiedy stwierdziła, że Alvin zniknął, spytała Jeseraca, co się z nim dzieje. Jeserac, wahając się tylko przez chwilę, opowiedział jej wszystko. Jeśli Alvin nie życzył sobie towarzystwa, niech sam to wyraźnie powie dziewczynie. Stary nauczyciel ani zbytnio nie pochwalał, ani też nie ganił tej przyjaźni. Właściwie nawet lubił Alystrę i żywił nadzieję, że pod jej wpływem Alvin łatwiej przystosuje się do życia w Diaspar.

Fakt, że Alvin spędza cały czas w Gmachu Rady mógł oznaczać jedynie, że zajmuje się on tam jakimiś badaniami, co rozproszyło przynajmniej obawy Alystry dotyczące ewentualnych rywalek. Ale podczas, gdy jej zazdrość została uśpiona, rozbudziła się w niej ciekawość. Wyrzucała sobie czasami, że zostawiła Alvina w Wieży Loranne. Wiedziała jednak, że gdyby podobna sytuacja znowu się powtórzyła, zrobiłaby dokładnie tak samo. Wiedziała, że nie zrozumie Alvina, dopóki nie dowie się, do czego on zmierza.

Alystra wkroczyła zdecydowanie do Gmachu Rady. Cisza, która ją otoczyła, gdy tylko minęła wejście, wywarła na dziewczynie duże wrażenie, ale jej nie przeraziła. Pod przeciwległą ścianą stały rzędem, jedna przy drugiej, maszyny informacyjne. Alystra wybrała na chybił trafił jedną z nich.

Gdy tylko zapalił się sygnał rozpoznania, powiedziała:

- Szukam Alvina; jest gdzieś w tym budynku. Gdzie mogę go znaleźć?

- Jest z Monitorami - padła natychmiastowa odpowiedź. Niewiele to pomogło, ponieważ nazwa „monitory" nic Alystrze nie mówiła. Żadna maszyna nie udzieli z własnej woli większej ilości informacji niż jest to od niej wymagane, a umiejętność prawidłowego formułowania pytań była sztuką, której opanowanie zabierało często sporo czasu.

– Jak mogę do niego trafić? – spytała Alystra. Przekona się, co to za monitory, kiedy się tam znajdzie.

– Nie mogę ci powiedzieć, o ile nie jesteś w posiadaniu pozwolenia Rady.

To była najmniej spodziewana, nawet niepokojąca odpowiedź. Niewiele istniało w Diaspar miejsc, do których wstęp był zabroniony. Alystra była całkowicie pewna, że Alvin nie uzyskał zgody Rady, a to mogło jedynie oznaczać, iż ma poparcie władz zwierzchnich.

Diaspar rządziła Rada, ale sama Rada mogła być nadzorowana przez siłę nadrzędną – niemal nieograniczony intelekt Centralnego Komputera. Trudno było uważać Centralny Komputer za jednostkę obdarzoną życiem, zlokalizowaną w pojedynczym miejscu; stanowiła go w rzeczywistości suma wszystkich maszyn znajdujących się w Diaspar. Nawet jeśli nie był on żywy w sensie biologicznym, na pewno jego świadomość nie ustępowała świadomości istoty rozumnej. Musiał wiedzieć, co robi Alvin – a zatem musiał to aprobować; w innym przypadku powstrzymałby go albo skierował do Rady, jak to uczyniła z Alystrą maszyna informacyjna.

Pozostawanie tu dłużej nie miało sensu. Alystra zdawała sobie sprawę, że jakakolwiek próba odszukania Alvina – nawet gdyby wiedziała dokładnie, gdzie się w tej chwili znajduje – byłaby z góry skazana na niepowodzenie. Drzwi nie chciałyby się otwierać; ruchome chodniki zmieniałyby kierunek unosząc ją w tył, zamiast naprzód; pola wznoszące nie działałyby nie chcąc jej przenosić z jednej kondygnacji na drugą. Gdyby się pomimo to upierała, zostałaby delikatnie wyniesiona przez grzecznego, ale silnego robota na ulicę, albo byłaby wożona w kółko, po całym Gmachu Rady, dopóki by nie zgłodniała i nie opuściła budynku z własnej woli.

Wyszła na ulicę w bardzo złym nastroju. Wyczuwała tu jakąś tajemniczość, przy której wszystkie jej małe troski wydawały się nieważne. Nie miała pojęcia, co dalej robić, ale jednego była pewna: Alvin nie był jedyną osobą w mieście, która potrafi być uparta i wytrwała.

Rozdział 8

Alvin wyłączył monitor i oderwał dłonie od pulpitu sterowniczego. Obraz na ekranie zbladł i zniknął. Chłopiec siedział nieruchomo, wpatrując się w czarny prostokąt, który przez tyle tygodni przykuwał całą jego uwagę. Okrążył więc swój świat; przez ten ekran przesunęła się każda stopa kwadratowa zewnętrznego muru otaczającego Diaspar. Znał teraz miasto lepiej niż którykolwiek z żyjących ludzi, z wyjątkiem może Khedrona; i wiedział już, że przez te mury nie było żadnego przejścia.

Uczucie, które nim owładnęło, nie było zniechęceniem. Właściwie nigdy się nie spodziewał, że będzie to takie proste, że znajdzie czego szukał za pierwszym podejściem. Najważniejsze, że wyeliminował jedną ewentualność. Teraz musi zająć się innymi.

Wstał i podszedł do trójwymiarowego obrazu miasta wypełniającego niemal całą salę. Trudno było nie wziąć go za rzeczywistą makietę, chociaż wiedział, że to tylko optyczna projekcja matrycy przechowywanej w komórkach pamięci. Kiedy zmieniał położenia przełożenia przełączników monitora przesuwając celownikiem przez Diaspar, po powierzchni tej kopii sunęła plamka światła wskazując mu miejsce, w którym aktualnie się znajduje. Ułatwiało mu to obsługę monitora w pierwszych dniach, ale tak szybko wprawił się w ustawianiu współrzędnych, że teraz nie potrzebował już tej pomocy.

Pod nim rozciągało się miasto; patrzył na nie z góry, niczym jakiś bóg. Ledwo jednak je widział rozważając w myślach, jeden po drugim, kroki, które powinien teraz podjąć.

Jeśli zawiedzie wszystko inne, pozostanie mu tylko jedno. Diaspar mogło być utrzymywane w swym niezmiennym stanie, zakodowanym w komórkach pamięci, przez swe układy wieczności. Ale same matryce można było zmienić, a wraz z nimi zmieniłoby się miasto. Istniała możliwość przeprojektowania wycinka zewnętrznego muru tak, aby powstała w nim brama, wprowadzenia zmodyfikowanej tak matrycy do Układów Pamięci i czekania, aż miasto samo zmieni swą strukturę w myśl nowej koncepcji.

Alvin podejrzewał, że duże obszary pulpitu sterowniczego, których przeznaczenia Khedron mu nie wyjaśnił, służyły właśnie do wprowadzania takich zmian. Eksperymentowanie z innymi nie zdałoby się na nic; elementy sterownicze, za pomocą których można było modyfikować strukturę miasta, miały założone blokady i wolno ich było dotykać tylko z upoważnienia Rady i za zgodą Centralnego Komputera. Istniała nikła szansa, że Rada zezwoli mu na to, nawet jeśli nastawi się na dziesięciolecia lub wieki cierpliwego proszenia, ale taka perspektywa niezbyt mu się uśmiechała.

Skierował swe myśli ku niebu. Czasami, w marzeniach, które z zażenowaniem odgrzebywał, wyobrażał sobie; że odzyskał dawno utracone przez człowieka panowanie nad przestworzami. Wiedział, że kiedyś niebo nad Ziemią zapełnione było dziwnymi kształtami. Z kosmosu, kierując się do legendarnego Portu Diaspar, nadlatywały wielkie statki z niezwykłymi skarbami. Ale Port znajdował się poza obrębem Diaspar; eony temu pogrzebały go dryfujące piaski. Mógł marzyć, że latające maszyny spoczywają wciąż ukryte gdzieś w labiryntach miasta, ale tak naprawdę nie wierzył w to. Było mało prawdopodobne, aby nawet w czasach, gdy małe, prywatne samoloty znajdowały się w powszechnym użyciu, zezwalano na ich ruch w obrębie miasta.

Zatracił się na chwilę w starym znajomym śnie. Wyobrażał sobie, że jest panem przestworzy, że świat stoi przed nim otworem i zaprasza do podróży. Nie był to świat jego czasu, ale utracony świat zarania – bogata, tętniąca życiem panorama wzgórz, jezior i lasów. Zazdrościł swym nieznanym przodkom, że mogli poruszać się po całej Ziemi i czuł do nich jednocześnie żal, że pozwolili umrzeć jej pięknu.

Tu upajanie się marzeniami było bezcelowe; otrząsnął się z nich i powrócił do rzeczywistości, do problemu, który teraz przed nim wyrastał. Jeśli przestworza są nieosiągalne, a droga lądem zamknięta, co pozostawało?

I znowu znalazł się w miejscu, w którym potrzebował pomocy, z którego nie mógł ruszyć o własnych siłach. Ten fakt nie wprawiał go w dobry nastrój, ale był na tyle uczciwy, aby go uznać. I znowu pomyślał o Khedronie.

Umówili się na małym okrągłym placyku w pobliżu Gmachu Rady. Placyk miał niewiele ponad pięćdziesiąt kroków średnicy i otoczony był murkiem poprzecinanym w regularnych odstępach przejściami. Gdy Alvin zjawił się na miejscu spotkania, zastał tam już Khedrona przyglądającego się jednemu z odcinków murku. Jego powierzchnia pokryta była mozaiką barwnych płytek tak fantastycznie zagmatwaną, że Alvin nie potrafił dopatrzeć się w niej żadnego wzoru.

– Spójrz na tę mozaikę, Alvinie – odezwał się Błazen. – Czy nie dostrzegasz w niej nic dziwnego?

– Nie – przyznał Alvin po krótkich oględzinach. – Nie widzę w niej nic szczególnego.

Khedron przesunął palcami po barwnych płytkach.

– Nie jesteś dobrym obserwatorem – powiedział. – Przyjrzyj się tym krawędziom... zauważ, jak się zaokrągliły i stępiły. Nieczęsto można to zobaczyć w Diaspar, Alvinie. To jest zużycie – ścieranie się materii pod naporem czasu. Pamiętam jeszcze ten wzór, kiedy był nowy. Było to osiem tysięcy lat temu, w moim poprzednim życiu. Gdy wrócę w to miejsce po przeżyciu dwunastu wcieleń, te płytki będą już całkowicie starte.

– Nie widzę w tym nic dziwnego – odparł Alvin. – W mieście istnieje wiele dzieł sztuki nieudanych na tyle, żeby wprowadzać je do układów pamięci, ale nie na tyle złych, aby je od razu zniszczyć. Przypuszczam, że pewnego dnia zjawi się inny artysta, który zrobi to lepiej. I jego dzieło zostanie zachowane od zniszczenia.

– Znałem człowieka, który zaprojektował tę ściankę – powiedział Khedron, przesuwając wciąż palcem po pęknięciach mozaiki. – Dziwne, że pamiętając ten fakt, nie mogę sobie przypomnieć jego twarzy. Chyba musiałem go nie lubić i wymazałem jego obraz ze swej pamięci – roześmiał się. – Może sam ją zaprojektowałem podczas jednej z mych faz artystycznych i tak się zdenerwowałem, kiedy miasto nie chciało uwiecznić mego dzieła, że postanowiłem zapomnieć o całej sprawie. Spójrz – wiedziałem na przykład, że ten kawałek jest obluzowany!

Oderwał od ścianki jedną złotą płytkę i uśmiechając się rzucił ją na ziemię.

Alvin domyślił się, że miała to być dla niego lekcja. Powiedział mu to ten dziwny instynkt zwany intuicją, który zdaje się rozumieć przenośnie niedostępne samej tylko logice. Patrzył na leżącą u jego stóp złotą płytkę i starał się połączyć to jakoś z problemem, który okupował teraz jego umysł.

Kiedy wiedziało się, że odpowiedź istnieje, nietrudno było ją znaleźć.

– Rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć – zwrócił się do Khedrona. – W Diaspar istnieją obiekty nie zabezpieczone przed zniszczeniem w układach pamięci, a więc nigdy ich nie znajdę za pośrednictwem monitorów z Gmachu Rady. Gdybym tam teraz poszedł i usiłował odszukać ten placyk, nie znalazłbym ani śladu murku, na którym teraz siedzimy.

– Sądzę, że znalazłbyś murek, ale nie byłoby na nim tej mozaiki.

– Tak, rozumiem – powiedział Alvin zbyt niecierpliwy, aby wdawać się teraz w szczegóły. – Na tej samej zasadzie mogą istnieć fragmenty miasta, które nigdy nie zostały odwzorowane w układach wieczności, ale nie uległy jeszcze zniszczeniu. Wciąż jednak nie rozumiem, jaki to ma związek ze mną. Wiem, że zewnętrzny mur istnieje – i że nie ma w nim żadnych otworów.

– Być może nie ma drogi na zewnątrz – odparł Khedron. – Nie mogę ci nic obiecywać. Uważam jednak, że monitory mogą nam jeszcze dużo powiedzieć – jeśli zezwoli im na to Centralny Komputer. A wydaje mi się, że on cię lubi.

W drodze do Gmachu Rady Alvin rozważał to ostatnie stwierdzenie Błazna. Do tej pory sądził, że dostał się do Monitorów tylko dzięki wpływom Khedrona. Nie przyszło mu nawet do głowy, że stało się tak za sprawą jakiejś jego własnej cechy wewnętrznej. Odmieniec musi borykać się z wieloma prze-

Ja, Singoon – czwarty i ostatni z członków Rady Głównej Klasztoru Amarantowej Jutrzenki zwalniam sam siebie z wiążącej mnie przysięgi milczenia. Teraz, gdy zdecydowałem się na popełnienie jedynego w swoim rodzaju samobójstwa, gdy wiem, że bliski już jest koniec zbrodniczego życia trójki szaleńców: Uroomena, Samateka i Daisuriego, nie muszę obawiać się na tej ziemi żadnych konsekwencji. Kara śmierci w okrutnych męczarniach – wymierzana za najcięższe z przestępstw, zdradę tajemnic świątyni, już jutro nie będzie mnie dotyczyła.

Obok mnie stoi metalowy pojemnik w kształcie walca. W nim zamknę te karty, które dzisiejszej nocy zapiszę. Mam nadzieję, że pojemnik przetrwa moment wybuchu i kiedyś w gruzach potężnego dziś jeszcze klasztoru ktoś znajdzie go, otworzy i przeczytawszy moje słowa, pozna prawdę.

Ta właśnie nadzieja zmusza mnie do mówienia. Chciałbym, by każdy człowiek zrozumiał niebezpieczeństwo tkwiące w jego niskich żądzach. By przekonał się, że tylko wyzwolony z przyziemnych pragnień umysł ludzki potrafi podążyć w tajemnicze i niezbadane obszary WSZECHŚWIATA. Zarówno te oddalone o tysiące lat świetlnych, jak i te znajdujące się tuż obok, lub nawet istniejące w naszym wnętrzu.

Muszę się spieszyć, bo noc jest tak bardzo krótka, a spraw do opisania wiele...

Znowu słyszę krzyk niesamowity, rozdzierający niby pazur tygrysa głęboką ciszę nocy. Znam dobrze ten głos. Dociera do mych uszu poprzez niewidzialną barierę rozgraniczającą dwa światy. Nie daje mi spokoju w dzień, ani w nocy, ściga mnie po ciemnych korytarzach, wilgotnych lochach, dopada mnie na okrytych, smaganych zimnym wiatrem równinach i na szczytach pokrytych czapami wiecznego śniegu. Rani moją świadomość tak podczas głębokiej medytacji, jak i w czasie wypełniania obowiązków względem bogów i zakonu.

To mój starszy brat – Hamiin. Tak właśnie krzyczał, gdy zepchnięty przez mnie ze skały podążał na spotkanie śmierci, oczekującej nań wśród położonych w dole głazów.

Krzyk ten słyszę po raz ostatni. Jutro, o ile plan mój zostanie uwieńczony powodzeniem, zostanę obywatelem innego, dalekiego świata, zamieszkując inne, nowe ciało. Pozbędę się wreszcie dręczącego wspomnienia zbrodni popełnionej przed laty. Pchnęły mnie do niej pragnienie zdobycia wiedzy tajemnej, chęć należenia do grona wszystkowiedzących wyznawców okrutnego boga Dżgis-bjeda z Klasztoru Amarantowej Jutrzenki.

Wszyscy dorośli wiosek podległych Klasztorowi pracowali na utrzymanie kilkudziesięciu mnichów. Oddawaliśmy połowę naszych skromnych plonów i wychudzonego bydła, by zapewnić im spokojne życie, wypełnione naukami i kontemplacją. Tak było zawsze, od wielu setek lat, kiedy to, jak głosiła legenda, świątobliwy Czan-po z garstką uczniów, przemierzając bezdroża nieprzystępnej krainy, dotarł na płaskowyż zamieszkany przez naszych przodków. W centrum tego rozległego obszaru, otoczonego rysującymi się na widnokręgu niebotycznymi pasmami szczytów pokrytych śniegiem, wznosiła się góra niezbyt wysoka o płasko ściętym szczycie. Czan-po uznał to miejsce za najodpowiedniejsze do założenia klasztoru. Wkrótce więc na szczycie góry wzniesiono niewielką świątynię w kształcie stupy i kilka przyległych budynków, służących za mieszkania i pomieszczenia gospodarcze.

Z biegiem lat klasztor rozwijał się. Mury jego wyrastały coraz wyżej, a zabudowania zajmowały coraz większy teren. Obecnie masyw zabudowań obejmował trzy klasztory: Najniższy zwany Brązowym – przeznaczony dla młodych adeptów i sług. Środkowy – Niebieski – dla adeptów o wyższym stopniu wtajemniczenia. Wreszcie położony najwyżej Klasztor Żółty zamieszkiwany przez Radę Główną i jej zaufanych.

Trzecia brama

Andrzej Bogusław Boryczko

Wyróżnienie w konkursie „Fantastyki"

Ilustrował J. GUTKOWSKI



W chłopięcych wędrówkach często wraz z Hamiinem zapuszczaliśmy się w pobliże klasztornych bram. Podziwialiśmy jego potężne mury i wyłaniające się zza nich sylwetki wysokich budynków krytych wygiętymi, czerwonymi dachówkami. Nad kopułami świątyń, rozpięte na masztach łopotały wielobarwne, pokryte magicznymi symbolami proporce. Strumień spływający po stoku góry poruszał łopatami umieszczonego przy bramie wejściowej olbrzymiego modlitewnego młyna.
Cztery razy w roku przekraczaliśmy „Pierwszą Bramę", by wraz ze wszystkimi mieszkańcami terytorium podległego klasztorowi brać udział w wielkich uroczystościach religijnych ku czci Dżgis-bjeda. Oglądając wspaniałe tańce rytualne, barwne stroje i maski zazdrościłem bratu, że to właśnie on, jako najstarszy z rodzeństwa, przeznaczony jest do klasztornego życia. Każda, najbiedniejsza nawet rodzina za punkt honoru uważała oddanie co najmniej jednego dziecka na nauki i służbę bóstwom, zamieszkującym klasztorne świątynie. Zamożniejsze rodziny posyłały do klasztoru wszystkich potomków płci męskiej. Ja jednak nie mogłem liczyć na pomoc rodziców w otrzymaniu duchowej edukacji. Byli zbyt biedni, by pokryć wysokie koszta nauki, zapewnić odzież i pożywienie dla dwóch synów. Tak więc Hamiin przeznaczony był do noszenia zakonnych szat, zaś ja, odziany w nędzne łachmany miałem przez całe życie pracować na jego utrzymanie i na podnoszenie potęgi zakonu. Tylko resztę sił mogłem przeznaczyć na stworzenie swej przyszłej rodzinie warunków umożliwiających skromną wegetację.
Nie chciałem pogodzić się z takim losem, więc popełniłem zbrodnię. Tylko usuwając Hamiina ze swej drogi mogłem liczyć, że jako następny syn w rodzinie zajmę jego miejsce za klasztornymi murami. Na tydzień przed odejściem mego brata z rodzinnego domu, podczas jednej z ostatnich naszych wspólnych wędrówek w góry, zepchnąłem go w przepaść.
Siedem dni później, z ogoloną głową, w długim brązowym habicie przekraczałem „Pierwszą Bamę". Znajdowałem się w grupie siedemnastu chłopców, których tego roku przekazano na służbę Dżgis-bjeda. Wrota bramy cicho otworzyły się przed nami, a długi, ciemny korytarz wyprowadził nas na dziedziniec Brązowego Klasztoru. Tutaj miał być teraz nasz dom. Przez kilkanaście najbliższych lat będziemy pokonywać pierwsze stopnie tajemnej wiedzy, która wybranym z nas pozwoli wspiąć się na wyżyny i ogarnąć to, co nieznane jest zwykłym ludziom. Dla niektórych z nas „Druga Brama" prowadząca do Niebieskiego Klasztoru, nigdy się nie otworzy. Pozostaną do śmierci na dole jako wyzyskiwani mnisi-pracownicy. Moje ambicje były wyższe. Znacznie wyższe. Nie po to popełniłem zbrodnię, by pozostać wiecznym sługą. Planowałem nie tylko przejście „Drugiej Bramy". Moim celem był położony za „Trzecią Bramą" Klasztor Żółty.
Na razie jednak stałem w grupie kilkunastu chłopców onieśmielony i wystraszony przed kolosalnych rozmiarów posągiem Dżgis-bjeda, straszliwego dziewięciogłowego potwora o trzydziestu czterech rękach i szesnastu nogach miażdżących wszelkie żyjące istoty. Oglądaliśmy powykręcanych z bólu ludzi i zwierzęta, w których ciała wbijały się szpony kamiennego olbrzyma. Od tego przerażającego widoku oderwał nas głos dochodzący zza naszych pleców.
– Przyszedłem powitać was w imieniu Rady Głównej. Nazywam się Madall i od dziś będę waszym guru. Poprowadzę was po krętej i stromej, lecz jakże wspaniałej drodze, która, nie ukrywam, tylko niewielu z was doprowadzi do granicy kończącej obszar wszelkich tajemnic, a rozpoczynającej krainę jasności. Teraz pożegnamy się. Czekajcie tutaj na znak ode mnie – dodał i zniknął w drzwiach, z których przedtem wyszedł.
Usiedliśmy u stóp posągu rozpoczynając pierwszą, jedną z wielu prób, jakim mieliśmy być poddawani. Przez sześć dni i nocy czekaliśmy na mrozie, pod gołym niebem na znak lub pojawienie się Madalla. Byliśmy u kresu wytrzymałości z powodu pragnienia, głodu i przenikliwego zimna nie pozwalającego ani na chwilę usnąć.
Guru pojawił się ponownie rankiem dnia siódmego. Słaniających się ze zmęczenia, powiódł nas do ciemnych, ciasnych cel, mających służyć nam za mieszkania. Każdy z nowicjuszy otrzymał oddzielną klitkę z kawałkiem słomianej maty na podłodze, dzbankiem z wodą i miseczką na strawę, jako jedynym wyposażeniem.
W taki to sposób znalazłem się w pierwszym, zewnętrznym kręgu otaczającym źródło wszelkiego poznania. Czekało mnie osiemnaście lat ciężkich prób i wyrzeczeń. A może i więcej? Może nie znajdę się w gronie wybranych i do końca życia pozostanę na tym najniższym stopniu wtajemniczenia. A po śmierci prochy pozostałe po spaleniu mego ciała, zmieszane z gliną staną się znakomitym tworzywem do wykonania posążku jednego z odrażających demonów z orszaku otaczającego Dżgis-bjeda.

– Jesteśmy u celu – głos w słuchawkach przerwał długi sen Od'moora zamkniętego w przezroczystej kapsule. W następnej chwili wieko kapsuły zsunęło się bezszelestnie i dowódca transgalaktycznego statku „Hispenoo" mógł swobodnie przystąpić do realizacji dalszej części Programu. Opracowały go największe komputery Ośrodka Badań Możliwości Przetrwania Supercywilizacji Planety Miinataar.
Wzrok Od'moora przesunął się po przestronnej, jaskrawo oświetlonej sali, gdzie w przezroczystych kapsułach spoczywali pozostali członkowie załogi. Centralny układ sterowania lotem rozpoczynał właśnie ich budzenie i wkrótce wszyscy podróżnicy zgrupowali się wokół dowódcy. Było ich piętnastu. Wysocy, młodzi, o dziecięcych twarzach, długich jasnych włosach i niebieskich oczach. Kilkudziesięcioletnia podróż przez otchłanie kosmosu nie pozostawiła na ich twarzach najmniejszej zmarszczki.
Całą grupą przeszli przez wypełniony pulsującym światłem korytarz, wiodący do centrum nawigacyjnego rakiety. Jedną ze ścian centrum wypełnionego niezliczoną ilością monitorów, lamp sygnalizacyjnych i pulpitów sterowniczych zajmował ekran. Gdy Od'moor nacisnął jeden ze znajdujących się na pulpicie klawiszy, na ekranie pojawiła się kolorowa panorama rozgwieżdżonego nieba. Przesuwając obraz w lewo dowódca zatrzymał go w momencie, gdy centralną część zajęła planeta spowita warstwą atmosfery.
– To nasz cel – rozpoczął zwracając się do podwładnych. – Trzecia z kolei planeta układu gwiazdy pojedynczej, oznaczonej w naszych atlasach wszechświata symbolem GHX-439252. Masa planety 5,975 × 10^{24} kg, średnia gęstość 5520 kg/m^3, przyspieszenie na powierzchni około 9,81 m/sec^2, atmosfera składająca się głównie z azotu, tlenu i argonu stwarza korzystne warunki dla rozwoju życia. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że zamieszkują ją istoty rozumne, choć stojące na znacznie niższym stopniu rozwoju niż my – Edole. To jedna z niewielu, znajdujących się w naszym zasięgu planet o warunkach zbliżonych do panujących na Miinataarze, co stwarza naszej cywilizacji szansę przetrwania... Centrum Zarządzania opacowało raport o stanie naszej macierzystej planety. Według obliczeń warunki życia na Miinataarze zapewnione będą najwyżej przez okres 1006 lat. Po tym czasie nie zaistnieje już żadna możliwość życia.
– To teoria – wtrącił Taamor – dowódca Eskadry Statków Rozpoznawczych – w praktyce życie skończy się znacznie wcześniej, za jakieś 875 lat. Biorąc pod uwagę średnią długość naszego życia jako 956 lat, katastrofa może spotkać jeszcze nasze pokolenie.
– Dlatego właśnie tu jesteśmy – kontynuował Od'moor. Ty Taamorze ze swoją eskadrą zostaliście wyznaczeni do przeprowadzenia badań na powierzchni tego „nowego Miinataara". Każdy z waszej piątki wyląduje w innym rejonie i zgodnie z instrukcjami, otrzymanymi od pokładowych komputerów, będziecie realizować odpowiedni program badawczy. Wrócimy po was za 614 lat. Do tego czasu macie być gotowi. Wyruszacie jutro.
– I jeszcze jedno – dodał na zakończenie instruktażu – w razie jakiejkolwiek agresji ze strony mieszkańców planety musicie ich zniszczyć.
Kilkanaście godzin później, wyrzutnie umieszczone w dolnej części potężnego kadłuba „Hispenoo" otworzyły swe ciemne paszcze. W kierunku Ziemi pomknęło pięć niewielkich statków rozpoznawczych. Eskadra Taamora rozpoczęła realizację kolejnego etapu programu.
Gdy tylko sondy zniknęły z oczu pozostałych członków załogi „Hispenoo" i zanurzyły się w kłębach chmur spowijających Ziemię, gigantyczny kadłub statku-bazy drgnął i rozpoczął lot w kierunku konstelacji Erydanu. Statek nabierał prędkości a załoga wraz z dowódcą powróciła do swych przezroczystych kapsuł, by ponownie zapaść w długi sen.

W Brązowym Klasztorze spędziłem osiemnaście lat pełnych wyrzeczeń i cierpień. Każdego ranka o wschodzie słońca, donośny dźwięk trombitów z Żółtego Klasztoru zrywał nas z nędznych posłań. Dzień rozpoczynaliśmy wspólną modlitwą w świątyni. Po zakończeniu modłów na dziedzińcu, bez względu na warunki, porę roku i pogodę, odbywały się długotrwałe apele, w czasie których sądzeni byli wszyscy, którzy naruszyli klasztorną dyscyplinę. Winnych poddawano od razu surowym karom. Najczęściej chłosty. Kara śmierci oficjalnie nie istniała, ale byłem świadkiem kilku egzekucji dokonanych za pomocą odpowiednio dużej ilości plag.
Resztę dnia wypełniały prace gospodarcze – utrzymywanie porządku i czystości w świątyniach. Same nauki, dla których zdecydowałem się przybrać habit mnicha trwały tylko jedną godzinę dziennie. Po wieczornych modłach i zakończeniu dnia uderzeniem wielkiego bębna następował czas indywidualnej pokuty. Każdy z nowicjuszy sam decydował o sposobie jej odprawienia. Było więc biczowanie się, oblewanie lodowatą wodą na kilkunastostopniowym mrozie, wkładanie rąk i nóg w płonący ogień i inne umartwienia. Jak twierdził guru – pobyt w Brązowym Klasztorze miał nas przygotować do uniezależnienia się od potrzeb cielesnych, by umysł swobodnie mógł pogrążyć się w kontemplacji. O tym, czy okres kształtowania charakteru minął już dla nowicjusza, decydowała Rada Główna. Tak więc dolną granicą było osiemnaście lat, a górną stanowiła śmierć kandydata. Ja „dojrzałem" po osiemnastu latach.
Słowa Madalla mówiącego: – Singoonie, zostałeś jednym z wybranych, od dziś twoje miejsce jest za „Drugą Bramą" – były dla mnie najpiękniejszą pieśnią. Skłoniłem się wtedy w milczeniu, choć duszę moją rozsadzała ogromna radość.

Miinataar, czwarta z planet licząc w kolejności od macierzystej gwiazdy Lio, był równocześnie jedną z trzech w tym układzie planet, na których rozwinęło się życie. Odmienne warunki panujące na każdej z trzech planet, spowodowały, że rozwinęły się na nich zupełnie różne formy życia. Podczas gdy na Miinataarze dominował gatunek ludzki – Edole, na pozostałych: Ateelea i Xili-

go na szczycie ewolucyjnej drabiny stanęły formy owadopodobne. Olbrzymie chrząszcze, żuki i ważki, obdarzone wybitną inteligencją, rozmnażając się w zastraszającym tempie często zagrażały cywilizacji Miinataara. Jedynie fakt, że Edole dysponowali doskonałą bronią pozwalał na odpieranie częstych, uciążliwych inwazji owadów.
W efekcie ostatniej z wojen mieszkańcy zarówno Ateelei jak i Xiligo zostali całkowicie unicestwieni, a obydwie żyzne planety zamieniły się w kłębowisko kosmicznego pyłu, który ze znaczną szybkością rozpraszał się w przestrzeni. Broń zastosowana przez Edoli miała jednak dwa ostrza i niszcząc wrogie planety, wyrządziła ogromne szkody również na macierzystej. Rozległy obszar kosmosu wokół areny walk uległ radioaktywnemu skażeniu. Zachwiana została równowaga grawitacyjna układu i orbity planet znacznie się odkształciły, co w konsekwencji spowodowało zbytnie zbliżenie Miinataara do gwiazdy Lio. Gwałtowny wzrost temperatury zamienił powierzchnię planety w jałową pustynię. Tylko dzięki niezwykle wysokiej technice Edole ocaleli z kataklizmu. Zamknięci w podziemnych miastach stosowali wszelkie możliwe środki w celu stworzenia sztucznych warunków życia. Wymagało to jednak ogromnych zasobów zarówno energetycznych jak i surowcowych. Energię w dowolnej ilości można było czerpać z Lio, ale zapasy surowcowe Miinataara gwałtownie się kurczyły. Pomimo nieustannej penetracji pobliskich planet i eksploatacji ich złóż niedobory pogłębiały się. Ogromne transportowce zmuszone były wykonywać coraz dłuższe rejsy w poszukiwaniu coraz bardziej odległych źródeł surowców. Stało sią oczywiste, że zbliża się nieuchronny kres cywilizacji Edoli.
W tej sytuacji jedyną szansą przetrwania było znalezienie innej planety o podobnych warunkach, znajdującej sią w zasięgu umożliwiającym całkowitą emigrację. Centrum Zarządzania powołało Ośrodek Badań Możliwości Przetrwania Supercywilizacji Planety Miinataar, który na podstawie wnikliwych obserwacji i obliczeń wyselekcjonował dwadzieścia dwie planety znajdujące się w zasięgu edolskich rakiet. Opracowano szczegółowe plany wyznaczając do akcji jedenaście piętnastoosobowych załóg badawczych.

– Proszę za mną – zakończył krótką przemowę Keebar – Przewodniczący Ośrodka Badań Możliwości Przetrwania Supercywilizacji Planety Miinataar.
Sto sześćdziesiąt pięć osób podążyło w milczeniu szerokim, lekko opadającym w dół korytarzem. Jaskrawe światło umieszczonych pod sufitem lamp oświetlało skupione, pełne oczekiwania twarze.
Bezszelestnie rozsunęły się ciężkie, hermetyczne drzwi i oczom zebranych ukazał się gigantyczny hangar. Rozmiarów jego nie można było określić nawet w przybliżeniu, gdyż silne strumienie światła wydobywały z mroku tylko połyskujące kadłuby kolosalnych cylindrycznych rakiet. Setki robotów w jaskrawych kombinezonach uwijało się wokół tych olbrzymów.
– To od dziś będą wasze domy – rozpoczął Keebar – i wasze laboratoria. Nie muszę mówić jak wielka spada na was odpowiedzialność. Tylko wy jeszcze możecie nas ocalić. Cała nasza obecna wiedza i nasze aktualne możliwości zostały wykorzystane przy budowie tych „wielorybów". Jutro w ich wnętrzach podążycie w przestrzeń na poszukiwanie „nowego Miinataara". Dalsze instrukcje przekażą wam pokładowe komputery.
Do grupy zebranych podjechało jedenaście autolotów, do których wsiadali kolejno dowódcy wraz ze swymi załogami. Jako ostatnia wyruszyła w stronę swej rakiety piętnastka Od'moora. Ich statek „Hispenoo" znajdował się w samym końcu hangaru. Za oknami autolotu przesuwały się cielska rakiet spoczywających jeszcze w bezruchu. Po kilkunastu minutach jazdy znaleźli się u stóp stalowej góry. Pneumatyczna winda w mgnieniu oka przeniosła ich kilkadziesiąt metrów wzwyż na niewielką platformę przy wejściu do rakiety. Jeden za drugim, członkowie załogi znikali w ziejącym czernią otworze. Jako ostatni na pokładzie stanął Od'moor. Zamknęły się hermetyczne drzwi. Ekipy robotników przystąpiły do ostatnich przygotowań przed startem.

Kolejny etap mojego wtajemniczenia rozpoczął się za „Drugą Bramą". W „Niebieskim Klasztorze" adepci nie byli już sługami. Stawali się uczniami zgłebiającymi nauki i tajniki magii. Wbrew moim przewidywaniom więcej jednak było nauki niż magii. Prawdziwa wiedza tajemna kryła się za niedostępną jeszcze dla mnie „Trzecią Bramą". Wierzyłem, że kiedyś tam się znajdę, na razie czekały mnie kilkuletnie studia pod kierunkiem przydzielonego mi guru.
W „Niebieskim Klasztorze" nauczycieli było tylu, ilu uczniów. Samo nauczanie stanowiło pasmo długotrwałych dyskusji z nauczycielem, przerywanych jedynie medytacją lub lekturą wskazanych ksiąg.
Z biegiem czasu stawałem się coraz bardziej dojrzały. Zauważyłem istotne zmiany zachodzące we mnie samym. Nie sprawiały mi trudu wielogodzinne medytacje. Umiejętność opanowania potrzeb fizycznych pozwalała mi spędzać wiele nocy bez snu, odbywać długotrwałe posty i pokuty.
W czasie jednej z nocnych medytacji po raz pierwszy od chwili śmierci Hamiina usłyszałem jego przedśmiertny krzyk. Był to dla mnie dotkliwy cios. Do tej pory męcząca służba i rygor klasztornej dyscypliny skutecznie zacierały wspomnienia o dokonanej zbrodni. Teraz dusza mego brata odnalazała mnie i wypominała haniebny uczynek. Głęboko poruszony wybiegłem z ciemnego pomieszczenia na skąpany blaskiem księżyca dziedziniec. Ostre, mroźne powietrze uderzyło w moją twarz, przywracając spokój i rozwagę. Nagle usłyszałem chrzęst zmarzniętego śniegu pod stopami. Rozróżniałem wyraźnie kroki dwóch ludzi. Nie widziałem ich, posuwali się bowiem z drugiej strony kamiennego muru, odgradzającego schody wiodące do Żółtego Klasztoru. Szli więc z góry. Instynktownie wsunąłem się za występ ściany u stóp ogromnego posągu Jamataki. Po chwili ujrzałem ich. Uginali się pod dziwnym ciężarem i podążali w kierunku niewielkiej furtki umieszczonej w zewnętrznym murze. Poza nią otwierała się głęboka przepaść wyżłobiona przez wieki wodami strumienia.
Światło księżyca pozwoliło mi zobaczyć niesiony przedmiot. Był to podłużny worek związany w kilku miejscach grubym sznurem. W następnej chwili poznałem zawartość pakunku, gdyż jeden z niosących, potykając się upuścił brzemię na śnieg. Jedno z wiązań rozluźniło się, z worka wysunął się podłużny kształt. Była to ludzka ręka. Tajemnicza dwójka zniknęła w czerni cienia rzucanego przez wysoki mur. Po chwili rozległ się szczęk odsuwanych rygli i przez moment na ciemnej ścianie pojawiło się pasmo księżycowego blasku. Ponowny szczęk zamka i odgłosy kroków usłyszałem po kilku minutach. Wracali bez balastu, więc posuwali się teraz znacznie szybciej. Po schodach do Żółtego Klasztoru prawie biegli. Bezszelestnie zamknęły się za nimi podwoje „Trzeciej Bramy".

Gruba warstwa srebrzystego szronu odbija światło lamp milionami iskier, czyniąc z posępnego lochu bajkową komnatę. Na razie jest tu pusto. Tylko środkową część pomieszczenia zajmuje skrzynia stojąca na kamiennej podstawie. Spod okrywającej ją warstwy białego nalotu odznaczają się miejscami detale tajemniczych symboli i rysunków, którymi pokryto całą powierzchnię. Z jednej strony skrzyni wychodzi wiązka cienkich, spiralnych przewodów, której drugi koniec znika w owalnym otworze znajdujących się w ścianie drzwiczek okutych grubą blachą.
Grobową ciszę miejsca zakłócają pospieszne kroki. Z lekkim skrzypnięciem otwierają się drzwi wejściowe, ukazując kilka postaci schodzących po stromych schodach. Trzy pierwsze to: Uroomen, Samatek i Daisuri – najwyżsi władcy, panowie życia i śmierci wszystkich członków społeczności Klasztoru Amarantowej Jutrzenki. Tuż za nimi dwóch niemych sługusów wlecze powiązanego linami młodego mnicha z gładko ogoloną głową. Wszytkimi siłami jeniec próbuje uwolnić się z pęt. Pręży drobne wychudzone ręce i bezskutecznie zapiera się ciągnąc w tył całym ciałem.
Wie co go czeka, więc w oczach jego maluje się paniczny strach. To jego ostatnia droga w tym życiu. Zamknęły się już drzwi oddzielające życie od śmierci. Młody mnich ogarnia ostatnim spojrzeniem srebrzysty szron na ścianach i nieprzeniknione twarze oprawców. Uroomen zbliża się do drzwiczek okutych blachą. Otwiera je. Ukazuje się płytka wnęka w murze, którą w całości wypełnia metalowy fotel z metalowym hełmem zawieszonym w miejscu, gdzie znajdzie się głowa siedzącego.
Mocne dłonie sługusów wciskają jeńca w ten fotel, zapinają skórzane pasy uniemożliwiające jakikolwiek ruch. Głowę jego więzi metalowa czasza hełmu. Już nic nie widzi i nic nie słyszy. Drzwi okute blachą zostały szczelnie zamknięte. Słudzy wyszli z podziemia, a trójka mnichów pochyla się nad wiekiem tajemniczej skrzyni.
Więzień nie wie dlaczego znalazł się tutaj, w tej okropnej sytuacji, z której jedynym wyjściem jest śmierć. Coraz trudniej mu oddychać. Dziwny szum w uszach, z początku słaby i prawie niedosłyszalny, wzmaga się z każdą chwilą, tłoczy niewidzialną siłę w głąb czaszki, świdruje korę mózgową i rozrywa delikatną tkankę szarych komórek.
Nagle przychodzi uwolnienie. Jeniec nie czuje już bólu. Rozgląda się po otoczeniu. Jest niby takie jak było, ale wszystko widać teraz w innym świetle. Jest jasno i ciepło. We wnęce dostrzega swe własne, umęczone ciało. Teraz już martwe i nikomu nie potrzebne. Czuje dziwną siłę przyciągającą go w kierunku skrzyni, ale opiera się tej sile skutecznie i powoli wyzwala spod jej wpływu. Przenika sklepienie i unosi się coraz wyżej. Już widzi pod sobą daleko w dole uśpiony, pogrążony w mroku nocy klasztor. Jest w drodze do nowego życia.
Owładnęła mną groza. Dlaczego nie pochowano tego człowieka w jednym z klasztornych suburganów? Dlaczego po kryjomu wynoszono jego ciało poza obręb klasztornych murów? Dlaczego w ogóle umarł? – zadawałem sobie te i podobne pytania nie mogąc znaleźć rozsądnej odpowiedzi. Czułem jednak, że rozwiązanie tajemnicy jest tuż obok. Byłem przekonany, że już w niedługim czasie poznam prawdę. W moim stadium wtajemniczenia mogłem przewidzieć już różne ważne wydarzenia, które miały decydować o przyszłości. Głębokie medytacje pozwoliły mi zrozumieć samego siebie. Wiedziałem już, że oprócz pobudek czysto emocjonalnych, istniała inna, prawdziwa przyczyna mojej zbrodni z lat młodości. Byłem pewny, że mam do spełnienia niezwykle ważną misję, przypisaną mi przez bogów już w dniu moich narodzin, a może nawet wcześniej, kiedy dusza moja zamieszkiwała całkiem inne ciało. Oczekiwałem więc spokojnie na dalszy rozwój wypadków i wkrótce przeczuc.a moje spełniły się.
Wczesnym rankiem zawitał do mej celi bardzo stary mnich w szatach mieszkańców Żółtego Klasztoru. Bez słowa wziął mnie za

rękę i przeprowadził przez „Trzecią Bramę" Wrażenie było silne. Tak szybkiego awansu nie oczekiwałem nawet w najśmielszych marzeniach. Wreszcie wspiąłem się na najwyższe szczeble świętej drabiny. Szczyt pragnień był już w moim zasięgu. Przeczucie jednak mówiło mi, że nie koniec na tym, że nie będę mógł w głębokim spokoju prowadzić świątobliwego życia mędrca, a po śmierci prochy moje nie będą złożone w suburganie ze złotej blachy, należnym tylko wysokim osobistościom społeczności klasztornej.
Starzec wiódł mnie długim, ciemnym korytarzem prowadzącym od wrót „Trzeciej Bramy" na dziedziniec Żółtego Klasztoru. Pierwszym szczegółem, który rzucił mi się w oczy po wyjściu na światło dzienne była kamienna stupa zajmująca centralną część dziedzińca. Widziałem już wiele świątyń tego typu, znajdujących się zarówno w dolnych klasztorach, jak i w różnych innych miejscach rozległego terytorium, podległego Klasztorowi Amarantowej Jutrzenki. Ta jednak wyraźnie różniła się od wszystkich innych. Stanowiła rodzaj kamiennego walca, wysokości dwu pięter i pozbawiona była charakterystycznego stożkowatego lub kopulastego dachu. Powierzchnia ścian nie zawierała żadnego otworu. Jedyny wyjątek stanowiły niewielkie drzwiczki, znajdujące się nieco poniżej poziomu dziedzińca.
Przeniosłem wzrok na najważniejszy bydynek Żółtego Klasztoru, „Złoty Dom", siedzibę najwyższych dostojników klasztoru – członków Rady Głównej. Ściany budynku zdobiły wielobarwne rysunki przedstawiające sceny z życia świątobliwego Czan-po. Strzelisty czerwony dach zdobiły kamienne maszkarony, a nad wszystkim, wysoko, trzepotały w podmuchach wiatru bukiety wielobarwnych chorągiewek z wypisanymi tekstami modlitw. Pozostałe zabudowania okalające dziedziniec wyraźnie różniły się swym bogactwem od zabudowań Brązowego i nawet Niebieskiego Klasztoru. Podłużny budynek, zamykający lewą stronę placu, mieścił znaną mi z opowiadań bibliotekę oraz skarbiec. Znajdowały się tam ogromne zbiory świętych ksiąg, tajne dokumenty, a także niezmierzone bogactwa, zgromadzone przez wieki, obejmujące skrzynie ze złotem, klejnoty, wspaniałą broń i drogocenne dewocjonalia.
W budynku z prawej strony zamieszkiwali wszyscy ci, którzy dostąpili zaszczytu przejścia „Trzeciej Bramy", a nie mogli jeszcze przekroczyć progów „Złotego Domu". Tam właśnie zaprowadził mnie mój przewodnik.
Sala przeznaczona dla mnie była przestronna i wygodna. W porównaniu z poprzednimi mieszkaniami sprawiała wrażenie pałacowej komnaty. Jej wyposażenie zapewniało maksimum wygód dostępnych w klasztornych warunkach.
Czas płynął tu zupełnie inaczej. Nie czekałem z utęsknieniem na zakończenie codziennych nauk. Nie musiałem wykonywać żadnych przykrych obowiązków. Dalsze studia odbywałem już samodzielnie. Byłem guru sam dla siebie. Mogłem do woli korzystać z bogatego księgozbioru, więc większość dnia spędzałem w komnatach biblioteki, wertując karty ksiąg, przypiętych łańcuchami do drewnianych pulpitów. Wnikałem powoli w najtajniejsze teksty, zawierające nauki magiczne, zgromadzone i zapisane przez niezliczone pokolenia mędrców. Asystowałem przy pracy sędziwego Heiko-kronikarza, który dzień po dniu spisywał historię klasztoru na wielkich kartach i wpinał je do skórzanych okładek.
Stary mnich polubił mnie i często przeprowadzał ze mną długotrwałe dyskusje na tematy wiary, cnotliwego życia i sposobów osiągnięcia absolutu. Rozmowy te wnosiły mi dużo więcej wiadomości, niż wszystkie księgi, które dotychczas przestudiowałem. Podczas jednej z takich swobodnych rozmów Heiko nagle spoważniał i rzekł dobitnie.
– Posłuchaj Singoonie mych słów i zapisz głęboko w pamięci to, o czym ci teraz opowiem. Wiem, że kiedyś, może już całkiem niedługo stanie się to problemem najistotniejszym w całym twym życiu. Ale to ty sam zadecydujesz.
– Słucham cię Heiko – odrzekłem siadając na poduszce u jego stóp.
Heiko rozpoczął opowieść, która wstrząsnęła mną głęboko, ale równocześnie wyjaśniła wiele zagadkowych spraw, o które ocierałem się od czasu przekroczenia progów klasztoru.
– Przed sześciuset z górą laty na orbitę okołoziemską wszedł olbrzymi statek kosmiczny. Jak się później okazało, istoty znajdujące się w jego wnętrzu, mieszkańcy odległej planety Miinataar, przybyli tu w poszukiwaniu nowych terenów do zamieszkania. Ich macierzysta ziemia, na skutek działań wojennych ginęła i jedyną szansą było dla nich znalezienie innej „nowej ziemi".
W celu dokładnego zbadania możliwości życia na naszej planecie, ze statku-bazy „Hispenoo" wystrzelono pięć automatycznych stacji badawczych. Jedna z nich wylądowała na naszym dziedzińcu i teraz znajduje się w tej kamiennej wieży, którą wzniesiono po to, by ukryć pojazd przed oczyma niepowołanych. Jedynym pasażerem tej stacji był Taamor. Istota ludzka, o dziecinnej twarzy i długich białych włosach. Kosmita pomimo młodego wieku posiadał ogromny zasób wiedzy. Za pomocą niewielkiej skrzyneczki, którą nosił na jednym z rękawów swego ubioru, w ciągu kilkunastu minut opanował nasz język i mógł bez trudu prowadzić rozmowy z naszymi poprze nikami.
Po przełamaniu obustronnej nieufności przybysz zaproszony został do „Złotego Domu", gdzie ówczesnej Radzie opowiedział swe dzieje, opisał swą macierzystą planetę, pokazał i objaśnił konstrukcję oraz działanie stacji i wyjawił powód, dla którego odbył tak daleką podróż poprzez otchłanie kosmosu.
Powód ten przeraził mnichów, postanowili więc unieszkodliwić gościa. Z drugiej jednak strony opowieści o potężnej broni Edoli (tak nazywali siebie mieszkańcy planety Miinataar) nasunęły im szaleńczy pomysł zawładnięcia ziemią. Postanowili wykorzystać wiedzę Taamora i nakłonić go do współpracy nad urzeczywistnieniem tego projektu. Kosmita odmówił i zamierzał opuścić teren klasztoru. Zdesperowani mnisi uwięzili go wtedy i wtrącili do jednego z wielu głębokich lochów, ciągnących się pod „Złotym Domem".
Aby zabezpieczyć się przed ewentualną ucieczką jeńca, wydobyto z kabiny sterowniczej jego pojazdu przeźroczysty sześcian, stanowiący główne źródło energii dla wszystkich urządzeń zainstalowanych na statku. Bez tej przeźroczystej duszy laboratorium Taamora było tylko stertą kosmicznego złomu. Sześcian ukryto w sekretnym sejfie w „Sali Wszelkich Tajemnic" w Złotym Domu.
Po trzech tygodniach więzienia, prawdopodobnie na skutek zbyt gwałtownej zmiany warunków, kosmita zmarł. Zawiedzeni mnisi, po bezskutecznych próbach przywrócenia go do życia, zabalsamowali ciało i złożyli je w specjalnie skonstruowanym sarkofagu. Od tego momentu wszyscy, bez wyjątku, członkowie Rady Głównej przeprowadzają próby wskrzeszenia Taamora.
– To oznacza, że wciąż pragną władzy? – zapytałem.
– Tak, Singoonie – odrzekł smutnym głosem Heiko – to szaleńcy. Przeprowadzili wiele prób, wiele istnień ludzkich pochłonęły już ich eksperymenty.
W tym momencie stanął mi przed oczyma tajemniczy pogrzeb, którego byłem świadkiem. Zrozumiałem, że trup w worku był jedną z tych ofiar.
– Pragną władzy – kontynuował starzec – ale teraz również boją się. Za siedem miesięcy statek-baza „Hispenoo" znowu pojawi się na naszym niebie. Taamor ma tam wrócić. Jeśli tak się nie stanie, oni zniszczą nas wszystkich w mgnieniu oka.
– Czy wiesz, Heiko na czym polegał eksperyment wskrzeszenia zmarłego? – zapytałem, pragnąc poznać całą prawdę.
– Krótko mówiąc, Singoonie, ma to być przeszczep duszy. Ciało kosmity jest w idealnym stanie. Wszystkie jego komórki zdolne są do natychmiastowego podjęcia swych funkcji życiowych. Brak im tylko tej maleńkiej iskry, jaką jest dusza. Techniczną stronę operacji opanowali już wiele lat temu, lecz organizm Taamora, z niewiadomych przyczyn, nie przyjmuje obcego pierwiastka duchowego. Wielu już ludziom zabrano dusze, ale wszystkie umknęły gdzieś w przestrzeń i żadna nie trafiła do ciała zmarłego kosmity. Tak więc wciąż jest martwy, a ogromna wiedza utrwalona w komórkach jego mózgu jest bezużyteczna.
Zapadło po tych słowach milczenie, które przerwałem następnym pytaniem:
– Zawsze słyszałem o czwórce kapłanów Rady Głównej, ty zaś Heiko cały czas mówiłeś o trzech tylko?
– Ja jestem czwartym, ale ponieważ nie popierałem ich planów zawładnięcia ziemią, zostałem odsunięty i wydalony ze Złotego Domu. Wiem, że ty właśnie, Singoonie masz zająć moje miejsce. Poznasz ich wtedy i albo staniesz się jednym ze zbrodniarzy, albo zostaniesz sobą. Wierzę, że spełni się ta druga możliwość. Przez te wszystkie dni, które spędziłeś przy moim boku, poznałem cię dobrze. Ty wytrwasz i nie splamisz rąk niewinną krwią.
– Wyjawienie tak strasznych tajemnic może się dla ciebie skończyć tragicznie! – wtrąciłem z niepokojem.
– Ja już kończę swą drogę. Jeszcze tylko kilka dni będę zamieszkiwał swoją cielesną powłokę. Potem stanę się wolny. Idź już! I wytrwaj! – zakończył.
Heiko żył jeszcze trzy dni. Zasnął na zawsze w mrocznej sali biblioteki nad nie dokończonym zdaniem kroniki, a dusza jego uleciała w przestrzeń w poszukiwaniu nowego ciała. Jego doczesne szczątki zostały spalone w „Sali Dwóch Granic", a prochy pochowane z należytą czcią w suburganie ze złotej blachy.
W „Sali Wszelkich Tajemnic", na miękkich poduszkach, przy podłużnym, niskim stole, siedzi trzech starców – Uroomen, Samatek i Daisuri – czyli najwyższa władza naszego klasztoru. Oto szaleńcy, którzy chcąc zadośćuczynić swym okrutnym żądzom, spychają klasztor, a może i całą nawet ziemię na krawędź śmierci. Swoje wszystkowidzące oczy skierowali na drzwi sali, w których za chwilę mam się pojawić. Idę wolnym krokiem. Napięty do granic możliwości. Nie ma we mnie lęku. W moim stadium wtajemniczenia już nie przerażają sprawy, które wielu zwykłym ludziom wydają się najważniejsze, najstraszliwsze czy wręcz niemożliwe. Ja wiem, że teraz możliwe jest wszystko.
Pragnę tylko jednego – by ci okrutnicy nie spostrzegli we mnie swego wroga. Wtedy bowiem misja, którą sam sobie wyznaczyłem dzisiejszej nocy lub którą wyznaczyli mi bogowie wówczas w zamierzchłej przeszłości, gdy podniosłem dłoń na Hamiina – nie zostanie spełniona. A wtedy zatriumfowałby demon zła i zniszczenia.
Jeszcze tylko kilka kroków dzieli mnie od ciężkich, okutych blachą drzwi na końcu długiego korytarza. Widzę ich wyraźnie, pomimo znajdującej się między nami przegrody.
Widzę ich wzrok obnażający mnie ze wszystkich zasłon i wiem, że oni także mnie już widzą. Kto zwycięży?
Zwyciężyłem ja – Singoon, od tego momentu czwarty członek Rady Głównej. Zostałem zaprzysiężony i wtajemniczony. Miałem teraz dostęp zarówno do tajnego skarbca, do wieży z kosmicz-

nym laboratorium wewnątrz i do podziemnej krypty, w której we wnętrzu sarkofagu spoczywał Taamor. Widziałem twarze jeńców przeznaczonych na ofiarę kolejnych eksperymentów transplantacji dusz. Były pozbawione wszelkiego wyrazu.

Uczestniczyłem w kilku kolejnych operacjach, podobnie jak wszystkie poprzednie, zakończonych fiaskiem. Złość i przerażenie trójki okrutników wzrastały po każdej klesce. Spędzali całe noce na obserwowaniu nieboskłonu, na którym pojawiła się właśnie nowa gwiazda. Migoczący punkt, z każdym dniem stający się coraz większy i bardziej wyraźny po kilku dniach przybrał kształt gigantycznego kadłuba „Hispenoo". Kolos zwolnił szybkość i przez kilka kolejnych nocy przemierzał niebiosa w kierunku przeciwnym do ruchu naszego słońca.

Po śmierci Heiko tylko nasza czwórka: Uroomen, Samatek, Daisuri i ja, wie, że w tej błyszczącej zielonkawym blaskiem bryle, kryje się zagłada dla całej ludzkości. Trójkę moich współtowarzyszy ogarnia panika. Jutro wieczorem postanawiają przeprowadzić kolejny eksperyment. Już ostatni. Pojutrze rano Taamor musi zameldować się u swego dowódcy. Jeśli to się nie stanie, zemsta Edoli będzie straszna. Tylko ja jeden z naszej czwórki zachowuję spokój. Mam plan, który ułożyłem sobie w momencie poznania prawdziwej przyczyny niepowodzeń w przeprowadzonych eksperymentach transplantacji dusz. Przyczyna ta, tak oczywista teraz dla mnie, była niezauważalna dla zaślepionych żądzą władzy kapłanów. Po prostu przeszczepiana dusza musiała dobrowolnie przenieść się do innego ciała, a najmniejszy przymus powodował natychmiastową jej ucieczkę poza granice oddziaływania magicznych sił.

Ja, Singoon, zdecydowałem się. mam nadzieję, że ten mój uczynek zatrze piętno zbrodni ciążącej na mnie od lat.

Uśpiony pod gwiaździstym parasolem klasztor otula mgła podnosząca się z płatków topniejącego śniegu. Tylko z jednego okna wyrywa się w ciemności chybotliwy blask światła. To Uroomen, Samatek i Daisuri przygotowują się do ostatniego eksperymentu. Wiedzą, że przegrana oznacza śmierć dla nich wszystkich, muszą więc zebrać w sobie wszelkie tajemne siły. Napięte do granic ostateczności nerwy, nie pozwalają na pełną koncentrację. Najdalej za kilka godzin muszą zejść do krypty w podziemiach, gdzie we wnęce za okutymi drzwiami, z głową w okowach stalowego hełmu, oczekuje śmierci ostatnia ofiara. Tym razem umieścili tam więźnia własnoręcznie, zachowując tajemnicę nawet przed milczącymi sługami, by niecodzienną nerwowością swych poczynań nie wzbudzić jakiegokolwiek podejrzenia wśród podwładnych.

Singoon nie zjawił się dotychczas, lecz oni nie mogą iść na jego poszukiwanie. Oznaczałoby to znaczną dekoncentrację, a w obecnej sytuacji nie mogą już sobie na nią pozwolić. Ten, o którym mowa, kończy właśnie ostatnią linijkę swego pisma. Zamyka je następnie w metalowym pojemniku o kształcie walca, gasi lampkę i wychodzi na tonący w mroku korytarz.

Bezszelestnie przesuwa się w kierunku Sali Wszelkich Tajemnic. Nie skrzypią okuwane drzwi, gdy przekracza próg, nie zgrzyta zamek sejfu, kiedy przekręca w nim zdobyty ukradkiem klucz. Dłonie Singoona zaciskają się na niewielkim, przeźroczystym sześcianie. Po chwili zostają za nim i ponura sala, i ciemny korytarz, i schody prowadzące na dziedziniec. Zbliża się do wieży zakrywającej statek kosmiczny. Kilka minut później przeźroczysta dusza rakiety wraca na swoje właściwe miejsce. W jednym momencie zapalają się kontrolne monitory, mrugają pulsującym światłem sygnalizacyjne lampki, komputer rejestrujący docierające z przestrzeni sygnały, wypluwa ze swego wnętrza zwoje perforowanej taśmy rejestrującej, znikającej następnie w szczelinie wyświetlacza. Na ekranie pojawia się kadłub „Hispenoo", a następnie długi szereg cyfr i niezrozumiałych symboli.

Tego już Singoon nie widzi. Pośpiesznie opuszcza pojazd i wraca do Złotego Domu. Strome schody do podziemnej krypty umykają mu spod nóg. Otwiera ciężkie drzwi. Strumień lodowatego powietrza uderza go w twarz. Już jest przy pancernych drzwiczkach. Przez chwilę mocuje się z ryglem, w nasepnym momencie trzyma w ramonach bezwładne ciało więźnia. Wyrywa je z objęć fotela i stalowego hełmu. Jeszcze jeden wysiłek i nieprzytomny jeniec odbywa na plecach drogę w kierunku wyjścia. Teraz schody wydają się Singoonowi bardziej strome. Ciężar przytłacza go, lecz z wielkim wysiłkiem wydostaje się z podziemi. Składa delikatnie bezwładne wciąż jeszcze ciało w jednej z sal, na parterze Złotego Domu. Pośpiesznie wraca na dół, dopada drzwi wnęki i wsadza głowę w objęcia śmiercionośnego hełmu. Drzwi zatrzaśnięte mocnym szarpnięciem odgradzają go od świata żywych.

Trzech starców wchodzi do krypty. Wolnym, majestatycznym krokiem zbliżają się do skrzyni i unoszą jej wieko. Chybotliwe ostrze pochodni oświetla twarz kosmity. Jest wciąż jak żywa. Ciało nie nosi na sobie żadnego śladu wielowiekowego przebywania duszy w Krainie Umarłych. Dłonie Uroomena sprawnie przypinają do opaski, okalającej czoło leżącego, końcówki przewodów. Samatek wprawia w ruch urządzenie transplantujące. Daisuri sprawdza przewody ciągnące się do stalowych drzwiczek. Proces rozpoczyna się zgodnie z zamierzeniami.

Taamor budzi się z głębokiego snu. Wolno rozpoczyna pracę jego mózg, wydając rozkazy najdalszym zakątkom ciała. Wszystkie narządy funkcjonują prawidłowo. Pamięć sprawnie przywołuje zarejestrowane niegdyś wydarzenia. Z miejsca w tylnej części czaszki kosmity,w którym wmontowany jest odbiornik sygnałów emitowanych przez nadajniki „Hispenoo", do centrum jego układu nerwowego dociera narastający impuls. To wezwanie do powrotu. Baza oczekuje na przybycie zwiadowcy. Reakcja jest natychmiastowa. Taamor gwałtownym skokiem wydostaje się z wnętrza skrzyni. Dla młodego, będącego w sile wieku mężczyzny roztrącenie trzech zastawiających drogę zgrzybiałych starców nie stanowi problemu. Drogę wiodącą z mrocznego podziemia do pojazdu oczekującego tylko na rozkaz odlotu przebywa błyskawicznie. Automatycznie zamykają się tuż za biegnącym hermetyczne włazy. Jednym spojrzeniem sprawdza Taamor funkcjonowanie wszystkich układów w kabinie nawigacyjnej, po czym ciało jego zapada się w miękkim fotelu pilota. Dłoń ujmuje dźwignię uruchamiającą silniki. Wibracje kadłuba świadczą, że wszystkie pracują prawidłowo. Start. Potężna siła rozrzuca kamienne ściany wieży osłaniającej rakietę. Kosmiczny pojazd z błyskawiczną szybkością odrywa się od powierzchni ziemi. Jaskrawe światło pada na ściany zabudowań otaczających dzielnic. Fala gorąca zalewa momentalnie cały obszar klasztoru. Jego mury nie wytrzymują wstrząsu. Łamią się wiązania dachów. Coraz większe szczeliny rysują się na kamiennych podporach. Dumne, wspaniałe budynki zamieniają się w sterty gruzu. Olbrzymi posąg Dżgis-bjeda rozsypuje się w proch.

Potężny kadłub „Hispenoo" wypełnia już cały ekran monitora na statku rozpoznawczym. Taamor-Singoon wyraźnie widzi na tym ekranie przygotowany na jego przybycie tunel wlotowy. Jeszcze kilkadziesiąt sekund, i po obu stronach pojawiają się światła pozycyjne, umieszczone na ścianach tej ogromnej studni. Światło zielone – uruchomić silniki hamujące! Światło niebieskie – redukować prędkość do minimum! Światło żółte – stop! Podnosi się wolno z fotela i podchodzi do włazu wyjściowego. Po chwili już znajduje się w gronie oczekujących go towarzyszy. Jest ostatnim ze zwiadowców. Wszyscy pozostali wrócili już na pokład kosmicznego giganta.

Taamor-Singoon nie sporządził raportu ze swej działalności. Setki lat, które miał do dyspozycji, przespał snem zmarłego, nie przeprowadził żadnych badań, ani obserwacji. Cóż więc relacjonować? Od'moor na pewno niedługo wezwie go do siebie. I co wtedy usłyszy? Taamor-Singoon może powiedzieć prawdę, ale Singoon-Taamor nie chce. To mogłoby przecież zadecydować o zniszczeniu ziemi.

Na próżno jednak szuka innego rozwiązania i wytłumaczenia całej sprawy. Po prostu nie ma innej alternatywy. Albo swoją relacją zgubi wiele ludzkich istnień, albo narazi się na hańbę i karę kosmicznej banicji. Oskarżony o brak dyscypliny lub wręcz o zdradę zostanie wystrzelony w niewielkiej rakiecie w kierunku odległego gwiazdozbioru i będzie tak leciał samotnie przez całe swoje życie i potem po śmierci, powtórnej już, jego martwe ciało przemierzać będzie w wiecznej podróży otchłanie kosmosu.

Ta wizja jest okropna. Nie ma jednak czasu na dalsze rozmyślanie, bo oto zbliża się właśnie Od'moor i zaraz zapyta o wyniki jego misji. Taamor-Singoon chciałby w tej chwili ogłuchnąć, nawet stracić zmysły. Zamyka oczy...

Zamiast spodziewanego pytania słyszy suchą, konkretną komendę:

– Wszyscy do mnie.

Słowa te wzmocnione urządzeniami fonicznymi docierają do wszystkich zakątków kadłuba „Hispenoo". Już po chwili cała piętnastoosobowa ekipa grupuje się wokół dowódcy. Wszyscy czekają na jego słowa. Taamor-Singoon, wciąż jeszcze spodziewając się pytania o wyniki badań, obserwuje w napięciu Od'moora. Ten jednak rozpoczyna słowami:

– Cztery raporty z Ziemi i pięć z planety Hattąr w gwiazdozbiorze Erydanu pozwoliły mi podjąć decyzję. Z poinformowaniem was o tym czekałem do momentu, gdy wszyscy będziemy w komplecie. Teraz ta chwila nadeszła.

– Na planecie Ziemia zastaliśmy rozwijającą się cywilizację istot, zwanych ludźmi, na Hattar natomiast, choć warunki są idealne, istoty rozumne jeszcze nie istnieją. Edole nie chcą niszczyć żadnego życia bez powodu. Zostawiamy więc Ziemię w spokoju, a miejscem naszej emigracji uczynimy Hattar. Teraz wracamy do naszych.

Gdy tylko przebrzmiały jego słowa, zdarzyła się rzecz niespotykana – pierwszy raz w dziejach cywilizacji Miinataar, Edol stracił przytomność. Zaniesiono Taamora-Singoona do sali z przeźroczystymi kapsułami i tam go ocucono. Tylko po to zresztą, by w chwilę po tym, jak uświadomił sobie, że ze strony tych zadziwiających istot nic nie grozi ani Ziemi ani jemu, mógł spokojnie pogrążyć się w kolejnym długim śnie.

Andrzej Bogusław Boryczko

Był późny wieczór. Wracałem do domu, gdy nagle pojawiło się na mej drodze dwóch mężczyzn. Jeden z nich stał z boku i tylko patrzył. Wzrok miał niesamowity, taki jakiego się nie zapomina. Bardzo się go bałem, o wiele bardziej niż tego drugiego, który zażądał pieniądzy. Bez chwili wahania oddałem portfel bliższemu mężczyźnie. Znalazł w nim tylko dwa banknoty, wobec czego sięgnął do przegródki z bilonem. „Uważaj, tam są pinezki" – próbowałem go ostrzec, ale nie zwrócił na moje słowa najmniejszej uwagi. Po chwili zaklął. Jego niedowiarstwo okazało się bolesne w skutkach. Wtedy zauważyłem, że jego współtowarzysz zniknął. Nigdy więcej go nie zobaczyłem.

– Kłamiesz – wyrwało się człowiekowi siedzącemu z mojej prawej strony.

– Proszę nie przerywać – uspokoił sytuację mężczyzna siedzący u Góry. – Mów dalej – zwrócił się do mnie.

Podjąłem przerwany wątek.

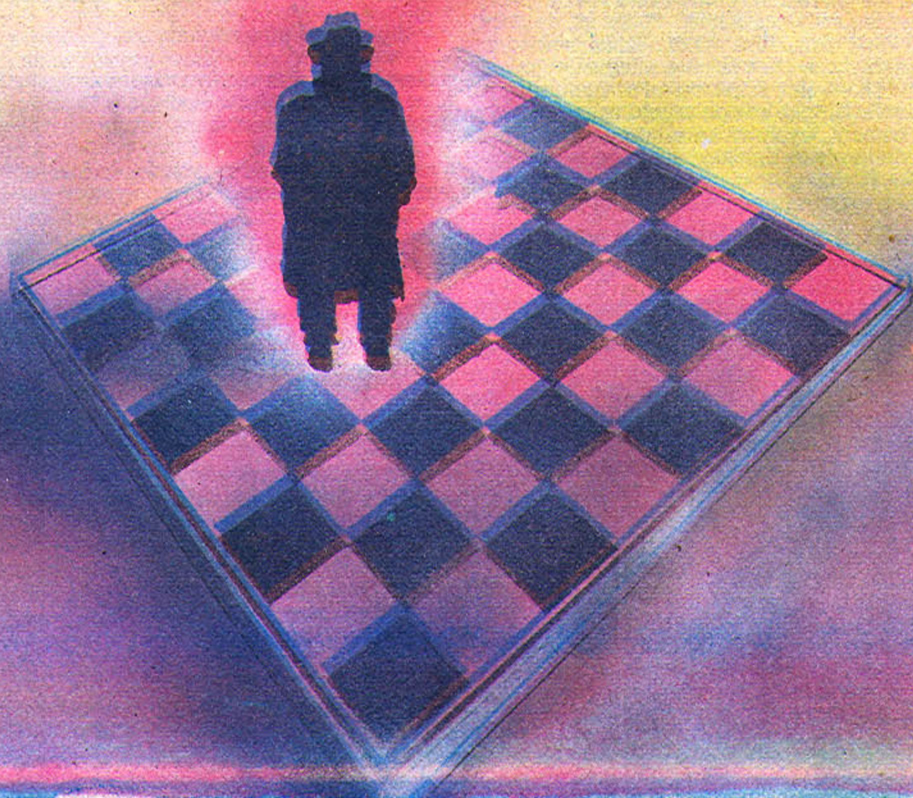
– Ten drugi powiedział: „Zegarek". Sięgnąłem do paska, na którym zawsze go noszę. „Ręce przy sobie" usłyszałem. Wietrzył jakiś podstęp, gdyż podszedł do mnie i delikatnym ruchem ręki posadził mnie na ziemi. Sprawdził przeguby moich rąk, na których oczywiście nic nie znalazł, po czym sięgnął do kieszeni. Wykrztusiłem ostrzeżenie z niemałym trudem: „Uważaj, taj jest wąż". Ponownie zbagatelizował moje słowa. Gdy padał, zauważyłem na jego twarzy niebotyczne zdumienie. Podniosłem się i podszedłem do niego; już nie żył. Przestraszył się padalca, którego trzymam w kieszeni jako maskotkę. – Czy oskarżony wiedział, że padalec jest jaszczurką nie wężem?

– Tak.

– Jak wynika z wypowiedzi oskarżonego – głos zabrał ponownie prokurator – spowodował on śmierć złodzieja przez świadome wprowadzenie go w błąd. Istnieją jednak okoliczności łagodzące: oskarżony popełnił swój czyn w stanie silnego napięcia emocjonalnego, po popełnieniu przestępstwa sam zgłosił się do odpo-

I noc jest prawem

Andrzej Kajman



A. Brzezicki

wiednich władz, a poza tym jako osoba mieszkająca u nas od niedawna nie w pełni rozumie sens naszego Prawa. W związku z tym żądam kary 16 lat bezwzględnego zamknięcia.
– Zapominasz o jednej rzeczy. Nie wiadomo, czy złodziej nie umarłby również wtedy, gdyby oskarżony powiedział mu prawdę, albo przeciwnie, przemilczał w ogóle zawartość kieszeni. Z tego wynika, że kłamstwo nie musiało być przyczyną śmierci.
Proponuję więc karę pięciu lat.
– Czternaście – rzucił prokurator.
– Sześć – spokojnie odpowiedział obrończy.
– Dwanaście.
– Osiem.
– Dziesięć.
– Dziewięć. To moje ostatnie słowo – powiedział ostro brończy. Prokurator podszedł do niego i położył mu ręce na ramionach.
– Zgadzam się.
Brończy podszedł do mnie i powiedział:
– Mam nadzieję, że jesteś usatysfakcjonowany?
– Usatysfakcjonowany? Chyba kpisz! U nas zostałbym uniewinniony.
– Ale jesteś tutaj! A to jest naprawdę niski wyrok za morderstwo.
– Za morderstwo? Jemu przecież i tak zostało najwyżej pół godziny życia.
– Pół godziny??? Skąd wiesz?
– Ponieważ pinezki były wysmarowane jakotą.
– I dopiero teraz o tym mówisz? – zapytał z wyrzutem brończy i odwrócił się ku mężczyźnie Siedzącemu u Góry. Ten akurat dostojnie podniósł się ze swojego miejsca. Brończy spokojnie, ale bardzo głośno powiedział:
– Wnoszę o rewizję procesu.
Gwar panujący na sali ucichł jakby ciął nożem. Siedzący u Góry ponownie zajął swoje miejsce.
– Czy jesteś w stanie podać jakąś konkretną przyczynę?
– Tak. Oskarżony twierdzi, że pinezki były zatrute jakotą.
Ciszę, która zapadła po tym stwierdzeniu przerwał opanowany jak zwykle głos Siedzącego u Góry:
– Należy to sprawdzić. W związku z tym przesuwamy rozprawę na dzień jutrzejszy.
Odprowadzono mnie do Miejsca. Obejrzałem tam popołudniowy program partexu, po czym zjadłem kolację i wcześnie położyłem się spać. Jak zwykle w środku nocy obudził mnie ten sam koszmar. Znów powrócił obrazek, który widziałem w drugim dniu pobytu tutaj. Na przystanku stało dwóch inwalidów. Gdy bezszelestnie nadjechał tramwaj, obaj rzucili się w jego kierunku. Stoczyli krótką walkę na schodach, a jakby tego nie było dosyć urządzili bieg „sprinterski" do wnętrza wozu. Zwycięzca zajął miejsce z napisem „Dla inwalidy", natomiast drugi wysiadł, mimo że było jeszcze wiele wolnych miejsc. Jeszcze wtedy, nie rozumiejąc sensu tego zdarzenia, roześmiałem się. Dopiero potem zrozumiałem, jak charakterystyczne jest owo zdarzenie dla sytuacji tutaj, gdzie podstawową racją bytu jest bezwzględne podporządkowanie się przepisom. Próbowałem ponownie zasnąć, ale udało mi się to dopiero o świcie. Spałem niedługo, gdyż rozprawa rozpoczynała się o godzinie trzeciej.
Po wyjaśnieniach ekspertów, które potwierdziły moje zeznania brończy podszedł do mnie.
– Nie grozi ci więcej niż dziewięć lat, a przypuszczam, że uda mi się jeszcz coś wygrać.
Pierwszy jak zwykle przemawiał prokurator.
– Wyjaśnienia dokonane dziś na tej sali w niczym nie umniejszają winy oskarżonego. Wykazało tylko, że oskarżony chciał zabić zatajając wiadomość o zatruciu pinezek. Bezpośrednią przyczyną śmierci było jednak kłamstwo na temat padalca. Ponownie żądam kary dziewięciu lat.
– Przecież to kompletna bzdura. Oskarżony nie mógł przewidzieć, że złodziej zbagatelizuje wiadomość o pinezkach nie zmuszając się przynajmniej do ostrożności. Skoro jednak nie posłuchał słów oskarżonego, tym samym skazał się na śmierć w męczarniach. Kłamstwo w sprawie padalca skróciło tylko jego cierpienia. Wobec tego można traktować czyn oskarżonego jako szczególny przypadek eutanazji. A ostatnie trzy procesy o eutanazję zakończyły się wyrokami uniewinniajającymi. Ja też wnioskuję o całkowite uniewinnienie oskarżonego.
Prokurator od pewnego czasu siedział nieruchomo, a na jego twarzy widać było zaskoczenie. Po chwili odezwał się niepewnym głosem:
– Siedem.
– Proszę to zanotować – brończy szybko wykorzystał wątpliwość przeciwnika. – Prokurator zażądał siedmiu lat. Ja natomiast nadal żądam uniewinnienia i to jest moje ostatnie słowo.
– W związku z tym oddajemy głos Ósemce – powiedział. Siedzący u Góry po chwili ciszy. – Pierwszy?
– Siedem.
– Drugi?
– Siedem.
– Trzeci.
– Zero.

Niestety, jeszcze tylko Piąty głosował za uniewinnieniem.
– To już koniec – powiedziałem zrezygnowany.
Brończy podszedł do mnie i zatarł dłonie.
– Mylisz się, to jest dopiero początek. Udało mi się bowiem dzięki odpowiedniej interpretacji przepisów doprowadzić do GRY.

W tym czasie przerwano codzienny program partexu, w zakładach pracy ogłoszono przerwę. Nawet umieszczone na polach megafony, zwykle milczące, tym razem przemówiły.

– Uwaga, za piętnaście minut rozpocznie się GRA.
Życie w kraju zostało sparaliżowane. Wszyscy mieszkańcy (z wyjątkiem nielicznych szczęśliwców zgromadzonych na sali Wyroczni) zasiedli przed partextorami. Spikerka podała pokrótce przebieg sprawy i charakterystyki graczy. Terwikamera przekazała podłogę sali Wyroczni do wszystkich odbiorników, gdy tymczasem jej głos komentował zakłady. Podłoga rozsunęła się ukazując ogromną planszę do gry. Tuż przed rozpoczęciem właściwej rozgrywki podano ostateczne wyniki typowań. Nie były one dla mnie korzystne. Co trzecia osoba wierzyła w moje uniewinnienie. Pocieszający był natomiast fakt, że indywidualnie najwięcej szans przyznawano Trójce.

Wreszcie Gra się rozpoczęła. Pierwotnie wyglądało, że wszystko zależy tylko od szczęście, jednak w miarę jej trwania zorientowałem się jak wiele zależy w niej od umiejętności Graczy. GRA okazała się tak pasjonująca, że chwilami zapomniałem, iż stawką jest moja wolność. Od początku na prowadzenie wyszedł Trzeci, narzucając ostre tempo, zbyt ostre dla konkurentów. Ale gdy wydawało się, że już nikt nie jest w stanie go dogonić, popełnił kilka prostych błędów i spadł na dalszą pozycję. Na prowadzenie wyszedł Szósty, a tuż za nim trzymał się Pierwszy. Sądziłem, że walka rozstrzygnie się między nimi. Jednak Piąty jadący bardzo rozważnie w środku stawki zaczął wykorzystywać zgromadzone dotąd dodatnie punkty. Dzięki temu mógł spokojnie wybrać najkrótszą, ale wyjątkowo niebezpieczną drogę. Na ostatni odcinek wjechał z taką przewagą, że żadna siła nie mogła mu już odebrać zwycięstwa.

Brończy jakby oszalał z radości. Wyrwał mnie z fotela i odtańczył jakiś taniec ludów pierwotnych.
– Wygraliśmy – wył mi do ucha.

Siedzący u Góry z trudem przywołał go do porządku, po czym powoli i dostojnie podniósł się z miejsca. W tej chwili jak na komendę zaczęli wychodzić inni ludzie. Pięć minut później w sali pozostałem ja i... człowiek, który od początku rozprawy siedział z mojej prawej strony.

– Mógłbyś mi wytłumaczyć, dlaczego nosisz w portfelu zatrute pinezki? Czyżbyś się nie obawiał, że możesz się nimi pokłuć?

– Nie, poniewać jestem nieśmiertelny.
Wiadomość ta, wbrew moim przewidywaniom, nie zrobiła na nim żadnego wrażenia.

– Tak też przypuszczałem. W związku z tym mam dla ciebie ciekawą propozycję. Chciałbym, abyśmy pracowali wspólnie. Jeżeli się zgodzisz to możesz być pewien, że nam się to opłaci.

Podniósł głowę i spojrzał mi prosto w oczy. Poznałem go. Takiego wzroku nigdy nie można zapomnieć. ■

Recepta na bestseller

Powieść „Dune" Franka Herberta zdobyła dwie najpoważniejsze nagrody SF – Nebula i Hugo, a do pełnego „hat-tricku" zabrakło jej wyłącznie nagrody im. Johna W. Campbella. Jest to pierwsza część trylogii obejmującej także „Dune Messiah" i „Children of Dune". „Dune" jest jednak najlepszą ze wspomnianych części. Chociaż „Mesjasz" i „Dzieci" zawierają ciekawe pomysły, swoiste „historiozoficzne" i „filozoficzne" koncepcje rozwijające wątki z „Dune", to jednak są po prostu kontynuacjami, które mają na celu wycisnąć wszelkie soki z eksploatowanego tematu.
Recepta, według której została napisana „Dune" jest właściwie dość prosta. Łączy się elementy powieści historyczno-awanturniczej z elementami SF i już tylko od wyobraźni i talentu autora zależy, co z tego wyjdzie. No, a talentu i wyobraźni Herbertowi nie sposób odmówić. Precyzja działania autora jest zaiste godna podziwu – nie tylko wymyślił planetę z jej dziwną ekologią, ale również skonstruował bardzo ciekawy, precyzyjnie obmyślany system socjologiczny, obyczajowy i filozoficzno-magiczny. Herbert nie ogranicza się do pokazania prymitywnej młócki, nie stara się epatować czytelnika maksymalną liczbą wydarzeń mrożących krew w żyłach. Wszystkie proporcje są doskonale wyważone: całość jest nie tylko ciekawa fabularnie, ale i nadzwyczaj silnie osadzona w logicznym, powiązanym wzajemnie tle. Nie spotykamy u Herberta fragmentów „puszczonych", miejsc, szczegółów, z którymi nie wiadomo co zrobić, skąd się wzięły, czemu mają służyć. Lektura jest w efekcie czynnością szalenie sympatyczną, przyjemną, choć „Dune" nie sposób zaliczyć do tzw. „czytadeł". Odbiorca, który będzie się starał troszeczkę zastanowić, prześledzić rozbudowanie utworu „w głąb", na pewno tego nie pożałuje.
Mnie, na przykład, bardzo zainteresowały filiacje z Bliskim Wschodem (przede wszystkim mahometańskim). Sięgnięcie przez Herberta do tego kręgu kulturowego jest jak najbardziej uzasadnione – przecież Dune swą ekologią, warunkami geofizycznymi jest zbliżona do miejsc, w których narodził się islam. Autor nie ogranicza się tu do motywów, związanych wyłącznie z miejscem narodzin kultu Muad'Diba (jakże przypomina ta cała historia „hedżrę" Mohammeda) – nazewnictwo geograficzne, nomenklatura Fremenów ma wyraźnie arabski rodowód (Fremeni są podobni do Beduinów, czy Tauregów, a w ich słownictwie odnajdujemy wyrazy o zachowanym całkowicie zakresie znaczeniowym: „Fedaykin" – feddayin, „ulema" – ulem, „aba" – abaja, itp.). Zarabizowany jest nie tylko świat Dune, zabieg ten ma o wiele większą skalę. Istnieje przecież Cesarz-Padyszach, używany jest tytuł Siridar (Sirdar), używany jest termin „Dżihad" oznaczający i w języku arabskim i w języku bohaterów „Dune" to samo – świętą wojnę. Tak więc Wschód wlewa się szeroką falą do powieści – i efekt jest wstrząsający!
Wszystko w tej historii jest ze sobą doskonale splecione, nasycone elementem przygody, fantastyki. Herbert operuje swoją techniką pisarską w sposób nieomal perfekcyjny: odkładając książkę jesteśmy przekonani, że te dwie wymienione na początku nagrody należały się mu bezapelacyjnie. Pochlebne opinie o „Dune" napisali Arthur C. Clarke i Robert A. Heinlein podkreślając „*nadzwyczajną precyzję szczegółów*", oraz „*wielką pomysłowość*", „*wiarygodność*".
„Dune" była niewątpliwie wydarzeniem w światowej SF i jak zwykle bywa z utworami wybitnymi wywołała całe mrowie mniej lub bardziej udanych naśladownictw. Dobrze się stało, że przetłumaczono ją na język polski, chociaż dopiero po prawie 20 latach. Fakt, że jest to pierwsza część większej całości nie powinien odgrywać specjalnej roli, ponieważ można tę powieść czytać jako samodzielny utwór.

Sławomir Kędzierski

Frank Herbert: *Dune*. Iskry, Warszawa 1984. Cena 140 zł.

Francuskie romanse naukowe

„Więzień na Marsie" i „Niewidzialni" to pierwsze reprintowe edycje „Dawnych Fantazji Naukowych" (DFN), najmłodszej polskiej serii science fiction działającej pod patronatem Wydawnictw „Alfa". Co prawda, egzemplarze sygnalne powieści Gustave'a Le Rouge'a pojawiły się w roku 1983 (nakład 40 tys.), ale w rok później wydrukowano dodatkowo 30 tysięcy książek, które niemal natychmiast zniknęły z półek księgarskich. Świadczy to o niesłabnącym zainteresowaniu popularną, przygodową-sensacyjną odmianą fantastyki i sygnalizuje ogromne zaniedbania w przyswajaniu historii europejskiej science fiction.
Gustave Le Rouge (1867–1938), pionier francuskiej literatury przyszłościowej i następca J. Verne'a, należał do czołówki ówczesnych science fictioneerów, a popularność jego książek biła wszelkie rekordy powodzenia. Trzeba przypomnieć, że spuścizna tego autora obejmuje przeszło 70 pozycji, a wśród nich wiele powieści przygodowych, kilka sztuk scenicznych, zbiorów bajek i aforyzmów, a nawet pism krytycznych, studiów o charakterze historycznym, wspomnień i antologii... okultystycznych. Za najciekawsze „romanse naukowe" G. Le Rouge'a uważa się: „La conspiration des milliardaires" („Spisek miliarderów", 1899–1900), „La princesse des airs" („Księżniczka przestworzy", 1902), „La mysterieux docteur Cornelius" („Tajemniczy doktor Cornelius", 1912–1913) oraz „Więźnia na Marsie" („Le prisonner de la planète Mars", 1908 – t. 1) i „Niewidzialnych" („La guerre des vampires" – t. 2).
Dwie ostatnie powieści, tłumaczone na język polski, miały kilka wydań (1911, 1912, 1929) i w początkach XX stulecia, kiedy rodziła się „trylogia księżycowa" Jerzego Żuławskiego, zdobyły niemałe uznanie czytelników. Rzecz jasna, książki te, nawet w części nie dorównywały historiozoficznym refleksjom „Starej Ziemi", ale zaspokajały przynajmniej podstawowe oczekiwania odbiorców: głód wiedzy, ciekawość jutra, nieznanych światów, pragnienie cudownych, olśniewających wynalazków, tajemniczych przygód ukazanych w postaci dynamicznych konfliktów, intryg, zaskakujących puent. Treścią obu utworów były niezwykłe przygody odważnego Francuza – Roberta Darvela, który osiąga powierzchnię Marsa w specjalnie skonstruowanym pocisku poruszanym wolą hinduskich jogów. Czerwona Planeta okazuje się zamieszkała przez kilka gatunków istot zróżnicowanych pod względem inteligencji: począwszy od gigantycznych kretów Roomboo, przez klasę humanoidów, krwiożerczych Erloorów będących krzyżówką człowieka z nietoperzem, Niewidzialnych – ohydnych stworów składających się z mózgu, macek i skrzydeł, a wreszcie Wielkiego Mózgu – Boga Marsa władającego całą tą okropną menażerią. O ile w pierwszym tomie dylogii („Więzień na Marsie") dochodzi do głosu typowy schemat robinsonady pochodzący z utworów Daniela Defoe, tom drugi („Niewidzialni") wprowadza bardziej współczesny motyw inwazyjny: przerażający mieszkańcy Marsa przybywają na Ziemię zmuszając naszych współbraci do solidarnej walki w obronie swoich praw.
Najnowsze wydanie „romansów naukowych" G. Le Rouge'a zostało opatrzone posłowiem Stefana Otcetena, co należy powitać z zadowoleniem, jako że daty międzywojennych edycji dawno zatarły się w pamięci czytelników. Co prawda, fragment „Więźnia na Marsie" przedrukowało wydawnictwo „Iskry" w roku 1968 (antologia „Wakacje cyborga"), ale Julian Rogoziński nie stanął na wysokości zadania kreśląc sylwetkę francuskiego science fictioneera w wielce oszczędnych słowach. Tymczasem Stefan Otceten – powołując się na przedmowę Francisa Lacassina do wydanej w roku 1976, w serii „L'Aventure Insensée" powieści „Więzień na Marsie" – wydobywa z utworu Le Rouge'a elementy konwencji science fiction, które weszły na stałe do skarbnicy europejskiej powieści przyszłościowej (należy do nich stworzenie nowego modelu powieści przygodowo-fantastycznej wzbogacającej formułę J. Verne'a, zainteresowanie zjawiskami parapsychologicznymi: telepatią i psychokinezą; wykorzystanie założeń okultyzmu w konstrukcji piętrowej hierarchii społeczeństwa marsyjskiego; wreszcie opis wielu „cudownych odkryć" dokonanych między innymi przez polskiego (sic!) inżyniera Boleńskiego: „promieni Z pozwalających palić okręty na odległość nieprawdopodobną", telefotów „umożliwiających widzenie osób oddalonych", „leczniczych stacji powietrznych ponad obłokami" etc.) Gustave Le Rouge nie zawsze przyznawał się do autorstwa wspomnianych innowacji czerpiąc obficie z dorobku poprzedników (co autor posłowia wyraźnie zaznacza przywołując twórczość Herberta Wellsa i Tiphaignego de La Roche – XVIII-wiecznego lekarza, filozofa), ale tych zapożyczeń jest o wiele więcej i o zasługach francuskiego science fictioneera należałoby mówić z nieco większą rezerwą. Wynalazki z dziedziny chirurgii, fizyki pojawiły się przecież w „Roku 2440" (1770) – pierwszej utopii przyszłościowej L.S. Merciera, a w słynnych „Obrazach przyszłości" – Kurta Lasswitza, sięgających 39 stulecia, opisano przygotowywanie posiłków w formie pigułek chemicznych, „fruwające statki", udoskonalony telegraf, a co ciekawsze „działania psychokinetyczne" (stąd właśnie pochodzą próby nawiązania kontaktu z mieszkańcami Marsa oraz destylacja płynu tzw. daphotu, który czyni ciało niewidzialnym, a wreszcie wizja podziemnych miast pod oceanami przeciętymi siecią tunelów komunikacyjnych). Pierwowzory militarnych fascynacji G. Le Rouge'a odkrywamy w utopii W.D. Haya („Three Hundred Years Hence", 1891: podwodne torpedowce wyposażone w pociski elektryczne „zabijające wszystko co żyje w promieniu kilkuset wiorst"), wyzwolenie tzw. „siły bazylicznej" rządzącej materią, opracowanie nowego materiału (koralii) o niebywałej mocy, niezwykłego gazu (lucygenu) zmieniającego swoją objętość pod wpływem prądu elektrycznego.
Szkoda, że autor posłowia nie podejmuje próby osadzenia twórczości G. Le Rouge'a w literaturze przełomu wieków, nie mówiąc o przywołaniu kontekstu francuskiej prozy fantastyczno-naukowej (w owych czasach poza J.H. Rosnym, J. Verne'em i jego naśladowcą Paulem d'Ivoi działało przecież kilkunastu science fictioneerów!). Bardziej szczegółowego potraktowania domagał się także klimat kulturowy epoki przesycony doświadczeniami okultystycznymi, filozofią Olcotta, buddyzmem ezoterycznym, mistycyzmem, hinduizmem, religiami Wschodu badanymi w całej glorii „naukowości", scjentyzmu. Otwartym pozostaje pytanie na ile z dorobku G. Le Rouge'a korzystali autorzy polskiej fantastyki neoromantycznej – a że do takich zapożyczeń dochodziło (być może pośrednio – przez ogólne prądy i tendencje kulturowe) nie ulega najmniejszej wątpliwości. Wystarczy przypomnieć powieści Langego, Konczyńskiego, Olszakowskiego, Montyherta... nie mówiąc o książkach trzeciorzędnych wyrobników pióra zasilających źródła literatury brukowej.
Mimo tych niedopatrzeń, inicjatywa „Alfy" zasługuje na uwagę. Dalszy jej los będzie zależeć zarówno od doboru tekstów, jak i formy ich opracowania. Z zainteresowaniem oczekujemy zatem na zapowiedziane wydanie „Najeźdźców z morza" oraz „Wyspę doktora Moreau" – Herberta Wellsa, „Krainę, o której zapomniał czas" – Edgara R. Borroughsa, wreszcie „Rok przestępny" międzywojennego autora science fiction – Jana Karczewskiego.

Andrzej Niewiadowski

Gustave Le Rouge: *Więzień na Marsie, Niewidzialni*. Wyd. Alfa, Warszawa 1983. Cena 73 i 85 zł.

Jeszcze raz: "DZIECI WSZECHŚWIATA"

Żyjemy – jak powszechnie wiadomo – w czasach paradoksów. Na przykład demonstrujemy wiarę w naukowy sposób myślenia, chcemy być logiczni, pragmatyczni w swoim działaniu i myśleniu, ale też z wielką przyjemnością studiujemy horoskopy, wsłuchujemy się w przepowiednie astrologów i tajemniczych szarlatanów. Ba, wierzymy w cudowne objawienia, uzdrowienia, szukamy nowej wiedzy o sobie i naszym świecie tam, gdzie poważna nauka jeszcze się nie zapuszcza w obawie przed kompromitacją. Interesuje nas bardziej niż cokolwiek innego parapsychologia, energoterapeutyka, „zmienne stany świadomości"... Bo przecież – jak w piosence sprzed lat – wiemy doskonale, że *„życie jest formą istnienia białka, tylko w kominie czasem coś załka"*. I to „łkanie" wprawia nas w ekscytację, daje okazję codziennego spotkania z enklawami Tajemniczego w naszym – pozornie poznanym do końca i racjonalnym – świecie.

Jest dzisiaj pewne, że istnieje obszar, na którym dzieją się jakieś zjawiska, zachodzą procesy, o naturze których nie wiadomo zbyt wiele. Uczeni spoglądają w tę stronę z politowaniem, a nawet pogardą i twierdzą, że zajmowanie się tymi sprawami jest działalnością niegodną nauki z prawdziwego zdarzenia. Jest to rodzaj uniku, który jednak stwarza pole popisu cynicznym hochsztaplerom bądź też publicystom, dziennikarzom, którzy w dobrej wierze zapuszczają się na te obszary, bo skoro istnieje zainteresowanie, musi je ktoś zaspokoić, spróbować opowiedzieć o tym, co się tam dzieje. Są to też często relacje – bez złej woli – nierzetelne, niepełne, wyrywkowe. Publicysta czy dziennikarz nie ma obowiązku ani ochoty troszczyć się przesadnie o możliwość naukowego zweryfikowania jego wywodów, może sobie pozwolić na dowolność. Ba, najczęściej przystępuje do zbierania materiałów i pisania posiadając już jakąś wizję tego, co chce napisać. Wtedy też tendencyjnie dobiera przykłady, milczy o tych zjawiskach, które przeczą jego tezie, podkreśla znaczenie tych, które za nią przemawiają. Autor wstępu do obszernej pracy Guya Lyona Playfaira i Scotta Hilla „Cykle nieba" – Andrzej Kajetan Wróblewski pisze, że właśnie w tej książce tak się postępuje. Z całą odpowiedzialnością twierdzi to o przykładach z dziedziny fizyki, ale prawdopodobnie biolog powiedziałby to samo o przykładach z dyscypliny wiedzy, którą on się zajmuje. Cóż, takie jest prawo autorów, którzy zresztą raz twierdzą, że wszystko, co zamieścili w swej książce ma charakter naukowy, kiedy indziej odstępują od tego stwierdzenia. Po prostu kręcą, by nie można ich było złapać na nierzetelności. Niemniej jednak napisali książkę bardzo interesująco, a o czym – wyjaśnia jej podtytuł: „Czynniki kosmiczne i ich wpływ na nasze życie".

Teza wyjściowa jest prosta i niepodważalna: jesteśmy, my – ludzie, częścią wszechświata i jako tacy podlegamy najrozmaitszym wpływom kosmosu, żyjemy też na planecie, która nieustannie jest poddana działaniu niewidzialnych sił kształtujących nasze i jej trwanie, stymulujących niektóre procesy bądź też wpływających destrukcyjnie na inne. Natura kształtuje nas i my kształtujemy ją, wpływy są obustronne i oczywiste. Playfair i Hill przytaczają wiele przykładów z różnych stron świata i o różnym stopniu wiarygodności (np. rewelacje o przenoszeniu przez mnichów tybetańskich kamieni za pomocą działania na nie silnym dźwiękiem), które mają nas ostatecznie przekonać, że nieomal wszystko, co się dzieje z naszymi organizmami ma swoje źródło w oddziaływaniu nieznanych sił kosmicznych.

Oczywiście trzeba – na razie wypada – traktować ich wywody z rezerwą, ale przyznać należy, że lektura to pasjonująca. Zapewne z czasem nauka wiele spraw wyjaśni, na razie mamy takie książki jak ta, której autorzy byli jednak na tyle przytomni, że w końcu zabezpieczyli się w sposób następujący: *„Gdy przystępowaliśmy do pisania tej książki przyświecał nam ambitny cel powiązania ze sobą pewnych nie do końca poznanych problemów z wielu na pozór odległych od siebie dziedzin nauki. W trakcie tej pracy pozostawiliśmy jednak za sobą wiele nowych nie rozwiązanych problemów i w pełni zdajemy sobie sprawę, że (...) »tu jest tylko środek, bez żadnego początku i końca«. Ale takie jest życie, a przynajmniej takie nam się wydaje. Badanie jego tajemnic nigdy się nie kończy (...). Cała przestrzeń w zasięgu naszej obserwacji wypełniona jest pulsującymi formami energii, z których żadnej w pełni nie rozumiemy".*

Leszek Bugajski

Guy Lyon Playfair, Scott Hill: *Cykle nieba. Czynniki kosmiczne i ich wpływ na nasze życie.* Przełożyli Grażyna i Zygmunt Fałarowie, przedmową opatrzył Andrzej Kajetan Wróblewski. Biblioteka Myśli Współczesnej. Państwowy Instytut Wydawniczy. Warszawa 1984. Cena 220 zł.

NOWA INICJATYWA WYDAWNICZA

mówi Łukasz Szymański, dyrektor Wyd. „Iskry"



– Iskry przystąpiły do wydawania Alamanachu. W jakim celu wymyślono to wydawnictwo, jakie potrzeby – twórców, czytelników, może samych Iskier – miałoby ono zaspokoić? Czy nie idzie tu o zapełnienie luki po „Nowym Wyrazie" i „Studencie"?

Kilkanaście lat temu wydawaliśmy almanachy, cieszyły się one niezwykłą sławą, prawie całe dzisiejsze tzw. średnie pokolenie literackie debiutowało w tamtych almanachach. Potem pojawiło się mnóstwo innych almanachów regionalnych, grupowych, organizacji społecznych; ich formuła na jakiś czas uległa zdeprecjonowaniu. Teraz, w nowej sytuacji, spotykając się na organizowanych przez nas zjazdach z młodymi twórcami spostrzegliśmy, że oni się właściwie nie znają, nie znają swojej twórczości – stworzenie wydawnictwa, w którym ukazywałyby się najciekawsze, najcenniejsze dokonania młodej literatury, wydawało się więc celowe. Zamierzamy to robić nie przywiązując się do określonej grupy, kategorii, czy pokolenia. Uznajemy potrzebę pism pokoleniowych, ale wolimy prezentować literaturę, a nie głównie mówić o niej. Formuła almanachu wydaje się w tym przypadku szczęśliwsza od formuły pisma literackiego.

– Co daje ta inicjatywa wydawnictwu?

Możliwość wcześniejszego prezentowania fragmentów utworów nie docierających do czytelnika w całości z powodów produkcyjnych. Możliwość ujawnienia języka jakim na co dzień mówimy o literaturze w wydawnictwie. Fragmenty utworów będą się ukazywać w almanachu wraz z recenzjami wewnętrznymi, często bardzo ostrymi, miażdżącymi – okaże się to odległe od uładzonego, pozbawionego temperamentu sposobu, w jaki kwituje literaturę prasa społeczno-literacka. Literatura będzie tu więc przedmiotem i podmiotem. Sama będzie atakować, ale i stanie się celem ataku. Almanach zdemistyfikuje to co się dzieje „za zamkniętymi drzwiami" wydawnictwa.

– Czy nie stanie się więc grupową trybuną pisarzy z kręgu Iskier? Skąd poza tym brać „miażdżące i ostre" recenzje „ciekawych i wartościowych" tekstów?

Będzie to trybuna otwarta, chcemy współpracować ze wszystkimi, ale jedno wydawnictwo na pewno nie da rady. Jest w Polsce parę innych almanachów, są „Okolice", almanachy organizacji młodzieżowych, są wydawnictwa studenckie. Jeśli się pomylimy odrzucając kogoś, to inni naprawią nasz błąd. Natomiast o temperament recenzentów proszę się nie bać. Już w pierwszym numerze widać ogromną różnicę opinii krytyków dotyczącą twórczości Siejaka, Miłowieckiego. Na pewno nie będzie chóru. Zresztą i odwrotnie – dopuszczamy teksty pochwalne dotyczące zjawisk kontrowersyjnych. Obok poezji hippisów, będącej typem paraliteratury oddającej ducha chaosu, zamieszczamy esej chwalący tę poezję. Absolutnie nie zgadzam się z jego tezami, a jednak esej wydrukowałem.

– Zaskoczeniem dla czytelników będzie pewnie ukazanie się w almanachu także i tematyki SF. Myślę, że jej obecność dotyczyć będzie przede wszystkim nowej fali w tym gatunku twórczości.

Co się tyczy nowej fali w polskiej SF z przyjemnością posprzeczalibyśmy się z wami w almanachu. Pamiętam nie tak dawne dyskusje nad świadomością młodej literatury – okazało się, że nie ma żadnej zbiorowej świadomości. W literaturze głównego nurtu np. nie ma u nas nowej fali, są ciekawe jednostki, są nawet grupy, ale to w żaden sposób nie da się sprowadzić do wspólnego mianownika, najciekawsi z młodych pisarzy są piekielnie różni: Słyk i... Siejak, Czerniawski i Bela... Dlatego dziwi mnie twierdzenie o istnieniu nowej fali w SF. Jeśli bowiem chodzi tu o odwagę, o penetrowanie drażliwej tematyki społecznej, to fantaści nie mają monopolu i wcale nie są najodważniejsi, najbardziej dociekliwi. Młodzi pisarze głównego nurtu atakują współczesność wprost, napływ tekstów jest ogromny.

– Mówiący o nowej fali SF mają na myśli dwie różne rzeczy. Jednym idzie o literaturę awangardową, nieco Ballardowską w tonie i sposobie obrazowania. Dla innych nową falą w SF jest to wszystko, co zrywa z szablonami, z rozrywkową narracją, z kosmicznymi rekwizytami i tematyką, z realizowaniem po wielokroć powielonych standardów. Zjawiają się ostatnio indywidualności i prywatny ton – fantastyka jest używana przez fantastów „nowofalowców" do mówienia o życiu, do uprawiania literatury w ogóle, w tym także społecznej. Oznaką „nowo-falowości" SF jest więc ostatnio rozmaitość, a nie wspólny mianownik.

No to moglibyśmy się pospierać w almanachu o literacko-konstrukcyjne walory fantastyki. Wiadomo, że pod tym względem można wiele zarzucić nawet najciekawszym, jeśli idzie o walory intelektualne, dokonaniom tej prozy. Rozważamy poświęcenie całości bądź bloku materiałów w almanachu, właśnie fantastyce. Odwołalibyśmy się w wydawnictwie do uwielbiających gatunek i tych, którzy są mu niechętni. Może także was poprosimy o współpracę. Nie powinniście się tego bać, przy 150 tys. nakładu, my z naszymi 2 tys. nakładu wyjściowego, wyglądamy jak wydawnictwo na prawach rękopisu. Ale nie lekceważyłbym i tych 2 tys. Szacowny, opiniodawczy miesięcznik „Twórczość" ma 7 tys.

– Czy możliwe jest zwiększenie nakładu bądź miana statusu wydawnictwa – z almanachu kwartalnik? Może z czasem miesięcznik?

Jeśli inicjatywa wypali, a czytelnicy ją pokochają to będziemy się trudzić nawet parenaście lat. Jeśli nie – zamykamy kramik po pięciu numerach. Widziałem miesięczniki istniejące po parę lat tylko dlatego, że nie chciano ich likwidować, bo to zabieg bolesny, ludzie z rodzinami na głowach tracą pracę itp. A ja mogę rzecz w pół roku zamknąć i nikogo to nie zaboli, bo w Iskrach i bez tego mamy sporo pracy.

– Życzymy więc Iskrom, żeby czytelnicy zaakceptowali „Almanach". Dziękuję za rozmowę.

notował Maciej Parowski

Hussarski Roman (ur. 1923)

Rzeźbiarz, pedagog, literat

Roman Hussarski urodził się 29 XI 1923 r. w Warszawie. Ukończył Wydział Rzeźby i Wydział Architektury Wnętrz w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Uzyskał stopień doktora. Jest artystą-rzeźbiarzem, pedagogiem, wykładowcą Politechniki Krakowskiej. Specjalizuje się w mozaice, rzeźbie architektonicznej i pomnikowej (współtwórca – obok żony Heleny i W. Cęckiewicza – Pomnika Czynu Rewolucyjnego w Sosnowcu, 1967). Jako poeta debiutował w 1946 r. na łamach „Żołnierza Polskiego". W 1951 r. wydał książkę „Nowy mur" (Czytelnik) traktującą o *„ideowym dojrzewaniu budowniczych nowej Warszawy"* (utwór wyróżniony w konkursie Ministerstwa Kultury i Sztuki).

Roman Hussarski (obok Stanisława Lema) jest współautorem 4-aktowej sztuki o tematyce fantastyczno-naukowej **„Jacht Paradise"**, która została wystawiona w Państwowym Teatrze Ziemi Opolskiej pod dyr. Józefa Zajączkowskiego 17 kwietnia 1951 r. W tym samym roku sztuka ukazała się również w wydaniu książkowym nakładem „Czytelnika".

Zawartość utworu stanowią perypetie związane z podróżą morską jachtu „Paradise" należącego do amerykańskiego przemysłowca Morr[illegible] bogatego businessmana są: profesor fizyki – ekspert rządowy i przewodniczący sekcji pokojowego zastosowania energii jądrowej oraz generał zainteresowany militarnymi aspektami ośrodków masowego rażenia. Fabułę sztuki (obok wątków obyczajowych i romansowych) wypełniają dyskusje toczące się pomiędzy generałem i profesorem oraz omówienia nowych, niezwykle groźnych środków zagłady, nad którymi pracują wybitni uczeni amerykańscy. Jedna z takich rozmów zostaje podsłuchana przez szeregowych członków załogi, którzy preparują fikcyjne wiadomości na temat nieoczekiwanego wybuchu III wojny światowej, przejmują kontrolę nad jachtem doprowadzając do panicznej ucieczki militarystów i rozpoczynają rejs w nową, świetlaną przyszłość.

„Jacht Paradise" nie jest z pewnością utworem wartym wznowienia, ale trzeba docenić jego wartość dokumentalną świadczącą o klimacie epoki lat czterdziestych, zimnowojennych nastrojach, strachu przed grożącym niebezpieczeństwem. Trudno się zatem zgodzić ze Stanisławem Lemem, który dość jednoznacznie skazuje swoją sztukę na zapomnienie uznając ją za rodzaj „persona non grata" w bogatym dorobku literackim. W wywiadzie udzielonym wrocławskiemu filologowi – Stanisławowi Beresiowi („Odra" 1984/4) autor „Dialogów" twierdzi, co następuje:

„Jacht Paradise to cały rozdział opowieści i to dość ponury. Był konkurs na sztukę teatralną i za pośrednictwem Jerzego Pańskiego (prezesa Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik" – przypis mój, A.N.) *zostałem zaproszony do współuczestnictwa. Wtedy wymyśliłem tę straszną brednię (...) i nie mając ani siły, ani umiejętności do napisania tego sam namówiłem Romka Hussarskiego, z którym to napisaliśmy. Sztuka była parę razy odgrywana w Opolu, Łodzi i Szczecinie. Pozostały mi nawet z tego jakieś fotografie. W sumie było to smutne i ponure zarazem (...). Pierwszoplanową rolę amanta grał sam Fetting (...). Była też taka scena, w której wchodził Opaliński grający fizyka, mający już wówczas czaszkę łysą jak kula bilardowa, na którą nasadzono mu perukę, kunsztowną wiechę. Kiedy wchodził po trapie zaczepił peruką o reję, na której przepięknie zadyndała, ale zdążył ją schwycić i na nowo przytwierdzić do głowy. Na takim mniej więcej poziomie wszystko się to odbywało".*

pożółkłe kartki

JACHT PARADISE

Roman Hussarski
Stanisław Lem

Osoby:

Morris – przemysłowiec
Rita – jego córka
Generał, **Profesor** – goście Morrisa
Bob – młody filmowiec (reżyser)
Louis – służący Murzyn
Liza – pokojówka Murzynka
Kapitan
Sternik
Radiotelegrafista
Mechanicy
Marynarze

Rzecz dzieje się współcześnie na jachcie „Paradise". (...)

Wnętrze saloniku pod pokładem. Okna okrętowe, w ścianie oszklony bar. Dwoje drzwi. Pomiędzy nimi surrealistyczne malowidło. Radio z telewizorem. Oprócz tego stół i kilka foteli (...). Na scenie Generał i Profesor.

Generał: Profesorze?

(Profesor odwraca się i patrzy na Generała)

Kilka miesięcy temu, jeśli się nie mylę, prosiliśmy pana o przyjazd do Waszyngtonu, a pan zakomunikował nam, że nie może przyjechać z powodu nawału pracy.

(Profesor skinął głową)

Generał: Ale później miał pan chyba więcej czasu?

Profesor: Istotnie, ponieważ straciłem katedrę.

Generał: Nie straciłby jej pan, gdyby pan był usłuchał naszej rady.

Profesor: Pan jest oczywiście przyzwyczajony do tego, że ludzie słuchają pana rozkazów. Tylko że my, uczeni, nie jesteśmy jeszcze zmilitaryzowani. Nie mówiąc już o tym, że to było dość... oryginalne proponować pracę nad środkami zniszczenia człowiekowi, który jest przewodniczącym sekcji pokojowego zastosowania energii atomowej.

Generał: Profesorze, przecież pan jest Amerykaninem! Żyjemy w czasach, które nakładają na nas obowiązek obrony ideałów demokratycznych. Są to ciężkie zadania, wymagające nieraz wyrzeczeń. Niestety, niektórzy pańscy koledzy zachowują się po prostu... Einsteinowi można ostatecznie wybaczyć, bo jeśli ktoś ma osiemdziesiątkę na karku to wolno mu pleść duby smalone o miłości bliźniego... ale jak pan, taki świetny uczony, mógł popełnić podobny błąd i podpisać apel sztokholmski? (...) Pojmuje pan chyba jak nieograniczone możliwości pracy w pańskiej dziedzinie otwieramy przed panem? Uważam, że sprawa wielkiej i świetnej przyszłości Stanów Zjednoczonych jest dla nas wspólna. Wszystkie nasze najwyższe ideały, wszystko to, co jest nam drogie, jest i panu bliskie.

Profesor: Ma pan na myśli bombę atomową?

Generał: Pan chce być złośliwy. No tak, bo panu się wydaje, że pan ma własne, lepsze koncepcje polityczne... uszczęśliwienie wszystkich. Ale cóż, fizyk, choćby najświetniejszy może wiedzieć o metodach rządzenia? To nie są czasy renesansu, profesorze, kiedy człowiek i rzeźbił, i sonety pisał, i jeszcze polityką się zajmował w wolnych chwilach. Żyjemy w epoce specjalizacji. Politycy tworzą cel, uczeni – broń...

Profesor: A wy – okazję do jej użycia.

Generał: Pańscy koledzy dawno już zrozumieli, że tak być musi. Zajmują się matematycznym opracowaniem strategii.

Profesor: Opracowali metody, którymi można zwyciężyć w szachach, ale wy stosujecie je do ludzi!

Generał: Pan jest bardzo wrażliwy. No tak, ale... przepraszam... to bombę atomową projektowaliście też dla użytku w szachach? Nie wiedział pan jakie miało być jej przeznaczenie?

Profesor: Wiedziałem.

Generał: A więc dlaczego nie przyjechał pan na nasze wezwanie?

Profesor: Wiem, że wakuje stanowisko rzeczoznawcy do spraw anihilacji wielkich ośrodków miejskich, a mówiąc po prostu – specjalisty od zabijania setek tysięcy ludzi naraz. Wiem – i nie chcę nim zostać.

Generał: Rozumuje pan jak dziecko, które lubi rosół z kury, ale nie chce patrzeć jak ją kucharka zarzyna. *(Po chwili)* No, tak. Pan jest teraz na państwowej posadzie, prawda? O ile wiem, pełni pan jako fizyk funkcję eksperta rządowego. To jest, zdaje się, obecnie jedyne źródło pań-

Przyjdzie się zgodzić z Lemem, że „Jacht Paradise" nie należy do najciekawszych kart powojennej fantastyki naukowej, niemniej wypada pamiętać, iż była to pierwsza sztuka czterdziestolecia o tematyce SF, a przesłanie utworu – mimo rażących uproszczeń motywacyjnych i ogromnego ładunku agitacyjnego – zachowało w części swą aktualność. Adam Hollanek w recenzji z „Nowego muru" pisał przed laty, iż *„Hussarski posiada dar określania ludzi przy użyciu prostych, ale bardzo trafnych środków: jednym porównaniem, jedną wypowiedzią, jednym dialogiem umie postawić swojego bohatera"*. Słowa te można odnieść do „Jachtu Paradise". Co istotniejsze, na przykładzie wspomnianej historii obserwujemy narodziny wielu motywów literackich akcentowanych w późniejszej twórczości Lema (np. problem odpowiedzialności uczonego, jego zaangażowania ideologicznego, powracający w „Głosie Pana", czy zagadnień technologicznych wykorzystanych w „Obłoku Magellana"). Dydaktyczna frazeologia „Jachtu" kryje zatem ciekawy ładunek intelektualny, którego nie można odrzucić w czasach grożących eskalacją nowego konfliktu zbrojnego.

Bibliografia wybrana

– S. Bereś: *Rozmowy z Lemem* (w:) „Odra" 1984/4.
– A. Hollanek: *Złączyła ich praca w zespole* (w:) „Życie Literackie" 1951/20.

skiego utrzymania. Pana kwalifikacje naukowe nie podlegają oczywiście dyskusji, musiał pan mieć świetne referencje, ale... jeśli chodzi o stronę polityczną, to... zasadniczo... także, chociaż... Pozwolę sobie przypomnieć pewien szczegół z pańskiej biografii. Trzy lata temu napisał pan do Stalina list prosząc, aby przemówił przez radio do całej ludzkości i przedstawił możliwość pokojowego zorganizowania świata.

Profesor: Pan ma bardzo dobry... wywiad.

Generał: Dość tych drwin! Pan sobie nie zdaje sprawy ze swego czynu. W razie ujawnienia zostałoby to uznane za zdradę stanu! Profesorze, żal mi pana... cenię pańskie zdolności, zasługi i dlatego dam panu możliwość pracy, jakiej panu jeszcze nie proponowano. Robię to, bo wierzę w pański rozsądek, w pańskie sumienie. Niech się pan nie okłamuje wyimaginowanym pojęciem wolności nauki. Nie macie jej nie dlatego, że wam jej nie dajemy. Nie macie jej bo musicie iść z nami. Powiedzcie to sobie jasno: jesteście na nas skazani do samego końca, czy będzie dobry czy zły. *(Po chwili)* Ten pana list, który nie doszedł do adresata... Ale jeżeli zgodzi się pan na przystąpienie do projektu wodorowego, damy panu szansę i w dniu, w którym zostanie skonstruowana bomba wodorowa, zapomnimy o tym liście. Rozumie pan dobrze, co się stanie, jeśli pan odmówi...

Profesor: Cóż... zgadzam się.

„Jacht Paradise" (sztuka w czterech aktach), „Czytelnik" 1951, fragment aktu II.

Przygotował
Andrzej Niewiadowski

1958 (dokończenie)

Fantazja dla dorosłych (AF):

262. APOLLINAIRE Guillaume: *Heretyk i s-ka.* Tłum. [z franc.] Adam Ważyk. Wyd. I powoj. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 205, nlb. 2. 10 000 egz. – Większość opow. fantast.
263. [APULEIUS Lucius]: *Metamorfozy albo Złoty osioł.* Wyd. II. Tłum. z łac. Edwin Jędrkiewicz. Koment. T[adeusz] Sinko. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 8° ss. 277, nlb. 3. 10 000 egz. – Biblioteka Arcydzieł. Najsławniejsze Powieści Świata – Na k. tyt. aut.: Apulejusz
264. BĄDKOWSKI Lech: *Sąd nieostateczny. (Moralitet całkiem nowy).* Sztuka w trzech aktach z dwoma intermediami. Gdynia. Wyd. Morskie. 16° ss. 102, nlb. 3. 1 200 egz. – AF/Weird.
265. BIERCE Ambrose: *Wybawienie.* W: *HUNT przemytnik i inne opowiadania.* Katowice. Śląsk 16° s. 16–22. 60 000 egz. – Złota Podkowa.
266. GRIN [właśc.: GRINĚVSKIJ] [Alěksandr] *Szkarłatne żagle.* Tłum. [z ros.] Irena Piotrowska. *Złoty łańcuch.* Tłum. [z ros.] Roman Auderski. Warszawa. Iskry 8° ss. 267, nlb. 5, tabl. 8. 10 000 egz. – AF/CJF – Na k. tyt. aut.: Aleksander Grin (Gryniewski).
267. JĘDRKIEWICZ Edwin: *Świątki i centaury.* Warszawa. Inst. Wyd. Pax. 16° ss. 264, nlb. 3. 5 000 egz.
268 LIBELT Karol: *Gra w szachy i inne opowiadania.* [!] Katowice. Śląsk. 16° ss. 55, nlb. 1. 65 000 egz. – Złota Podkowa – Tytulatura źle sformułowana, gdyż poza *„Grą w szachy"* książka ta zawiera tylko (niefantast.) opow. J. Galsworthy'ego *„Salta pro nobis"* (s. 51–55).
269. MERIMÉE Prosper: *Wenus z Ille.* [!] Tłum. z franc. Tadeusz Boy Żeleński. W: *WENUS z Ille i inne opowiadania.* Katowice. Śląsk 16° ss. 3–36. 65 000 egz. – Złota Podkowa.
270. MEYRINK [właśc.: MEYER-MEYRINK] Gustav: *Golem.* Tłum. [z niem.] Antoni Lange. Wyd. I. powoj. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 289, nlb. 3. 10 000 egz.
271. RYCHLIŃSKI Jerzy Bohdan: *Mafia Wielkiego Fina.* Posłowie Stefan Lichański. Warszawa. Inst. Wyd. Pax. 16° ss. 228, nlb. 3. 10 000 egz. AF/Wierd.
272. SAINT-EXUPÉRY Antoine de: *Mały Książę.* Tłum. [z franc.] Jan Szwykowski. Warszawa. Inst. Wyd. Pax. 8° ss. 83, nlb. 5. 20 000 egz. – AF/CJF.
STEVENSON R. L.: *Doktor...* – zob. Weird.

Horror (W):

BĄDKOWSKI L.: *Sąd...* – zob. AF.
273. BANASIOWA Teodora: *Towarzysz śmierci i inne opowiadania.* Katowice. Śląsk. 16° ss. 71, nlb. 1. 65 000 egz. – Złota Podkowa.
274. GRABIŃSKI Stefan: *Niesamowite opowieści.* [z lat 1919–1923]. Wybór i oprac. Janusz Wilhelmi. Posłowie: K[arol] Irzykowski. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 291, nlb. 4. 27 000 egz.
275. *HOFFMANN E[rnst] T[heodor] A[madeus]: Diable eliksiry.* Tłum. [z niem]. Ludwik Eminowicz. Warszawa. Czytelnik. 8° ss. 373, nlb. 3. 10 000 egz. – Dzieła Wybrane, T. II
276. KUDLIŃSKI Tadeusz: *Dagerotyp Mr Drumma.* Poznań. Wyd. Poznańskie. 16° ss. 230. nlb. 2. 10 000 egz. Weird/Utopia, ściślej: książka realistyczna z elementami satyrycznego horroru. – Przygoda – Awantura – Sensacja.
277. ŁOZIŃSKI Władysław: *Zapatan.* Wyd. I osobne. Katowice. Śląsk. 16° ss. 60, nlb. 4. 65 000 egz. – Złota Podkowa.
278. MERIMÉE Prosper: *Lokis.* Tłum. z franc. Leopold Staff. W: *LOKIS i inne opowiadania.* Katowice. Śląsk. 16° ss. 3–52. 45 000 egz.
279. MERIMÉE Prosper: *Widzenie Karola XI.* Tłum. z franc. Tadeusz Boy Żeleński. W: *WIDZENIE Karola XI i inne opowiadania.* Katowice. Śląsk. 16° s. 3–10. 60 000 egz. – Złota Podkowa – Zawiera także dwa opow. Villiera de l'Isle-Adama z elementami AF: *Przygoda Tse-i-La.* s. 34–43 i *Duke of Portland.* s. 44–51.
280. MUSAEUS Johan Karl August: *Poszukiwacz skarbów.* Tłum. z niem Władysław Dziewulski. W: *Kapitan Stevenson popełnia samobójstwo i inne opwiadania.* Katowice. Śląsk. 16° s. 21–59. 46 000 egz. – Złota Podkowa. – Przekład skrócony.
282. POE Edgar Allan: *Czarny kot.* [oraz] *Studnia i wahadło.* Tłum. z ang. Stanisław Wyrzykowski. W: *ŚWIĘTY Mikołaj w Simpson Bar i inne opowiadania.* Katowice. Śląsk. 16° ss. 31-63. 60 000 egz. – Złota Podkowa.
282. POE Edgar Allan. *Metzengerstein.* Tłum. z ang. Stanisław Wyrzykowski. W: *BROWN z Calaveras i inne opowiadania.* Katowice. Śląsk. 16° s. 18–28. 62 000 egz. – Złota Podkowa.
RYCHLIŃSKI J. B.: *Mafia...* – zob. AF.
283. SHELLEY-WOLLSTONECRAFT Mary: *Frankenstein.* Wyd. I powoj. Tłum. z ang. Henryk Goldmann. Poznań. Wyd. Poznańskie. 16° ss. 337, nlb. 2. 20 000 egz.
284. STEVENSON Robert Louis: *Doktor Jekyll i pan Hyde oraz inne opowiadania.* Tłum [z ang.] Tadeusz Jan Dehnel, Wilam Horzyca i Julian Stawiński. Warszawa. Iskry. 16° ss. 279, nlb.4. 50 000 egz. – Klub Srebrnego Kluczyka. – Weird/AF.
285. [TOLSTOJ Alěksěj Konstantinowič]: *Upiór.* [oraz *Amene].* Tłum. z ros. Tadeusz Chruścielewski. [Łódź] Wyd. Łódzkie. 16° ss. 145, nlb.2. 10 000 egz. – Na k. tyt. aut.: Aleksy K. Tołstoj.
286. WYSYLEWSKI Stanisław: *Pod urokiem zaświatów.* Wyd. I powoj., oparte na wyd. z r. 1923. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 115, nlb.4. 15 000 egz. – Weird/MS (właśc.: okultystyczne).

Krytyka, biografia, film (R):

287. GIŻYCKI Jerzy: *W filmie nie ma rzeczy niemożliwych.* Warszawa. Filmowa Agencja Wydawnicza. 8° ss. 170, nlb.2. 4 000 egz. – M.in. o realizacji filmów fantast.

„Zagadki nauki (MS):

WASYLEWSKI S.: *Pod...* – zob. Weird.
288. WRÓBLEWSKI Andrzej Kajetan: *Z tajemnic Marsa.* Warszawa. Państw. Wyd. Nauk. 8° ss. 325, nlb.2. 5 000 egz. – Biblioteka Problemów.

Futurologi... (F):

289. WOŁCZEK Olgierd, THOR Janusz: *Od sztucznego satelity do stacji kosmicznej.* Warszawa. Państwowe Wydawnictwa Techniczne. 8° ss. 146, nlb.2. 2 500 egz.

cdn.

Przygotował
Jacek Izworski

Oto zdumiewająca tajemnica przyrody: plany budowy każdej żywej istoty na Ziemi, od wirusa (wirus tkwi właściwie na pograniczu między żywym i martwym) do człowieka, są zapisane tym samym kodem, tym samym językiem chemicznym. Różnice są przede wszystkim ilościowe, ale zasada zapisu pozostaje zawsze ta sama, bo oparta jest na strukturze pewnego związku chemicznego – kwasu nukleinowego. Związek ten występuje w każdej komórce każdego organizmu i nic dziwnego, że biologowie nazywają go kluczem życia albo szyfrem życia. Niektórzy uczeni poszli jeszcze dalej. Twierdzą, że wszystkie istoty żywe egzystują tylko po to, by owa dziwna substancja mogła trwać i wciąż się odtwarzać... Życie miałoby być formą istnienia kwasów nukleinowych.

Z tamtej strony lustra

KTO WYMYŚLIŁ TEN SZYFR?

Maciej Iłowiecki

Niewiele ponad sto lat minęło od czasu, kiedy odkryto tę substancję. W roku 1869 wyodrębnił ją z jąder komórkowych szwajcarski chemik Fryderyk Miescher i nazwał właśnie nukleiną (od *nucleus* – jądro). Uczony nie zdawał sobie sprawy z wagi tego odkrycia i nie był w tym odosobniony; wówczas i dziesiątki lat potem biologowie sądzili, iż jest to po prostu kolejny związek chemiczny, biorący jakiś udział w metabolizmie (przemianie materii) komórki. Takich związków odkrywano wtedy tysiące. Miescher nie dożył czasów, kiedy jego nukleinę zaczęto podejrzewać o udział w zapisie i przenoszeniu informacji dziedzicznej. W połowie lat 40-tych naszego stulecia Amerykanin Avery, opierając się na wcześniejszych obserwacjach Anglika Griffitha udowodnił, iż cechy genetyczne pewnej bakterii są przenoszone właśnie przez jedną z postaci nukleiny, to znaczy przez kwas dezoksyrybonukleinowy, zwany DNA (skrót nazwy angielskiej – *desoxyribonucleic acid*). Minęło znowu parę lat, zanim świat nauki pojął w pełni znaczenie dwóch faktów: DNA znajduje się w każdej komórce i DNA jest nosicielem „zapisu" genetycznego. Z tych przesłanek wynikał wniosek oczywisty: geny, czyli jakby podstawowe jednostki dziedziczności, zbudowane są właśnie z DNA! Wciąż tylko nie wiedziano, jaki może być mechanizm samego zapisu informacji genetycznej w DNA i jak ta informacja jest reprodukowana i przekazywana.

Przełom przyszedł w roku 1953. Wówczas Crick, Watson i Wilkins odkryli, jak właściwie jest zbudowana przestrzennie cząsteczka DNA, jaka jest jej struktura (dostali za to potem Nobla). Odkrycie tej struktury (jest to tzw. podwójna spirala, albo podwójna helisa, coś w rodzaju śrubowato skręconej drabinki) dawało jednocześnie odpowiedź na powyższe dwa zasadnicze pytania. Rozpoczęła się era biologii molekularnej, odkrycia zaczęły się teraz sypać za odkryciami.

Sposób zapisu informacji DNA (znany dziś każdemu uczniowi) jest w swoim rodzaju doskonały. Alfabet składa się tylko z czterech „liter", z których układane są trzyliterowe „słowa". Łatwo obliczyć, iż „słów" w chemicznym zapisie genetycznym jest zatem 64 (4^3) – i bodaj najbardziej zdumiewające jest to, że tak prostym kodem można „zapisać" wszystkie cechy wszystkich żyjących istot. Pewne trójkowe „wyrazy" grają w tym niezwykłym języku rolę znaków przestankowych, rola niektórych innych nie jest jeszcze rozpoznana.

Tak więc w każdej mikroskopijnej komórce ciała, każdego żywego organizmu – zatem i każdego z nas – znajduje się swoisty zapis, program, wyrażony w języku DNA, który to zapis przetłumaczony na przykład na angielski zająłby co najmniej 500 ogromnych tomów Encyklopedii Brytyjskiej.

Zapis ten ma zarazem jeszcze jedną właściwość zupełnie cudowną: potrafi się powielać, odtwarzać. Mówiąc w największym uproszczeniu, drabinka DNA rozdziela się na dwie połówki, każda z połówek dobudowuje sobie brakującą część i już są dwie cząsteczki DNA. Mało tego, system ten dysponuje różnymi sprawnymi mechanizmami do naprawiania błędów i uszkodzeń, które mogą zdarzyć się w czasie odtwarzania i w ogóle w trakcie działania tej niezwykłej cząsteczki. System ten jest obdarzony też odpowiednią, jak to się określa – redundancją, to jest „używa" większej liczby symboli do zakodowania informacji niż to jest niezbędne. Mówiąc prościej, jedną „wiadomość" można zapisać i przekazać za pomocą kilku różnych „wyrazów", co niesłychanie zwiększa sprawność kodu i jego odporność na zakłócenia (zakłócenia powinny być tu rozumiane jako „przekłamanie", zniekształcenie informacji przekazywanej).

Teoria informacji przewiduje, jakie cechy powinien spełniać każdy idealny kod do przekazu dowolnej informacji. Otóż właśnie „kod genetyczny" jest bardzo bliski ideału i stwierdzający ten fakt biologowie nigdy nie mogą się temu nadziwić. W pewnym sensie ów kod jest jakby zbyt dobry...

Ale nie interesują nas w tej chwili rozwiązania „techniczne", mechanizmy działania aparatu, który wynalazła przyroda po to, żeby gatunki mogły się na Ziemi odtwarzać w każdym pokoleniu. Wystarczy, jeśli stwierdzimy: właśnie z DNA związane są dwie najważniejsze funkcje żywej materii. Zdolność do odtwarzania i przekazu informacji genetycznej (czyli plan budowy organizmu) i zdolność do kontroli działania samej komórki, podstawowej jednostki życia. Mamy więc zarazem przekaz i kontrolę działania – i obie te funkcje spełnia DNA (nie wdaję się już w różne skomplikowane szczegóły). Chodzi o to, iż w istocie można sądzić, że wszystkie inne systemy żywej komórki pełnią tylko rolę „wykonawców", bez DNA nie mogłyby się odtwarzać ani po prostu prawidłowo działać.

Czy można się dziwić, że od lat kwas dezoksyrybonukleinowy, helisa DNA, fascynuje uczonych.

W roku 1976 młody, ale już znany z publikacji biolog z Oxfordu, Richard Dawkins, wydał książkę pod tytułem „The Selfish Gene" (Samolubny gen). Książka stała się bestsellerem, nawet poza kręgami osób interesujących się biologią. (Nb. przymierzano się do jej wydania i u nas, nie wiem dlaczego się nie ukazała). Dawkins postawił tezę zupełnie niezwykłą, wywracającą nasze pojęcia o życiu i o nas samych. Twierdzi mianowicie, że DNA – owa niezwykła substancja genetyczna – nie jest po prostu doskonałym narzędziem, którym posługują się organizmy dla swoich celów. Przeciwnie – to organizmy, żyjące istoty, są n a r z ę d z i e m, którym posługuje się DNA, czy ściślej mówiąc geny (zbudowane przecież z DNA) – po to, by móc trwać w nieprzychylnym dla siebie świecie. Tak więc, wedle koncepcji Dawkinsa, nasze ciała są swoistymi „futerałami" dla genów, jesteśmy ich „przetrwalnikami", czy najlepiej – r o b o t a m i, które dla nich pracują!

Przeczytajmy, co pisze Dawkins: *„Geny gnieżdżą się skupione w ogromnych koloniach wewnątrz bezpiecznych, ociężale poruszających się gigantycznych robotów, którymi zdalnie kierują, odizolowane od świata zewnętrznego. Są także i we mnie; stworzyły nasze ciała i umysły; ich przetrwanie jest racją naszego bytu, jesteśmy maszynami, umożliwiającymi im życie"*.

Dawkins używa języka literackiego i świadomie antropomorfizuje („uczłowiecza") geny. Można by mniemać, iż w jego pojęciu geny są „właściwymi" żyjącymi istotami, cała reszta to tylko swoista otoczka biologiczna, której one właśnie używają do przetrwania i umożliwienia replikacji samych siebie. W takiej interpretacji wszystkie poczynania wszystkich organizmów, od jednokomórkowców do człowieka, są efektem „manipulacji genów", wynikiem ich dążenia do wiecznego trwania. Geny tylko „zmieniają ciała", w których tkwią, „przeskakując" z pokolenia na pokolenie...

Język Dawkinsa jest mylący. Zresztą później, odpowiadając na krytykę, uczony odżegnywał się od takiej antropomorfizacji genów, twierdził, iż chodziło mu tylko o zwrócenie uwagi na fakt, że organizmy, ciała, są formami przejściowymi, że jedyną trwałą ich częścią – i zarazem częścią sterującą – jest właśnie materia genetyczna. Z tego faktu – powiada Dawkins – powinna wynikać swoista „nadrzędność" trwałych genów nad przemijającą resztą ciała. I wobec tego dla ciągłości życia na Ziemi naprawdę liczą się jedynie geny, które oczywiście nie mają żadnych „zamiarów", „chęci", „celów" itd. Istnieją po prostu po to, by



trwać i reprodukować się – mówi Dawkins.

Nic dziwnego, że hipoteza biologa z Oxfordu wzbudziła ostrą krytykę, a nawet oskarżenie o „pseudonaukę". Oburzenie można zrozumieć. Gdyby hipotezy Dawkinsa okazały się prawdziwe, byłaby to chyba największa klęska człowieka od początku jego istnienia. Człowiek musiałby bowiem uznać, iż jest tylko kukłą, manipulowaną przez geny. Że nie jest nawet niewolnikiem, ale wręcz maszyną – czymś w rodzaju „powozu" dla DNA, wehikułem do podróży w czasie dla tej dziwnej substancji. Taka prawda była niemożliwa do przyjęcia. Ale czy prawda przestaje być prawdą dlatego, że nie można jej przyjąć?

Na szczęście nie musimy rozstrzygać tego dylematu, ponieważ błyskotliwa i fascynująca hipoteza Dawkinsa prawdą raczej nie jest. Do użycia tu słówka „raczej" skłania mnie ostrożność – dyskusja na ten temat, aczkolwiek wykazała wiele słabości hipotezy „samolubnych", nie obaliła tej hipotezy jednoznacznie. Pojawili się nawet specjaliści, którzy poszli znacznie dalej niż Dawkins. Na przykład pewien niemiecki biolog, doktor Menzel, twierdzi z przekonaniem, iż wszelka dążność ludzi do wypraw w nieznane, do podboju nowych przestrzeni, zwłaszcza do „wyjścia w Kosmos", jest po prostu przejawem dążności DNA do rozprzestrzeniania się, opanowywania nowych terenów i właśnie do ekspansji w przestrzeń kosmiczną. Istnieje hipoteza jeszcze bardziej zdumiewająca. Mianowicie jeden z japońskich biologów twierdzi, że ponieważ informacja zawarta w genach jest bardziej uniwersalna niż każdy inny środek przekazu i ponieważ geny zawierają tej informacji znacznie więcej niż to by miało wynikać z ich funkcji, wobec tego w genach zapisany jest jakiś dodatkowy przekaz. Miałby to być – powiada bez mrugnięcia okiem Japończyk – przekaz przeznaczony dla ludzi i przesłany przez inną, znacznie wyższą cywilizację kosmiczną. Naturalnie, wkroczyliśmy tu już w sferę literatury SF, dawno opuszczając solidny grunt nauk przyrodniczych... Ale trzeba przyznać, że hipoteza: „DNA – jako szyfr obcej cywilizacji" jest naprawdę niezwykła!

Tym, którzy zmartwili się i może przerazili, że organizmy żywe – i zatem oni sami – są tylko „środowiskiem" dla życia, ochrony i mnożenia się genów, przestawię argumenty na rzecz hipotezy przeciwnej. Otóż główny argument zwolenników „samolubnych genów" opiera się na istnieniu zdolności DNA do samopowielania się. Ale w miarę poznawania mechanizmów życia komórki staje się coraz bardziej jasne, iż owo „samopowielanie" się jest mitem. Helisa DNA replikuje się tylko w powiązaniu z całym, skomplikowanym układem żywej komórki. W złożonym procesie powielania się DNA bierze udział ponad sto niezastąpionych składników (wciąż zresztą wykrywa się nowe), zaś na ten proces wpływa wszystko, co dzieje się w komórce i zatem nie ulega wątpliwości, iż mamy tu do czynienia z pewnym systemem jako **całością**. Inaczej mówiąc, to właśnie cała komórka powiela swój DNA, swoje geny. Trudno również twierdzić z pewnością – mówią dalej przeciwnicy nadrzędnej roli DNA – by substancja ta sterowała życiem komórki. Jest ona bowiem tylko wiernym zapisem programu, którego urzeczywistnienie wymaga także zgodnego działania **całej** żywej komórki. Mamy więc do czynienia z systemem, który może istnieć i działać tylko jako całość.

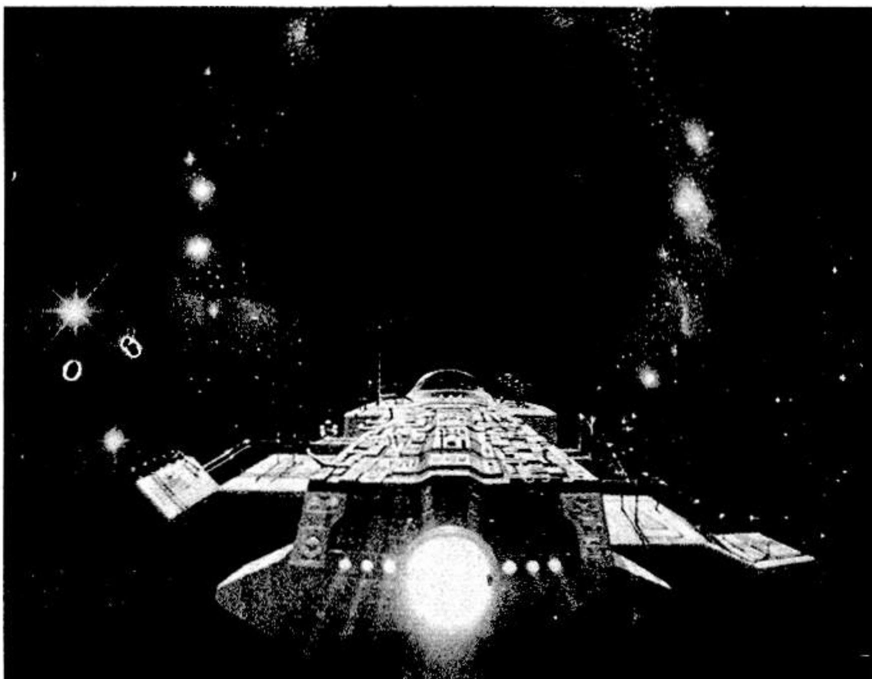
Wynika stąd znana oczywistość, że tym, co jest żywe i samosterujące, zdolne do odtwarzania się – jest na Ziemi komórka biologiczna (niekomórkowy wirus potrzebuje do życia także obcej komórki). Nie można wykluczyć, że gdzieś w Kosmosie istnieją inne systemy zdolne do życia, ale nic o tym nie wiemy.

Jak widać, argumenty przeciwników hipotezy Dawkinsa mają wielką wagę. Czy oznacza to całkowite odrzucenie tezy o „samolubnych genach"? Otóż wydaje się, że w istocie geny nie rządzą „samolubnie" i całkowicie naszym życiem ani życiem niczyim, choć na pewno odgrywają znacznie większą rolę, niż sądzili dotąd uczeni. Nie jesteśmy na szczęście bezwolnymi robotami, maszynami do utrzymywania genów i umożliwiania im reprodukcji. Ale też nie da się zaprzeczyć, iż tajemnica doskonałości DNA jest bardzo daleka od wyjaśnienia.

W każdym razie długa, spiralna drabinka DNA jest na pewno najdziwniejszą cząsteczką we Wszechświecie, w którym dziwnych rzeczy przecież nie brakuje.

M Zalejski

Od samego początku swojego istnienia literatura SF nie potrafiła się jakoś uchronić przed gubieniem – w większym lub mniejszym stopniu – ze swojej dwuczłonowej nazwy owego promującego ją S, wynoszącego ponad zwykłą fikcję czy fantastykę w stronę prawdziwej nauki. Różny był kaliber grzechów pisarstwa typu SF przeciw nauce. Czasami bywały tak wielkie i żenujące, że mogły być dostrzeżone przez każdego czytelnika. W innych przypadkach błędy autorów dostrzegali dopiero ludzie z pewnym przygotowaniem naukowym. W jeszcze innych grzechy były ujawniane niejako post factum. To znaczy w czasie, kiedy autor pisał, jego twierdzenie odpowiadało ówczesnemu poziomowi wiedzy; podważał je dopiero i czynił błędnym dalszy rozwój nauki. Bywało zresztą i odwrotnie, co sumiennie należy zapisać po stronie aktywów tej literatury: rzeczy uznawane za błędne, czy nieprawdopodobne z naukowego punktu widzenia, okazywały się możliwe w świetle dalszych postępów wiedzy.

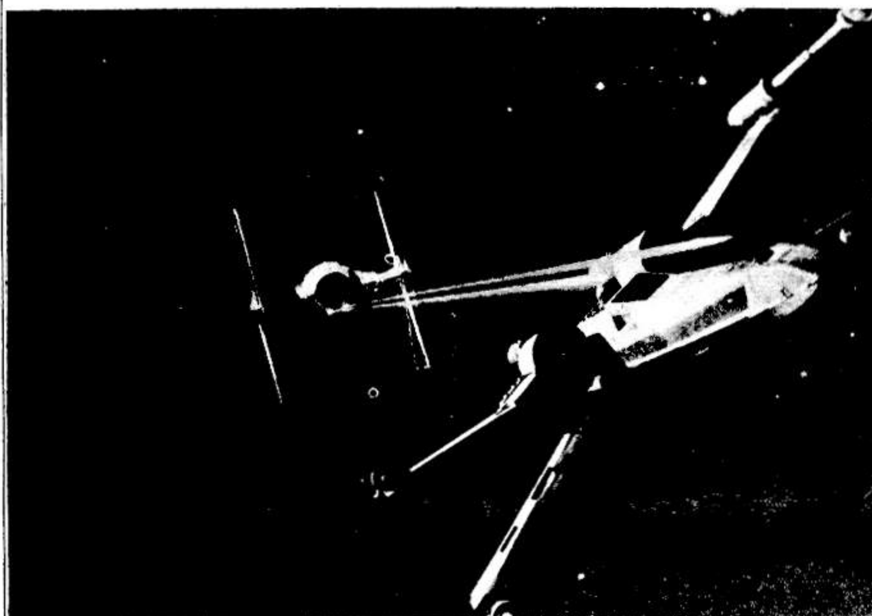


SF gubiąca S

W 1895 roku ukazała się na przykład powieść dziś już praktycznie zapomnianego angielskiego autora, Roberta Cromie „The Crack of Doom" (Trąby Sądu Ostatecznego). Bohater tej książki, szalony naukowiec, wyzwolił energię zawartą w atomie i skonstruował... bombę atomową. Dzisiaj trudno znaleźć w tym pomyśle coś dziwnego. Ale przecież książka ukazała się przed odkryciem zjawiska radioaktywności, przed pracami małżonków Curie i przed słynną einsteinowską formułą $E=mc^2$, ukazującą jaka energia zawarta jest w atomie (!).

Można by przytoczyć więcej przykładów, kiedy w literaturze fantastyczno-naukowej, choćby Verne'a, Wellsa, czy Ciołkowskiego (on też parał się takim pisarstwem), znajdowały się rzeczy wyprzedzające naukę lub myśl techniczną. Tutaj jednak chodzi o przypadki odwrotne. I to nie z całej obszernej dziedziny SF, lecz z jej niewielkiej cząstki, tyle tylko, że może najbardziej charakterystycznej – z tej, mianowicie, która zajmowała się sprawą oderwania się człowieka od jego rodzinnej planety i wyjścia w kosmos.

Zacznijmy od uchybień wobec nauki najmniejszych, takich, które były ujawniane dopiero ex post, w świetle późniejszych postępów wiedzy. Przydarzyło się to na przykład Juliuszowi Verne'owi, który przecież w tylu przypadkach umiał wyprzedzić współczesną sobie naukę i myśl techniczną. W „Z Ziemi na Księżyc" także starał się to uczynić, określając warunki, w których jego bohater miał dotrzeć do Księżyca. A więc niosący go pocisk tak był urządzony, że chronił pasażera przed śmiertelnym chłodem i pustką przestrzeni kosmicznej. Był miękko wyłożony z uwagi na przewidywane perturbacje związane ze stanem nieważkości. Miał też odpowiednią prędkość początkową, żeby się wyrwać ze strefy przyciągania ziemskiego. Tyle tylko, że prędkość tę uzyskiwał dzięki wystrzeleniu z ogromnego działa. Verne nie zdawał sobie jeszcze sprawy z działania przyspieszenia i granicy do jakiej może je znosić ludzki organizm. Pocisk wystrzelony nawet z bardzo, bardzo długiej lufy i tak będzie miał przyspieszenie rzędu wielu setek g, które nieuchronnie zmieniłoby pasażera w bardzo cienki placuszek na ścianie przeciwnej do kierunku lotu. Nie zdawał sobie również Verne sprawy z właściwości grawitacji. Jego bohater w czasie lotu najpierw podlegał przyciąganiu ziemskiemu, a potem Księżyca i tylko w czasie krótkiego przejścia z jednego do drugiego znalazł się w stanie nieważkości.



Po Vernie całej plejadzie poważnych autorów SF zdarzały się uchybienia podobnego rodzaju, to znaczy, że niektóre ich pomysły lub koncepcje ulegały zdementowaniu przez późniejsze postępy wiedzy. Dotykało to zwłaszcza tych, którzy zajmowali się perspektywami dolecenia do Wenus czy Marsa i skolonizowania przez ludzi tych najbliższych Ziemi planet. Mowa tu oczywiście o takich pisarzach, którzy traktowali poważnie sprawę naukowego zaplecza swoich utworów, a nie o autorach rozmaitych komiksowego typu przygodówek, myślących jedynie o sensacyjnej fabule. Tak więc do bardzo jeszcze niedawna (choćby w opowiadaniach Raya Bradbury'ego) zgodnie z aktualnym w czasie pisania stanem wiedzy, snute były przewidywania, że bohaterowie lotów na Wenus znajdą się na planecie niezwykle wilgotnej i gorącej, z niebem wiecznie pokrytym chmurami, być może pełnej moczarów lub porośniętej czymś w rodzaju tropikalnej dżungli. W sumie będzie ich czekać życie trudne i wymagające wielkiego hartu. Niewykluczone przy tym, że będą musieli mieszkać pod hermetycznymi kopułami, a na zewnątrz wychodzić tylko w skafandrach, ze względu na niedostatek tlenu w gęstej skądinąd wenusjańskiej atmosferze.

Dopiero obserwacje poczynione w latach 70-tych przez sondy kosmiczne ostatecznie ukazały fałszywość wszystkich tych przewidywań. Dziś już wiemy, że raczej trudno sobie wyobrazić możliwość stałego, a nawet tylko czasowego przebywania ludzi w atmosferze składającej się w ponad 90 procentach z dwutlenku węgla z dodatkiem kwasu siarkowego, poddanych ciśnieniu 90 razy większemu od ziemskiego i w temperaturze gru-

bo ponad 400 stopni. Przy takiej temperaturze o jakichkolwiek wilgotnych dżunglach czy moczarach też oczywiście nie może być mowy; w ogóle o żadnym życiu organicznym.

Jak szybko nauka może obrócić w fałsz autorskie koncepcje ukazała zupełnie niedawna historia, dotycząca (udostępnionego naszym czytelnikom: „Fantastyka" nr 11–12/83) opowiadania „The Hole Man" (Dziurawiec), napisanego przez Larry'ego Nivena, autora o znakomitym przygotowaniu naukowym. Zrelacjonował ją Jerry Pournelle w jednym ze swoich esejów, zgromadzonych w zbiorze „A Step Farther Out". (Notabene inne eseje z tego zbioru przedstawiliśmy również niedawno Czytelnikom; „F" nr 8/84 i 9/84). Rzecz dotyczyła jednego z najbardziej fascynujących odkryć lat ostatnich w procesie poznawania kosmosu: sprawy „czarnych dziur", powstających w wyniku zapadania się w sobie pod wpływem grawitacji gwiazd neutronowych. Otóż jeden ze znakomitych naukowców Uniwersytetu Cambrigde, Stephen Hawkings przedstawił tezę, że w czasie początkowego Big Bangu, który wedle powszechnie dziś przyjętych poglądów dał początek naszemu Wszechświatu, mogły powstać bardzo niewielkie „czarne dziury" niezwykle wolno pochłaniające materię. Stąd był już tylko jeden krok do koncepcji, że na przykład gdyby się okazało, że masa jakiejś asteroidy jest o wiele większa, niżby na to wskazywały jej rozmiary, to powodem może być właśnie znajdująca się w jej wnętrzu maleńka „czarna dziura" ze swoją niewyobrażalnie wielką w stosunku do rozmiarów masą.

I właśnie z takiej maleńkiej „czarnej dziury" uczynił Larry Niven oś swojego opowiadania „The Hole Man". Rzecz ukazała się drukiem, przyniosła autorowi wielce cenioną nagrodę Hugo i zaraz potem cała koncepcja okazała się fałszywa z naukowego punktu widzenia. Mianowicie z następnych matematycznych wyliczeń tegoż samego Stephena Hawkingsa wynikało, że małe „czarne dziury" nawet gdyby powstały w czasie Big Bangu, to zniknęłyby już dość dawno (jakieś 20 miliardów lat temu), jako że czas ich trwania nie mógłby być dłuższy od paru mikrosekund.

Można się chyba zgodzić, że tego typu uchybienia SF wobec nauki nie są zbyt wielkim grzechem. Większy kaliber mają takie, kiedy autor pisze o czymś, co przeciętnemu czytelnikowi może się zdawać zgodne z wymogami nauki i dopiero ktoś lepiej naukowo przygotowany, czy bardziej krytyczny, ma szansę dostrzec, że tak nie jest. Przykładu względnie świeżej daty dostarcza ciesząca się wielkim powodzeniem „Cieplarnia" Briana Aldissa. Nie można zaprzeczyć, że jej bohaterowie z jakiejś bardzo dalekiej przyszłości rzeczywiście w sposób niezwykle oryginalny dostają się z Ziemi na Księżyc. Rzecz w tym, że Księżyc unosi się nieruchomo nad Ziemią. Nie jest to jeszcze grzechem przeciw nauce. Pozorne zatrzymanie się Księżyca nad jednym punktem Ziemi jest możliwe, ale oczywiście pod warunkiem, że nasz satelita zbliży się do niej na odległość orbity geostacjonarnej (ok. 36 tys. kilometrów). Poważnym uchybieniem jest dopiero nieuwzględnienie przez autora dających się przecież przewidzieć skutków takiego zbliżenia – i dla stanu skorupy ziemskiej i dla samego Księżyca. Pod działaniem ogromnie zwiększonych sił przypływowych Księżyc – w wyniku takiego zbliżenia – musiałby się rozpaść na kawałki, a fluktuacje skorupy ziemskiej prędko by na niej zlikwidowały wszelkie życie.

Ciekawy błąd, nieco innego rodzaju przydarzył się autorowi o niezwykle solidnym przygotowaniu naukowym – Arthurowi C. Clarke'owi. W powieści „Earthlight" (Światło Ziemi) w trakcie kosmicznej batalii jej bohaterowie używają jako broni ostatecznej „twardej zapory świetlnej" – masy roztopionego metalu, przyspieszanego magnetycznie. Mniej przygotowany czytelnik przyjmie to z dobrą wiarą. Nie każdy przecież wie, czy pamięta, co to jest temperatura Curie, na poziomie której rozgrzewane metale tracą swoje właściwości magnetyczne. Ta graniczna temperatura znajduje się daleko poniżej punktu topnienia metalu. W przypadku żelaza wynosi ona 770 stopni, podczas gdy ulega ono roztopieniu dopiero powyżej 1500 stopni. Magnetyczne więc oddziaływanie na stopiony metal jest po prostu niemożliwe.

A teraz o uchybieniach jeszcze większego kalibru, kiedy autorzy dla uzyskania jakiegoś efektu, lub po prostu ze zwykłej ignorancji grzeszą przeciw wiedzy zupełnie elementarnej. Na przykład w powieści „The Tomorrow People" (Ludzie jutra) pani Judith Merith swoich bohaterów na powierzchni Księżyca wsadziła do helikopterów i kazała im latać, a przecież nie było tam żadnej atmosfery mogącej użyczyć śmigłom siły nośnej.

Błąd podobnego rodzaju, chociaż może mniej widoczny, popełniało wielu autorów, którzy swoim statkom w przestrzeni kosmicznej kazali zmieniać kurs i nawracać w sposób mniej więcej taki, jak to czyniliby z samochodami na ziemi lub z samolotami w powietrzu. Tak właśnie zmieniały kierunek lotu statki w „Gwiezdnych wojnach". Tymczasem w przestrzeni kosmicznej rzecz musi wyglądać zupełnie inaczej. Pewne, choć tylko przybliżone pojęcie o tym mogą mieć kierowcy, którzy usiłowali zmienić kierunek jazdy na bardzo śliskiej szosie. Brak umożliwiającej skręt siły tarcia, czy oporu powietrza (w przypadku samolotu), powoduje konieczność najpierw odwrócenia statku (rzecz wcale nie łatwa, bowiem każda niedokładność wprowadzi go w ruch wirowy), potem wyhamowania za pomocą silników odrzutowych, a dopiero wtedy nadania mu przyspieszenia w pożądanym kierunku.

Odrębną grupę w pisarstwie SF dotyczącym lotów kosmicznych stanowią grzechy przeciw nauce popełniane przez autorów zupełnie świadomie i – dodajmy – raczej z wielką łatwością, zwłaszcza od czasu utworzenia pojęcia – wytrychu: hyperspace (nadprzestrzeń). Użył go już przed pół wiekiem (w 1934 roku) John. W. Campbell w opowiadaniu „The Mightiest Machine" (Najpotężniejsza maszyna).

Tu mała dygresja. Odkąd nauka przyjęła wynikający z einsteinowskiej teorii względności wniosek o niemożliwości przekroczenia granicznej bariery prędkości światła – przekreślone zostały niemal wszelkie możliwości fantazjowania na naukowym podłożu o podróżach kosmicznych do odległych układów gwiezdnych. Bo jeśli autor nawet zakładał, że jego gwiazdolot zdolny jest rozwijać prędkości podświetlne, to i tak wynikało z tego bardzo niewiele, jeśli chodzi o możliwości eksploracji kosmosu. W granicach jednego życia ludzkiego na Ziemi można było tylko zakładać loty na zupełnie mikroskopijnym wycinku naszej Galaktyki. Powiedzmy – w promieniu 15 lat świetlnych od Układu Słonecznego. Podróż tam i z powrotem na taką odległość łącznie z niezbędnym przyspieszaniem i hamowaniem statku pochłaniałaby grubo ponad 30 lat czasu na Ziemi. (Inny upływ czasu dla astronautów to odrębna sprawa, z ziemskiej perpektywy nie mająca większego znaczenia.) Otóż w takim najbliższym Słońca wycinku naszej Galaktyki znajdują się 23 gwiazdy, w tym sporo podwójnych, wokół których nie należy się raczej spodziewać istnienia planet. Bardzo to żałosne perspektywy eksploracji wobec 100 miliardów słońc tej jednej tylko galaktyki i milionów, milionów innych galaktyk dostrzeganych przez teleskopy.

Ta dygresja, to rodzaj usprawiedliwienia dla pisarzy SF. Jeśli nie chcieli dać się zamknąć na tak niewielkim kosmicznym podwóreczku, to musieli zacząć grzeszyć przeciw einsteinowskiej barierze świetlnej. A ułatwiło im to campbellowskie słowo: nadprzestrzeń, czy – podprzestrzeń, jak je niektórzy przekształcali, chociaż nie miało to żadnego znaczenia. Chodziło po prostu o koncepcję, że jeśli niemożliwe jest przekroczenie prędkości światła w „normalnej" przestrzeni, to musi poza nią (wewnątrz niej) istnieć inna przestrzeń, w której można wędrować jakby na skróty, omijając normalną drogę światła. I odtąd statki kosmiczne zaczęły latać w owych nad- czy podprzestrzeniach, nurkować w nich i nagle się wynurzać w dowolnych odległościach od naszego Układu Słonecznego. Włączyli się w ten uchybiający nauce, hyperkosmiczny balet najpoważniejsi pisarze SF – Clarke, Asimov, Heinlein, Niven, nasz Petecki czy Sniegow ze swoim „pożeraniem przestrzeni" osłabiając swą grzeszną uciechę w miarę skrupulatnym przestrzeganiem innych wymogów zgodnego z nauką myślenia.

Na koniec kilka słów o grzesznikach spoza sfery pisarstwa SF – o filmach i widowiskach tv.

Zdaniem Davida Langforda, jednego z współautorów ciekawego brytyjskiego wydawnictwa „The Science in Science Fiction" swoistym rekordzistą w tej dziedzinie był, pokazywany i u nas, telewizyjny serial „Space 1999", w którym, jak wytyka Langford: *„parseki są używane jako jednostki prędkości, a nie jako miary odległości, gwiazdy myli się z asteroidami, dźwięk rozchodzi się w próżni, widzimy światło między gwiazdami, a eksplozja wyrzuca Księżyc (nieuszkodzony) w podróż przez przestrzeń kosmiczną z prędkością większą od prędkości światła".*

Nie każdy film SF gromadzi aż tyle błędów naraz na swoim koncie. Ale warto wspomnieć o jeszcze paru, szczególnie typowych. Otóż kiedy w jakichś bitwach kosmicznych przedstawia się strzelanie z broni laserowych, pokazuje się na ogół efektowne świetlne smugi. W atmosferze tak to rzeczywiście może wyglądać, gdyż promień lasera jest częściowo rozpraszany przez cząstki powietrza. W pustej przestrzeni kosmicznej będzie on po prostu niewidoczny.

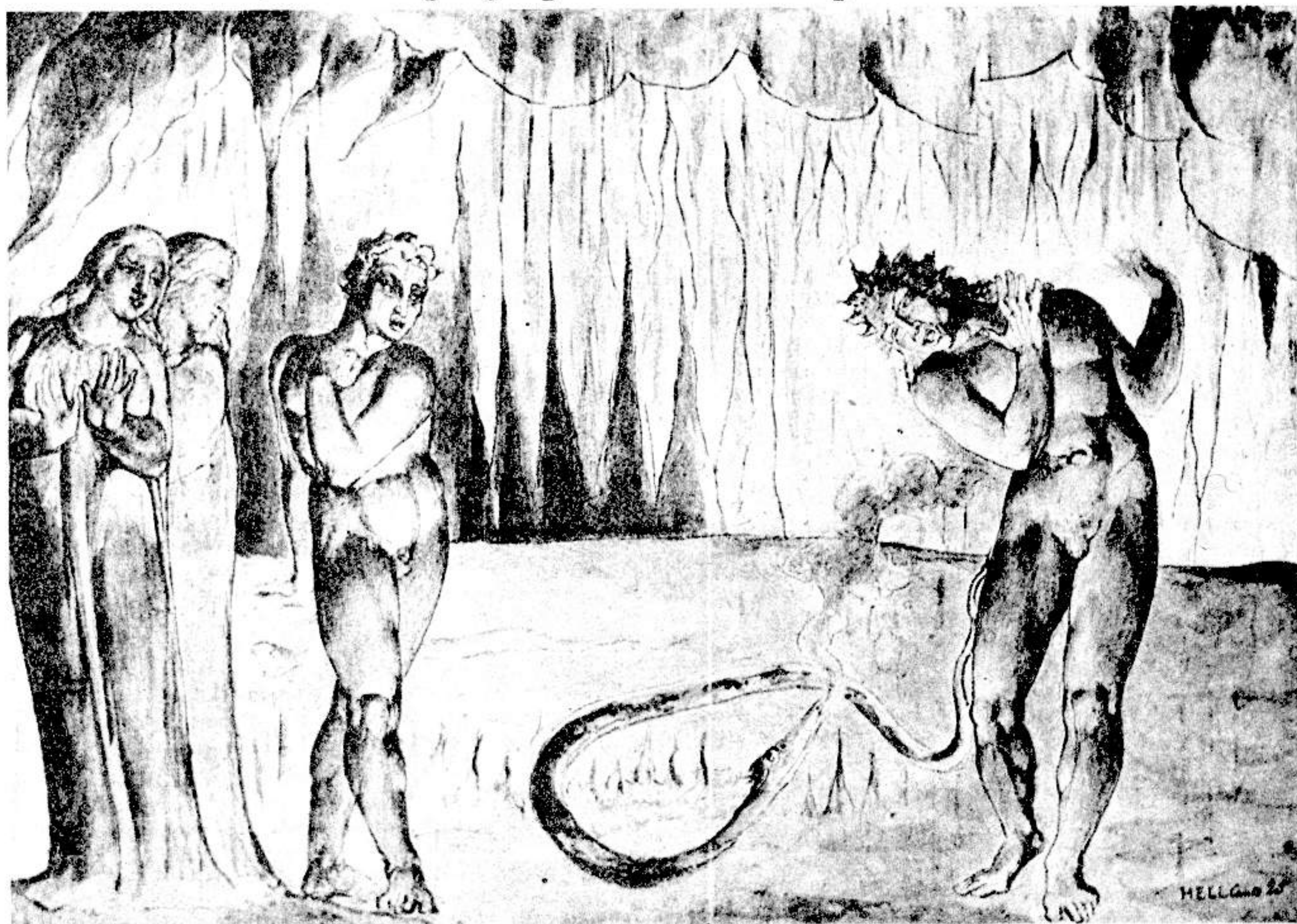
Zdarza się także bohaterom filmów prowadzić przez radio rozmowy na duże (skala kosmiczna) odległości bez widocznej przerwy na czas dotarcia do odbiorcy oraz powrotu sygnału radiowego. A przecież istnienie takich, ponadsekundowych przerw można już było zauważyć poza SF, w rzeczywistości, w czasie rozmów jakie toczyli z Ziemią amerykańscy kosmonauci na Księżycu.

O być może efektownie wyglądających, ale niezgodnych z prawami fizyki lotach statków kosmicznych, tak jak w „Gwiezdnych wojnach" była już mowa. Gorzej gdy realizatorzy dodają do tego jeszcze przeraźliwe świsty, mające pogłębić wrażenie ogromnych prędkości, jakie te statki rozwijają.

Zapewne nie zawsze jest to przejaw zwykłej ignorancji filmowców (chociaż i tego nie można wykluczać), częściej chyba takie ewidentne uchybienia wobec nauki popełniane są z chęci uzyskania dodatkowych efektów, mających podnieść rozrywkowe walory filmu. Zaś na stawiane im w tej sprawie zarzuty realizatorzy prawdopodobnie odpowiedzą, że nie robili filmu naukowego, lecz taki, który miał widzowi dostarczyć rozrywki. Podobnie zresztą mogą odpowiedzieć i pisarze SF. W końcu literatura tego typu też głównie spełnia funkcję rozrywkową. (Oczywiście nie muszą tego brać do siebie ci autorzy, którzy zamierzają swoim pisarstwem SF dokonywać przekształcania świata i ludzkości). Jeśli jednak chodzi o wszystkich innych, to trzeba chyba zostać przy jednym tylko postulacie: żeby dostarczana przez nich rozrywka nadmiernie nie ogłupiała. A nawet takim postulatem nie powinniśmy obciążać wyłącznie autorów. Bardzo wiele zależy i od drugiej strony.

Zebrał i opracował, m.in. na podstawie *„The Science in Science Fiction"* wyd. Petera Nichollsa i *„The Step Farther Out"* Jerry'ego Pournella

W.M.



W. Blake

Briana Aldissa nie trzeba przedstawiać polskiemu czytelnikowi. Jeden z najsłynniejszych autorów „Nowej Fali" (obok G. Ballarda i M. Moorcocka) jest twórcą kilkudziesięciu książek SF, w tym głośnych bestsellerów: „Non stop" (1958), „Cieplarnia" (1964) tłumaczonych na język polski, a także recenzowanego niedawno pierwszego tomu trylogii „Helliconia Spring" (1982). Sylwetkę tego pisarza przedstawialiśmy na łamach „Fantastyki" nr 10/83 i 8/84, dodajmy tylko, że Aldiss (piastujący najwyższe funkcje w międzynarodowej organizacji profesjonalistów SF) jest również krytykiem, autorem takich pozycji, jak: „Billion Year Spree" (1975) i „The Other Worlds" (1979).

Szkic zamieszczany na łamach naszego miesięcznika, dotyczący sytuacji w angielskiej prozie science fiction („The Gulf and the Forest: Contemporary SF in Britain") pochodzi właśnie z tego ostatniego zbioru esejów krytycznych. A.N.

Przepaść i puszcza

O współczesnej brytyjskiej science fiction

Brian Aldiss

Brytyjska SF przeszła długą drogę od czasów poematu „Beowulf". Obecnie mamy więcej pisarzy SF niż kiedykolwiek przedtem. Wielu z nich jest niezależnie myślącymi ludźmi, którzy postawili wszystko na jedną kartę i poświęcili się wyłącznie twórczości. Tylko wtedy, gdy cały swój czas oddaje się pisaniu, jest się w stanie poznać, aż do dna, głębię ogarniającej autorów rozpaczy, ich samotność i sporadyczne, wielkie radości. Tylko wtedy stawia się czoła przeznaczeniu. Wymieńmy nazwiska kilku takich autorów. Ostatnio (artykuł pisany był w 1978 r. – przyp. tłum.) deklaracje niezależności złożyli Ian Watson, Andrew Stephenson, Rob Holdstock, Chris Morgan, Mark Adlard, Bob Shaw i Philip Dunn (który również prowadzi jednoosobowe wydawnictwo). Spośród nich tylko o Bobie Shaw można powiedzieć, że ma ustaloną markę, jednak wszyscy dobrowolnie zrezygnowali z łatwego życia i pożeglowali drogą pełną niebezpieczeństw.

Pisaniu poświęcili się również Richard Cowper, Edmund Cooper, Christopher Priest, Duncan Lunan, Tanith Lee, Barrington Bayley, Michael Coney, D.J. Compton, Angus Wells i M. John Harrison. Niektórzy, dopóki mogą pisać, są szczęśliwi, żyjąc o chlebie i wodzie, inni należą do najlepiej płatnych autorów na świecie, zarabiając, powiedzmy, 50000 funtów rocznie. Istnieje również grupa starszych wiekiem literatów, do której można zaliczyć takich wiarusów jak Kennetha Bulnera, Johna Brunnera, E. C. Tubba, Johna Christophera, Michaela Moorcocka, J.G. Ballarda i mnie samego. Celowo pomijam Freda Hoyle'a, który jest kamyczkiem z innego ogródka, a także emigrantów: Charlesa Platta, Bertrama Chandlera i Arthura C. Clarke'a, a wreszcie ludzi, których reputacja opiera się na innych rodzajach pisarstwa, jak Angela Carter, Nigel Kneale, Peter Dickinson, Ronald Dahl i Terry nation, twórca daleków. Nawet po tych zastrzeżeniach wymieniłem 25 osób, które żyją iwim życiem samodzielnego pisarza. To wyraźnie świadczy o stanie tej sztuki w naszym kraju.

Żyjemy przede wszystkim z tego, co uda nam się sprzedać poza Wyspami Brytyjskimi – w Australii, gdzie pisarze dopiero uczą się trudnej drogi niezależności i gdzie narodziło się sporo znakomitej krytyki science fiction, na kontynencie europejskim, a przede wszystkim w krajach skandynawskich i we Francji, gdzie SF rozkwita jak nigdy przedtem: również w Japonii oraz w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Mam nadzieję, że wybaczą mi państwo, jeśli stwierdzę, że literatura science fiction wywodzi się z Wielkiej Brytanii. Francuzi, Niemcy, Węgrzy oraz Rosjanie mają takie samo mniemanie o swoich krajach, ale jest to wniosek niesłuszny. Bez względu jednak na to, gdzie się ten nieszczęsny bękart narodził, jego sierocińcem były niewątpliwie Stany Zjednoczone. Były one tak hojne dla science fiction, iż zaczęły o niej myśleć, jako o swym własnym dziecku. Prawdę mówiąc, nikt inny przez długi czas nie zdradzał się z chęcią adopcji. Stany są największym i najbardziej lukratywnym rynkiem science fiction, magnesem dla pisarzy ze wszystkich stron świata. Tak silnym magnesem, iż przyciągnął wielu Brytyjczyków, którzy przyjęli jankeski styl i stanęli do otwartej walki z tubylcami. Nierzadko z pewnym powodzeniem.

Do II wojny światowej brytyjska SF nie odnosiła większych sukcesów. Jedną z przyczyn takiego stanu rzeczy było to, iż pisarze mniej utalentowani niż Wells i Stapledon skłaniali się ku próbom publikowania w amerykańskich magazynach, w których byli bardzo gościnnie przyjmowani.

Po wojnie nastąpiły zasadnicze zmiany. Brytyjskie opowiadania zaczął pisać Arthur C. Clarke. Podobnie John Wyndham, którego popularność

jak przypuszczam, należy już do przeszłości, ale którego kariera jest bardzo znacząca. We wczesnych latach trzydziestych zdobył on drugorzędną nagrodę w wydawanym przez Hugo Gernsbacka magazynie „Air Wonder Stories" i po tym fakcie publikował dość regularnie w magazynach, takich jak „Amazing Stories", używając pseudonimu John Beynon Harris. Po wojnie, w czasie której służył w wojsku, musiał rozpoczynać karierę od nowa. Zaczął pisać w wyraźnie brytyjskim stylu na wyraźnie brytyjskie tematy. I oto od razu jego pierwsza powieść – „Dzień Tryfidów" (The Day of Triffids) – wydana w Wielkiej Brytanii jako hardcover, stała się długotrwałym bestsellerem. Powieść „The Kraken Wakes", znana w USA jako „Out of the Deeps", odniosła równie wielki sukces. Przez następnych dziesięć lat Wyndham pisał powieści niemal co rok, przy czym niektóre z nich, jak „The Chrysalids" (lub „Rebirth") były naprawdę udane. Książki Wyndhama publikowało najpierw wydawnictwo Penguin Books, później zajęła się nimi typowo brytyjska instytucja – BBC. Wobec ich powodzenia Penguin Books poważnie zainteresowało się science fiction i zaczęło wypłacać stawki dwukrotnie wyższe od tych, które były uprzednio proponowane przez jakiegokolwiek brytyjskiego wydawcę. Wiem to, gdyż byłem pierwszym redaktorem serii SF w tym wydawnictwie. Później zredagowałem dla Penguin Books trzy antologie, opublikowane w latach 1961, 1963 i 1964, przedstawiając brytyjskim czytelnikom moich ulubionych pisarzy amerykańskich. Te trzy antologie, wydane ostatnio łącznie jako omnibus, zostały sprzedane w przeszło ćwierćmilionowym nakładzie i ich popularność bije wszelkie rekordy powodzenia. Wyndham, będąc konserwatystą, był jednocześnie prawdziwym ojcem Nowej Fali. To właśnie on, bardziej niż A.C. Clarke ze swymi międzygwiezdnymi opowieściami czy J. R.R. Tolkien, kreujący dzieje nie istniejącego świata, udowodnił tym, którzy zapomnieli H.G. Wellsa, że można pisać zwyczajne, dziejące się w ograniczonej przestrzeni historie na temat paradoksów czasu czy wędrujących jarzyn i można zyskać poczytność, nie imitując przy tym Heinleina czy Van Vogta.

Ciężkim zadaniem dla amerykańskich znawców science fiction musi być próba zrozumienia początków brytyjskiej Nowej Fali. Jej pierwszym osiągnięciem było wygryzienie z dwóch brytyjskich magazynów: „New Worlds" oraz „Science Fantasy" – facetów, którzy wypełniali je imitacjami amerykańskiego stylu. Byli to ci brytyjscy pisarze, którzy bezskutecznie próbowali sił na amerykańskim rynku, sprzedawali zatem swoje utwory mniej popłatnym magazynom brytyjskim. Sam byłem jednym z tych wygryzaczy. Imitacje to nic dobrego.

Od czasu tego zamachu stanu, czyli od połowy lat sześćdziesiątych, brytyjscy pisarze wnieśli do światowej SF tak wiele, jak nigdy dotychczas. Ta czystka była dla nas absolutną koniecznością, tak jak koniecznością dla Johna W. Campbella było pozbycie się starej gwardii, gdy przejął kontrolę nad „Astounding Science Fiction". Michael Moorcock wykonał tę samą robotę, co Campbell, tylko w innych okolicznościach. Być może nie wszystko, co wówczas czytaliśmy w „New Worlds" podobało nam się, czy też nie wszystko rozumieliśmy, ale przecież czuliśmy w tym prawdziwie twórczą myśl. To były naprawdę burzliwe dni.

Nowy styl zjednał dla science fiction nowych, bardziej aktywnych czytelników. Jednym z praktycznych rezultatów zmian było wprowadzenie SF w zestaw stałych lektur przeciętnego czytelnika. Zajęła ona miejsce obok popularnej literatury głównego nurtu. Okazało się również, że istnieją krytycy, redaktorzy i wydawcy, odnoszący się do science fiction z sympatią i zrozumieniem, widzący w niej nie tylko dobrze sprzedający się towar, ale również twórczą siłę.

Dziś rano wylądował na moim biurku fanzin, zatytułowany „Cidereal Times", którego wydawca, Michael Elvis, pisze w artykule wstępnym: „To, co w tej chwili jest, moim zdaniem, potrzebne, to powrót do Nowej Fali sprzed około dziesięciu lat, nie tyle może pod względem stylu pisania czy tematów, ale na pewno pod względem witalności, której dzisiejszej science fiction wydaje się brakować." To brzmi nieco jak recepta przewodniczącego Mao na nieustającą rewolucję, ale niewygody i niepewność są chyba lepsze niż całkowita stagnacja. Być może mylę się twierdząc, że nasza rewolucja była powszechnie nierozumiana w Stanach, gdyż kilku uznanych amerykańskich pisarzy wyraziło się o niej nieprzychylnie. Była ona anty-szmirowa, a nie anty-amerykańska. Ale właśnie wtedy otworzyła się przepaść, którą dopiero ostatnio zaczęto spinać mostem.

Ta przepaść pozwoliła nam stać się niezależnymi, zmusiła do poszukiwania własnej drogi. Taki sam proces ma miejsce w każdym kraju, a ponieważ zawsze jest skierowany w stronę oryginalności, przeciwny wszelkim imitacjom, zasługuje na zrozumienie. Tylko w ciągu ostatniego roku obserwowałem próby wyrwania się z zależności od anglo-amerykańskiej SF we Włoszech, w Danii i w Szwecji. Wrogość okazywana naszej rewolucji sprawiła, iż niektórzy angielscy pisarze powitali z radością tę nagle otwartą przepaść, zaakceptowali cieńszą warstwę masła na chlebie i zaczęli ignorować rynek amerykański. Osobiście wolę mosty niż przepaście. Nawet wtedy, gdy na obu ich końcach stoją uzbrojone straże. Moja pierwsza powieść „Non stop" była dialogiem z amerykańskim stylem: w dalszym ciągu uważam, że demokracja jest w Stanach czczona jako najwyższa wartość naszego rozdartego świata. Moje rozważania skierowane są w równym stopniu ku Stanom, jak i ku Europie, do której należę. Most nad przepaścią jest budowany również przez niektórych pisarzy amerykańskich, znajdujących oparcie po tej stronie Atlantyku: Normana, Spinrada, Thomasa Disha, Johna Sladeka, Stouta Troopera, Harry Harrisona i innych. Philip K. Dick, Frederick Pohl, Robert Sheckley i Ursula LeGuin nie opuszczając swego domu odnaleźli w sobie nastroje zgodne z angielskimi, podobnie jak zrobił to świętej pamięci James Blish. Autorzy ci znajdują w naszym kraju wielu życzliwych obserwatorów.

Dotychczas poruszałem tylko bezpieczne, nie budzące kontrowersji sprawy. Teraz zamierzam wystrzelić z wielkiej armaty. Nawet w naszych czasach, kreujących nowe media przekazu, słowo pisane zachowuje swoją podstawową ważność. Żaden wynalazek nie przerósł swą ważnością pisma. Doskonałość jest osiągana tylko na papierze, a słowo pisane jest środkiem, dzięki któremu rozwijamy się, nie jako jednostki, ale jako cywilizacja, bez której jednostka ma raczej wątpliwą wartość. Literatura jest bezustannie zagrożona, pisarze zawsze znajdują się pod presją. I tak być powinno. Jedyną rzeczywistą groźbą dla literatury jest Formuła. Staje się ona wrogiem wewnętrznym, zwapnieniem żył. Współczesna, komercyjna proza większości rodzajów, czy będzie to powieść gotycka, czy supertechnologiczna, western, romans szpitalny czy cokolwiek innego, opiera się na Formule we wszystkich stadiach swego powstawania. Na jej obronę można oczywiście przytoczyć masę argumentów. Czyni ona całe przedsięwzięcie łatwiejszym, zarówno dla pisarza, jak i dla czytelnika czy wydawcy. Formuła pozwala spełniać oczekiwania – jeżeli życie przynosi nam rozgoryczenie, pragniemy czytać, że miłość i wierność zawsze w końcu zwyciężą, że międzynarodowy szmugler narkotyków dostanie to, na co zasłużył, że skorumpowane miasto może zostać oczyszczone przez jednego bohatera, który nagle przejrzał na oczy. Tworzenie świata, w którym Superman łamie nogę, spadając ze schodów, a Maigretowi nie udaje się rozwikłać morderstwa, jest bardziej niż głupie – jest bezcelowe. Cały sens Formuły polega na tym, iż najpierw rozbudza ona oczekiwania, a następnie je zaspokaja, za każdym razem w 100 procentach. Moja wiara w rolę science fiction, jako środka przekazu, opiera się na przeświadczeniu, iż nigdy nie będzie mogła być w pełni ujęta w formuły, iż przez samą swoją naturę wyłamie się z każdej skorupy, iż będzie stanowić dla nas wyzwanie i wzbogacać nas.

Jednakże właśnie dzisiaj, bardziej niż kiedykolwiek, science fiction jest tworzona według formuł ze względu na to, iż tak dobrze się sprzedaje. Jest więc podawana po obu stronach Atlantyku jako pisarstwo, podporządkowane Formule, pakowana w wynikające z Formuły okładki, z wynikającymi z Formuły wstępniakami. A oto przykład typowej Formuły science fiction: galaktyczne imperium. W rzeczywistym świecie imperializm jest już tematem dawno wyeksploatowanym, dziewiętnastowiecznym kacem, a jednak ciągle powołuje się go do życia w wielu fantazjach.

Duża odpowiedzialność spoczywa tutaj na takich pisarzach jak Edgar Rice Burroughs i E. E. Smith, jakkolwiek nie można winić ich za ogłupiającą działalność naśladowców. Jednakże właśnie oni odkryli i wykorzystali pewne formuły, obecnie szeroko i bezmyślnie powielane.

Formuła, jak już stwierdziłem, nie może być lekceważona, ponieważ zaspokaja pewne potrzeby oraz uśmierza obawy, dowodząc, iż świat jest taki, jakim chcielibyśmy go widzieć. To jest dokładnie to, czego science fiction nie powinna robić. Zdziwienie jest podstawą wszystkiego. Literatura w żadnym razie nie została pomyślana jako środek nasenny – ona powinna nas rozbudzać. Większą winę niż Burroughs i Smith ponoszą zadufani w sobie krytycy literaccy. Większość z nich zdecydowanie odwróciła się do science fiction plecami, odmawiając poszukiwania jej zalet, a tym samym zniechęcając pisarzy, którzy starali się nadać swym pracom indywidualność.

Czasem jednak wyłaniają się nowe zjawiska. Skaczemy wtedy z radości. Tak było, gdy pojawił się Hugo Gernsback, John Campbell, magazyn „Galaxy", „Fantasy and Science Fiction", gdy Michael Moorcock zaczął redagować „New Worlds". I chociaż wszystko wymaga formy, jeżeli nie Formuły, to bezmyślne naśladownictwo i powielanie staje się grobem każdej literatury. Ile imitacji E. E. Smitha, Tolkiena, „Dune", Perry Rhodana widzieliście i (mam nadzieję) odrzuciliście z niesmakiem w tym roku?

W tym właśnie brytyjscy pisarze są bardzo cenni dla amerykańskich czytelników. Nie twierdzę, że całkowicie odrzucamy formuły – to byłoby idiotyzmem. Ale czujemy, że jesteśmy częścią literatury, która nie jest wyrzutkiem i dzięki temu udaje się nam czasami napisać coś świeżego. Od nas, żyjących poza obszarem, na którym działają amerykańskie presje i konieczności, poza społeczeństwem amerykańskim, ale posługującym się tym samym językiem, można spodziewać się odmiennego spojrzenia na te same problemy.

Do tego wszystkiego trzeba dorzucić pewną, dość marginalną myśl. Pisarze science fiction w Wielkiej Brytanii nie są odseparowani od innych pisarzy. Jesteśmy fragmentem ogólnej sceny kultury. Przeciwnie, istnieją w naszym kraju pisarze głównego nurtu, na przykład Anthony Burgess, Doris Lessing, Emma Tenant, Kingsley Amis, Martin Amis, Martin Bax, Adrian Mitchell, którzy czasami publikują utwory bliskie science fiction. Nasi wydawcy nie są opanowani obsesją kategoryzacji – i to rzutuje również na autorów.

Dokończenie na stronie 62

Dokończenie ze strony 61

Dotychczas mówiłem wyłącznie o różnicach między amerykańską a brytyjską science fiction. Różnice te blakną jednakże, gdy przyjrzymy się bliżej temu, co jest nam wspólne. Mówić tu można nie o przepaściach, a o puszczy.

Przyzwyczailiśmy się spoglądać w stronę przyszłości, lecz aby oszacować wkład, jaki Wielka Brytania wnosi do science fiction, musimy zwrócić się ku przyszłości, ku czasom poprzedzającym narodziny fantastyki naukowej.

Język angielski krzewił się, jak gęsta puszcza ponad tysiąc lat. Pierwsze pędy tej puszczy przetrwały do szóstego wieku. Są między nimi poematy „Widsith", „Beowulf" oraz „The Wanderer", przekazujące ten rodzaj obawy przed światem i jego dziwnością, która towarzyszy, przynajmniej w części, współczesnej science fiction.

Puszcza rosła, odpowiadając zmieniającym się warunkom, ale reagując również na wymykające się zmysłom cudowności. Reakcje te obecne są w twórczości kilku naszych największych dramaturgów, prozaików i poetów: Chaucer, Marlowe, Szekspir, Bunyan, Milton, Thomas, Browne, Johnson, Pope, romantycy: Shelley i Byron, powieściopisarze i poeci dziewiętnastego wieku – ta długa i barwna linia twórców kontynuowała wizję, wymykającą się z szarego obrazu codzienności. To jest spuścizna, z której czerpią współcześni brytyjscy pisarze science fiction.

Pierwszą powieścią brytyjską, którą można zaliczyć do science fiction jest „Frankenstein" Mary Shelley, powstały w 1818 r. Z łatwością dostrzegamy w niej nawiązania do tradycji wyobraźni, a szczególnie do „Raju utraconego" Johna Miltona oraz do powieści „Kaleb Williams" ojca Mary, Williama Godwina. Mary Shelley sięga do źródeł „Raju utraconego", podobnie jak Kingsley Amis w powieści „The Alteration" do „Człowieka z Wysokiego Zamku" Philipa K. Dicka. Wspomniana tradycja wyobraźni daje się prześledzić również w innych utworach. Mieszczą się w niej Daniel Defoe i Jonathan Swift a także twórca wielu kanonów tematycznych SF – Herbert George Wells. Wszyscy brytyjscy pisarze science fiction (z wyjątkiem Olafa Stapledona) tworzą w zgodzie z jej duchem, jej kontynuatorami są Ballard, Cowper, Masson i Moorcock, wykazujący pełną miłości dbałość o czystość języka. Moorcock w kilku ostatnich i najlepszych książkach ujawnił wspaniałą zdolność synoptycznego obejmowania przeszłości Anglii, jej języka, jej ducha – myślę tu przede wszystkim o serii „The Dancers at the End of Time" oraz o powieści „Gloriana".

W czasach Mary Shelley rozpoczął się przyspieszony rozwój techniki i technologii. Jak ujął to C. S. Lewis: „Nauka długo przypominała małego lwa, wywijającego koziołki w zaciszu jaskini ku uciesze swego rodzica: lwa, który jeszcze nie pokosztował ludzkiej krwi". Frankensteinowski problem wymykającego się spod kontroli dzieła człowieka jest, być może, czołowym tematem science fiction, a został przecież wykuty w Wielkiej Brytanii.

Jeżeli miałoby się wymienić jedną, podstawową cechę naszej fantastyki, musiałby to być ciągły, nieustający sceptycyzm, wobec korzyści, jakie mają płynąć z niestrudzonego postępu techniki oraz z dominacji człowieka nad przyrodą. U nas nie istnieje nawet pisarz w rodzaju Larry'ego Nivena, celebrującego w serii swych fantazji przedłużanie potęgi technologicznej w daleką przyszłość. Oczywiście, mamy Arthura C. Clarke'a, ale w technologicznych wizjach Clarke'a jednostka ludzka odgrywa raczej pasywną rolę lub też staje się zwykłym obserwatorem (jak w „Spotkaniu z Ramą"), a nie supermanem w stylu Van Vogta. Nie wychowaliśmy u siebie zdecydowanych technokratów jak Gernsback, E. E. Smith, Campbell, Asimov czy Heinlein. Technika oznacza potęgę i ta science fiction, która była pisana do magazynów i paperbacków zawiera fantazje, oparte na sile, jest eskapizmem z dynamicznymi bohaterami. Liczy się w tych fantazjach tylko intryga, akcja; nie ma w nich miejsca na subtelność charakterów czy zadumę nad życiem, co stanowi podstawową wartość prawdziwych powieści.



W tym miejscu przypomniałem sobie o moim starym przyjacielu Harry Harrisonie. Biorąc pod uwagę fakt, iż jego droga twórcza nie pasuje do żadnych z powyższych kategorii, ani też nie poddaje się wykluczającym wyjątki uogólnieniom, można zadać pytanie czy w tym właśnie nie leży przyczyna powszechnego niedoceniania jego prac – czytelnicy wolą przecież pisarzy, których mogą łatwo sklasyfikować. Dlatego też Harrison, Amerykanin, osiedlił się po tej stronie Atlantyku, podobnie jak zrobił to wcześniej James Blish, odcinając się od głównego nurtu campbellowskiej SF. Powieści takie jak „Transatlantic Tunnel, Hurrah!" czyta się nie tylko dla wartości, jakie zawierają same w sobie, ale także jako przyczynki do procesu wyzwalania się Harrisona spod amerykańskiej dominacji, a także dowód jego sympatii dla kraju, Kolei Brytyjskiej i angielskiego piwa. Harrison, podróżnik z przymusu, nie może być jednak zaliczany do brytyjskiej SF; jest założycielem World SF (międzynarodowa organizacja profesjonalistów SF – przyp. tłum.) – możemy więc uznać go za jedną z pierwszych postaci ponadnarodowych. Dominacja siły w opowieściach science fiction zrodziła tendencję do ignorowania bardziej subtelnych zależności pomiędzy mężczyzną a kobietą. Silni faceci, buszujący po odległych planetach lub przecinający przestrzeń w swoich statkach kosmicznych wolni są zwykle od komplikacji damsko-męskich, a te, które występują, poddane są w całości Formule (w ostatnim paragrafie chłopak bierze dziewczynę w objęcia) i zwykle usuwane przez cenzurę obyczajową.

Brytyjska science fiction jest generalnie w sprawach tych bardziej wyrozumiała. Rezultatem zdecydowanie anty-technicznego i anty-siłowego nastawienia Nowej Fali była erupcja witalności w utworach jej przedstawicieli. Podczas, gdy nowofalowcy płacili w dalszym ciągu daninę swoim sławniejszym poprzednikom, technokraci nie mogli doszukać się u nich żadnych wartości: znajdowali tam brzydkie wyrazy, facetów robiących dziewczętom brzydkie rzeczy, ludzi, którzy wędrują do łóżka zamiast na Marsa. Technokraci poczuli się zagrożeni.

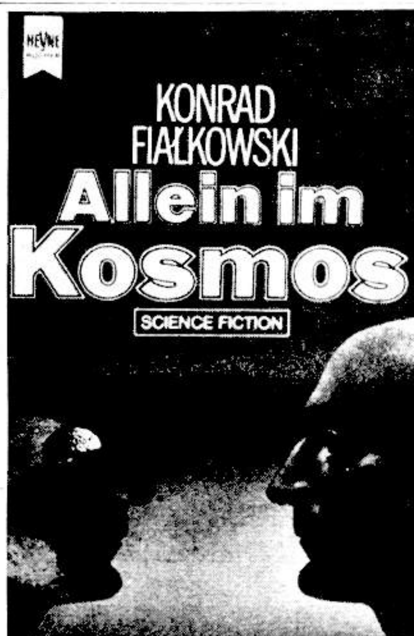
Ze sceptycyzmem łączy się inna, jakże często spotykana u Brytyjczyków cecha – ironia. Znaleźć ją można także u tych amerykańskich pisarzy, których wymieniłem wcześniej jako budowniczych mostu nad przepaścią – u Philipa K. Dicka, Ursuli LeGuin i Fredericka Pohla. Ironia jest rzadko spotykana w pisarstwie, korzystającym z Formuł. Przyczyna jest oczywista – podstawową funkcją Formuły staje się dostarczanie czytelnikowi poczucia pewności, natomiast ironia działa poprzez stawianie jego wartości pod znakiem zapytania. Nasi najlepsi pisarze używają science fiction, by z jej pomocą eksploatować pokłady ironii, odkryte kiedyś przez Shelleya twierdzeniem, iż człowiek, zniewoliwszy żywioły, pozostaje sam niewolnikiem. Robi to H. G. Wells, Aldous Huxley, George Orwell, C. S. Lewis, J. R. R. Tolkien. Ich nazwiska na całym świecie umieszczane są na listach najwybitniejszych twórców science fiction. Brytyjska SF jest po prostu jedną z gałęzi literatury, zadającą odwieczne pytania na temat tkwiącego w nas dobra i zła, tyle że miejsca, w których pytania te padają, są nierzeczywiste. Ogromną rolę w naszej SF odgrywa otwarty krajobraz. Powieści katastroficzne – brytyjska specjalność od czasów Wyndhama – rozgrywają się bardzo często na otwartej przestrzeni. Znamienne jest, że w brytyjskiej SF praktycznie nieobecni są „obcy", przybysze z innych planet. To amerykański styl stawia nas z nimi twarzą w twarz. Przyczyn należy szukać w historii: biali i czarni Amerykanie sami byli obcymi w krainie, należącej do czerwonych – jednakże w SF intryga opiera się zawsze na tym, że my (Ziemianie) jesteśmy tymi dobrymi, a oni (Przybysze) – uosobieniem zła. Wiele dramatów może zrodzić się z tego typu założenia. Na pewno bardziej wyrafinowanym, jak również słuszniejszym teologicznie, jest jednak szukanie zła w sobie samym, a nie przedstawianie go jako zjawiska zewnętrznego. Udawanie, że jest odwrotnie, prowadzi do sielanek w rodzaju „Star Trek", w których pół tuzina bezpłciowych świętych prze naprzód, narzucając amerykańską dyplomację nieposłusznej, odrażającej galaktyce.

Science fiction nie jest jednak wyłącznie zbiorem pisarzy i produkowanych przez nich tekstów. Jest ona czymś o wiele większym – zwłaszcza dzisiaj. Jest przemysłem o wielu gałęziach. Znaczna większość tych gałęzi w Wielkiej Brytanii niemal całkowicie nie istnieje. Odnosi się to szczególnie do krytyki SF. „Foundation", redagowane przez Malcolma Edwardsa oraz „Vector" pod redakcją Davida Wingrove to dwa magazyny, publikujące interesujące teksty krytyczne, ale w naszym kraju są one raczej wyjątkami niż regułą. Inaczej mają się rzeczy w Stanach Zjednoczonych. Tam science fiction coraz szerzej wchodzi w zakres programów nauczania uniwersyteckiego. Natychmiastową reakcją na ten stan rzeczy jest zakładanie nowych szkół krytycznych, z których wiele zrzesza się w „The Science Fiction Research Association". Szkoły te publikują ogromną ilość opracowań, organizują własne konwenty i zjazdy.

Opracowania te ukazują się w najstarszym z magazynów krytycznych, „Science Fiction Studies" dr Darko Suvina lub w którymś z nowych wydawnictw, specjalizujących się w krytyce SF, jak Taplinger czy znakomite Borgo Press z Kalifornii. Taka różnorodność i aktywność byłaby nie do pomyślenia jeszcze kilka lat temu.

Oczywiście, część tej krytyki jest prymitywna, inna część obarczona okropną frazeologią, ale kierunek jej rozwoju jako całości jest godzien najwyższych pochwał. Poza tym krytyka ta stanowi przeciwwagę rosnącej popularyzacji i trywializacji gatunku. Młodzi krytycy są czasem bardziej zainteresowani tworzeniem własnej metodologii niż zrozumiałością tekstu dla zwykłego czytelnika – musimy to uznać za nieuniknione, za fazę wstępną do zupełnie nowej gry. Jeżeli science fiction jest nowym gatunkiem, to musi mieć nową krytykę.

Przełożył Darosław J. Toruń



DIALOG ATAKUJĄCY

mówią: WŁADYSŁAW JAKUBOWSKI – dyrektor, ANDRZEJ MIERZEJEWSKI – kierownik działu literackiego, i TERESA WÓJTOWICZ – kierownik działu propagandy Agencji Autorskiej

Maciej Parowski: *Agencja Autorska została powołana do promowania w świecie polskiej książki i polskiej myśli twórczej. Jak to się odbywa?*

A. Mierzejewski: Uzupełnię pana – polskiej myśli twórczej we wszystkich jej przejawach. Tzn. literatury pięknej, naukowej, popularnonaukowej, literatury dla dzieci i młodzieży. A także dramatu, plastyki, fotografii. Pośredniczymy też w zawieraniu umów o eksploatowaniu dorobku twórców – wydania książki, wystawienia sztuki, słuchowiska, telewidowiska; reprodukowania plastyki, grafiki, fotografii. Instrumentem naszego działania są wielojęzyczne publikacje: „Nowe książki polskie", seria broszur „Sylwetki współczesnych pisarzy polskich", wydawnictwa „Teatr w Polsce" (francuskie i angielskie), „Polska Muzyka" (angielskie i niemieckie), ulotki będące streszczeniem współczesnych sztuk. Ponadto wysyłamy za granicę setki książek, kaset i listów, organizujemy w kraju zjazdy tłumaczy, a w polskich ośrodkach MSZ za granicą tematyczne spotkania dla osób zainteresowanych polską kulturą. Zapewniamy im prenumeratę polskiej prasy. W tym także „Fantastyki".

– Ile osób w świecie obejmuje ta oferta?

A.M.: Jest stała lista odbiorców licząca około 500 osób, wśród których są wydawcy, agencje, agenci literaccy i teatralni oraz tłumacze. Samych tłumaczy literatury polskiej jest obecnie w świecie około 400. W wyniku naszej i ich działalności zjawia się rocznie na rynkach światowych około 200–300 (zależy od roku) polskich pozycji tzw. literatury chronionej. To znaczy nie dotyczy to „Quo vadis", „Pana Tadeusza" czy powiedzmy „Na srebrnym globie" Żuławskiego, na które to książki prawa autorskie wygasły. 200–300 umów – tyle zawiera Agencja – działają poza tym umowy koedycyjne za pośrednictwem Ars Polony. Ponadto PWN, Arkady i Interpress mają przywilej sprzedaży książek za granicę bez naszego pośrednictwa.

– A autorzy mają takie prawo czy nie?

A.M.: Ogromna większość umów dochodzi do skutku za naszym pośrednictwem, ale nigdzie nie jest wyraźnie powiedziane, że jest ono niezbędne. Monopolu nie mamy. Zdarza się również, że autorzy polscy biorą inicjatywę w swoje ręce, nie rezygnując wcale z usług Agencji.

T. Wojtowicz: Dobry tu będzie przykład Adama Wiśniewskiego-Snerga, który sam zrobił montaż polskich recenzji swej książki, a my wykonaliśmy z tego odbitki kserograficzne i wysłaliśmy je w świat. Ta reklama chwyciła, „Robot" ukazał się w RFN, we Włoszech, teraz są wydawane na świecie następne książki Snerga. Z chęcią posłużylibyśmy swoimi możliwościami i innym polskim autorom, potrzebny jest nam również taki kontakt ze środowiskiem twórczym.

– A z czyjej inicjatywy wynikł nadruk „bestseller polskiej science fiction", którym francuski edytor opatrzył wydaną niedawno powieść Konrada Fiałkowskiego pt. „Adam twój brat"? Ta powieść czeka u nas dopiero na wydanie, a bestseller oznacza książkę, która rozeszła się wielokrotnie w dużym nakładzie.

A.M.: Na nadruk zachodnich wydawców nie mamy wpływu. Francuzi traktują to mniej biurokratycznie jako chwyt reklamowy i mogą pisać co chcą: arcydzieło, bestseller, największe dzieło od czasu Wellsa. Książce na pewno to nie zaszkodzi.

– Jakiż więc jest obraz polskiej fantastyki na świecie, teraz kiedy na naszym rynku istnieje od dwu lat miesięcznik „Fantastyka", a paru krajowych wydawców przekonało się do serii SF?

T.W.: Statystycznie wygląda to nieźle. Pewne nazwiska, pewne zjawiska są na świecie znane – Lem, Snerg, Hollanek, Zajdel, Chruszczewski, Fiałkowski; Sporadycznie w antologiach przewijają się Chruszczewski, Boruń, Żwikiewicz. Z nowości, może nie najświeższych, ukazały się po węgiersku opowiadania „Owadzia planeta" Marka Pąkcińskiego. Na sporą promocję, jaką zrobiliśmy temu młodemu autorowi to dość mało. Ostatnia najnowsza fala polskiej fantastyki natomiast nie dotarła jeszcze do świata; powiem więcej, także w kraju wielu ludzi zajmujących się książką zawodowo nie zna tego jeszcze, traktuje fantastykę po macoszemu, nie zważając na głębokie treści i wartości, jakie można w niej znaleźć.

– Pojawienie się „Fantastyki" nic tu nie pomogło?



T.W.: Pomogło nie tak wiele jak pan sądzi. Robicie dobre pismo, prenumerujemy je, nie znajdujemy tam jednak wiele materiałów dla siebie. Prozy światowej zamieszczacie znacznie więcej niż polskiej; mam wrażenie, że wśród czytelników w krajach socjalistycznych jesteście rozchwytywani głównie ze względu na literaturę zagraniczną. Dajcie czasem fragmenty, zwiastuny powieści polskiej, moglibyśmy zrobić odbitki i puścić w świat. Dawajcie więcej polskich opowiadań i recenzji polskich książek. Sama Agencja wszystkiego nie zrobi, mamy kontakty z tłumaczami, z zagranicznymi wydawcami, pomóżcie nam, zróbmy wspólnie listę 10–20 autentycznie najlepszych tytułów, napiszcie dla nas ich promocyjne recenzje, zaatakujemy tym tłumaczy. Nie ma chętnych dla takiego współdziałania; kiedy proponowaliśmy to KAW-owi, powiedzieli „tak, tak" i czekamy. W tej sytuacji nawet wśród naszych fachowców książki na spotkaniach z zagranicznymi wydawcami mało kto potrafi wymienić paru polskich pisarzy science fiction poza Lemem.

– Po wejściu w rynek 25 numerów „Fantastyki"?

T.W.: Niestety, wbrew pozorom jest to rynek zamknięty. Przecież nawet z listów czytelników drukowanych w piśmie wynika, że „Fantastyka" rozchodzi się błyskawicznie i właściwie nie wydostaje się poza krąg ludzi, którzy uwielbiają gatunek. Podobnie jest z najlepszymi książkami, są nieuchwytne. W przypadku poważnych zagranicznych propozycji wydobywamy książki choćby spod ziemi, przynosimy z domu własne egzemplarze. Ale nie możemy kupować i wysyłać wszystkiego, bo przecież książki są drogie. Tak więc brakuje i książek, i odpowiednio szeroko docierającej prezentacji, brakuje wreszcie poważnego i uczynnego sojusznika, który pomógłby Agencji w promocji polskiej SF. Ważne jest przecież i to, żeby książka trafiła do odpowiedniego edytora, do właściwej serii. Można mieć bardzo dobrą pozycję w ręku i nie sprzedać jej właśnie z powodu braku fachowej wiedzy o specyfice gatunku.

– Nie odmówimy pomocy, przeciwnie, ale dla dobra wywodu odbiję piłeczkę – pojawiają się zarzuty wśród pisarzy, nie tylko fantastycznych, że Agencja jest nieoperatywna, że nie wykorzystuje wszystkich możliwości sprzedaży polskiej książki za granicą?

A.M. Nie mamy tych możliwości wbrew pozorom tak wiele i staramy się optymalnie je wykorzystać. A środowisko pisarskie liczy w Polsce ponad 1000 osób, trudno wszystkich zadowolić.

– Pisarzowi zdaje się, że powinien go czytać cały świat, a tu okazuje się, że świat go nie chce – tak to wygląda? Czy mamy tu do czynienia z jakimiś regułami, czy można się pokusić o dawanie recept pisarzom?

W. Jakubowski: Dawanie recept jest zajęciem dwuznacznym, poza tym gdybym znał receptę na

Dokończenie na stronie 64

Dokończenie ze strony 63

książkę, która pójdzie w świecie może sam bym ją napisał... Wiadomo, że kiedyś idolem polskiej fantastyki był Lem, było wokół niego duże natarcie impresaryjne, potem poszło jeszcze trochę nazwisk w RFN i Austrii. Wiadomo z grubsza co nie pójdzie, a autorzy się gniewają i posądzają nas o nieudolność. Recepty na pewno nie ma, są różne niespodziewane sytuacje, hossy albo spadki koniunktury. Na przykład: była rocznica powstania w getcie warszawskim, pchnęliśmy w świat bardzo szeroką ofertę – chwyciło. Lansowaliśmy książkę Benskiego – udało się. Bardzo intensywnie promowaliśmy literaturę dla dzieci, np. we Francji, Włoszech. Przypomnieliśmy wiele pozycji z okazji 40-lecia PRL. Wracając do autorów: „Myśli" Leca stały się w świecie wielkim sukcesem, ale na przykład z „Według Judasza" Henryka Panasa sytuacja odmienna – znakomite recenzje, bardzo przez nas promowany, a ze sprzedażą były trudności. Jest wielu autorów, którzy nie wiedzą ile Agencja Autorska starała się zrobić dla ich promocji.

– Świat zaczyna oszczędzać na kulturze?

W.J.: Potrafi na niej również nieźle zarobić. Wielka to przyjemność oglądać pełne półki dobrych i pięknych książek na Zachodzie i Wschodzie. Ale dla wydawcy jest to handel, wszyscy wszędzie liczą każdego feniga, każdego centa. Mogą książkę posmakować, prywatnie pochwalić, ale bez pewności sprzedaży co najmniej części nakładu nie przetłumaczą jej dla siebie. Choć jednocześnie powiem Panu, mówiono mi w NRD, że różne książki puszczają tam czasem na przemiał, ale polskiej żadnej. Czytelnicy mają zaufanie do polskiego pisarza, nawet jeśli nazwisko jest nie do wymówienia. Na przykład w NRD, na Węgrzech mamy otwarty rynek – znają tam polską literaturę i ma tam ona swojego czytelnika. Polska fantastyka także.

– Co można jeszcze zrobić w ogólnie trudnej sytuacji, żeby dobrą markę polskiej książki upowszechnić? Co może tu zrobić Agencja? Słyszałem o planowanym na jesień zjeździe tłumaczy.

W.J.: Niezależnie od tego, czy będzie zjazd czy też nie, zamierzamy utrzymywać, jak dotychczas, stały dialog z tłumaczami. Będziemy im umożliwiać indywidualne przyjazdy, kameralne spotkania i możliwie najszerszą penetrację rynku – kontakty z autorami. Będziemy się z nimi spotykać w Polsce i na świecie podczas różnych targów i wystaw książki, zapraszając na nie specjalistów polskiej książki, także fantastycznej. Będziemy wreszcie organizować różne spotkania w ośrodkach zagranicznych MSZ. Co roku, mimo przeróżnych trudności, nawet bez zjazdu przewija się przez Polskę w wyniku naszej działalności bardzo wielu tłumaczy. Tak więc trwa cały czas dialog, atakujący ofertowo, Agencji ze światem. I trzeba oczywiście, żeby nie zanudzić kontrahenta, zdobyć się tu czasem na pewne gesty. Na przykład na rozdanie tłumaczom zgromadzonym w Polskim Ośrodku 50 numerów waszego miesięcznika. Dostarczenie tych numerów nie jest jedynym typem pomocy, jakiej od was oczekujemy.

– A czego życzyłby dyrektor swojej instytucji, żeby możliwie najlepiej spełniała rolę rzutkiego agenta polskiej książki?

W.J.: Jestem bardzo realny w życzeniach, nic z sience fiction w tej sferze. Potrzebujemy nowoczesnego parku maszynowego do technik promocyjnych i propagandowych. Kiedy tu przychodziłem przed 10 laty była tu tylko słaba kopiarka ksero, teraz mamy już minipark maszynowy. Maszyna offsetowa będąca niegdyś szczytem techniki już się nam jednak trochę zużyła. Czekamy na nową z przydziału. Poza tym teraz świat nie bawi się w drukarki tylko w wideokasetę. Technika video jest potrzebna też do reklamy książki, można dzięki niej pokazać autora. Przecież na świecie mało kto chce dziś czytać ulotki. Mamy 2500 polskich melodii już sprzedanych. Na świecie jednak nikt już nie chce czytać nut, a ja nie mogę kaset nawet za dolary kupić w naszej Centrali Handlu Zagranicznego. Od roku taśmy magnetofonowe uzyskuję cudem dzięki prywatnym kontaktom. Powinniśmy mieć w Agencji środki na uzbrojenie się w nowoczesną technikę. Zarabiamy nie dla siebie, realizujemy kontrakty przecież dla autorów, kompozytorów – a potem kiedy chcemy mieć dewizy na stoisko, na sprzęt mówi się nam: „weźcie od Ministerstwa Kultury i Sztuki". A Ministerstwo mówi: „jesteście przecież Agencją – macie własne dewizy". No, a Ministerstwo Finansów traktuje nas nierzadko jak normalną firmę prywatną. I działają rygory finansowe z innego podwórka. Mam teraz w Urzędzie Ceł dziesiątki płyt zagranicznych, które powinienem przekazać do radia, TV, fonografii, a Główny Urząd Ceł nie może zrozumieć, że jest to wymiana impresaryjna, promocyjna, a płyty nie są do obrotu handlowego, nie powinny więc podlegać opłacie celnej. Chciałbym mieć lepsze pomieszczenie, a nie parę pokoi przy ZAIKS-ie i poligrafię w piwnicy. Agencja powinna mieć salon promocyjny (od 10 lat – dziesiątki listów w sprawie lokalu), rotacyjne sale wystawowe, studia do przesłuchań muzycznych, sprzęt. Biblioteka teatralna mieści się... lepiej nie mówić. Interesant, kierownik literacki teatru, czyta u nas polskie sztuki na kaloryferze obok toalety. Tak przyjmuję gości zagranicznych, tłumaczy, ambasadorów polskiej kultury... To nie może tak dłużej trwać, przystępuję do generalnego ataku! Jedno nas pociesza to dyplom Ministra Spraw Zagranicznych „Za wybitne zasługi w propagowaniu polskiej kultury za granicą" i ostatnio Ministra Kultury w Roku Szymanowskiego. Oba wyróżnienia pomogły nam w interwencji, kiedy zmniejszono nam przydział benzyny do limitu jak dla samochodu prywatnego!

Notował
Maciej Parowski











M. Łakomski

Obietnica

Jeszcze raz
pobiegniemy na brzeg lasu
i kiedy słońce
będzie spadało na ziemię,
pochwycimy je
nad linią horyzontu
i uwięzimy na chwilę
w przęsłach mostu,
a potem ta ogromna
pomarańcza
stoczy się po torach czasu
i już nie zdążymy
jej zatrzymać.

Ikar

Niepomny na przestrogi ojca
wzleciałeś na skrzydłach marzeń
za blisko słońca,
przez chwilę wolny
ptaku w przestworzach
oddałeś duszę – niebu,
tajemnicę lotu – przyszłości,
ciało – ziemi,
a serce – komu?

* * *

Nie zatrzymasz młodości,
nie zawierzysz losowi
i nie będziesz gromem
ani błyskawicą,
pozostaniesz tylko
gościem w swoim życiu,
zabiorę ze sobą
Twoje milczenie i ból
istnienia,
a Ty zostaniesz zupełnie sam
i już nie będę mogła
niczego Ci obiecać.

BOŻENA GREGORCZUK

Bożena Gregorczuk, absolwentka Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego, autorka pracy o Cyprianie Kamilu Norwidzie, jest asystentką w Instytucie Języka Polskiego UW. Wiersze pochodzą z jej pierwszego tomiku autorskiego przygotowywanego właśnie do druku. A. N.



Nowa powieść

MIASTO I GWIAZDY

a. c. clarke